



AM  
**AJW**

I.M. D. hower  
Sikita24

BY ANY OTHER  
**NAME**

FORBIDDEN SERIES I

## **Tłumaczenie nieoficjalne: Nikita24**

### **Korekta: jakatierinka**

*To tłumaczenie w całości należy do autora książki,  
jak i jego prawa autorskie,  
tłumaczenie jest tylko i wyłącznie materiałem marketingowym  
służącym do promocji twórczości danego autora.*

*Ponadto, to tłumaczenie nie służy uzyskiwaniu korzyści  
materialnych, a co za tym idzie,  
każda osoba wykorzystująca treść tego tłumaczenia w celu  
innym niż marketingowym, łamie prawo!*

**Przypominam, że nie wyrażam zgody na umieszczanie, ani  
rozpowszechnianie tego tłumaczenia w jakiegokolwiek formie na  
innych chomikach, jak i nigdzie indziej w sieci.**

# **BY ANY OTHER NAME**

**J. M. Darhower**

Nikita24

# SPIS TREŚCI

PROLOG.....	6
ROZDZIAŁ 1.....	13
ROZDZIAŁ 2.....	39
ROZDZIAŁ 3.....	93
ROZDZIAŁ 4.....	131
ROZDZIAŁ 5.....	144
ROZDZIAŁ 6.....	181
ROZDZIAŁ 7.....	210
ROZDZIAŁ 8.....	251
ROZDZIAŁ 9.....	267
ROZDZIAŁ 10.....	282
ROZDZIAŁ 11.....	306
ROZDZIAŁ 12.....	339
ROZDZIAŁ 13.....	366
ROZDZIAŁ 14.....	390
ROZDZIAŁ 15.....	403
ROZDZIAŁ 16.....	414
ROZDZIAŁ 17.....	427
ROZDZIAŁ 18.....	437
ROZDZIAŁ 19.....	448
EPILOG.....	460

*Czymże jest nazwa? To, co zowiem różą, pod inną nazwą równie by pachniało.*

*Romeo i Julia, Akt 2, Scena 2*

# PROLOG

Restauracja znajdowała się w największej części Małych Włoch. Ekskluzywna, ceglana pizzeria, stała na rogu dzielnicy. Okna zajmowały cały front budynku, dając jasny obraz fantastycznych czerwonych i złotych zadbanych boksów, oraz wiszących w środku żyrandoli, ale szkło zostało zabarwione i przyciemnione, w taki sposób, by zaciemnić widok.

Ludzie, którzy często odwiedzali to miejsce, nie lubili być obserwowani.

Primo Galante, w pewną piątkową noc latem 1993 roku, wyszedł przez główne drzwi, idąc za jego żoną, Carą. Kiedyś prawdziwa królowa piękności, Cara dawno zastąpiła swoją koronę i szarfę, na pieluszki i smoczki, porzucając konkursy piękności, dla macierzyństwa i małżeństwa.

Według Primo, była wciąż najpiękniejszą kobietą, jaka kiedykolwiek chodziła po ziemi. Jego miłość do niej umacniała się przez lata, i stojąc tam, obserwując ją, jak trzymała w ramionach ich najmłodszą, małą Genevieve, poczuł, że jego serce nabrzmiwa mu w piersi. Jego córeczka wyglądała zupełnie jak jej matka, miała takie same czarne włosy i błękitne oczy. Pewnego dnia, będzie łamała męskie serca, wyrrywając je prosto z ich męskich piersi, za pomocą zwykłego spojrzenia, zupełnie tak, jak zrobiła to Cara, przy pierwszym ich spotkaniu przed laty.

Chłopcy śmiejąc się i bawiąc, lawirowali pomiędzy ich nogami. Trzymając ręce ułożone na kształt pistoletów, udawali, że do siebie strzelają. Cara przewróciła oczami na takiego rodzaju zabawę, ale Primo uśmiechnął się z satysfakcją. Jego chłopcy. Byli jego dumą i radością, szczególnie Joey, z tak dużym poczuciem humoru i inteligencją, w wieku zaledwie siedmiu lat. Dante, mający ledwie pięć, był dużo bardziej wrażliwy niż jego brat. Joey był przywódcą, i skakał ze wszystkim na główkę, był nieustraszony i otwarty, podczas gdy Dante jedynie podążał za bratem. Jego każdy ruch był przemyślany, i wykonany z rozwagą. Głęboki, taki był ten chłopiec. Może nawet za bardzo.

*O miękkim sercu.*

- Wszystkiego najlepszego, Primo - powiedziała Cara, stawiając Genevieve na wysypanym żwirem podjeździe. Dziewczynka się zakołysała, była senna i właśnie przyzwyczajała się do jej nowych białych pantofelków, a przód jej różowej puszystej sukienki, pokryty był sosem do pizzy. Szybko odnalazła się w swoim położeniu i podreptała za starszymi braćmi.

Primo przyciągnął żonę do siebie i delikatnie pocałował jej krwistoczerwone usta. Jego trzydzieste urodziny. To był rok... Rok zmieniający *wszystko*, rok, w którym wykonał swoje od dawna planowane, poważne kroki. Właśnie wprowadził to wszystko w ruch. Nie ważne było, kogo musiał zgładzić, aby osiągnąć swój cel. Było tylko kwestią czasu, kiedy stanie na czele.



- Nie mogę się doczekać, żeby zabrać cię do domu - wyszeptał w jej usta. Rękoma chwycił jej biodra, muskając palcami nagą skórę, pod dolną krawędzią jej koszuli. - Chcę rozpakować mój prezent.

- Hmm - mruknęła, z figlarnym błyskiem w jej oczach. - Jaki to będzie prezent?

- Ty - powiedział, lekko gryząc jej dolną wargę. - Chcę go rozpakować i bawić się nim przez całą noc.

Roześmiała się, odsuwając się od niego, jej oczy przeszukały teren w poszukiwaniu dzieci. Nie był już na pierwszym miejscu i akceptował to. Obecnie, był bardziej jak czwarty w kolejce do jej uwagi. Podeszła do miejsca, gdzie pochylała się Genevieve, wykopując kamienie z ziemi. Jej lepkie rączki pokryte były brudem.

Primo odwrócił się do drzwi pizzerii, gdy te się otworzyły i wyszli niektórzy z jego wspólników. Rozpoczął z nimi rozmowę, finalizując umowę, którą omawiali przy kolacji, aby wejść na nowe terytorium tuż na południu w Chinatown, ponieważ w końcu zabezpieczyli drogę do Małych Włoch.

Ale nie chciał na tym poprzestać, - nie. Zanim to się skończy, każda dzielnica w Manhattanie, będzie należała do niego.

Gdy rozmawiali, jeden z mężczyzn zerknął ponad ramieniem Primo. Jego oczy zwęziły się podejrzliwie, gdy spojrzał w stronę ulicy. - Hej, Primo, znasz ten samochód?



Primo natychmiast się odwrócił, spostrzegając podejrzany czarny samochód, który zatrzymał się na przystanku po drugiej stronie ulicy. – Nie.

– Już drugi raz tędy przejeżdża, odkąd tu stoimy – powiedział mężczyzna. – Za każdym razem się zatrzymuje.

Przez Primo przeszedł dreszcz, gdy wpatrywał się w auto. Pospolity czarny samochód, mógł należeć do kogokolwiek, ale nie był to ktoś, kogo by znał. Dwie przecznice na wschód, była dzielnica Lower East Side, długoletnie terytorium Galante, ale na zachód, w Soho, panowała rodzina Barsanti. Stali właśnie w centrum obszaru, który najprawdopodobniej był najbardziej ryzykownym miejscem, w czasach obecnych zmian.

– Dzieci! – Wrzasnął Primo. Dotarły niebezpiecznie blisko drogi, gdzie czaił się samochód. – Chodźcie tutaj.

Joey podbiegł do niego z zapalem, a tuż za nim Dante. – Tak, tato?

– Dlaczego nie poczekacie w samochodzie? – Zasugerował Primo. – Robi się ciemno.

– Dobrze. – Posłusznie powiedział Joey, nigdy z nim nie dyskutując. Słowo ojca było dla chłopca niepodważalne. – Możemy posłuchać radia?

– Tak, pewnie – powiedział, wyciągając kluczyki z kieszeni i rzucając je do Joey'go. Jego oczy nigdy nie opuściły zwlekającego czarnego samochodu. – Tylko nie odjeżdżaj bez nas, dzieciaku. Joey

pobiegł prosto do czarnego Impala<sup>1</sup>, zaparkowanego wzdłuż boku przyległej posesji. Dante wystartował tuż za nim, ale stanął po sekundzie, odwracając się do siostry. – Chodź, Genna.

Dziewczynka gdy usłyszała swoje imię, podniosła wzrok, beztrudnie się uśmiechnęła i pobiegła za nim, trzymając w zaciśniętych piąstkach, kamyczki.

– Co się dzieje? - Zapytała Cara, gdy się zbliżyła, i wślizgnęła się pod jego ramię, z wyrazem niepokoju na jej twarzy. – Czy coś jest nie tak?

– Samochód przy krawężniku - powiedział Primo. – Myślę, że nas obserwują.

Napięła się lekko, ale zachowała zimną krew, tylko ogólnikowo rzucając spojrzenie na ulicę, zanim odwróciła się, żeby zlokalizować dzieci. Primo mógł zobaczyć niepokój w jej oczach, spojrzenie lęku, milion-jeden pytań, z których na żadne nie chciał odpowiedzieć.

Joey wspiął się do samochodu od strony kierowcy, aby włączyć radio. Dante szedł spokojnym krokiem, powłócząc nogami, rozdarty pomiędzy pognaniem za jego starszym bratem, - tak jak chciał zrobić,- a czekaniem na jego młodszą siostrę, poruszającą się chwiejnym krokiem, -



tak jak wiedział, że powinien uczynić. Oczy Primo pozostały przyklejone do samochodu, kiedy sięgnął powoli do płaszcza i chwycił pistolet schowany w kaburze.

Powoli, okno od strony kierowcy otworzyło się na kilka cali. Przez żyły Primo, pompowała adrenalina. Spodziewał się, że zobaczy broń, oczekiwał gradu strzałów, i przygotowywał się do osłonięcia rodziny przed latającymi kulami, ale to nigdy nie nastąpiło.

W sekundzie, gdy Joey zatrzasnął drzwi od strony kierowcy, opony w czającym się samochodzie zapiszczały, gdy wystrzelił do przodu, zostawiając za sobą chmurę dymu, kiedy pośpiesznie uciekał z dzielnicy.

Serce Primo opadło do żołądka, gdy obrócił się, aby stanąć przodem do jego Impali. Przez okno, mógł zobaczyć, jak Joey wkłada kluczyk do stacyjki.

*Och, Boże. Nie. Nie!*

- Nie, Joey! - Krzyczał Primo, ale było już za późno. Joey przekręcił kluczyk, i kiedy spojrzał w górę na ojca, jego brwi zmarszczyły się na chwilę przed tym, zanim to się stało.

**BUM**

Primo poczuł to, zanim mógł to usłyszeć. Czuł siłę detonacji, rozchodzącą się falę uderzeniową, napływającą od strony z pojazdu, i wprawiającą w drganie podłogę, zupełnie jak trzęsienie ziemi. Samochód eksplodował w szalejącej ognistej kuli. Metal przeleciał przez plac, a

okna pizzerii się roztrzaskały. Siła eksplozji zwała ich wszystkich z nóg, podrywając Dantego i wyrzucając go powietrze. Jego koszula pochłonięta była płomieniami, podczas gdy ogień palił skórę na jego klatce piersiowej.

Cara krzyczała, a jej rozdzierający uszy lament, przeciął powietrze, gdy Dante wypuścił przerażający wrzask agonii. Szaleńczo poderwała się do niego, by ugasić palący go ogień, a Genevieve leżąc płasko na plecach, wybuchła płaczem.

Primo siedział zamrożony, a świat wokół niego zwolnił tempo. Wpatrywał się zamroczony w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą, stał samochód. Widział tylko całkowicie wypatroszoną metalową ramę, i trzy-metrową kulę ognia, z gęstym czarnym dymem, zasłaniającą nocne niebo. Joey, jego chłopiec, jego duma i radość, był nie do odnalezienia. *Odszedł.*

Dzwonienie w uszach Primo, blokowało płacz, i osłabiało krzyk, kiedy świat wokół niego zawalił się do całkowitej anarchii. Pogrążony w totalnym szoku, pozwolił, by jego usta opuścił ledwie słyszalny szept,

*Barsanti.*

# ROZDZIAŁ 1

Mówią, że noc najciemniejsza jest, tuż przed świtem.

*Ja powiedziałabym, że jeśli zamierzasz złamać prawo, to jest to doskonały czas, by to zrobić.*

- Pośpiesz się, Jackson! - Czuźne oczy Genny, przebiegły wokół podupadłej dzielnicy Harlem. Przez przyciemniane szyby, ulice wydawały się jeszcze ciemniejsze. - Jezu, co, do cholery zajmuje ci tak długo?

- Odpręż się - jego głos był niemrawy, co było zasługą pięciu strzałów tequili, które powalił jeden po drugim, zanim opuścili imprezę. - Trudno jest cokolwiek zobaczyć w ciemności.

Sięgając do torebki, Genna zaczęła w niej grzebać, aż wyciągnęła swój telefon komórkowy, naciskając klawisz, by dać trochę światła. Otoczyła ich łagodna biała poświata, która oświetliła część deski rozdzielczej, ale to i tak zdawało się nie pomagać, bo Jackson wciąż się z tym siłował.

Coś jej powiedziało, że to tequila, a nie ciemność, zbijała go z tropu.

Sfrustrowana, wyciągnęła rękę i wyszarpnęła śrubokręt z jego dłoni. Praktycznie wspięła się na jego kolana, aby wepchnąć go w

kolumnę kierownicy. Gdy wcisnęła go w niewielki otwór na kluczyk, z początku szło bardzo opornie, ale po poruszaniu nim na boki, udało jej się go obrócić.

Silnik głośno ryknął do życia.

- Ha! - Tryumfalnie wrzuciła telefon do torebki, gdy usadowiła się na miejscu dla pasażera. - Amator.

Jackson posłał jej figlarny uśmiech, gdy włączył reflektory i wrzucił bieg. Odjechali od krawężnika, a jego ręka gwałtownie powędrowała do niej. Chwycił ją za kark, i szarpnął w swoim kierunku do pocałunku. To było kłopotliwe i lekkomyślne, kiedy pędził tak ulicą, zamykając oczy z pożądania, nie patrząc przez przednią szybę.

Zahaczył o zaparkowany samochód, ale ledwie to zauważył. - Jesteś taka gorąca - wymamrotał, wycofując się z pocałunku, ale jej nie puścił. Zamiast tego, przyciągnął ją bliżej, pochylając jej głowę w dół, w kierunku jego krocza.

*Uh, co?*

Wyrwała się z jego uchwytu, popychając go z taką siłą, że samochód skręcił gwałtownie w inną uliczkę. - Za jaki rodzaj dziewczyny mnie masz?

- No chodź, dziecinko - zajęczał. - Jestem tak podniecony. Potrzebuję cię.

Teatralnie zmarszczył brwi, jego ciemne oczy błysnęły w samochodzie. Blond włosy miał potargane, a pasma zawijały się wokół jego uszu. Był nieodparcie słodki.

*Albo może jestem po prostu obłądnie pijana.*

I jedno i drugie, przyznała łatwo. Jakim rodzajem dziewczyny była? Dziewczyną z popieprzonym zestawem moralności. Przecież, właśnie ukradli samochód.

Syk uciekł mu z gardła, gdy pochyliła się nad nim, biorąc jego kutasa w usta. Jej oczy powoli się zamknęły, otoczyła ją ciemność, i kilka krótkich ruchów później poczuła, jak napiął się i sapnął, jakby każdy mięsień w jego ciele odmówił posłuszeństwa.

*Już dochodzi?*

Przygotowała się na nadciągającą eksplozję, ale zamiast tego wcisnął hamulce samochodu, a jego ręka chwyciła tył jej głowy, mocno odciągając ją od niego. – Kurwa!

Momentalnie otworzyła oczy, a przekleństwo rozbrzmiewało echem w jej umyśle. *Kurwa.*

Migające czerwono-niebieskie światła, oświetliły przerażoną twarz Jacksona, gdy syrena przecięła cichą noc. Szarpał się spanikowany, ze swoimi spodenkami, i gdy się zapiął, skręcił samochodem do najbliższego wolnego krawężnika. Parkując, sięgnął po pas bezpieczeństwa i szybko go zapiął.



Genna nie mogła nic na to poradzić. Wybuchła śmiechem. Naruszenie przepisu pasów bezpieczeństwa, było najmniejszym z ich kłopotów. Kogo obchodziło, czy mieli je zapięte? Jackson rzucił jej spojrzenie, które mówiło, że nie jest już pociągająca, ale pomyślała, że teraz jest nawet słodszy.

*Taki naiwny.*

To dlatego go lubiła. Dla niektórych wydawał się prostacki, głupi, a nawet nieświadomy, ale Genna doceniała prostotę. Podczas gdy reszta Manhattanu wydawała się gapić na nią, na samą wzmiankę o jej nazwisku, on traktował ją normalnie, nie obchodziła go jej rodzina, ani kim jest.

Genna odprężyła się w fotelu pasażera, gdy radiowóz NYPD<sup>2</sup> krzywo zatrzymał się tuż przy ich zderzaku, tym samym blokując im wyjazd.

*Zachowaj spokój, mówiła sobie. Zachowuj się tak, jakbyś nie miała pojęcia, co się dzieje.*

Zbliżyło się dwóch oficerów, jeden od strony Jacksona, a drugi z jej. Jackson opuścił szyby obu okien, patrząc prosto przed siebie. Wyglądał tak, jakby chciał zwymiotować.

Martwiła się, że za chwilę naprawdę to zrobi.

---

<sup>2</sup>NYPD (New York Police Department) – Policja miasta Nowy Jork.

Oficer uważnie przeskanował latarką samochód. Kiedy wycelował promień prosto w jej twarz, Genna krzywiąc się osłoniła oczy.

- Do kogo należy samochód? - Zapytał od razu funkcjonariusz.

Jackson zaczął się jąkać, nie mówiąc nic spójnego, gdy Genna odchrząknęła. - Pożyczyliśmy go od przyjaciela. Prawda, Jackson?

Coś tam wymamrotał, absolutnie tym nie pomagając.

- Przyjaciel - oficer powtórzył, odsuwając latarkę. Gennie ulżyło, że światło jest z dala od niej, dopóki nie wskazał prosto na deskę rozdzielczą, oświetlając śrubokręt wystający ze stacyjki. - Nie mogliście pożyczyć również kluczyka, gdy byliście po samochód?

Jackson otworzył usta, żeby odpowiedzieć, i wtedy to się stało.

Zwymiotował.

Właśnie tam, właśnie wtedy, na całą kierownicę i swoje kolana.

Kuląc się, Genna odwróciła wzrok od bałaganu. *Złapana na gorącym uczynku.*



Genna miała na sobie to samo ubranie przez prawie 48 godzin. Smród potu i wywietrzonego alkoholu, przylgnął do tkaniny, sprawiając, że chciała wymiotować przy każdym drżącym oddechu. Czarna

sukienka opinała jej krągłości klepsydry, odsłaniając więcej skóry niż zakrywała. Czuła się wyjątkowo nieprzyzwoicie - nadzwyczaj *brudna*, - stojąc pod jasnym światłem w holu budynku Sądu Karnego w Chinatown, trzymając kurczowo szpilki zamiast mieć je na sobie.

Właśnie została postawiona w stan oskarżenia i zanim nawet mieli okazję przenieść ją do więzienia, pospiesznie zwolniono ją za kaucją. Ale w tym momencie, chciałaby raczej zostać zamknięta gdzieś w brudnej celi.

To było prawdopodobnie bezpieczniejsze.

Jej zamglone oczy, skoncentrowały się na czerwonych palcach u stóp i studiowały błyszczące, białe linoleum pod jej bosymi nogami, - wszystko, aby uniknąć patrzenia na mężczyznę stojącego przed nią. Mogła poczuć na sobie jego wzrok, który przeszywał ją jak ostre noże, przebijając jej wnętrzności, gdy wstyd sączył się z maleńkich ran.

Również nie pomagał fakt, że była skacowana. Każdy hałas wydawał się wzmacniać w jej zamglonych uszach, a jej głowa waliła w harmonii z odgłosami kroków, gdy ludzie przechodzili wokół ruchliwego budynku. Piszczenie maszyny prześwietlającej, brzęczenie kluczy, paplanina ludzi - uch, to było zbyt wiele do zniesienia.

*Spraw, żeby to się zatrzymało.*

- Genevieve.

Sposób, z jakim spokojem wypowiedział jej imię sprawił, że mimowolnie się wzdrygnęła. Wolałaby raczej krzyk, albo żeby zrobił jej

scenę, *cokolwiek*. Gniew przynajmniej oznaczał pasję, ale to, była obojętność. To był mężczyzna, który nie był ani trochę zaskoczony wizytą w tym miejscu.

Jej głos był potulny, gdy odpowiedziała: – Tak?

– Spójrz na mnie.

Jej oczy posłusznie przesunęły się w górę, spotykając jego surowe spojrzenie. Primo Galante, będący po czterdziestce, mający krzepką budowę ciała, i akcent brooklyński z lekką domieszką włoskiego, był na ulicach Nowego Jorku, nazywany wieloma imionami ale dla niej, był tylko jednym: *Tatą*.

Wpatrywał się w nią, unosząc jedną brew w ocenie. Nie odezwała się słowem, i on również tego nie zrobił. Po chwili skinął na nią głową, bezgłośnie przekazując, żeby podążyła za nim.

Czarny samochód, stał tuż przy krawężniku od frontu budynku. Jej ojciec wślizgnął się na tylne siedzenie, a Genna pociągnęła w dół swoją sukienkę, próbując się trochę zakryć, zanim do niego dołączy. Złożył ręce na kolanach i wyglądał przez okno, gdy jechali przez Manhattan, podążając na północ od miasta, w kierunku ich posiadłości w pobliżu Harrison w Nowym Jorku.

Nie dzwoniła do niego. Był ostatnią osobą, do której kiedykolwiek by w takiej sytuacji wykonałaby telefon. Ale nie była ani trochę zaskoczona tym, że się pojawił. Jej ojciec wiedział o wszystkich

przestępstwach, które wydarzyły się na ulicach Nowego Jorku, był nawet lepiej poinformowany od policji.

*Prawdopodobnie, dlatego, że zorganizował większość z nich.*

Gdy tylko dotarli do domu, Genna wyskoczyła z samochodu. Gwałtownie otworzyła frontowe drzwi i pobiegła sprintem na schody. Zdążyła pokonać tylko połowę, gdy jej ojciec wszedł i krzyknął jej imię.

- Genevieve Elisa Galante!

Jej kroki ustały. *Tam*, było uczucie. *Tam*, był gniew, pasja. Była całkowicie przekonana, że ludziom nadawano drugie imiona wyłącznie po to, by mogli poznać, kiedy ich rodzice byli wkurzeni. - Tak?

- Dołącz do mnie w moim biurze.

Nie czekał, aż za nim podąży, wiedział, że to zrobi. Tak naprawdę, to nie dał jej zbyt dużego wyboru. Wzdychając, upuściła buty i torebkę, rzucając to wszystko na schody, i niechętnie odbyła wędrówkę z powrotem na dół, aby stawić mu czoła.

Jego biuro nie było tak bardzo biurem, jak męską jaskinią. W miejscu, gdzie powinno znajdować się biurko, stała czarna, masywna skórzana kanapa, otoczona przez dopasowane do niej krzesła, i za nią na odległej ścianie, wisiała tablica, z napisem z Exodus 21:24<sup>3</sup>, i nic poza tym. Biblijny skrypt. Genna nie była pewna, czym dokładnie to było, ale była całkowicie przekonana, że nie było to coś w rodzaju, *pozwól twojej*

---

<sup>3</sup>Exodus (Księga Wyjścia ) 21:24 – Oko za oko, ząb za ząb, rękę za rękę, nogę za nogę.

*córce poszaleć.* Pod ścianą z tablicą, znajdował się długi kontuar, na którym było ustawione w szeregu, mnóstwo butelek z alkoholem. Jej żołądek wzburzył się na ich widok.

*Fuj, nigdy więcej nie piję.*

Primo zajął miejsce na samym środku kanapy, i jakby odprężając się w swoim dopasowanym szarym garniturze, wyciągnął ramiona wzdłuż oparcia. Dla mężczyzny w średnim wieku, miał pewną zarozumiałość, którą zazwyczaj podziwiała. *Zazwyczaj.* Zatrzymała się w drzwiach, nie chcąc podchodzić bliżej, mając nadzieję, że wykład będzie szybki i bezbolesny, ale wyraz jego twarzy, nie wskazywał żadnych oznak pośpiechu.

Wiedział, że jest skacowana. Zamierzał przeciągnąć to celowo.

- Świetna kradzież samochodu - powiedział w końcu, przechodząc prosto do rzeczy.

- To całkowita przesada.

Jego oczy się zwęziły. - Ukradłeś Accord.

- No cóż, technicznie...

- Accord, Genevieve - powiedział, przerywając jej. - Nie Ferrari. Nie Lamborghini. Nie nawet Mercedesa. Hondę Accord<sup>4</sup>.

- To był ładny samochód - jej głos zamienił się w obronny, jakby wyjaśnienie faktycznie polepszyło decyzję w jego oczach. - Był specjalnie pomalowany i miał nowy spoiler. Facet miał nawet zamontowany zbiornik nitro.

- To *Honda* - powiedział ponownie, jego gniew sączył się w słowach. - Nie obchodzi mnie, jak jest dostosowana. Nie bierzesz udziału w przesłuchaniu do Szybkich i Wściekłych 3.

- Myślę, że robią teraz siódmą część.

Jego postawa się zmieniła, gdy spiorunował ją wzrokiem i pochylił się do przodu.

- Czy to wygląda, jakbym interesował się filmem, Genevieve? Co? Myślisz, że to jest to, co ma dla mnie znaczenie?

Znała ten głos. Rzadko używał takiego tonu wobec niej, ale słyszała go nie raz, kiedy używał go właśnie w tym pokoju, aby zastraszyć i terroryzować innych. Ludzi, którzy dla niego pracowali. Ludzi takich jak



4



on. Było w tym tonie coś mrozącego krew w żyłach, co sprawiało, że nawet najtwardszy człowiek stawał się słaby i błagał o litość.

- Nie, sir.

- Zatem zachowaj to dla siebie - powiedział. - Wszystko, co mnie obchodzi, to usłyszeć cholernie dobre wyjaśnienie tego, co cię opętało, żeby ukraść pieprzoną Hondę!

- Nie ukradłam - wymamrotała. - Niezupełnie. Byłam tylko pasażerem.

- Współsprawca nie jest wcale lepszy - powiedział. - Może nawet być gorszy. Wszystkie kary i żadnej chwały. Przynajmniej Jason miał jaja, żeby prowadzić tę nieszczęsną rzecz.

- Jackson.

- Proszę?

Odchrząknęła, starając się, aby jej głos był opanowany. - Nazwałeś go Jason. A jego imię to Jackson.

- Nie obchodzi mnie, jakie jest jego imię - odpowiedział, drwiąc, jakby odepchnął tą myśl lekceważąco. - Nie zobaczysz się już z tym chłopcem Johnsonem.

- Co? Dlaczego?

Jego oczy ją świdrowały, jakby automatycznie powinna znać odpowiedź. – Masz *straszny* gust. Najgorszy! Musisz znaleźć dobrego włoskiego chłopca.

Przewróciła oczami, zanim nawet skończył. *Nie ten argument, nie znowu.* – Ale lubię Jacksona.

– Jest złodziejem samochodów!

– Nie możesz go winić... nie całkowicie. Byliśmy pijani.

– Masz tylko osiemnaście lat!

Okej. Tu miał rację. – To był błąd.

– Błąd?

– Tak, nic wielkiego.

– Nic wielkiego? Czy opuściłaś tą część, gdzie powiedziałem, że masz osiemnaście lat? *To*, nie jest jak te wyczyny, które odstawiałaś wcześniej. Wyciągałem cię z nich, ponieważ byłaś tylko głupim dzieciakiem, robiącym głupie rzeczy, ale to nie jest już sąd dla nieletnich. To jest czas dorosłych.

Gdy wpatrywała się w niego, jej żołądek się obniżył. Kiedy była w swojej pijackiej mgie, nie poświęciła niczemu zbyt dużej uwagi. Wylądowała na tylnym siedzeniu radiowozów już kilka razy od jej czternastych urodzin praktycznie za wszystko, począwszy od picia alkoholu przez nieletnich, wkraczaniu na teren prywatny, a skończywszy na wandalizmie. Ale za każdym razem dostarczali ją

prosto do domu, do jej ojca z surowym ostrzeżeniem skierowanym do niego. *Trzymaj córkę pod kontrolą.* Jednak tym razem, zabrali ją bezpośrednio na komisariat. Tym razem, ją spisali.

I *to* było przestępstwo.

- Nie myślałam.

Na jej wyznanie, jego twarz złagodniała.

- Teraz jesteś dorosłą osobą. Musisz zacząć zachowywać się w ten sposób. Nie możesz biegać po ulicach, upijać się i kraść samochody z tymi małymi chuliganami. Nawet nie zapięłaś pasa bezpieczeństwa! Co jest z tobą nie tak? Jak głupia możesz być? Mogłaś umrzeć, Genevieve! Czy wiesz, co stałoby się ze mną, gdybyś umarła? Czy wiesz, co bym zrobił, gdybym cię stracił?

Przeszły ją ciarki. To były pytania, do których nie chciała się odnosić, ale знаła odpowiedzi. Znała je, i żyła nimi. Wszyscy żyli.

Primo poszedł na wojenną ścieżkę, gdy stracił rodzinę.

- Przykro mi.

- Tak, wiem, że jest - wymamrotał. - Po prostu możesz trzymać się z dala od kłopotów?

- Tak - przysięgła. *Spróbuję, w każdym razie.*

- Dobrze. Teraz idź - machnął, oddalając ją. - Umyj się i nałóż coś przyzwoitego. Chce mi się wymiotować, gdy patrzę na ciebie w tej sukience.

- Tak, sir.

Podchodząc do niego, pochyliła się i pocałowała go w szorstki policzek, zanim wybiegła z pokoju. Nie było tak źle, jak myślała, że będzie. Wzięła po dwa stopnie na raz, chwytając w biegu swoje porzucone rzeczy, i udała się prosto do swojej sypialni na drugim piętrze, na samym końcu korytarza w głębi domu. Była większa niż większość apartamentów w mieście.

Wchodząc do środka, westchnęła, przyglądając się bałaganowi, który ją przywitał. Po jej szaleńczym '*nie-mam-w-co-się-ubrać*' napadzie złości, - ostatnim razem kiedy była w domu - ubrania, których większa część była czysta, były porzucane wszędzie. Przeszła przez porzucane sterty, nie mając energii, żeby cokolwiek z tego posprzątać, i podeszła do garderoby. Po włączeniu światła, wsunęła swoje szpilki na półkę, na ich miejsce.

Wzięła długi, gorący prysznic w swojej przyległej łazience, mocząc się pod natryskiem, zanim przeszła z powrotem do sypialni, w puszystym białym ręczniku, owiniętym wokół niej. Łapiąc jakieś czyste ubranie - spodnie do jogi i koszulkę bez rękawów, - prawie zdjęła ręcznik by się ubrać, kiedy ktoś walnął w jej drzwi. Krzywiąc się, przez wciąż brutalne pulsowanie w głowie, odwróciła się, przyciskając ręcznik mocno do siebie. - Co?

Drzwi otworzyły się gwałtownie, uderzając o ścianę.

- Hej, sis.

Skuliła się, piorunując wzrokiem swojego brata, stojącego w drzwiach.

- Dante.

Dante na pierwszy rzut oka, wydawał się być całkowitym jej przeciwieństwem. Wszystko w nim było ciepłe, z jego opalenizną, z włosami koloru czekolady i pasującymi do nich oczami, podczas gdy Genna, zawsze wydawała się być zimna jak porcelana. To jednak nie pomogło temu wizerunkowi, ponieważ ojciec traktował ją, jakby była delikatnie wyrzeźbiona z bryłki lodu, i stawiał ją na unoszącym się piedestale, w przypadku, gdyby kiedykolwiek zaczęła się roztopiać. Kiedy Dante, był miękki i zdolny do uścisków, ona była bystra, z jej stalowoniebieskimi oczami, ciemnymi włosami, i karnacją jaśniejszą, niż u ktokolwiek w jej rodzinie. Dorastając, Dante dokuczał jej przez to, mówiąc, że była adoptowana, że nie była *naprawdę* Galante.

W niektóre dni, prawie chciała, żeby to było prawdą.

Ale głębiej, pod powierzchnią, ona i jej brat byli bardzo podobni.

- Więc, spędziłaś noc uwięziona, prawda? - Dante dokuczał, walcząc z uśmiechem, który szarpał kąciki jego warg. - Jak ci się podobał więzienny seks?

Przewróciła oczami. - To było zaledwie kilka godzin w areszcie, o czym zapewne wiesz, ponieważ zadzwoniłam do ciebie, żebyś przyszedł mnie odebrać. Faul, przy okazji. Czy naprawdę musiałeś wysłać go w zamian?

Dante uniósł ręce w defensywie, gdy niedbale oparł się o framugę drzwi. – Nie moja wina. Zobaczył numer i chciał wiedzieć, kto dzwoni.

– I musiałeś mu powiedzieć?

Pytanie było głupie, ponieważ *tak*, musiał mu powiedzieć. Dante był związany zasadami, o których ona niejasno wiedziała, zasadami, przed którymi jej ojciec próbował ją chronić. Ale nie była głupia. Każdy z połową mózgu i dostępem do Internetu, mógł odkryć wszystko, co chciał wiedzieć o życiu jej ojca. Faktycznie, tylko tydzień wcześniej, Discovery Channel nadawało program specjalnie o tym.

*„Wewnątrz Mafii”.*

Pomyślała, że był to popieprzony sposób na życie, uczyć się wszystkiego o najmroczniejszych tajemnicach swojej rodziny z programu kryminalnego, pokazywanego w godzinach największej oglądalności w telewizji.

– Jestem ci winny - Dante zaoferował, zamiast odpowiedzieć na jej pytanie. – Jeśli będziesz potrzebowała przysługi, tylko powiedz słowo, a będę tu dla ciebie, bez względu na to jak bardzo spieprzysz.

Jego odpowiedź sprawiła, że się uśmiechnęła, pomimo że te słowa były zbędne. Rodzina była dla Dantego wszystkim, i Genna wiedziała, że za każdym razem, gdyby go potrzebowała, byłby tam bez zbędnych pytań. Mogą nie podobać mu się jej decyzje, ale w przeciwieństwie do ich ojca, Dante nigdy nie osądzał jej za ich podejmowanie.

- Więc, przyszedłeś tu tylko po to, żeby się mnie czepiać? -  
Zapytała. - Bo jeśli już skończyłeś, chciałabym się ubrać.

- Nie, tata wysłał mnie tutaj, żebym przyniósł cokolwiek, co miałas na sobie, gdy wy dostał cię z kicia. - Brwi Genny się zmarszczyły, gdy rozejrzała się, spostrzegając czarną sukienkę, leżącą na stercie na podłodze. Zauważając, gdzie poszła jej uwaga, Dante złapał sukienkę, trzymając ją z dala od niego, gdy zwisała z jego palców. - To jest to?

- Tak.

- Dziękuję.

Odwrócił się, żeby wyjść, gdy chwyciła jego ramię, zatrzymując go.  
- Czekaj, co robisz z moją sukienką?

- Spalę ją.

Wpatrywała się w niego, z szeroko otwartymi oczami. - Spalisz ją?  
*Dlaczego?*

- Żebyś nigdy ponownie nie mogła jej założyć.

- Bo teraz to jest jakiś symbol pechu, czy co? - Kochała tę sukienkę. Faktycznie, potrzebowała dobrego moczenia, żeby pozbyć się z niej smrodu więzienia, ale była praktycznie nowiutka. - Czy to dlatego, że zostałam aresztowana? Bo to nie jest wina sukienki.

- Nie, to dlatego, że wyglądasz w niej jak tania dziwka.

- Wcale tak nie wyglądam.



Dante wzruszył ramionami. – Tak uważa starzec, a jeśli czegoś chce, to to się dzieje.

Spojrzała groźnie na brata, gdy szedł wzdłuż korytarza, wlokąc za sobą po podłodze sukienkę. Po tym jak odszedł, zatrzasnęła swoje drzwi i podeszła do łóżka, rzuciła się na nie, zamykając oczy.

*Do diabła z ubieraniem się.*

Obiad zawsze był jedynym czasem, gdy Galantes zbierali się wszyscy razem, jak rodzina. Przez jedną godzinę na dobę, siedem dni w tygodniu, gdy zbierali się w jadalni, ciesząc się wyszukаныmi posiłkami, przygotowanymi przez personel, wszystko inne było odkładane na bok, Primo nie szczędził wydatków na dom, utrzymując godne zaufania pokojówki i kucharzy na jego liście płac.

Mawiał, że nic dla jego rodziny, nie było zbyt dobre.

Rzadko którekolwiek z nich opuszczało obiad, robili wszystko, co w ich mocy, żeby się upewnić, że będą w domu na ósmą, aby wspólnie zjeść posiłek. Pomimo tego, że nigdy to nie było obowiązkowe, - jako tako -, było to bardziej kwestią szacunku.

Ale odsypiając długotrwałego kaca, Genna była bardzo blisko, żeby go opuścić.

Coś spłoszyło ją ze snu, to ciemność ogarniająca jej sypialnię. Półprzytomna, zamrugła kilka razy, jej oczy powędrowały w kierunku budzika po drugiej stronie pokoju.

20:12

- Cholera! - Skoczyła na równe nogi, chwiejąc się trochę, gdy jej wizja rozmazała się od nagłego ruchu. Pozbywając się ręcznika, szybko wciągnęła ubranie - pogniecione przez spanie na nich, - i przebiegła palcami przez długie związane włosy, niechlujnie ściągając je ponownie, gdy wybiegła z pokoju.

Zanim dotarła na dół, wpadając do jadalni dokładnie kwadrans później, z trudem już oddychała. Jej głowa wciąż pulsowała w rytm bicia jej serca, gdy jej spojrzenie odszukało ojca. Primo siedział na swoim zwykłym krześle, na czele stołu, a jego wzrok utkwiony był w drzwiach, podczas gdy jego jedzenie było całkowicie nietknięte. Czekał na nią, aż się pojawi.

- Przepraszam - wymamrotała, wsuwając się na jej miejsce dwa krzesła dalej od ojca, dokładnie naprzeciwko Dantego. Ulga zaświeciła w oczach jej brata, gdy jej się przyjrzał. - Zasnęłam, i cóż, wiesz... oto jestem.

- Oto jesteś - zgodził się ojciec, gdy wyciągnął ręce w kierunku Dantego i jej. Wzięli je, pochylając głowy, gdy cicho odmówił modlitwę. Potem, z zapalem zabrali się za swoje jedzenie, podczas gdy Genna po prostu przesuwiała swoje wokół talerza.

Wciąż czuła, że ma zbyt wrażliwy żołądek, aby jeść.

Rozmawiali o sporcie, jej brat napomknął coś o jankesach, podczas gdy Genna błądziła myślami. Myślała o Jacksonie, zastanawiała się, jak radził sobie po ich aresztowaniu. Czy został również zwolniony? Czy w ogóle miał kogoś, do kogo mógł zadzwonić, żeby go wyciągnąć?

Jej ojciec powiedział jej, że ma się z nim więcej nie widywać, ale cóż, nigdy nie była zbyt dobra w słuchaniu.

I nawet trzeźwa, wciąż myślała, że facet był cholernie uroczy.

- Genevieve?

- Tak? - Jej oczy wystrzeliły w stronę ojca, gdy zawołał ją po imieniu.

- Gdzie jest twój umysł? - Zapytał. - Próbowałem rozmawiać z tobą przez kilka ostatnich minut.

- Ja, uh... nigdzie. Przepraszam, słucham.

- Pytałem o Umberto Ricci.

Zmarszczyła brwi. *Dlaczego pyta mnie o przyjaciela Dantego?* - Co z nim?

- Ty i on powinniście się zejść. Wiesz, wyjść kiedyś.

Skrzywiła się. - Naprawdę, tato?

- Tak, a co z nim nie tak? Jest miłym włoskim chłopcem. Wy dwoje stworzylibyście dobrą rodzinę.

- On jest Umberto! Ma jakby cztery stopy<sup>5</sup> wzrostu. Jest jak karzełek. - Nie wspominając o fakcie, że nigdy nie mógł podtrzymać rozmowy. Rozmowa z nim była katogą. - Poza tym, czy właśnie nie wyszedł z więzienia? Drugi raz?

- Tak, więc?

- Jackson kradnie jeden samochód i jest pomiotem szatana. Umberto praktycznie utrzymuje się z łamania prawa, a ty próbujesz ożenić mnie z nim! Co to daje?

Primo zadrwił i odwrócił się z powrotem do jego obiadu. Nie odpowiedział, ale tak naprawdę nie musiał. Genna wiedziała, dlaczego.

Umberto Ricci pracował dla niego.

- Cokolwiek - wymamrotała, przesuwając więcej jedzenia wokół jej talerza. - Nie jestem zainteresowana stwarzaniem rodziny z Umberto, ale mimo wszystko dziękuję.

Zanim ojciec mógł zrugać ją za szorstki ton, ciszę zakłócił dzwoniący telefon. Obiad był czasem bez przeszkadzania, wszystkie ich telefony były wyłączone i odłożone - prócz jednego. To był jedyny, który jej ojciec nosił ze sobą wszędzie - ten, o którym wszyscy wiedzieli, że był

---

<sup>5</sup>Cztery stopy – około 122cm

zarezerwowany wyłącznie na nagłe wypadki. Genna nigdy wcześniej nie wybierała tego numeru i miała nadzieję, że nigdy nie będzie musiała.

Napięli się, obserwując, jak Primo złapał telefon i odebrał szybko z prostym poleceniem: – Mów.

Rozmowa trwała mniej niż trzydzieści sekund. Jej ojciec rozłączył się, nie wypowiadając żadnego słowa. Wzdychając, Primo odsunął swoje krzesło, rzucając serwetkę na stół, kiedy spojrzał pomiędzy Genę i jej brata. – Barsanti.

Żadnego szczegółowego omówienia. Żadnego wyjaśnienia. W każdym razie, to było niepotrzebne. Obiad był skończony dwadzieścia minut wcześniej. Primo wymaszerował z pokoju, jak mężczyzna na misji, podczas gdy *to* słowo wisiało nad nimi, niczym złowieszczą chmura trujących oparów, nastawiona na zatrucie kogokolwiek, kto nią odetchnie.

*Barsanti.*

*Kurwa. Gówno. Cholera. Piździelec. Skurwysyn.* Żadne z tych słów, nie było choć ułamkiem zbrodni w wypowiedzeniu przekleństwa *Barsanti*, w obszarze domu Galante. Gdyby była tam matka Genny, zwykły dźwięk *tego nazwiska*, doprowadziłby ją do modlitwy. Szalenie robiłaby znaki krzyża, oburzona wypowiedzianiem tego bluźnierczego słowa przy jej stole.

Na tę myśl, Genna ostrożnie odłożyła widelec, rezygnując z fasady bycia zainteresowaną jedzeniem, gdy jej wzrok powędrował na puste

krzesło tuż obok niej. Było puste przez nieco ponad cztery lata, ale niezachwianie, każdego jednego wieczoru, były przy nim ułożone talerz i sztućce, jakby ktoś faktycznie miał usiąść tam pewnego dnia.

Krzesło naprzeciwko tego, też, pozostało puste, również ustawione do obiadu, nigdy więcej nie użyte. To drugie, było puste tak długo, jak Genna mogła pamiętać. Miała wtedy tylko dwa lata, o wiele za młoda, żeby pamiętać, co się stało.

Dante jednak miał pięć. To było jego pierwsze wspomnienie... to, którego wiedziała, że nigdy nie zapomni. Niósł ze sobą blizny, psychiczne i fizyczne, skóra na jego klatce piersiowej zgrubiała i zniekształciła się od rozległych oparzeń trzeciego stopnia, jego spostrzeżenie na zawsze skażone.

- Powiniennem iść - Dante powiedział cicho, wstając. - Tata może mnie potrzebować.

Genna skinęła głową, ale poza tym go zignorowała, kiedy wyszedł. Zawsze zastanawiała się, co myślał w tych momentach, czy przeżywał ponownie ten dzień - ich śmiertelne starcie z Barsantis.

Dla nikogo nie było niespodzianką, że Nowy Jork był punktem zapalnym dla przestępczości zorganizowanej. Pięć rodzin dzieliło udział w nielegalnym podziemnym świecie, chociaż dwie utrzymywały największą władzę wokół Manhattanu: Galantes i Barsantis. Przez wiele lat zgodnie współpracowali, dzieląc kontrolę po równo, aż pewnego dnia, pokój został zburzony, wybuchając w ognistym blasku.

*Dostownie.*

Od tamtej pory, wściekła rywalizacja się zaogniła, wprowadzając wojnę między rodzinami. Wrogość była tak wielka, że zwykła wzmianka o ich istnieniu, czyniła Gennę chorą z niepokoju, a była ona tak daleko odsunięta od tego stylu życia, jak tylko Galante byli w stanie to zrobić. Ale na tyle, na ile była zorientowana, wiedziała, że ci ludzie byli potworami. Ojciec - odkąd tylko była małą dziewczynką, uczył ją, ostrzegał ją i chronił, więc wiedziała, żeby trzymać się od tego z daleka.

„Jedyny dobry Barsanti, to martwy Barsanti” - powiedział.  
„Jeśli jakiegoś widzisz, uciekasz w drugą stronę”.

Kiedy tylko jej ojciec i brat zniknęli, Genna poszła na górę, żeby poprawić włosy i nałożyć makijaż, zanim wyruszy w noc. Nie było sposobu, aby spędzała czas w tym domu sama, nie mając nic do robienia, oprócz martwienia się o to, jak jej rodzina skończyła.

Pojechała prosto do Harlem, zaparkowała naprzeciwko kamienicy, gdzie przebywał Jackson. Po zamknięciu jej czarnego BMW-u, zapukała do drzwi, spodziewając się, że odpowie jego siostra, albo może jedno z rodziców, ale została zaskoczona, kiedy nikt inny, jak sam Jackson otworzył dla niej drzwi.

- Hej! - Popędziła prosto do niego, zawijając w ciasnym uścisku ramiona wokół niego, który wydawał się zaskoczyć go bardziej niż cokolwiek innego.

Napiął się, lekko poklepując ją po plecach. - Och, hej, Genna.

- Wyszedłeś! Myślałam, że zadzwonisz do mnie, kiedy ktoś pomoże ci wyjść z więzienia.

- Tak, no cóż... - Nerwowo potarł kark, marszcząc brwi. - Nie sądziłem, że to taki dobry pomysł.

- Dlaczego? - To nie była całkowicie jej wina, że zostali aresztowani. Pewnie, technicznie uruchomiła samochód, ale to był jego pomysł, żeby wziąć samochód na szybką przejażdżkę. - Co się dzieje?

- Twój tata sądzi, że nie powinniśmy się więcej widywać.

Gdy to powiedział, jej twarz opadła. *Nie.* - Nie.

- Spójrz, po prostu myślę, że może on ma rację.

- Czy on ci groził? - Zapytała.

To byłoby *tak* podobne do jej ojca. Nie byłby pierwszym facetem, którego odstraszył, żeby się z nią nie spotykał. Tak naprawdę, wydawał się odstraszać wszystkich. Nie mogła nawet utrzymać przyjaciół przez jego monitorowanie jej życia i stałe interwencje, wysyłając jego sługusów wszędzie tam, gdzie była, aby mieć na nich oko.

- Nie, nie groził mi. To nic takiego.

- Zatem skąd wiesz, że nie chce nas razem?

- Powiedział mi, - powiedział z zakłopotaniem, - gdy zapłacił za mnie kaucję dziś po południu.



- Więc to jest to. - Łzy złości paliły oczy Genny, ale w pewnym sensie czuła się trochę zasmucona. Nie, to nie było to uczucie, to było jak zdrada. - Przekupił cię.

- Przykro mi, Genna - powiedział. - Naprawdę. Nie chciałem cię zranić.

- Nie zraniłeś - powiedziała, odsuwając się od niego. Próbowała zignorować dokuczliwy ból w klatce piersiowej, który sugerował inaczej. Człowieku, to bolało. Bolało, jak sukinsyn. - Po prostu jestem rozczarowana, Jackson.

Wołając za nią, próbował ją jeszcze przeprosić, ale schodziła już ze schodów i kierowała się w stronę swojego samochodu. Myślała, że nie obchodziło go, kim był jej ojciec, że nie będzie przestraszony przez nazwisko... przez reputację.

Okazało się jednak, że myliła się co do niego.

## ROZDZIAŁ 2

To, co zaczęło się, jako zły dzień, dzięki źle działającemu budzikowi i ponurej późno-wiosennej pogodzie, szybko wymknęło się spod kontroli do zapewne jednego z najgorszych poranków w życiu Genny. Zanim dotarła na rozprawę do budynku sądu karnego w Chinatown, była przemoczona przez nagłą ulewę i dojechała na miejsce dziesięć minut spóźniona.

Pobiegła sprintem wzdłuż korytarza, a jej nowe czarne szpilki od Jimmyego Choo, nacierały pęcherze na jej stopach. Wcisnęła się do pierwszej windy, na którą się natknęła, wślizgując się w samą porę, zanim zamknęły się drzwi.

Stała tyłem do starszego mężczyzny w roboczym kombinezonie, którego otaczał nieświeży zapach dymu papierosowego i potu. Wstrzymała oddech, tak aby nie wdychać smrodu, ale mogła poczuć każdy jego oddech na swoim karku. Próbowwała trochę się odsunąć, starała się o trochę przestrzeni pomiędzy nimi, ale za każdym razem, gdy się przesunęła, wydawał się ruszać razem z nią - przylegając do niej, ocierając się o krągłość jej tyłka i podnosząc jej krótką spódniczkę coraz wyżej.

*Najgorsza jazda windą wszechczasów.*

Mężczyzna wysiadł na dziesiątym piętrze, zerkając do tyłu i dając jej figlarne mrugnięcie. Zadrżała, gdy drzwi zamknęły się ponownie. *Fuj, obrzydliwy.*

Winda po drodze na górę, wydawała się zatrzymywać na każdym jednym piętrze, więc zanim dotarła na dwudzieste trzecie, była tak właściwie spóźniona na swoją rozprawę już o *kwadrans*. Pobieгла sprintem na salę sądową, otwierając drzwi tak mocno, że przerwało to sędziemu w środku postępowania. Wszystkie oczy zwróciły się na nią, gdy niezręczna cisza przeniknęła salę. *Ups.* – Przepraszam – mruknęła do nikogo, podczas gdy sędzia skupił się z powrotem na sprawie. Jej oczy przeskanowały salę sądową, szukając prawnika, którego zatrudnił jej ojciec i znalazła go, stojącego z przodu z... Jacksonem. *Wspaniale.*

Jackson wyglądał niewygodnie, ubrany w zbyt duży czarny garnitur, który nie oddawał sprawiedliwości budowie jego ciała; jego włosy były starannie ścięte, nie kosmaty mop, którym były kiedyś. Była tak sfiksowana przez to jak wyglądał, że niemal przegapiła słowa sędziego.

– Odraczam rozprawę za sześć miesięcy od teraz, na wypadek oddalenia oskarżenia. Jeśli do tego czasu, będziesz się trzymać z dala od kłopotów, wszystkie zarzuty zostaną wycofane.

Sędzia walnął młotkiem, a mała fala szeptów przepłynęła przez salę sądową, kiedy Jackson się uśmiechnął, a jego ramiona opadły z ulgi. Odwrócił się, żeby wyjść, przechodząc tuż obok Genny, tak blisko, że ich ramiona się zetknęły, ale on nawet nie spojrzał w jej stronę.

Cała sprawa śmierdziała Primo.

- Następna rozprawa na wokandzie, to *Obywatele przeciwko Genevieve Galante*.

Wzdychając, Genna odwróciła wzrok od drzwi, gdzie zniknął Jackson i podeszła do prawnika, wciąż stojącego na przedzie sali sądowej. Uśmiechnął się do niej uprzejmie, gdy przerzucał swoje stosy dokumentów, kładąc akta Jacksona na spodzie, a jej na wierzchu. - To powinno być szybkie. Sędzia musi tylko zaakceptować ugode, którą przygotowaliśmy.

- Dlaczego Jackson wyszedł wolny, a ja muszę przyznać się do winy?

- To jest właśnie sposób, w jaki to obmyślono - odpowiedział swobodnym głosem, ale Genna złapała ukryte znaczenie w słowach.

*To był sposób, w jaki zorganizował to Primo Galante.* Niezależnie od tego, czy jej ojciec chciał się do tego przyznać czy nie, Genna wiedziała, że połowa ludzi w sali sądowej była w jego kieszeni w taki czy inny sposób. Albo byli winni mu przysługę, albo ładnie im zapłacili. Jak inaczej temu mężczyźnie - zawodowemu przestępcy, udało się przez te wszystkie lata, trzymać z dala od więzienia?

- Panno Galante - zaczął sędzia, spoglądając na nią przez parę grubych drucianych okularów. - Umowa zawarta pomiędzy twoją radą a prokuratorem okręgowym, dla mniejszego oskarżenia o nieuprawnione użycie pojazdu mechanicznego, wykroczenie trzeciego

stopnia, jest zatwierdzona. Sąd niniejszym skazuję cię na 120 godzin pracy społecznej i 1000 dolarów grzywny. Twoje prawo jazdy jest również zawieszane do czasu, w który skończysz swój wyrok.

Huknięcie młotka rozbrzmiało echem w sali, zanim szybko wezwali do następnej sprawy. Prawnik skinął na nią aby wyszła, ale Genna nadal tam stała, wpatrując się w sędziego.

- Jakiś problem, panno Galante? - Sędzia zapytał, przyglądając jej się dziwnie, gdy nie ruszyła się z miejsca.

Otworzyła usta, by się kłócić, żeby wskazać jak surowy był ten wyrok, ale prawnik ją odciął i się odezwał. - Wszystko w porządku, Wysoki Sądzie. Moja klientka jest niezmiernie wdzięczna za dzisiejszą wyrozumiałość.

Zanim zaczęła naprawdę protestować, stanął przed nią, i poprowadził ją od ławy oskarżonych przez salę sądową. Kiedy tylko znaleźli się na korytarzu, odsunęła się od niego, i wyrzuciła z niedowierzaniem ręce w górę. - Nazwałeś to *wyrozumiałością*?

- Mogło być gorzej - powiedział adwokat. - Mogłaś pójść do więzienia za przestępstwo.

Spiorunowała go wzrokiem, gdy beztrąsko się oddalał. - Mogło być *lepiej*. Mogłam wyjść z tego tak jak Jackson!

Teraz, gdy było już po wszystkim, sfrustrowana, i obrażona - szła wzdłuż korytarza. Wszystko rozegrało się w ciągu kilku minut. Zbliżyła się do wind, i jęknęła, kiedy zobaczyła mały tłum upychający się do

jednej z nich. Zatrzymała się, i decydując się poczekać, nacisnęła przycisk przywołujący kolejną windę, tak szybko, jak ta odjeżdżająca zniknęła.

Chwilę później, druga winda wydała wygnął przyjazdu. Genna obróciła się do niej, dokładnie w chwili, gdy się otworzyły się drzwi. Odczuła ulgę, gdy zobaczyła szeroko otwartą przestrzeń i jasne światła oświetlające lśniąca podłogę. Ruszyła w jej stronę, ale w chwili, gdy spostrzegła samotnego faceta czekającego w kącie, jej stopy się zaplątały.

*Jasna cholera.*

Stali ze sobą oko w oko, - z nią na piętnasto centymetrowych obcasach, ale nie zaszczycił jej nawet spojrzeniem. Jego uwaga była zwrócona do Blackberry, kiedy pisał na małej klawiaturze. Niedbale oparł się plecami o barierkę, z nogami skrzyżowanymi w kostkach, a jego trampki wyglądały na tak nowe, że nawet podeszwy były nieskazitelnie białe. Jego poważny wyraz twarzy wyglądał tak, jakby został wyryty z gładkiego kamienia. Ostrą linię szczęki pokrywał zarost, ale jego skóra wydawała się miękka, niczym gładki atłas. Miał na sobie markowe dżinsy, białą koszulę i kremowy sweter z dzianiny. Ciemne włosy miał doskonale wystylizowane, albo inaczej - niedbale przeczesane, i wystarczająco długie, aby dać im wygląd niewielkich niechlujnych fal. Czubki jej palców drżały z pragnienia do pieszczoty.

Ten facet... *nie, ten Bóg* ... został wyrwany prosto ze stron GQ<sup>6</sup> i przeszczepiony właśnie tutaj, do jej windy.

*Dziękuję, Jezusie, Józefie, i pierdolona Maryjo.*

Winda zaczęła się zamykać tuż przed jej twarzą, co wreszcie popchnęło ją do działania. Genna rzuciła się do przodu tak szybko, że zwróciło to jego uwagę. Bez zmieniania postawy, przeniósł swoje spojrzenie z nad telefonu, łapiąc tym jej intensywne spojrzenie. Wpadła w trans, kiedy wpatrywała się w jego oczy. Żółte plamki rozsiane wokół tęczówki, były niczym blaknące płomienie na tle jasnego błękitu. Tęczówkę otaczał ciemny pierścień, odcinając żywy kolor w ciemności. Zupełnie, jakby ożył abstrakcyjny obraz Picasso.

Nigdy w życiu nie widziała oczu takich jak te. Podczas gdy wpatrywała się w niego całkowicie oniemiała, za jej plecami zamknęła się winda. *To niegrzeczne się gapić.* Wiedział to nawet przedszkolak. Ale nie potrafiła odwrócić wzroku.

On też wpatrywał się w nią śmiało, unosząc przy tym jedną brew. Kamienny wyraz jego twarzy, przecięła lekka nuta rozbawienia. Widok



jego ust, subtelnie wygiętych w uśmiešku, sprawił, że jej brzuch wściekle zatrzepotał.

*Ten dzień właśnie stał się dużo lepszy.*

Kiedy winda ruszyła, Genna - starając się pozbierać, przełknęła ślinę i spróbowała coś wymyślić, by przełamać pierwsze lody. Jej usta opuścił drżący oddech, gdy nagle winda gwałtownie zadrżała, tym samym cofając ją w ciszę. Światła zamigotały, zanim nagle zaczęły spadać. Z mocno bijącym sercem, które miała niemal z gardle, omal się nie przewróciła od nagłego ruchu. Potknęła się na swoich szpilkach, ale męczyzna chwyciła ją silną ręką, stabilizując ją na tyle, aby mogła złapać się poręczy.

Piętra przelatowały w mgnieniu oka, zanim wokół nich zabrzmiał echem rozdzierający uszy pisk. Ich nagłe zatrzymanie się, rzuciło nią ponownie. Ten ruch sprawił, że jej wizja się rozmazała, gdy wysapała. - Co to, kurwa, było?

- Hamulce awaryjne. - Jego gładki głos nie posiadał krztyny niepokoju. Akcent miał powściągliwy, ledwie wystarczający, aby go zauważyła. Nowy Jork, tak, jak jej własny, ale utrzymywał w tym niewielką krztynę czegoś innego. New Jersey?

- Czy my właśnie...? - Potrząsnęła głową, wypompowana. - Czy my...?



- Utknęliśmy? - Przeszedł za nią, zapach jego wody kolońskiej, subtelnie słodki i całkowicie zmysłowy, przesączył jej zmysły. - Tak, Powiedziałbym, że tak.

Nacisnął przycisk wywołania na panelu. Gdy nic się nie stało, wielokrotnie nacisnął czerwony guzik alarmowy. Genna mogła usłyszeć, jak włączył się alarm, a syrena rozbrzmiewała echem przez szyb windy. Po chwili, przestał, przejeżdżając rękoma wzdłuż drzwi. Chwytając je pośrodku, rozszerzył je tak aby móc wyjrzeć na zewnątrz, ale było to na nic, - nic nie było widać.

Utknęli pomiędzy piętami.

- Po prostu wspaniale - wymamrotała, sięgając do torebki po telefon. Wyjęła go i wyciągnęła w górę. Sygnał migał pomiędzy jednym marnym słupkiem, a brakiem zasięgu.

*Witaj ponownie, zły dniu. Powinnam wiedzieć, że nie przestałeś mnie jeszcze pieprzyć.*

Podczas gdy facet wyjął Blackberry i ponownie cofnął się w kąt, ona kontynuowała walkę ze znalezieniem zasięgu, unosząc telefon tak wysoko, jak mogła. Popatrzyła na niego z niedowierzaniem, kiedy zaczął dalej beztrąsko na nim pisać. Kiedy skończył i wsunął telefon do kieszeni, podniósł na nią wzrok.

- Marnujesz czas. Nigdy nie znajdziesz wystarczająco silnego sygnału, aby nawiązać stąd połączenie.

- Więc, co, nawet nie powinnam *próbować*?

Wzruszył ramionami. – Ja bym nie próbował.

– Jesteśmy uwięzieni w windzie - powiedziała, podkreślając fakt, że byli *uwięzieni*. – Może ty jesteś spokojny w tej sytuacji, ale jeśli o mnie chodzi, to ma wszelkie zadatki na piosenkę Roberta Kelly'ego.

Zanim facet mógł odpowiedzieć, jego telefon zadzwonił. Wyciągnął go tylko na tyle, aby spojrzeć na ekran.

– Tak jak mówiłem, nie wystarczający sygnał, aby nawiązać połączenie, ale wystarczający, żeby wysłać wiadomość.

– Skontaktowałeś się z kimś?

– Tak.

Wpatrywała się w niego wstrząśnięta, gdy ulokował się na brudnej podłodze, z plecami wciśniętymi w kąt. Jak mógł pozostać tak spokojny?

– Możesz się wygodnie usadowić - powiedział. – Znając to miasto, prawdopodobnie trochę potrwa, zanim do nas dotrą.

Genna uparcie stała przez kilka minut, a jej stopy zaczynały boleć w szpilkach na wysokich obcasach, powiększając tym pęcherze za każdym razem, gdy zmieniała pozycję. Wzdychając, zrezygnowana w końcu je zdjęła, odrzucając je na środek windy. Usiadła pod ścianą po drugiej stronie, szarpiąc spódnicę w dół i krzyżując nogi, aby utrzymać się zakrytą. Ale była całkiem pewna, że błysnęła mu towarem przez przypadek. *Cholerna krótka spódnica.*

– Świetnie - wymamrotała. – Ten pech mnie prześladowuje.

- Zły dzień?

- Najgorszy.

- Ach, wątpię w to - powiedział. - Zawsze mogło być gorzej.

Przewracając oczyma, wpatrywała się w swoje dłonie. Żeby czymś się zająć, zaczęła zeskrobywać lakier z paznokci. I chociaż było ich tylko dwoje, w windzie zaczynało się robić duszno. Mogła poczuć, jak powietrze staje się gorące.

- Brzmisz jak mój prawnik.

- Twój prawnik, co? Byłaś tu na sprawie?

- Tak.

- Co zrobiłaś?

Zawahała się, zastanawiając się nad kłamstwem, ale zmieniła zdanie. Dlaczego miałyby ją obchodzić, co pomyśli? Nie знаła faceta.

- Ukradłam samochód.

- Ty? - Zapytał z niedowierzaniem. - Złodziej samochodów?

Spojrzała na niego.

- Technicznie, zrobił to mój chłopak... albo w każdym razie mój były chłopak. Odszedł ledwie dostając po łapach, podczas gdy ja dostałam wystarczająco pracy społecznej, aby starczyło mi do końca życia.

- To wydaje się nie za bardzo uczciwe.

- Nie jest - powiedziała. - Ale cóż, właśnie takie mam dzisiaj szczęście. Spóźniona do sądu, wypieprzona przez Departament Sprawiedliwości, a następnie winda próbuje mnie zabić. Pewnie skończę ten dzień z kimś wpychającym mnie przed pociąg, z którego prawdopodobnie teraz będę musiała skorzystać, skoro na dokładkę sędzia zabrał mi prawo.

- Wow. - Wydawał się zaskoczony. - Nie wyolbrzymiałaś.

- Mówiłam ci. Najgorszy dzień w historii.

- Zaproponowałbym ci wsparcie moralne, ale cóż... - Zaśmiał się do siebie. - Moje morały są w najlepszym wypadku wątpliwe, więc co ty na to, że zamiast tego postawię ci drinka, gdy stąd wyjdziemy?

Jego słowa sprawiły, że się uśmiechnęła.

- To miłe, ale nie jestem na tyle dorosła, żeby pić.

Zawahał się. - Ile masz lat?

- Osiemnaście.

- Ach, nie jest tak źle. Jesteś osobą dorosłą. Poza tym, powiedziałem, że mam wątpliwe morały, prawda?

- Prawda. - Poczowała rumieniec na swoich policzkach, gdy w niego się wpatrywała, widząc szczerłość w jego wyrazie twarzy. - Ile masz lat?

- Jestem wystarczająco stary, żeby kupić ci tego drinka, jeśli będziesz tego chciała.

- Okej, uch... - Przerwała. - Nawet nie znam twojego imienia.

- Matt.

- Matt, to skrót od Matthew?

- Skrót od czegoś, tak.

- No cóż, miło cię poznać. Możesz nazywać mnie Genna... Genna z G, a nie J. To skrót od czegoś, też można tak powiedzieć.

- Genna.

Brzmienie jej imienia wypowiedzianego przez jego usta, wysłało dreszcz pełnący w dół jej kręgosłupa. Powinna być zdenerwowana, uwięziona w takiej ograniczonej przestrzeni z nieznanym. Takim, którego oczy wydawały się ją przeszywać z przerażającą intensywnością, ale czuła się dziwnie spokojna. Lubiła sposób, w jaki na nią patrzył, sposób, w jaki patrzył przez nią, tak jakby naprawdę ją zobaczył.

Ludzie nie patrzyli na nią w ten sposób. Ludzie zawsze patrzyli na nią i widzieli jej nazwisko.

- Wiec, Matt ...

- Mów do mnie Matty - powiedział. - Tak mnie nazywają moi przyjaciele.

- Matty - powtórzyła. - Co cię sprowadza do sądu karnego?

*Dobry Boże, nie pozwól, żeby ta zachwycająca istota była jakiegoś rodzaju zdemoralizowaną mendą. Nie mogę wyjść z mendą. Dobra, może mogę. Zależy jak odrażającą. Fuj, proszę nie bądź odrażający.*

- Porwanie - powiedział. - Znaleźli związaną dziewczynę w moim bagażniku.

Jej oczy się rozszerzyły. Okej, to nie było odrażające. To było kurewsko szalone.

Jego wyraz twarzy zmienił się, zanim zdążyła odpowiedzieć. Wypuścił śmiech.

- Żartuję. Mój brat jest na rozprawie.

- Twój brat porwał dziewczynę?

- Nie - przerwał. - No cóż...

Sapnęła, wywołując jego kolejny śmiech.

- Drażnię się z tobą. Po prostu wplątał się w małą walkę. Nic dużego, tylko zwyczajna sąsiadzka przepychanka.

Gdyby miała coś w zasięgu ręki do rzucenia, cisnęłaby tym prosto w jego głowę. - To nie było śmieszne!

- Tak, masz rację, nie było - zgodził się. - Jednak gwoli ścisłości, zwiążuję dziewczyny tylko wtedy, gdy mnie o to proszą.

Brzmiał na rozbawionego, ale była poważna nuta w jego słowach, które sprawiły, że jej zaczerwieniona skóra świeciła jaśniej. Nie odrażający, ale może trochę dziwny.

*Cóż z dziwnym mogę się spotykać.*

Odwracając od niego wzrok, zagryzła swoją dolną wargę, próbując się pozbierać. Ciepło to za mało powiedziane. Mogła poczuć, jak pot zaczął się tworzyć na jej czole. Robiło się gorąco.

Wzdychając, Matty zdjął sweter, rzucając go na podłogę windy w pobliżu jej zrzuconych butów. Genna spojrzała na niego ponownie, gdy podwinął rękawy jego białej koszuli do łokci. Żywy kolor jego skóry zabłysł jak witraż utkany z czarnych akwafort na jego grubych przedramionach. Tatuaze. Jego ramiona były pokryte *tatuazami*. Genna wypuściła mimowolny drżący oddech, wpatrując się w nie, zniewolona przez skomplikowane wzory.

*Co? Więc Bóg ma odrobinę sobie Diabła...*

- Więc, opowiedz mi o sobie, Genna.

Niechętnie oderwała wzrok od jego ramion, spotykając ponownie jego oczy. - Uch, nie ma dużo do powiedzenia. Już ci się wygadałam.

- Powiedziałaś mi o swoim złym dniu. Opowiedz mi o twoich dobrych dniach.

- Moje dobre dni?

- Tak.

- No cóż... Zgaduję, że kradnę samochody w moje dobre dni.

Zaśmiał się, garbiąc się, gdy wyciągnął nogi. - Ukradłeś wiele samochodów?

- Tylko jeden. Tak naprawdę, chyba nie mam zbyt wiele dobrych dni. Nie wszystkie są złe, są po prostu... dniami. To prawdopodobnie brzmi głupio.

- Nie, rozumiem to. Czasami po prostu robisz to, co musisz zrobić, aby je przetrwać.

- Dokładnie. - Wspaniały i wyrozumiały? *Nieemożliwe.* - I moja rodzina, no cóż... powiedzmy tylko, że czasami mój ojciec nie ułatwia. Ma te wszystkie zasady i oczekuje, że życie będzie przeżywane według jego standardów, a ja po prostu nie jestem zbyt dobra w podążaniu za wskazówkami.

Mówiła bez sensu. *Dlaczego mówiła bez sensu?* Ledwie знаła tego faceta, a pomimo to obnażała swoją duszę, jak umierająca dziwka w konfesjonale.

- Moja rodzina jest taka sama - powiedział. - Lubię jednak myśleć, że zawsze jest pozytywna strona wszystkiego.

- Nie zawsze.

- Tak, zawsze - przeciwdziałał. - Nawet w najgorsze dni, wyciągasz coś z tego. Jak dziś. Wyciągnęłaś coś dziś.

- Co?



- Nie wiem. Przeszłość kryminalną?

Zwężała swoje oczy. - Zabawne.

- To zdarza się najlepszym z nas - powiedział żartobliwie. - Mówię tylko, że czasami dobre rzeczy pochodzą od złych rzeczy. Utknąłem w windzie, ale mam przy sobie piękną dziewczynę, więc koncentruję się na dziewczynie, a nie na fakcie, że jestem wciśnięty w małe pudełko. Ponieważ możesz być pewna, że gdyby nie było cię tutaj, już bym się wspinał przez właz w suficie.

Oczy Genny rzuciły się do sufitu. Właz? - Możemy to zrobić?

- Z dniem, jaki masz? Nie.

Spojrzała na niego, widząc rozbawienie w jego wyrazie twarzy. Lubił jej dokuczać. - Okej, zatem twoja kolej. Opowiedz mi o Mattcie.

- Nie ma tego wiele. - Wzruszył ramionami. - Niedawno ukończyłem college ze stopniem w komunikacjach.

- I co można robić ze stopniem w komunikacji?

- Łapać kontakty? Nie wiem. - Zaśmiał się zgorzkniale. - To tak naprawdę nie ma znaczenia. Jednak zrobiłem, jako przedmiot dodatkowy analitykę biznesu. Wróciłem do domu w zeszłym miesiącu, żeby pomóc mojej rodzinie, więc ta część będzie trochę bardziej pomocna w czasie pracy.

- Tak?

- Tak. Chociaż, to tylko tymczasowe. Moja mama była przez jakiś czas chora. Nie chciałem przegapić... cóż, wiesz. Chciałem być w pobliżu dla niej.

- Rozumiem - powiedziała cicho. To było coś, co Genna dobrze rozumiała. Poczwała, jak żądło wspomnienia o jej własnej matce, zacisnęło jej pierś. - Więc jesteś blisko swojej rodziny?

- Jestem Włochem - powiedział. - Tylko to się liczy. - Wpatrywała się w niego, a mały uśmiech podkradał się niepostrzeżenie na jej usta. Przystojny włoski chłopak, który rozumiał rodzinną lojalność? Ten facet był skumulowaną pulą genetyki. Jej ojciec będzie go kochał.

Minęła godzina uwięzienia w dusznej windzie, zanim w końcu usłyszeli jakiegokolwiek próby do nich dotarcia. Do tego czasu, oboje leżeli na podłodze w poprzek windy, ona płasko na plecach, podczas gdy on leżał obok niej, podparty na łokciu, wpatrując się w nią. To było niewygodne, ale pocieszające. Wytrącające z równowagi, ale wcale nie alarmujące. Mogła poczuć jego oczy na sobie, lustrujące ją uważnie, widzące ją na wskroś, dokładnie tak jak zrobił, gdy ich oczy spotkały się po raz pierwszy. Paplała bez końca, rozpraszając siebie, rozmawiając o wszystkim, ale tak naprawdę o niczym.

Ich pomocy zajęło jeszcze kilka minut, aby znaleźć drogę do środka. W tym momencie, Genna była złana potem, jej ubranie zwinięte do nieprzyzwoitych poziomów, niebezpiecznie blisko, aby powiedzieć „do diabła z tym” i po prostu rozebrania się, i paradowania w bieliźnie.

Matty wstał, jak tylko straż pożarna odryglowała właz w suficie, ale ona po prostu tam leżała, wpatrując się w światła nad nią. Powietrze było mgliste, każdy oddech palił jej płuca. Zabiłaby za trochę wody... *dostownie.*

- Chodź - powiedział Matty, wyciągając do niej rękę, gdy strażak zaczął wprowadzać drabinę. Ujęła jego dłoń, czując ciepło jego skóry, gdy pomagał jej wstać. Starła się szybko pozbierać, szarpiąc ubranie i poprawiając włosy, zanim złapała swoje buty. Matty złapał swój sweter, używając go, aby wytrzeć pot kapiący z jego czoła. W świetle, jego twarz lśniła.

*Jak, do cholery sprawił, że pocenie się wygląda tak seksownie?*

Zmusili ich do wspięcia się do szybu windy i do przejścia po drugiej drabinie do innej windy, która zabrała ich prosto na pierwsze piętro. Genna tchnęła ciężkim westchnieniem ulgi, gdy drzwi wreszcie się otworzyły, i dotarła do niej fala świeżego powietrza. Wyszła, unikając ciekawskiego zgromadzonego tłumu widzów, kierując się do najbliższej fontanny wody, po czym czmychnęła prosto do głównych drzwi. Ledwie wyszła na ponure popołudnie, kiedy dołączył do niej Matty.

- Więc, co z tym drinkiem? Wchodzisz w to?

Krzywiąc się spojrzała na siebie. Jeśli tego ranka myślała, że miała zły dzień, to ciekawa była, jak wyglądało to *teraz*. Chciała pójść do domu, rozebrać się z upapranego ubrania i opaść prosto na jej wygodne łóżko, nigdy ponownie się nie podnosząc. Ale była też inna część jej, zniewolona i ciekawa tego faceta, która nie mogła znieść myśli, że od

niego odejdzie. Gdyby to zrobiła, byłyby szanse, że nigdy nie zobaczy go ponownie.

Wpatrywał się w nią, czekając na jej odpowiedź.

*Pieprzyć to. – Chodźmy.*

Uśmiechając się, zaczął się oddalać, wyciągając z kieszeni pęk kluczy. Po włożeniu butów, Genna podążyła za nim, ignorując palący ból nóg, kiedy ocierały jej pęcherze. Skręcił za róg, zmierzając do znajdującego się w pobliżu parkingu, i wcisnął guzik na swoich kluczach. Po drugiej stronie parkingu, rozbłysły światła w lśniącym krwisto czerwonym Lotusie Evora<sup>7</sup>. Kiedy wcisnął kolejny guzik, samochód ryknął do życia. Jej kroki się zaplątały, kiedy rzuciła mu zszokowane spojrzenie.

- Jest twój? Lotus?

- Dlaczego, zamierzasz go ukraść?

Genna zbliżyła się do zagranicznego sportowego samochodu, przejeżdżając ręką po błyszczącym lakierze, nasłuchując pracę silnika, który praktycznie mruczał. Nigdy nie widziała żadnego na własne oczy. Były rzadkie, ledwie legalne na ulicy. Otworzył dla niej drzwi od strony



pasażera, kiedy zatrzymała się przed nim, próbując powstrzymać uśmiech.

- Myślę, że się przekonasz, prawda?

Kiedy osunęła się na fotel, skóra przykleiła się do jej spoconych ud. Śmiejąc się, Matty zamknął drzwi i usiadł po stronie kierowcy.

- Tak, sądzę, że tak.

Klimatyzacja dmuchnęła jej w twarz, natychmiast ją orzeźwiając i kojąc pieczenie na jej policzkach. Dudniący bas hip-hopu rozlegał się z głośników, wprawiając w drganie jej siedzenie i wysyłając gęsią skórę przez jej skórę, gdy Matty wrzucił bieg. Szybko odjechali spod budynku sądu karnego, bez wysiłku lawirując przez popołudniowy ruch Manhattanu. Każdy skręt był gładki i zwinny, wydawali się po prostu sunąć po ulicy. Genna chciała z nim porozmawiać, chciała zadać mu pytania, chciała wiedzieć więcej, ale nie mogła uformować żadnych słów. Po raz pierwszy w jej życiu, czuła się zupełnie mała. Nie w lekceważący sposób... nie, nie czuła nic, oprócz tracenia na wartości. Została wyceniona, i podatna, ale och - tak krucha, jakby zostawiła gdzieś swoją zbroję. Była całkowicie bezsilna w stosunku do władczej istoty siedzącej obok niej.

Jeśli była delikatną lodową rzeźbą, ten wspaniały mężczyzna był silnym marmurowym posągami.

Jechał przez Soho na północny zachód, jedną z niewielu dzielnic, z którymi Genna była całkowicie nieobeznana. Jej rodzina działała po

drugiej stronie miasta, więc pilnowała tego, aby przebywać na tych obszarach. Kiedykolwiek wychodziła na Manhattan, rzadko przekraczała niewidoczne granice, nigdy nie wyruszając zbyt daleko na zachód. Zanim zaczęła się nad tym rozwodzić, samochód zwolnił obok ceglanego budynku, znajdującego się na rogu dzielnicy. Wykonując ostry skręt na podziemny parking, Matty wjechał i zatrzymał się na pierwszym miejscu oznaczonym 'zarezerwowane'.

Genna ostrożnie wysiadła, patrząc na niego dziwnie, gdy zamknął samochód. Ponownie przesunęła dłonią po gładkim czerwonym lakierze.

- Nie mogę uwierzyć, że jeździsz pieprzonym Lotusem Evora.

- Jestem zaskoczony, że o nim słyszałaś.

- Jestem zaskoczona, że *posiadasz* jednego z nich - powiedziała. - Jest tylko kilkaset w Ameryce, jeśli nawet tyle. Są rzadkie.

- Nigdy nie widziałem innego osobiście.

Genna spojrzała na niego.

- Nigdy nie myślałam, że go zobaczę. To było... wow. - Jeszcze raz przejechała ręką po lśniącym lakierze. Samochody były jej pierwszą miłością, zapewne jej jedyną prawdziwą miłością. Faceci wypinali się na nią na lewo i prawo, ale nigdy wcześniej nie miała samochodu, który by ją rozczarował. - To było zdecydowanie lepsze niż seks.

Matty roześmiał się, podchodząc do niej, a jego spojrzenie stało się intensywniejsze, gdy się pochylił. – Coś mi mówi, że uprawiałaś seks z niewłaściwymi mężczyznami.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Matty skinął na nią, aby za nim podążyła, po czym się odwrócił i wyszedł z podziemnego parkingu. Szła z nim równym krokiem, rozglądając się naokoło, gdy zbliżyli się do budynku. Brudna cegła się rozpadała, a znak z przodu był ledwo czytelny. „*The Place*”<sup>8</sup>.

Prychnęła. – „*The Place*”?

– Genialne, co? – Zapytał, zatrzymując się przed grubymi czerwonymi drzwiami.

– Albo to, albo jest to najgłupsza nazwa jaką kiedykolwiek słyszałam. To nazwa nawet ci nie mówi, co to dokładnie jest. Jakby ktoś ci powiedział *'spotkaj się ze mną w Miejscu*. Nie wiesz, czy wybierasz się do restauracji, czy jakiegoś rodzaju podziemnego ringu walk kogutów.

Śmiejąc się, złapał za klamkę, i otworzył dla niej drzwi, wskazując aby weszła pierwsza. Bar sportowy - jak się okazało chwilę później, był niespodziewanie jasny i przestronny. Stoły i kabiny były rozsiane wokół całej przestrzeni, podczas gdy długi bar obejmował jedną stronę, wzdłuż którego stały drewniane barowe krzeselka. Oświetlenie było naturalne o łagodnym białym tonie, podczas gdy wszystko inne było w odcieniach jasnego brązu. Kilku facetów siedziało przy barze, pijąc z kufli piwo i

---

<sup>8</sup> The Place - Miejsce

uważnie oglądając ESPN. Zaledwie parę stolików było zajętych o tej godzinie.

Matty wkroczył za nią, zwracając tym uwagę barmana. Mężczyzna, w średnim wieku z wyrzeźbioną kocią bródką, uśmiechnął się. - Matty-B! Co słychać?

- Niewiele - powiedział Matty, luźno kładąc rękę na ramieniu Genny, aby pociągnąć ją do baru z nim. - Po prostu wpadłem na drinka.

- Co mogę ci podać? - Zapytał barman.

Matty zerknął na nią pytająco, ale tylko wzruszyła ramionami. - Zatem to co zwykle. - zamówił. - Poproszę dwa.

Spojrzenie barmana przesunęło się z Mattego do Genny. - Ona wygląda na trochę zbyt młodą, żeby pić.

- A ty jesteś trochę zbyt stary, żeby ją sprawdzić - Matty odpowiedział swobodnie. - Więc przynieś nasze drinki, zanim będę musiał zrobić coś szalonego, żeby bronić jej honoru.

Zamiast być urażonym, barman się roześmiał. - Cokolwiek powiesz. Dwa Roman Coke's zaraz przybędą.

- Dobrze, będziemy przy moim stoliku - powiedział Matty, ciągnąc ją z dala od baru. - Poprosimy też o trochę wody.

Zaprowadził ją do kabiny, znajdującej się daleko w tylnym rogu oddzielnego pomieszczenia, do którego wślizgnęła się przed nim. Nie minęła chwila, kiedy kelnerka przyniosła ich drinki. Genna spragniona



wypiła wodę, podczas gdy Matty uniósł swój alkohol i lekko nim zawirował.

- Roman Coke - Genna dumiała. - Co to takiego?

- To rum i cola. Po prostu nazywamy to tutaj Roman Coke.

- Ponieważ jesteś Włochem?

- I dlatego, że kiedy jesteś wystarczająco pijany, to i tak mówione razem, po prostu brzmi niewyraźnie.

- Ach. - Genna uniosła swój drink, wskazując nim na niego. - Więc, za co pijemy?

- Za dziś.

- Dziś?

Kiwnął głową. - Teraz, ta chwila. Napijmy się za to.

Uśmiechając się, i stuknęła kieliszkiem o jego. - Zatem, za dziś.

Wypili w tym samym czasie. Alkohol uderzył w kubki smakowe Genny i skrzywiła się, kiedy brutalne palenie przepłynęło w dół jej gardła i osiadło w głębi klatki piersiowej. - Fuj, czy w tej cholernej rzeczy jest w ogóle jakakolwiek cola?

Zaśmiał się, stawiając swój pusty kieliszek. - Tylko kapka.

- Nie powiedziałabym.

- To dlatego, że wolę to w ten sposób - odpowiedział. - Silny i szorstki, wystarczająco, aby odszedł utrzymujący się ból. Lubię, gdy boli tylko trochę.

*O dobry Boże.* Te słowa wysłały dreszcz w dół kręgosłupa Genny, którego nie mogła ukryć, gdy Matty machnął na kelnerkę. Ze wzrokiem przyklejony do Genny, zamówił kolejną kolejkę.

- Kolejny? - zapytała, podnosząc wodę, aby wziąć kolejny łyk po to, aby uspokoić palenie w piersi. - Powiedziałeś *jeden* drink.

Chytry uśmiech wygiął jego usta. - Lubię utrzymywać je dochodzące.

- Naprawdę?

- Oczywiście. - Wstał, pochylając się nad stołem, a jego usta poruszyły się blisko jej ucha. - Może pozwolisz, bym pokazać ci to później.

Kaszlnęła nad swoją wodą. Jej twarz oblała się rumieńcem, kiedy uderzył ją podwójny sens jego słów. Obracając się na siedzeniu, obserwowała, jak przeszedł przez bar, prosto w kierunku grupy facetów, którzy właśnie weszli. Wszyscy ciepło go powitali, po czym zaczął mówić do nich cicho, a jego usta poruszały się jak szalone, kiedy kręcił głową. Sięgając do kieszeni, wyciągnął Blackberry i wpisał coś do niego.

Genna odwróciła się od nich, nerwowo spuszczając głowę, gdy kelnerka wróciła z ich drugim drinkiem, tak samo mocnym jak ten pierwszy. W szklance ledwie było widać karmelowy kolor. Matty wrócił

po chwili, wsuwając się z powrotem naprzeciwko niej i bez słowa łapiąc swój kieliszek.

- Twoi przyjaciele? -Zapytała z zaciekawieniem, patrząc jak faceci kierują się do wyjścia, nie zostając nawet na tyle, aby się czegoś napić.

- Coś w tym stylu - odpowiedział, odprężając się na swoim miejscu. - W każdym razie przyjaciele rodziny.

Po tym jak skończyła swojego drugiego drinka, palenie w piersi Genny wywołało mrowienie. Mrowienie rozprzestrzeniało się wzdłuż jej ciała, kierując się w dół jej kończyn, kiedy alkohol stale napływał do ich stolika. Po chwili prawie już nadażała, gdy Matty żartował, zabawiając ją przypadkowymi historiami ludzi, którzy napływali do baru.

Był mężczyzna, posiadający mięsny sklep, z którego jako małe dzieci Matty i jego młodszy brat, ukradli steki. Po tym, jak to zrobili, ich matka zmusiła ich, żeby za nie zapłacili... a później przyglądali się, jak ich ojciec zjadł każdy pojedynczy stek tuż przed ich oczami, co miało być ich karą.

Był właściciel sklepu spożywczego, który zwykł dawać dzieciom dwudziestopięciocentówki, gdy do niego przychodzili, aby mogli wyjąć coś z małych maszyn z nagrodami stojących przy drzwiach.

Był facet, który jeździł przez dekady ciężarówką z lodami i zwykł wsuwać im darmowe lody na patyku, gdy przejeżdżał przez ich dzielnicę.

Mówił czule o wszystkich, jak gdyby byli tak blisko, jak rodzina, ale nie umknęło uwadze Genny, że ledwie ktokolwiek go zauważał. Patrzyli wokół niego, ale nigdy na niego. Wydawał się wtapiać się w tło, jakby omijali go wzrokiem, co zbiło ją nieco z tropu, ponieważ nie mogła utrzymać oczu z dala od faceta. Im więcej piła, tym bardziej spalała się od podszewki, i ogarniały ją płomienie.

- Grasz? - Zapytał w końcu, wskazując w stronę kilku stołów bilardowych w pomieszczeniu znajdującym się obok.

*Bilard.*

- Uch, nie.

Przechylił swojego drinka, wypijając końcówkę jednym haustem. - Chodź, pokażę ci.

Dopiła niepewnie drinka, zanim do niego dołączyła. Skierowali się prosto do jedyne go wolnego stołu. Stała, obserwując w milczeniu jak układał bile do gry. Po tym jak wszystko było gotowe, sięgnął po kij i jej go podał. Tak szybko, jak go wzięła, jego ręce chwyciły za jej biodra, przyciągając ją bliżej do siebie. Owinęła ją woń jego wody kolońskiej. Odwrócił ją plecami do jego klatki piersiowej, otulając ją ramionami i chwycił za kij.

Nic nie mogła na to poradzić.

Zadrzała.

*Jasna cholera.* Był odurzający.

- W ten sposób - szepnął, a jego oddech musnął jej policzek, gdy ustawił jej ciało, kładąc swoje ręce na jej. Wycelował i uderzył w białą bilę, wysyłając ją w kierunku innych. Pozostałe się rozproszyły, odbijając się o boki. Czerwona bila wpadła prosto do kieszeni narożnikowej.

Był całkiem dobry.

- Więc teraz celujesz tylko w pełne bile - powiedział, ale jej nie puścił. Pociągnął ją za sobą, ustawiając się ponownie i celując w białą. Uderzył, mając na celu pełną niebieską bilę, ale spudłował ledwie mijając cel.

Matty pokazał jej to wiele razy, ciągnąc ją wokół stołu za nim, przytulony do jej ciała. Skończył pokaz, gdy zatopił w ten sposób ponad połowę jej bil.

- Myślisz, że załapałaś? - Zapytał. Jej głowa krzyczała *nie*, wiedząc, że jeśli powie, *tak*, on rozluźni swój uścisk. A te wytatuowane ramiona? Chryste, nigdy nie chciała, żeby ją puściły. Jej ciche niezdecydowanie sprawiło, że zachichotał.

- Tak, zrozumiałaś to.

Zrozumiała.

*Niestety.*

W chwili, kiedy się odsunął, jej ciało oplakiwało utratę jego ciepła. Chwycił za drugi kij, i podjął swoją pierwszą próbę, zatapiając natychmiast dwie bile i ledwie chybiając trzecią.

Jak tylko przyszła kolej Genny, wycelowała w swoją pełną, ale ledwie ją musnęła. Jej serce nie interesowało się rozegraniami partii, tak naprawdę nie uważała tego za tak interesujące, jak patrzenie na niego.

To tym była zainteresowana.

Nie ułatwiał jej tego. Nie pozwolił jej wygrać. Pomimo jej ogromnej przewagi na starcie, rozniósł ją szybko, a czarna ósemka gładko zniknęła w bocznej kieszeni.

Zanim mógł wypowiedzieć słowo, Genna zrzuciła swoje buty na obcasach i wycelowała kijem w niego. – Ustaw je na nowo.

Gra szybko zleciała, podobnie jak więcej drinków, a z upływającym czasem, flirtowanie i śmiech wzrósł. Matty grał coraz gorzej, partie trwały dłużej, a Genna ledwie nawet zwracała uwagę, gdzie były ustawione jej bile.

– Coś ci powiem – odezwał się, kiedy przygotował ich piątą partię, z stojącym przed nim pełnym kieliszkiem czystego rumu. W pewnym momencie, porzucił pozory picia drinka z jakakolwiek ilością dodanej coli. – Jeśli uda ci się tym razem mnie pokonać, dam ci cokolwiek będziesz chciała.

– Cokolwiek?

– *Cokolwiek.*

– Sto dolców?

– Pewnie.

- Twój zegarek?

Zerknął na swój nadgarstek, srebrny Rolex, prawdopodobnie białe złoto. Genna zauważyła to wcześniej. Biorąc pod uwagę, że prowadził, co prowadził, miała pewnego rodzaju podejrzenie, że może rzeczywiście być prawdziwy. - Oczywiście.

- Twój samochód?

- Genna, jeśli mnie pokonasz, dam ci sto dolców, mój zegarek, i Lotusa.

Matty popełnił błąd... duży błąd. Zapytał ją czy grała, a nie grała. Nieczęsto, w każdym razie. To nie była jej rzecz. Ale to nie oznaczało, że nie potrafiła grać. Bądź co bądź miała brata, który regularnie krzątał się po mieście za dodatkowymi pieniędzmi.

Brata, który nauczył ją wszystkiego, co umiał.

- A jeśli wygrasz? - Zapytała. - Wtedy co?

Uśmiechnął się. - Wtedy dostanę cokolwiek będę chciał.

- Czyli...?

- Będziesz musiała poczekać i zobaczyć.

- Okej - powiedziała. - Zgoda.

Oparł swój kij o ścianę i chwycił drinka. - Możesz zaczynać.

Uśmiechając się, ustawiła się prosto do białej bili, mocno w nią uderzając. Połówka pomarańczowa poleciała prosto do bocznej kieszeni.

- Szczęśliwy traf.

Spojrzała na niego. - To umiejętność, nie szczęście.

- Naprawdę?

- Tak.

- W takim razie kontynuuj - powiedział, z nutką humoru w głosie.

- Pokaż mi więcej swoich umiejętności.

Nie musiał powtarzać jej dwa razy.

Genna wbiła kolejne trzy bile - jedną po drugiej. Gdy uderzała w czwartą, złapała tym jego spojrzenie. Biała uderzyła pod niewielkim kątem w narożną kieszeń stołu, i się od niej odbiła.

Matty gapił się na nią. Ponad połowa jej bil zniknęła. Gdyby nie była wstawiona, gra mogłaby być już skończona.

- Twoja kolej - powiedziała i się cofnęła.

Postawił drinka i chwycił za kij. Wbił cztery swoje bile, zanim ledwo chybił następną. Genna znokautowała kolejne dwie, co on wyrównał w swojej następnej kolejce, pozostawiając ich oboje z jedną bilą.



Genna natychmiast zatopiła swoją ostatnią, rzucając przy tym spojrzenie Mattemu, po czym wycelowwała w ósemkę. Wydawał się pocić. *Spanikowany.*

- Oszukałaś mnie.

Wzruszyła ramionami, zanim wahając się nieznacznie zmieniła pozycję i uderzyła. Bila przeszła tuż obok czarnej ósemki, uderzając w jego ostatnią pełną, która odbiła się w bok, kierując z powrotem w stronę Genny i wpadając prosto do narożnej kieszeni.

To zakończyło jej kolej.

Genna przeszła na drugą stronę pokoju, w kierunku Mattego, i odłożyła na miejsce swój kij. Matty milcząco skinął w kierunku bocznej kieszeni, zanim uderzeniem posłał do niej ósemkę.

*Gra skończona.*

Odwrócił się do niej i odłożył swój kij przy ścianie. Jego wyraz twarzy był ponury.

- Po tym wszystkim drobny złodziej samochodów prawie skradł mój samochód.

- Zgadza się.

- Więc dlaczego tego nie chciałaś?

- Ponieważ jest coś, czego chcę bardziej niż to.

Przeszedł bliżej, czubki jego butów były na tym samym poziomie, co jej pomalowane palce u nóg, gdy patrzył na nią z góry. – A co to jest?

– Wiedzieć, czego ode mnie chcesz.

Bez słowa, chwycił rękoma jej głowę, przykrywając gorące policzki zarumienione od alkoholu, swoimi dużymi dłońmi. Gdy uniósł jej twarz, jego dotyk był stanowczy, ale delikatny. Tulił ją w dłoniach jakby była czymś cennym, czymś, czego nigdy nie ośmieliłby się porzucić. Patrzył na nią ponownie, patrząc przez nią, jakby mógł dostrzec wszystkie jej tajemnice, tylko za pomocą spojrzenia.

Czy mógł?

Oblizując wargi, pochylił się i powoli, ostrożnie ją pocałował. To było miękkie i słodkie, ale w odróżnieniu od każdego pocałunku jakiego Genna kiedykolwiek wcześniej doświadczyła, posiadało o wiele więcej mocy. Trzymał ją zablokowaną w miejscu, pod całkowitą kontrolą, a ona łatwo i rozmyślnie, uległa jego dotykowi, oraz poddała się jego rękom.

Odsunął się o wiele za szybko. Genna otworzyła oczy, w chwili kiedy on również to zrobił, spotykając tym jego intensywne spojrzenie. Po chwili, chwycił ją za rękę, ledwie dając jej dość czasu, aby złapała swoje rzeczy, i wyprowadził ją z pomieszczenia. Wyciągnął ją przez drzwi sportowego baru, kiedy zauważyła, że słońce chyliło się już ku zachodowi.

Kiedy, do cholery, minął cały dzień?

Zanim Genna mogła zacząć się nad tym rozwodzić, otworzył drzwi tuż obok „*The Place*” i wciągnął ją do środka, kierując się w stronę ciemnej klatki schodowej.

- Gdzie idziemy? - Zapytała marszcząc brwi, gdy ruszyli w górę obskurnych schodów. Fuj, czy kiedykolwiek były zamiecione?

- Do mnie.

- Do ciebie?

- Tak.

- Mieszkasz nad „*The Place*”?

Zaśmiał się. - Tak.

Zamrugła kilka razy. - Jeździsz Lotusem, a mimo to mieszkasz nad barem?

To nie miało sensu.

Wcale.

W chwili, gdy otworzył drzwi i wciągnął ją do mieszkania, jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia. To z pewnością wyglądało lepiej, niż oczekiwała. To miejsce było czyste, z luksusowymi meblami i szklanymi stołami. Czarny stół bilardowy rozciągał się wzdłuż tylnej ściany, a jasno-niebieski filcowy dywan, zdobił część podłogi w salonie.

Kiedy zamknął drzwi, Genna odwróciła się przodem do niego, ale nie miała możliwości by cokolwiek powiedzieć. Bez chwili wahania

podszedł do niej, gorączkowo pochłaniając wargami jej usta, i wciągał ją w głąb mieszkania. Ten pocałunek był mocny, szaleńczy i namiętny. To nie miało nic wspólnego ze słodyczą, którą pokazał jej na dole. Próbowwała nadążyć, ale Matty był siłą, z którą trzeba było się liczyć.

Otoczające ich opary alkoholu i pożądania, nagliły ich ruchy. Genna objęła i przyciągnęła go bliżej siebie, zdesperowana, aby poczuć go więcej. Jego ręce wędrowały po jej ciele, pieszcząc skórę, przesuając jej spódnicę w górę wokół jej talii. Jej oddech uwiązł, gdy jego ręka wśliznęła się pod jej majtki, a palce musnęły wrażliwą lechtaczkę. Jej kolana zadrżały, a wizja się rozmasała jedynie przez lekki dotyk jego dłoni. Ale nie miała szansy, żeby się tym delektować.

Zero do sześćdziesięciu w mgnieniu oka.

Jej ubranie pośpiesznie zostało zrzucone, tworząc szlak zbędnego materiału przez mieszkanie, gdy pociągnął ją do stołu bilardowego. Chwyając jej nagie uda, podniósł ją, umieszczając na krawędzi stołu. Uchwyciła się go, przyciągając go bliżej, gdy szarpał się ze swoim paskiem. Odpiął spodnie, gdy pracowała nad jego białą koszulą. Guziki strzelały na wszystkie strony, gdy próbując je rozpiąć odrywała je. Zerwał ją, rzucając na podłogę, pozostając tylko w białym podkoszulku.

Genna nie kłopotowała się by go zdjąć, nie chciała przerywać pocałunku. Jej ręce gładziły jego silne bicepsy i przesunęły się wzdłuż przedramion, czując jego pokrytą tuszem skórę. Otworzył prezerwatywę, którą wydobyl z portfela, rzucając złote opakowanie na podłogę, tak, aby mógł szybko naciągnąć ją na siebie. Genna szczupłymi

nogami objęła go w pasie, desperacko pragnąc tarcia, gdy on ujął siebie i pchnął wewnątrz niej.

Pierwsze pchnięcie, mocne i głębokie, wydobyło sapnięcie z jej ust.

*O cholera.*

Nigdy nie dostała szansy, aby złapać oddech.

Chwycił jej biodra i stanowczo ją za nie trzymając, zaczął się w nią rytmicznie wbijać, sprawiając tym, że krzyczała zduszonym głosem od doznań. Położyła się na stole, odczuwając pulsowanie pomiędzy swoimi udami. Gdy przeniósł jej nogi na swoje ramiona, zaczął się wsuwać jeszcze głębiej. Nigdy nie było żadnej przerwy, nigdy żadnego wahania jego brutalnych pchnięć.

Matty był pieprzoną *maszyną*.

Nie mogła zrobić nic, tylko przyjmować to, co jej dawał, akceptując go całego z zapalem. Paznokciami drapała jego skórę, gdy trzymała się go ze wszystkich sił. Doprowadzał ją na krawędź i gwałtownie odpychał się od niej, gdy w jej ustach rozbrzmiewało jego imię. Ledwie powstrzymywany krzyk pękł i uciekł z jej gardła. *Matty*.

Ten dźwięk wydawał się tylko go napędzać, zachęcając go, aby dał jej jeszcze więcej. Raz po raz zabierał ją na krawędź.

*Lubię utrzymywać je dochodzące.*

Chryste, nie żartował.

Jego ręka otoczyła jej gardło, ściskając delikatnie, aby przygwoździć ją w miejscu, lekki nacisk u podstawy jej szyi wysłał dreszcz przez ciało Genny. Nigdy nie miała kogoś, przejmującego nad nią całkowitą kontrolę, nigdy nie poddawała się tak chętnie dotykowi. To było niebezpieczne – tak, tak niebezpieczne, – ale nigdy nie czuła takiego przyływu adrenaliny.

*Pieprzyć samochody.*

To... to było *wszystkim*.

W końcu to zaczęło być zbyt wiele – zbyt dużo ciągle budującego się ciśnienia, zbyt dużo przyjemności, zbyt wiele wszystkiego. Przytłaczające łązy szczypały jej oczy, gdy poczuła kolejny orgazm, wybuchający w jej wnętrzu. Wydawał się to wyczuć. Czy to było coś w jej głosie, w sposobie, w jaki jęczała, wykrzykując jego imię w stłumionym oddechu? Albo czy mógł to poczuć, zupełnie jakby była przedłużeniem jego ciała? Nie była pewna. Tak czy inaczej, cofnął się, opuszczając jej drżące nogi, gdy ostrożnie zwolnił ruchy i puścił jej gardło.

Pochylając się, jego wargi ponownie odnalazły jej, całując ją delikatnie, gdy kontynuował nacieranie. Jego usta poruszały się powoli, badając jej skórę. Trącił nosem jej szyję, i przygryzł lekko zębami jej skórę. Wsunęła swoje dłonie pod jego podkoszulek, drapiąc paznokciami skórę jego pleców. Wykonał jeszcze kilka pchnięć zanim stęknął, i doszedł.

Wciąż będąc głęboko wewnątrz niej, odchylił się, aby spojrzeć w jej oczy. Ciężko dyszała, próbując złapać oddech. Miejsce pomiędzy jej udami, miejsce, w którym byli połączeni, szalenie bolało.

Nie żartował również na ten temat.

Jego kciuk musnął jej usta, lekko spuchnięte od jego mocnych pocałunków, gdy uśmiech złagodził wyraz jego twarzy. – Nie sądziłem, że możesz być piękniejsza - powiedział, – ale potem doszłaś i krzyczałaś moje imię.

Rumieniec promieniował w dół jej ciała, począwszy od policzków, pokrywając każdy centymetr odsłoniętej skóry. Kiedy w końcu się wycofał, Genna natychmiast odczuła stratę, i zacisnęła uda, aby zdusić pustkę. Złapał ją za rękę, i ściągnął ze stołu bilardowego, ale zamiast ją puścić, przyciągnął ją do siebie, owijając wokół niej swoje silne ramiona.

*Trzymał ją w ramionach.*

To uczucie ją wystraszyło. Głaskał ją czule po włosach, gdy przytuliła się do jego piersi, czując jego ciepło i wodę kolońską.

Nigdy wcześniej nie miała kogoś, trzymającego ją w ramionach.

Pozostała cicho, kiedy w końcu ją puścił. Chwyliła swoje ubrania i szybko je założyła, podczas gdy on lokalizował swoje. Zniknął w innym pokoju – jak założyła w jego sypialni, - i wrócił po chwili, wyglądając tak, jakby dokładnie się zorganizował. Wyglądał w ten sam sposób, gdy zobaczyła go po raz pierwszy.

Ona? Cóż... bała się napotkać swoje odbicie.

- Chcesz coś do picia? - zaproponował swobodnie i uprzejmie, jakby właśnie jej nie wypieprzył, pozostawiając ją tak zdenerwowaną i podekscytowaną, że czuła się, jakby była poza kontrolą. Obserwowała, jak przeszedł do małej otwartej kuchni, a jej wzrok osiadł na zegarze wiszącym na ścianie.

Kwadrans po dziewiątej.

Zamrugła szybko. *Cholera.*

Opuściła kolację.

- Tak naprawdę powinnam już iść - powiedziała, próbując przygładzić włosy. - Robi się późno.

Matty wziął z lodówki dwie butelki wody, zanim podszedł do niej, podając jej jedną.

- Nie próbujesz po prostu ode mnie uciec, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie - powiedziała szybko, chwytając wodę. - Tylko że, cóż, powinnam być już godziny temu w domu. Mój ojciec...

- Rozumiem - powiedział, przerywając jej. - Jest z tych 'wysyłający ekipę poszukiwawczą'.

Uśmiechnęła się, wdzięczna, że wydawał się rozumieć. Gdy otworzyła wodę i wzięła łyk, chłód ukoił jej zaciskające się gardło. Zakręciła korek z powrotem i złapała torebkę i buty, kierując się do



drzwi. Odprowadził ją na zewnątrz, idąc tuż za nią. Schodząc po ciemnej klatce schodowej, próbowała wziąć się w garść. *Głębokie oddechy*, pomyślała. *Nie wyjdź teraz na niezdare.* Ale nie mogła nic na to poradzić. Jej nogi były jak galaretka, jej serce wciąż pędziło, a jej palce drżały, gdy trzymała mocno swoje rzeczy.

Facet strącił jej świat z osi, i była całkiem cholernie pewna, że nie było na to żadnego rozwiązania.

Boso, wyszła na chodnik i ostrożnie się rozejrzała. Po raz pierwszy całej tej nocy, fakt, że była w Soho wydawał się naprawdę ją dręczyć. *Terytorium wroga.* Była na nim po zmroku. Dzielnica była obca, a wszystko, co napotkała to przyjazne twarze. Ale wiedziała, że często za przyjaznymi uśmiechami kryło się oszustwo. Po tych ulicach biegali psychopaci i być może nie rozpozna żadnego z nich, ale oni na pewno rozpoznałiby ją.

Jej ojciec przestrzegł ją przed tym przez lata. Była to jedna z wielu rzeczy, którą wbito jej w mózg, coś, co wydawało się właśnie w tym momencie dotrzeć do jej świadomości, gdy opadało już podekscytowanie z tego skandalicznego dnia. Z „*The Place*” wydobywała się muzyka i agresywne okrzyki. Bar był bardziej hałaśliwy, niż był zaledwie chwilę temu. Każdy z tych głosów mógł doprowadzić do jej upadku.

- Nie powinienem próbować prowadzić - powiedział Matty. - Ale mogę przekonać brata, żeby zabrał cię do domu. Powinien tutaj się kręcić.

- Jest okej - powiedziała, zwracając się do niego. - Mogę wziąć taksówkę.

- Jesteś pewna?

- Jestem pewna. Poza tym, chodzi mi o to, że trochę za wczesne, abyś spotkał moją rodzinę, prawda? Nie żebyśmy, no cóż, zamierzali dojechać do tego punktu kiedykolwiek, albo żebyś tego chciał, czy coś... - ponownie mówiła bez sensu. *Fuj.* - Mówię tylko, wiesz...

Czy wiedział? Ona ledwie wiedziała, co do cholery mówi. Miała mnóstwo chłopaków, z których żadnego nigdy nie przyprowadziła do domu, by spotkał jej ojca, ale w każdym razie zawsze wydawał się o nich dowiadywać i ich zastraszać.

Ale ten?

Genna nie była pewna, czy cokolwiek mogło go coś zastraszyć.

Matty podszedł do niej, jego ręce kolejny raz utuliły jej głowę, a poważny wyraz twarzy, uciszył jej bełkotanie i uspokoił obawy. Powoli, pochylił się w jej kierunku, wyciskając miękkie, niewinny pocałunek na jej ustach.

- To jest to, czego chcę - powiedział cicho. - Co dostałem za wygraną.

- Co?

- Ty.

- Miałaś mnie - szepnęła, jej policzki zaczerwieniły się na wspomnienie.

- Miałem - zgodził się. - Ale przeszłość nie jest tym, co się liczy. Żyję w teraźniejszości, Genna. Żyję *teraz*. Miałem cię, tak, ale to, czego chcę, to cię *mieć*.

Sposób, w jaki mówił, tak intensywny, tak pewny, pozostawił ją nerwową.

- Ledwie się znamy.

- Więc? Spędziliśmy rano razem godzinę, uwięzieni w pudle bez wyjścia. I wiesz, z czego zdałem sobie sprawę podczas tej godziny?

- Z czego?

- Raczej podobał mi się świat, gdzie byliśmy tylko ty i ja. - Pocałował ją ponownie, zanim ją puścił i podszedł do krawężnika, aby przywołać taksówkę. Żółty samochód zatrzymał się szybko z piskiem tuż przed nimi. Matty otworzył dla niej tylne drzwi, gdy wyciągnął rękę.

- Pokaż mi swój telefon.

Wyciągnęła go z torebki i podała mu go. Szybko wpisał coś do niego, i zwrócił, gdy usiadła na tylnie siedzenie taksówki.

- Umieściłem w nim mój numer - powiedział, pochylając się w drzwiach. - Jeśli zdecydujesz, że też mnie chcesz, daj mi znać.

Zamknął drzwi, zanim mogła znaleźć słowa, by odpowiedzieć. Taksówka odjechała od krawężnika, wtapiając się prosto w wieczorny ruch uliczny Soho.

- Dokąd, panienko?

- Westchester County - odpowiedziała, podając szybko adres znajdujący się na północy od miasta.

Wzdychając, otworzyła kontakty w swoim telefonie i znalazła go natychmiast.

**Matty B.**

Przyciskając telefon do piersi, zagryzła dolną wargę, powstrzymując uśmiech. Była niezdolna, żeby stłumić uczucia, wirujące wewnątrz niej, które wywołał w niej sam widok jego imienia. Czy to było możliwe, żeby zakochać się w kimś, w jeden dzień? Czy to możliwe, żeby mieć skradzione serce po zaledwie kilku godzinach znajomości? Na pewno nigdy tak nie myślała. Ale poczuła to już wtedy, powstające w jej brzuchu i zaciskające się na jej piersi, co wskazywało już na coś znacznie większego. To było niezaprzeczalne, nieodparte. Była całkowicie, szalenie powalona na kolana przez Matteo-B.

Jęknęła. *Miłość od pierwszego wejrzenia. Jaki pieprzony banal.*

Genna dotarła do domu tuż po dziesiątej, otwierając drzwi i ostrożnie rozglądając się wokół. Dom był cichy i ciemny, oprócz niewyraźnego światła wylewającego się z jadalni. Podkraśla się w tym kierunku, zatrzymując się w drzwiach, gdy zmarszczyła brwi.

Stół już dawno temu został sprzątnięty po kolacji, pracownicy wyszli na noc, całe jedzenie schowane, a mimo to, jej ojciec wciąż siedział na swoim krześle, ze stojącym przed nim kieliszkiem wina.

- Genevieve - powiedział cichym głosem. Wiedział, że tam jest, nawet bez patrzenia. Jego spojrzenie powoli przesunęło się z pustego stołu na nią. - Przegapiłaś kolację.

Wzdychając, weszła do jadalni i podeszła do niego. - Przepraszam, miałam gówniany dzień.

Zlustrował ją wzrokiem. - Właśnie tak wyglądasz.

Spojrzała w dół -brudne bose stopy, pomięte ubranie, skóra pokryta potem - i parsknęła śmiechem. - Tak, jestem trochę w nieładzie.

- Mimo to się śmiejesz - zauważył.

- To był jeden z tych dni, gdzie tak naprawdę wszystko, co możesz zrobić to... *się śmiać*.

Wyraz jego twarzy się zmienił, a oczy podejrzliwie się zwężyły, gdy kontynuował lustrowanie jej wzrokiem. - Kim on jest?

- Kto?

- Chłopak, z którym byłaś - powiedział. - Kim on jest?

Genna wpatrywała się w niego. - Jak ty... ?

- Znam ten wygląd, Genna. Jest tylko jena rzecz, która sprawia, że dziewczyna wygląda *w ten sposób*.

- On jest, uch... - To wytrąciło ją z równowagi, gdy jej ojciec odczytał ją tylko z jej wyglądu. - On jest tylko facetem, którego poznałam dziś rano.

- Czy on ma imię?

- Matty.

- Matty - powtórzył. - Jak...amerykańsko.

Znowu się roześmiała. - Faktycznie, jeśli chcesz wiedzieć, jest włosko-amerykański.

Primo wyglądał na mile zaskoczonego. - Jak się poznaliście?

- Dzieliliśmy windę - odpowiedziała, podchodząc do niego, żeby lekko pocałować go w policzek. - Teraz, jeśli skończyłeś przesłuchanie, chciałabym wziąć prysznic i się przespać. Jestem zmęczona.

Machnął ręką, oddalając ją bez słowa.

- Och, a tak przy okazji - powiedziała, gdy odchodziła. - Musisz jutro wysłać kogoś, żeby odebrał mój samochód.

- Gdzie on jest?

- Przy gmachu sądu. Sędzia zawiesił moje prawo jazdy.

- I nie przyjechałaś samochodem do domu?

-Nie. - Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Nie słyszał? - Nie mogłam.

Przyglądał się jej dziwnie. – Ciekawe.

– Co?

– Cóż, nigdy wcześniej tak naprawdę nie pozwoliłaś, żeby coś cię powstrzymało. Prowadziłaś samochody przez lata, nawet zanim jeszcze dostałaś prawo jazdy. Ten twój nowy chłopak musi być wyjątkowy.

– Tak - przyznała, zanim dodała szeptem, – Taki właśnie jest.

Obróciła się stroną wyjścia, gdy znowu się odezwał. Jego głos był tak cichy, że ledwie mogła go usłyszeć.

– Wyglądasz jak ona. Gdy się uśmiechasz, wyglądasz zupełnie jak ona.

Genna spojrzała na ojca, obserwując, jak podniósł swój kieliszek, a jego oczy skupiły się na krwisto czerwonym winie. Nie patrzył na nią. Jego słowa przeznaczone były bardziej dla niego, niż kogokolwiek innego, ale i tak posłała ojcu mały uśmiech.

– Dobranoc, tatusiu.



Matty stał przy krawężniku i obserwował, jak tylne światła taksówki znikają w ciemności, po czym odwrócił się, i udał się do „*The Place*”. Tak szybko jak otworzył drzwi i wszedł do ruchliwego baru,

kilkadzieciąt par oczu skierowało się na niego, zupełnie jak luneta w karabinie szturmowym, z przejęciem czekając na jego uznanie. Nie ośmielili się podejść do niego wcześniej, gdy miał towarzystwo.

Wiedzieli lepiej.

Wzdychając, przeszedł do baru, wciskając się z boku i stukając ręką o twarde, błyszczące drewno. Barman spojrzał na niego z nieznacznym kiwnięciem głową, i natychmiast zaczął przygotowywać mu drinka.

- Twoja przyjaciółka wyszła?

- Tak, musiała wracać do domu.

- Ach - powiedział. - To *bliska* przyjaciółka?

Matty uniósł brew. - A czy to jest twój interes?

- Nie, oczywiście, że nie - powiedział, przesuwał się w jego stronę Roman Coke, zanim zmienił temat. - Więc, pracujesz dziś wieczorem?

- Tak, będę przy moim stoliku - odpowiedział, cofając się o krok. - Pojedynczo, albo wyłączę ich wszystkich z gry.

Barman zsalutował. - Ty jesteś szefem.

*Nie, Matty pomyślał. Mój ojciec nim jest.*

Matty przeszedł na tylną część baru, znajdując swojego młodszego brata, Enzo, już siedzącego przy ich stałej kabinie. Jego ramię owinięte było wokół młodej blondynki, ubranej w ciasną czerwoną sukienkę i zabójczo wysokie buty na obcasach. Włosy miała natapirowane i



usztywnione na stałe, jakby użyła całej puszkii lakieru do włosów, by utrzymać je w miejscu. Matty zatrzymał się przed nimi, patrząc na miejsce, na którym ledwie kilka godzin wcześniej siedziała Genna, a które obecnie było zajęte przez inną dziewczynę. Przyjaciółka przyjaciółki Enza, jak przypuszczał. Rzucił jej spojrzenie, zaskoczony przez ilość makijażu pokrywającego niczym skorupa jej młodą twarz – jaskrawoczerwone wargi, niebieski cień do powiek, różowy rumieniec.

Jego brat wydawał się doceniać kobiety z różnych środowisk, ale miał szczególny typ, do którego zawsze wracał, - ten, o którym Matty mawiał, jak o dziewczynach z teledysków z lat osiemdziesiątych. Jeśli wyglądały tak, jakby były rozpostarte na szczycie Thunderbird do piosenki White Snake, Enzo był uzależniony.

- Matty! - Powiedział, wyciągając do niego pięść, aby ją podbił. - To jest...

- Muszą wyjść - Matty powiedział, wskazując w stronę dziewczyn. Nie interesowały go zbytnio, ich imiona. Dziś wieczorem, była tylko jedna dziewczyna w jego umyśle, a gdyby AquaNet i Crayola się ociągały, miał nurtujące podejrzenie, że to zrujnowałoby jego szczęście. - Mam trochę spraw, którymi musimy się zająć.

Enzo westchnął, zanim machnął ręką, odsyłając dziewczyny z obietnicą ponownego przyłączenia się do nich później. Jak tylko odeszły, Matty wsunął się do kabiny i wyciągnął z kieszeni Blackberry, kładąc go na stole.

- Więc, na którym rogu je poderwałś? - Zapytał nonszalancko.

- Czuję się przez to urażony, bro.

Patrząc na niego, Matty uniósł brew.

- Znalazłem je, gdy szły wzdłuż 10th Avenue - Powiedział uśmiechając się Enzo, na co Matty przewrócił oczami. - Co? Nie wyglądają wystarczająco dobrze dla ciebie?

- Wyglądała, jakby została napadnięta przez gang kredek, En.

Śmiejąc się, Enzo wyjął kostkę lodu ze szklanki i rzucił nią w niego. Matty schylił się na czas, żeby poleciała nad jego ramieniem, ślizgając się po stole za nim. - Po prostu pomyślałem, że mój brat może chcieć małą cipkę, żeby trochę go rozluźniła.

- Radzę sobie dobrze bez niczyjej pomocy - Matty powiedział, włączając Blackberry. Wyciągnął mały notes, otwierając go na ostatniej zaznaczonej stronie. Prawie nie mógł odczytać swoich własnych pogmatwanych gryzmołów. - Nie potrzebuję ciebie, żebyś zatrudnił prostytutkę.

Enzo roześmiał się głośno, ale jego rozbawienie zmniejszyło się stopniowo, kiedy usiadł prosto, wpatrując się przez stół w brata, z rozszerzonymi oczami. Sięgając ponad stołem, chwycił kołnierzyk koszuli Matty, szarpiąc go na bok. - Jasna cholera, nie żartowałeś!

Matty skrzywił się, wiedząc dokładnie, co zobaczył jego brat. Jego kark palił, a uczucie pieczenia biegło wzdłuż jego kręgosłupa, gdzie Genna brutalnie wbiła paznokcie w jego ciało. Trzepnął brata w ramię, odsuwając się, gdy próbował skupić się na pracy.

- Nie trzymaj tajemnic przede mną - powiedział Enzo. - Chcę szczegółów.

- Nie rozmawiam z tobą o swoim życiu seksualnym.

- No dalej - naciskał. - Przynajmniej mi powiedz, kto to był.

- To nikt, kogo znasz. Właśnie ją poznałem.

- Właśnie ją poznałeś, a ona już zaprezentowała się w ten sposób? - Enzo roześmiał się, trącając go. - Jesteś pewny, że ona też nie jest prostytutką?

Matty spojrzał na brata, wyraz jego twarzy uciszył Enza, zanim mógł nawet powiedzieć: - Zamknij ryj.

Enzo uniósł ręce w defensywie. - Chyba naprawdę ją lubisz.

- Bardziej, niż lubię ciebie. W rzeczywistości, teraz, naprawdę zaczynam cię nie lubić.

Jego śmiech wrócił. - Kochasz mnie, bro.

- To nie znaczy, że muszę cię lubić.

Przewracając oczami, Enzo przełknął końcówkę drinka, zanim skinął w stronę notesu. - Więc, jak Jankesi wyglądają w tym tygodniu?

Matty zaczął wbijać liczby na kalkulatorze w Blackberry, próbując zrozumieć wyliczenia tygodnia. Powierzono mu za zadanie nadążanie za obstawianiem zawodów, aby zapisywał notowania u bukmacherów

wychodzące z Vegas i koordynował z resztą lokalnych bukmacherów, ale również bezpośrednio prowadził księgi w „*The Place*”.

Bycie bukmacherem było dalekie od prestiżu, i na pewno nie było tym, co miał na myśli, gdy zapisywał się do Princeton te wszystkie lata temu, ale praca była pracą. – Są faworyzowani do wygranej każdego dnia.

– Z kim grają?

– Na początku *Home* przeciwko *Indians* - powiedział. – A potem na wyjeździe w weekend przeciwko *Mariners*.

– Zapisz mnie na wielki piątkowy mecz – Powiedział Enzo, gdy wstał.

– Jest dwudziestocentowa różnica w tym tygodniu - Matty powiedział, lekceważąc urażone spojrzenie brata. To była zwykle tylko dziesięciocentówka. – Albo zapłać albo postaw swoje pieniądze na *Mariners*.

– To nie fair.

– Nie ustawiałem tego - Matty powiedział. – Gavin to zrobił.

Za każdego dolara, którego chcieli postawić, musieli szarpnąć się na kolejne dwadzieścia centów dodatkowo. Dla zakładu na tysiąc dolarów, Enzo będzie musiał zapłacić dodatkowe dwieście. To musiało być jakoś zbilansowane, więc nie byli tymi, którzy tracili pieniądze, a

nowojorczycy nie lubili stawiać przeciwko drużynie gospodarzy bez jakiegoś bodźca.

A dla uprawiających hazard nałogowo, wykombinowanie kilku dziesięciocentówek, aby zagrać w grę, czasami wystarczyła dodatkowa dziesięciocentówka, aby pchnąć ich na drugą stronę ogrodzenia.

Zakłady sportowe – to był nużący biznes, ale branie wszystkich zajęć statystyki z pewnością się opłaciło. Zajęło mu trochę czasu, aby przyzwycząić się do systemu, ucząc się z pierwszej ręki od najlepszego bukmachera w mieście: Gavina Amaro.

Przy ich stole zatrzymywał się niekończący się strumień obstawiających; niektórym ufali, aby postawili duże kwoty na same ich słowo, podczas gdy inni byli zmuszeni, żeby zapłacić z góry. Matty dołączył liczby, upewniając się, że zakłady nie stały się zbyt nierówne, tak, że on wyjdzie górą bez względu na to, kto wygra mecz, podczas gdy notował nazwiska w notatniku. Po chwili, zaczęło dzwonić jego Blackberry. Byli to zaufani faceci z bezpośrednim numerem telefonu do niego, więc nie będą musieli przychodzić osobiście do „*The Place*”.

Dwie godziny w nocy, kilka dni w tygodniu, w zależności od tego, jak się czuł. W niektóre tygodnie pokazał się tylko dwa razy, w inne tygodnie pogrążał się tam każdej nocy. Byli na jego łasce, ku ich wielkiemu rozczarowaniu. Nie robił tego dla pieniędzy.

Robił po prostu wystarczająco dużo, aby utrzymać pokój z rodziną.

Dokładnie o północy, Matty wyłączył telefon i go odsunął, wrywając notatki z notatnika i przesuwając je do brata, tak aby Enzo wiedział, kogo dopaść, jeśli nie zapłacą z własnej woli. Nie obchodziło go, kto wciąż tam był, kto nie dostał szansy, żeby zrobić zakład.

Był po godzinach.

- Więc, ta twoja dziewczyna - Enzo powiedział, sącząc powoli piwo, siedząc naprzeciwko Mattego. Wpatrywał się w niego przez cały czas, ledwie zdolny pohamować się przed wypytywaniem go.

*Wścibski drań.*

- Co z nią? - Matty zapytał, dając znać kelnerce, aby przyniosła mu kolejnego drinka.

- Jak ją poznałeś?

- Utknęła dziś rano ze mną w windzie.

- Serio? - Enzo wyraźnie wydawał się być pod wrażeniem. - Więc we dwoje skorzystaliście z prywatności?

- Ledwie - Matty powiedział, dając napiwek kelnerce, gdy dostarczyła jego drinka. - Potem przywiozłem ją tutaj na drinka.

- A następnie wykorzystałeś sytuację?

- Bardziej, jakby ona wykorzystała mnie - mruknął, popijając z kieliszka. - Oszukała mój tyłek w grze w bilard. Niemal przegrałem z nią swój samochód.

Oczy Enza się rozszerzyły.

- Ty? Ale zakłady są twoją rzeczą, stary. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek widział, jak przegrałeś zakład.

- Nie przegrałem, ale tylko dlatego, że pozwoliła mi wygrywać. I dzięki Bogu. Nie wiem, co do cholery bym zrobił w innej sytuacji. Postawiłem dziś samochód, zegarek i pieniądze.

- Dlaczego, do diabła, to zrobiłeś?

- To jest to, czego chciała.

- Co wystawiła?

- Wszystko, czego chciałem.

Enzo gapił się niego, mrugając szybko. - I to było, co... cipka? Bo wiesz, bro, to poniekąd sprawia, że jest jak...

- Zamknij kurwa ryj - Matty ostrzegł go ponownie. Tak bardzo jak kochał brata, nie był ponad wjebaniem mu, jeśli nazwie ją tak jeszcze raz.

- To więcej niż to. Po sposobie, w jaki mnie ograła? Chciałem jej bardziej, niż cokolwiek innego.

- Musi być niezwykłą dziewczyną.

Westchnął, biorąc łyk swojego drinka. - Jest.

# ROZDZIAŁ 3

Małe Włochy, dzielnica w dolnym Manhattanie, była swoim rodzajem miejscem wielokulturowym. W odróżnieniu od reszty miasta, Małe Włochy nie zostały jasno określone przez linie graniczne, rozdzielające różne rodziny. Tutaj jeździli tymi samymi ulicami, odwiedzali te same firmy, i obracali się w swoim towarzystwie ze swego rodzaju powściągliwą uprzejmością.

*Strefa zero*, jak jej brat to nazywał. *Punkt*, w którym są zapoczątkowywane wszystkie wybuchy. Tak dużo wiszącej w powietrzu wrogości, tak dużo nieufności, tylko zwiększane napięcie podnoszące się dzień w dzień przez ciągle sprzeczki o ziemię, którą każdy z nich uważał, jako część ich terytorium. To obejmowało jedynie cztery przecznice, ale były to ostatnie przecznice do opanowania miasta, ostatni kawałek tortu do zgarnięcia.

Primo nienawidził, kiedy Genna kierowała się na Manhattan. Zawsze zabraniał jej ryzykować w Małych Włochach, ale nie mogła oprzeć się ich urokowi - kochała głęboko zakorzenioną kulturę, sklepy i restauracje lokalnych właścicieli, oraz zżytą atmosferę małej dzielnicy. Więc kiedykolwiek tam szła - w każdym bądź razie ilekroć o tym *wiedzieli*, - Dante zawsze był zmuszony, żeby wlec się razem z nią.

- Więc pozwól, że zapytam wprost. - Powiedział Dante, odchylając się na skrzypiącym drewnianym krześle i bujając się na tylnych nogach,



kiedy wpatrywał się dziwnie w Gennę. Byli w Casato, małej kawiarni należącej do Amarosów, innej z pięciu nowojorskich rodzin. Miejsce było jasno oświetlone przez ogromne okna, z komfortową bryzą wpadającą przez uchylone drzwi. – Utknęłaś wczoraj w windzie i nie zrobiłaś z tego powodu awantury?

– Nie - powiedziała, lekko dmuchając na kawę w swojej filiżance. – Nie było sensu.

– Więc kim jest ten facet?

– Słucham?

– Proszę cię, ty nie wściekająca o coś takiego, jak to? *Musiał* być w to jakoś zaangażowany facet.

Przewracając oczami, Genna wzięła łyk gorącego napoju. *Czy jestem tak cholernie przewidywalna?* – Wiesz, brzmisz dokładnie jak tata.

– Więc mam rację.

– Nie - powiedziała defensywnie, a jej oczy zwęziły się na jego zadowolony z siebie wyraz twarzy. Wpatrywał się w nią z niedowierzaniem. Po chwili, westchnęła. – Cóż ... w porządku. Był facet.

– Ha! - Jego krzesło opadło z powrotem na wszystkie cztery nogi, a rozdzierający uszy pisk, przyciągnął uwagę ludzi wokół nich. – Wiedziałem.

– Tym razem to co innego - powiedziała obronnie, odstawiając kawę. – Ten, jest inny..

- Jak to?

- Ja, uch... nie wiem. - Jak mogła wyjaśnić coś, co jeszcze ledwie sama rozumiała? Dante zawsze czepiał się o facetów których wybierała, ale to było nic podobnego do jej wcześniejszych podbojów. - Od chwili, gdy go zobaczyłam, wydawało się, że nie mogłam odwrócić od niego wzroku.

- Więc co, jest atrakcyjny? Wielkie mi kurwa coś.

- Nie. No cóż, to znaczy jest, ale to nie tylko to. Jest coś w nim. To jest nie do wytłumaczenia. Spojrzał na mnie i czułam się, jakby mnie *pożerał*... jakby moje wnętrze były zbyt duże w stosunku do mojego ciała. Zamierzałam spłonąć, jakby moje serce miało wybuchnąć.

Dante spojrział na nią, unosząc brwi.

- To... to najgłupsza bzdura, jaką kiedykolwiek słyszałem. - Rozległ się jego śmiech, arogancki i rozbawiony.

Rozdrażniona Genna, cisnęła w niego przez stół zwiniętą w kulkę serwetkę.

- Jestem poważna, Dante.

- To sprawia, że to jest jeszcze gorsze - odpowiedział. - Jesteś pewna, że to co czułaś, to nie były jakieś kwasy żołądkowe? Zgaga może być suką.

Spojrzała na niego pogardliwie, unosząc ponownie filiżankę.

- Po prostu nie rozumiesz.

- Nie - zgodził się. - Zakochuję się za każdym razem, gdy zatapiam się w nową cipkę, ale nigdy nie czułem *tego*... a gdybym to zrobił, poszedłbym do lekarza, NATYCHMIAST. To po prostu nie jest normalne.

Zignorowała go, i zamiast tego przeniosła uwagę na talerz przed sobą, i w milczeniu zaczęła dłużyć w resztkę swojego lunchu.

Poprzedniego dnia wciąż czuła się tak surrealistycznie, i absolutnie niesamowicie, a jej brat nie pomagał. Wcale. Czuła się niedorzecznie, porwana przez coś tak szokującego, tak całkowicie konsumującego. Ledwie знаła Matty'ego, mimo to czuła, jakby bardzo blisko go *znała*, jakby jakimś cudem znała go od zawsze. Może to nie było normalne, ale nie mogła temu zaprzeczyć.

Był w jej umyśle przez całą noc, tak długo, jak unikał jej sen. Wpatrywała się w swój telefon, pisząc do niego wiadomości które kasowała, zanim nacisnęła wyslij. Co mogła powiedzieć? Nic nie brzmiało właściwie.

Ukradł jej wszystkie słowa, pozostawiając ją oniemiałą. Jedno było pewne - nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć go ponownie. Dopijała swoje espresso, po czym wstała i pozbierała rzeczy. W następnej chwili Dante był już na nogach, rzucając na stół trochę gotówki jako napiwek, chociaż nic dla siebie nie zamówił.

Wolnym krokiem wyszli z kawiarni na chłodne popołudnie. Włoska flaga, powiewająca obok wejścia do masywnego sześciopiętrowego budynku, łopotała na lekkim wietrze jak czerwono-biało-zielona, dekoracja. Na schodach pożarowych znajdowało się kilku mężczyzn, którzy głośno coś do siebie krzyčili.

Kilku ciepło przywitało się z Dantem, krzyżąc jego imię. Jego spojrzenie pomknęło do nich, kiedy z uśmiechem na jego twarzy, uprzejmie im pomachał.

To było dziwne dla Genny. Jej brat wydawał się być kochany przez prawie wszystkich których napotkali. Nie żeby go nie kochała. Ciężko byłoby wskazać kogoś, kto byłby jej bliższy. Nie był tylko jej bratem - był również jej najlepszym przyjacielem. Był jej powiernikiem. Był jedyną osobą, na którą mogła liczyć, jej *stałą* na tym świecie. Ale to był Dante, pasywny i zabawny - ale mieszkańcy Nowego Jorku szanowali go, traktowali go, jakby był kimś dużo więcej. Bez względu na to, co wiedziała o jego uczestnictwie w biznesie ich ojca, niezależnie od faktu, że wiedziała, że nosił broń przez cały czas, wciąż w jej oczach był po prostu jej nieszkodliwym i nadopiekuńczym, starszym bratem.

- Dokąd teraz? - Zapytał niedbale wymachując kluczykami i skierował na nią spojrzenie, gdy szli na południe,

- Chcę wstąpić do sklepu muzycznego na Mulberry - odpowiedziała. - Potem możesz zabrać mnie do domu. Jestem pewna, że masz inne rzeczy do robienia.

Pomyślała, że to czasami musiało go denerwować. Być zmuszonym, żeby ją śledzić zupełnie jak ochroniarz. Nigdy się na to nie skarżył... Tak naprawdę to nigdy nie skarżył się na *nic*. Ale wciąż czuła się winna, że ze względu na nią, był w rodzinie traktowany jak zwykły pracownik.

Nigdy nie chciała, żeby Dante miał jej cokolwiek za złe .

Ruszyli wzdłuż przecznicy i skręcili na rogu na Mulberry. Gdy szli, jej spojrzenie błądziło po ulicy, podziwiając scenerię. Jej kroki stały się niepewne, kiedy jej wzrok przyciągnął błysk jasnej czerwieni, lśniący w popołudniowym słońcu. Znajomy samochód podjechał do krawężnika wzdłuż drogi, a pochodzący z niego głośny bas, rozbrzmiewał echem po całej okolicy.

*Nie ma kurwa mowy.*

Lotus Evora.

Nie było mowy, że tutaj był – nie było mowy, że wpadła na niego w środku Manhattau, miasta z przeszło milionem ludzi. Ale jakie są szanse, że ktoś inny prowadził *ten* samochód? Jedna na pieprzony miliard.

Patrząc z podziwem, obserwowała jak drzwi kierowcy się otworzyły i z samochodu wysiadł Matty. Oddech uwiązł jej w gardle, a jej serce łomotało nierówno. Sam jego widok sprowadził z powrotem wszystkie te uczucia, które jej brat wyśmiał, odrzucając je zaledwie chwilę temu. Matty był jeszcze przystojniejszy, niż zapamiętała, ubrany

nienagannie w jasnoniebieską koszulę, z podwiniętymi do łokci rękawami, ukazując tym jego tatuaże.

Wyrywając ramię z uścisku brata, Genna złapała go, żeby się zatrzymał, niezdolna odciągnąć wzroku od Matty'ego, który uśmiechał się, krzycząc coś do grupy facetów, wychodzących ze sklepu muzycznego... tego samego sklepu muzycznego, do którego zmierzali.

- To jest, uch... *Jasna cholera*. - To...

- Barsanti.

To nazwisko, wycedzone przez zęby ostrym głosem, skierowało jej uwagę prosto do jej brata. *Hola, Barsanti?* Odwróciła się do Dantego, będąc nagle na krawędzi, i wiedząc, że wyczuł poważne kłopoty, skoro wypowiedział to nazwisko głośno. Przebiegł przez nią przenikający i niemiły chłód, wysyłając dreszcze w dół jej kręgosłupa. Zwężone oczy Dantego rzuciły sztylety w dół przecznic, dokładnie do miejsca, gdzie był zaparkowany Lotus.

Jej wzrok gorączkowo podążył za jego, gdy Matty podszedł do trzech mężczyzn i się z nimi przywitał. Natychmiast, rozpoznała Enzo Barsanti wraz z dwoma innymi, dziwnie znajomymi facetami... tymi, którzy przyszli do The Place poprzedniej nocy.

'Przyjaciele rodziny', tak nazwał ich Matty.

*Nie. Nie. Boże, proszę, nie.*

Nie mógł być, czy mógł?

Wiedziałyby, prawda?

- Dante - powiedziała, szarpiąc brata za ramię, próbując przyciągnąć jego uwagę. Oderwał wzrok od grupy, a wyraz jego twarzy był poważny i lodowaty. - Znasz tych wszystkich facetów?

- Enzo Barsanti - odpowiedział, skupiając się ponownie w dole ulicy. Enzo był facetem bestią w wieku zaledwie dwudziestu lat, z masą kulturysty i z wystarczającą ilością pokrywających go włosów, by stworzyć z niego cholernego w połowie wilkołaka. - Znasz go.

- A inni? - Zapytała, zdesperowana aby być w jakiegoś rodzaju błędzie.

- Jego dwóch sługusów. - Dante skinął na facetów w podobnych czerwonych koszulach, otaczających z obu stron Enza. - Carl i Roy. Tweedledum i Tweedledee<sup>9</sup>. Żołnierze uliczni Barsantich.

- A ten drugi? - Naciskała, wstrzymując oddech, gdy czekała na jego odpowiedź. *Dobry Boże, niech on będzie sąsiadem. Może się przenieść. Niech będzie starym przyjacielem. Przyjaźnie umierają. Wszystko, z wyjątkiem tego, co miał właśnie zamiar powiedzieć jej brat.*



<sup>9</sup> Dwie rzeczy, osoby, partie, idee podobne do siebie jak dwie krople wody, między którymi różnice są znikome.

- Matteo - powiedział głosem zimnym jak lód. - Matteo Barsanti.

Jej klatka piersiowa zapiekła na to potwierdzenie. Czowała się, jakby zamierzała zwymiotować. Matteo Barsanti. *Matty-B*. Niepożądane uczucia zalały jej system, a umysł pędził jak oszalały, starając się zrozumieć sens tego wszystkiego, gdy przypominała sobie wszystko, co powiedział jej poprzedniej nocy.

Jak to możliwe, że był jednym z *nich*?

Zastanawiała się czy wiedział. Obserwując go, widząc jak swobodny się wydawał, jak *pogodny* był, nie mogła powstrzymać uczucia zdrady, które sączyło się do jej krwiobiegu jak trucizna. To spustoszenie sprawiło, że trzęsły się jej kolana. Sposób, w jaki na nią patrzył, widząc przez nią, jakby ją czytał... Czy ten chłopak, ta pozornie idealna istota na którą natknęła się przypadkiem, bawił się z nią przez cały czas?

- O Boże - jęknęła. Co powiedziała? Co powiedziała mu o swojej rodzinie? Wylała duszę do niego tak łatwo, a cały czas był jednym z *nich*.

Czy naprawdę ją oszukał?

- Zgaduję, że dawno niewidziany syn wrócił - powiedział Dante. - Zaczynałem się zastanawiać, czy jeszcze żyje. Minęło już trochę czasu, odkąd pokazał tutaj swoją twarz.

- Skąd wiesz, że to on? - Głos Genny był ledwie napiętym szeptem. To wciąż może być pomyłka, prawda? Wielkie nieporozumienie?



*Proszę, niech to będzie nieporozumienie.*

- Och, wiem - Dante powiedział, bez krztyny wahania. - Zaufaj mi... Znam wroga, gdy go widzę.

Wtedy jak na komendę odwrócił się Enzo, a gdy ich spostrzegł, jego uszczęśliwiony wyraz twarzy zniknął. Faceci przy jego boku, dostosowali się do otoczenia, szybko zauważając ich obecność. Wyraz twarzy Matty'ego skrzywił się ze zdezorientowaniem na nagłą zmianę, po czym podążył za ich spojrzeniem prosto do nich.

Genna odetchnęła ostro w momencie, gdy jego oczy połączyły się z jej. Jej pierś się zacisnęła, a zdradzieckie uczucia skrzyły jej wnętrza. Był Barsanti. Był jednym z nich. Powinna być zniesmaczona. Powinna być zżerana przez nienawiść. Ale patrząc na niego, wszystko, co mogła poczuć, to te motyle.

Pieprzone motyle fruujące w brzuchu, które wzniosły się w cholerę w momencie, gdy na jej widok jego twarz rozjaśniła się w szczerym uśmiechu. Oddech ze świstem opuścił jej płuca. Obserwowała, wszystko w boleśnie zwolnionym tempie, jak Enzo pochylił się do niego i coś szepnął. Mogła dostrzec, jak jego usta się poruszają, praktycznie mogła zrozumieć gorzkie słowo, które sprawiło, że wyraz twarzy Matty'ego gwałtownie opadł.

*'Galante.'*

Tak bardzo jak rodzina Genny nienawidziła ich, wiedziała, że oni tak samo nienawidzili jej. Nienawidzili Galante z taką samą siłą. I biorąc pod uwagę jego wygląd, sposób, w jaki szybko zamrugał, jego ramiona

się naprężyły, a oczy rozszerzyły się z niedowierzaniem, wiedziała, że... to była twarz mężczyzny, który właśnie został kopnięty w tyłek tak mocno, jak ona była przed chwilą.

- Chodź - Powiedział Dante, chwytając ją i ciągnąc za ramię, zmuszając ją, żeby zrobiła kilka kroków do tyłu. - Wydostańmy się stąd. Nie będę ryzykował.

- Nie zaryzykujesz tego? - Zapytała, niechętnie odwracając spojrzenie od Matty'ego, aby odwrócić się, gdy jej brat nadal ją odciągał. - *Nigdy* się nie wycofujesz.

- Gdyby cię tu nie było, to żaden problem, ale nie postawię cię w niebezpieczeństwie.

Zadrwiła.

- Nie boję się.

- Powinnaś - powiedział niskim głosem, gdy skrzyżował z nią spojrzenie. - Czy wiesz, co oni by ci zrobili, Genno? Ci ludzie... ci Barsanti? Są pieprzonymi dzikusami. Ile razy tata ci to mówił?

Praktycznie każdego dnia jej młodego życia.

- Co zrobią, zabiją mnie? Właśnie tu, na środku ruchliwej dzielnicy, w biały dzień?

Kroki Dantego zatrzymały się gwałtownie, a jego uchwyt się zacieśnił.

- Nie, Genno, nie zabiją cię. W każdym razie nie zabijają cię *od tak*. Będą cię śledzić, i porwą cię, ponieważ stanowisz łatwy cel, a następnie zrobią ci rzeczy... rzeczy, które sprawią, że będziesz pragnęła, aby cię po prostu zabili.

Jego mocne słowa zostawiły ją chwilowo oniemiałą.

- I wtedy cię zabiją - ciągnął. - Ale dopiero po tym, jak ich poprosisz, dopiero po tym, jak będziesz ich błagać, żeby zakończyli twoje cierpienie. I będą się tym cieszyć. Uwierz mi. Upewnią się, że gdy cię znajdziemy..., jeśli cię znajdujemy..., że nawet cię nie rozpoznamy.

- Skąd wiesz?

- Skąd wiem? - Uniósł brwi. - Wiem, ponieważ mama i tata nie mogli rozpoznać Joey'a.

Wzdrygnęła się na jego słowa, jakby została uderzona w brzuch.

- To, co innego.

- Naprawdę? - Zapytał. - Zabili go Genna, i nie zostało nawet wystarczająco dużo do identyfikacji.

- Wiem o tym - powiedziała, a łzy piekły jej oczy. - Wiem, co się stało.

- Tak, cóż, pamiętam to, i nie zamierzam przechodzić przez to jeszcze raz.

Dante skręcił za róg, idąc w kierunku jego samochodu, podczas gdy ona zwlekała przez chwilę, rzucając spojrzenie przez ramię, jeszcze raz spotykając spojrzenie Matty'ego. Patrzył na nią tak, jakby nic innego nie istniało.

Chciałaby, bardziej niż cokolwiek, aby mogła zaufać temu spojrzeniu.

- Skurczybyk, co?

Matty oderwał wzrok od miejsca, w którym Genna skręciła za rogiem, posłusznie podążając za jej bratem... nikim innym jak Dante Galante. Kto by się domyślił? *Nie ja. Nie za milion lat.* Jego wzrok padł na Enzo, który stał tam wpatrując się w niego, i szczerząc się jak głupek.

- Co?

- Lodowa Księżniczka - odparł, wskazując w kierunku zakrętu, gdzie Genna była zaledwie przed chwilą. - Genevieve Galante. Jest piękną dziewczyną, prawda?

Przez umysł Matty'ego przemknęły obrazy: Genna pod nim, krzycząca jego imię, mająca gwałtowne konwulsje z tak intensywnej przyjemności, że widział łzy w jej oczach. Gdy dochodziła, wielokrotnie... Jezu, nigdy wcześniej nie widział czegoś tak pięknego.

- Jest całkiem niezła.

Enzo poklepał go żartobliwie po plecach.

- Szkoda, że jest jedną z nich.

- Tak - Matty mruknął. - Szkoda.

Jego dzień przeszedł z pieprzenie astronomicznego w gówniany, a na to wszystko wystarczyło jedno słowo: *Galante*. Ironia, pomyślał. To nazwisko znaczyło - waleczny, dzielny, kochliwy podczas gdy osobiście uważał, że ci ludzie byli wszystkim, tylko nie tym. Rodzina Galante wychowała bojaźliwych, bezdusznych tchórzów, prowadzonych przez - największego z nich wszystkich - nieczułego brutala. *Primo*.

Jakim cudem ta dziewczyna, ten jaśniejący anioł który spadł z nieba prosto do zepsutej windy, mogła być ikrą tego barbarzyńcy?

Matty był odłączony od tego stylu życia przez wiele lat - wydawało się, że większą część jego życia, - ale znał historię tak dobrze jak każdy. Jego ojcu zawsze udawało się uzupełniać ją, za każdym razem, gdy przyjechał w odwiedziny. - "Te karaluchy dalej swoje", mawiał. - "Może trzeba będzie iść z nimi wkrótce na wojnę".

Podczas każdej wizyty, słyszał to samo przez wiele lat - kolejna planowana wojna, podobnie jak ta, która zainicjowała śmiertelną rywalizację szesnaście lat temu.

Zastanawiał się nad tym, gdy jechał do domu swoich rodziców, do ogromnej kamienicy w pobliżu Central Park West. Enzo siedział na

miejscu pasażera, marudząc jak mały podskakujący szczeniak. Zazwyczaj nie przeszkadzała mu potrzeba nieustannego trajkotania jego brata, ale dziś sprawiła, że Matty'emu trudno się myślało.

- Teraz będą już wiedzieć, że tu jesteś - powiedział Enzo, kiedy Matty wjechał Lotusem pod wejście do domu i wyłączył silnik.

Zerknął na swojego brata.

- Kto?

- Klan Galante. Widzieli, że wróciłeś.

Mówienie że *wrócił*, było mylące, jakby kiedykolwiek naprawdę był w to zaangażowany. Jego młodszy brat był jedynym, który siedział głęboko w tym świecie. Enzo tym żył. Oddychał tym. Kochał to. A to co robił Matty? Po prostu próbował przetrwać. Próbował to przetrwać, odkąd był dzieckiem, zbyt młodym, by mieć do czynienia z posiadaniem nagrody za jego głowę.

*Syn płaci za grzechy ojca.*

Enzo wskoczył przez frontowe drzwi do domu, podskakując i klepiąc górną część ościeżnic, tworząc jak zwykle zamieszanie. Wzdychając, Matty poszedł za nim, słysząc miękkie, kobiece głosy, dochodzący z pobliskiego pokoju.

- Chłopcy? To wy?

- Oczywiście, że tak, *ma* - Krzyknął Enzo, przechodząc przez dolne piętro, i kierując się prosto do kuchni. - Któż by inny?

Wchodząc do pokoju, Matty zatrzymał się na chwilę i spojrzał na nią, siedzącą na rogu pluszowej burgundowej kanapy. Była skulona pod grubym kocem z polaru, jakby to był środek zimy i nie było trzydziestu jeden pieprzonych stopni na zewnątrz. Nawet chora i krucha, wciąż miała miękkość na twarzy. Krągłe policzki były lekko zaczerwienione, włosy naturalnie kręcone, a jej oczy - żywe, gdy skupiły się na nim.

- Hej, słodziutki - powiedziała, lekko klepiąc kanapę obok niej w cichym zaproszeniu.

Podszedł i usiadł na krawędzi poduszki.

- Mamo.

- Jak się masz? - Zapytała, przyglądając włosy z tyłu jego głowy. - Wyglądasz na trochę przybitego.

- Mam się dobrze - powiedział. - Po prostu to jeden z tych dni.

Mógł poczuć na sobie jej oceniający i osądzający wzrok. Nie uwierzyła mu nawet przez chwilę. Jego matka była intuicyjną kobietą. Musiała być, żeby być żoną jego ojca. I tak jak nienawidził jej okłamywać, nie mógł powiedzieć jej prawdy. Nie, nie mógł jej powiedzieć, że dziewczyna Galante owinęła go sobie wokół małego paluszka, mocniej, niż kiedy jej nogi były owinięte wokół jego pasa, kiedy wchodził w nią na stole bilardowym, który dostał na urodziny od rodziców.

Chryste, musiał przestać o tym myśleć.

- Jesteś tego pewien? - Zapytała niepewnie.

- Tak - skłamał, odwracając się, aby na nią spojrzeć. - Co ważniejsze, jak ty się czujesz?

- Nie poddaję się. - Uśmiechnęła się z błyskiem w jej oczach. - Dobrze jest mieć cię przy sobie, wiesz. Tęskniłam za tobą.

- Też za tobą tęskniłem, mamó. - Te słowa niemal utknęły mu w gardle. Bardzo tęsknił, a szczególnie za nią. Pomimo tego, że był odcięty od jego rodziny przez wiele lat, on i jego matka pozostali blisko.

- Więc, co kombinujesz? - Zapytała. - Jakież ekscytujące plany na dzisiejszy wieczór?

- Można tak powiedzieć.

- Naprawdę? To znaczy?

- Mam zamiar spędzić go, przygotowując kolację dla najpiękniejszej kobiety na ziemi.

Jej twarz się rozjaśniła.

- Czy to prawda?

- Oczywiście - powiedział. - Potem prawdopodobnie będziemy oglądać filmy.

- Naprawdę?



Jego wargi drgnęły, gdy walczył z uśmiechem na prawie powściągliwy zapal w jej głosie.

- Tak.

- Ktoś, kogo znam?

- Och, z pewnością.

Jej oczy rozszerzyły się.

- Kto?

- Ty.

Jej radosne podniecenie przeszło w irytację. Uderzyła go lekko, gdy pokręciła głową.

- Nie możesz mi tego robić!

- Co? - Śmiał się, gdy blokował jej słabe ciosy. - To prawda.

- Myślałam, że masz na myśli dziewczynę - powiedziała. - Pomyślałam, że w końcu *spotkałeś* dziewczynę.

- Dziewczyną piękniejszą od ciebie? Niemożliwe.

- Z urokiem jaki masz, można by pomyśleć, że powinieneś już kogoś znaleźć, żeby się ustatkować. Na litość boską, masz prawie dwadzieścia pięć lat!

- Mam czas - powiedział, natychmiast żałując tych słów, gdy zobaczył rzeczywistość w jej oczach. On może i miał, ale nie ona.

Wszyscy o tym wiedzieli, nawet, jeśli żaden z nich nie chciał tego głośno powiedzieć.

- Chcę tylko, żebyś był szczęśliwy - powiedziała cicho. - Chcę, żebyście *wszyscy* byli szczęśliwi.

- Wiem.

Zanim mogli zaangażować się w to bardziej, Enzo wkroczył do środka, ściskając masło orzechowe i kanapkę z galaretką. Wziął duży kęs, obrzydliwie to przeżuwał, i opadł na krzesło, zarzucając nogi na róg niskiego stolika. Ich matka spiorunowała go wzrokiem, do czasu, aż nie opuścił stóp na podłogę, posyłając jej przy tym zakłopotany uśmiech.

- Przepraszam, *ma*.

Na górze, otworzyły się drzwi, i było słychać ciężkie kroki, stąpające spokojnie wzdłuż korytarza, niczym stal odbijająca się o twarde drewno. Zbliżyły się do schodów, powoli schodząc po nich, a każdy odgłos, wysysał trochę ciepła z pokoju.

Roberto Barsanti, niski i krępy z podbródkiem z dołkiem i ciemnymi włosami, które posiwiały wzdłuż boków, roztaczał gorzki chłód. Był surowym - całkowitym biznesmenem, przez cały czas. Matty nigdy nie mógł dogadać się ze swoim ojcem, nie tak jak Enzo to robił, ale ojciec uwielbiał ich matkę i to jak na razie było wystarczającym powodem, aby utrzymać do Matty`ego respekt.

Kiedy Roberto wszedł do pokoju, świdrującymi niebieskimi oczami przeskanował pokój, przyglądając się Enzowi z aprobatą, ich

matce z miłością, zanim strzeliły surowymi sztyletami prosto w Matty'ego.

- Matteo.

Skulił się. Jego ojciec był jedynym, który nalegał zawsze na nazywanie go pełnym imieniem.

- Ojczy.

- Dobrze cię widzieć.

W przeciwieństwie do tego, co powiedziała jego matka, Matty nie poczuł nic prawdziwego w tych słowach.

- Ciebie również.

- Mówiąc o *widzeniu* ludzi - wtrącił Enzo, a słowa tłumili usta pełne jedzenia. - Zgadnij, na kogo dzisiaj wpadliśmy, tatku.

- Na kogo?

- Dzieci Galante.

Pierś Matty'ego zacisnęła się na to wspomnienie, podczas gdy jego ojciec uśmiechnął się szyderczo, a jego usta wykrzywiły się w gniewnie.

- Gdzie?

- Małe Włochy, oczywiście - Powiedział Enzo. - Matty przyjechał po mnie, gdy szli ulicą.

- Czy powiedzieli coś do ciebie?

- Nie, oczywiście, że nie - Enzo powiedział, biorąc kolejny kęs jego kanapki. - Dante skulił ogon i uciekł jak mała dziwka.

- En - ich matka złała. - Język.

- Przepraszam, mamó - Enzo powiedział, ledwie unikając uderzenia, zanim kontynuował. - Jego siostra podążyła za nim, ale nie przed tym, zanim oboje zobaczyli Matty'ego.

Oczy Roberto rozszerzyły się, gdy w końcu do niego dotarło.

- Rozpoznali Matteo?

- Dante, z całą pewnością. Dziewczyna, nie. Wątpliwe, żeby kiedykolwiek o nim słyszała.

Na przestrzeni lat, Matty kilka razy zaryzykował przyjazdem do miasta, podczas sprzeczek z niektórymi z załogi Galante. Po raz ostatni widział się z Dantem, kiedy miał osiemnaście lat, ale Genna?

Nigdy nie widział jej przed wczorajszym dniem.

- Tak - ich ojciec się zgodził. - Masz rację. Meduza nie poznałaby go.

Matty skrzywił się na to przezwisko, gdy ich matka sapnęła.

-Bobby! Nie nazywaj jej tak! Ona jest tylko dziewczyną!

- Moje przeprosiny, Savina - powiedział ojciec. - Zapomniałem się.

Bardziej jakby się zapomniał, że słuchała ich rozmowy. Nazywali ją tak przez wiele lat, tak często, że było to jedyne cholerne imię, które Matty pamiętał.

Meduza. Lodowa Księżniczka.

Wbrew sobie, parsknął gorzko pod nosem, gdy dotarło do niego, że pomimo wielu razy, kiedy jego ojciec ostrzegał go, by trzymał się od niej z daleka, przestrzegając go przed niebezpieczną dziewczyną Galante, nieświadomie wpadł prosto w jej pułapkę.

- Coś zabawnego? - Roberto zapytał, wpatrując się w niego.

- Nie - odpowiedział Matty, kręcąc przy tym głową. To nie było zabawne, ale jednak te wszystkie rzeczy powoli zaczynał odczuwać, jak wielki cholerny żart.

Roberto przyglądał mu się przez chwilę, zanim przeszedł i pochylając się, delikatnie pocałował Savinę w kącik jej ust.

- Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, kochanie.

- Nic mi nie będzie - powiedziała, uśmiechając się, gdy wyciągnęła rękę i owinęła ją wokół ramienia Matty'ego. - Mam swojego przystojnego chłopca, który dziś wieczorem dotrzyma mi towarzystwa.

Oczy Roberto przeniosły się z niej na Matty'ego, i dostrzegł wahanie w wyrazie twarzy swojego ojca. To nie była dokładnie nieufność, ale to był jakiś lęk, jakby jeszcze nie zdecydował, co zrobić z ciąglą obecnością Matty'ego.

Enzo podskoczył, wpychając ostatni kawałek kanapki do ust, głośno ją żując, i wystawiając pięść. Matty uderzył o nią swoją, zanim jego brat pobiegł podążając za ich ojcem.

Sobotnia noc. Znikną do wczesnych porannych godzin, okradając ślepych, upijając się w sztok, paląc i uprawiając hazard, latając za spódniczkami i robiąc wszystko to, co można do cholery jeszcze robić na ulicach.

- Więc, na co masz ochotę? - Zapytał Matty, wstając i odwracając się do matki.

Uśmiechnęła się łagodnie.

- Możemy po prostu zjeść jakieś kanapki.

- Nonsens - powiedział. - Powiedz mi, co chcesz zjeść.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Zaskocz mnie.

*Zaskocz mnie.* To nie będzie zaskoczeniem. Dokładnie wiedziała, co zrobi - to była pierwsza rzecz, jaką kiedykolwiek nauczyła go gotować, jedyna rzecz, jaką zawsze robili razem. To była jej ulubiona potrawa: spaghetti z domowej roboty klopsikami.<sup>10</sup>

Pochylając się, pocałował ją delikatnie w policzek, i poszedł spacerkiem do kuchni. Personel miał w weekendy wolne, więc było

---

<sup>10</sup> Awww, gotujący facet <3 - *Kaś*

cicho i ciemno, a powietrze chłodne. Zapalając światło, od razu zabrał się do pracy, wyjmując wszystko, czego potrzebował do kolacji. Wrzucił mięso do mikrofali, żeby je rozmrozić i wyjął paczkowany makaron, wiedząc, że złamał wszystkie zasady włoskiej kuchni, ale był w sytuacji nieco podbramkowej. Poza tym, wiedział, że nie będzie narzekać... *zbyt*nio.

Wyciągnął słoik z wcześniej zrobionym przez nią sosem i umieścił zawartość w garnku. Podgrzewał go na wolnym ogniu, gdy w międzyczasie siekał kilka cebul i papryk. Podwinął rękawy i zdjął zegarek, zanim ręcznie zmieszał wszystkie składniki. Formując małe i okrągłe kulki i ułożył je na blasze do pieczenia. Właśnie skończył i zmywał maź z dłoni, gdy usłyszał szuranie.

- Pomóc? - Zapytała jego matka.

- Nie - powiedział. - Daję sobie radę.

Oczywiście zignorowała go, i chwyciła blachę z klopsikami, umieszczając ją w dopiero co rozgrzanym piekarniku. Ustawiła minutnik na dwadzieścia minut, zanim otworzyła lodówkę i wzięła butelka czerwonego wina.

- Pozwól, że zrobię to za ciebie - powiedział szybko, sięgając po butelkę, ale trzepnęła go w rękę i przepchnęła się obok niego, kierując się prosto do otwieracza do win. Wzdychając, oparł się o ladę i nałożył z powrotem zegarek, obserwując jak walczyła, z odkorkowaniem butelki. Utrzymał swoją cierpliwość tak długo, jak mógł, zanim westchnął z irytacją. *Uparta kobieta*. - Poddajesz się już?

- Nigdy.

Uśmiechnął się na jej determinację. To zajęło jeszcze kilka minut, ale udało jej się w końcu wyciągnąć korek. Rzuciła mu zadowolone spojrzenie, gdy chwyciła kieliszek do wina i nalała trochę do niego. Wzięła łyk i zamykając oczy, na jej znużonej twarzy pojawił się wyraz prawdziwej rozkoszy.

- Tak, to jest dobre - powiedziała, chwytając kolejny kieliszek, nalała do niego trochę, i mu podała. Wziął go i pociągnął łyk, krztusząc się na gorzki cierpki smak. Zaśmiała się. - Och, przestań jęczeć i po prostu pij.

- Nie jęczę - powiedział, biorąc kolejny łyk i krzywiąc się. - Faj, to jest obrzydliwe.

- Teraz jęczysz - zauważyła, gdy wskazała przez pokój w kierunku piekarnika przy którym stał.

- I wyjmij klopsiki, zanim będą zbyt mocno upieczone.

Zerknął na piekarnik, dokładnie w chwili, kiedy rozdzwonił się minutnik. *Jak do cholery to zrobiła?* Wyciągnął je i zanurzył w sosie, pozwalając im się gotować na wolnym ogniu, w czasie, gdy on ugotuje makaron. Pomimo jego protestów, jego matka upierała się, aby nakryć do stołu dla nich obojga, odrzucając jego zastrzeżenia z sarkastycznym: - Nie jestem *jeszcze* martwa, wiesz.

Wzdrygnął się na jej słowa. Próbował powstrzymać swoje odczucia przed pokazaniem się na jego twarzy, ale zauważyła, i rzuciła



mu przepaszające spojrzenie. Bez słowa, nałożył im trochę jedzenia, zanim dołączył do niej w jadalni i usiadł naprzeciwko niej. Natychmiast zaczęła jeść, biorąc małe gryzy, mrucząc przy tym życzliwie.

- Całkiem dobre.

- Dziękuję.

- Chociaż mogłeś zrobić własny makaron.

- Mogłem.

- I mogło być trochę pikantniejsze.

- Mogło.

- Ale wciąż... całkiem dobre.

Jak powiedział, mama nie będzie narzekać *zbyt*no.

Dłubał w swoim jedzeniu, a przy każdym wymuszonym łyśle jego żołądek protestował, ponieważ jego umysł powędrował z powrotem do myślenia o Gennie. Odtwarzał ich wspólną noc, wciąż próbując to wszystko zrozumieć. Dziewczyna zalała mu za skórę. Co do cholery, powinien z tym zrobić?

Wewnętrzna rozterka musiała pokazać się na jego twarzy, ponieważ jego matka w końcu przestała jeść i wskazała na niego widelcem.

- Dobra kolego. Wykrztuś to. *Już*.

Uniósł brwi.

- Co?

- Nie *cokaj* mi tu, Matteo. - *Ach, cholera*. Użyła jego pełnego imienia. Nie żartowała. - Mogę powiedzieć, że coś cię dzisiaj dręczy i chcę wiedzieć, co to jest.

Wzdychając, spojrzał na swój talerz, miażdżąc klopsika widelcem.

- Masz rację. Była pewna dziewczyna.

Kątem oka zobaczył, że się napięła - to nie było to, czego się spodziewała.

- Dziewczyna?

- Tak, ale nie ekscytuj się tak, mamó. Powiedziałem, że *była* dziewczyna, nie, że *jest*. Okazało się, że jest wszystkim, czego nie powinienem chcieć.

- Ale wciąż jej pragnąłeś.

To było oświadczenie, nie pytanie, ale i tak odpowiedział.

- Tak, pragnąłem. - Człowieku, *naprawdę* kurewsko jej pragnął. Nie pragnął czegoś - albo ktoś - od bardzo dawna, w jego życiu.

- Więc, co się stało?

- *My* się staliśmy.

- Och. - Przez chwilę była cicho, zanim zaczęła jeść ponownie. -  
Więc zgaduję, że ta dziewczyna zorientowała się, że jesteś jednym ze  
znanych chłopców Barsanti?

- Możesz tak powiedzieć.

- I to ją martwi?

- Powinno - wymamrotał. - Jeśli jest mądra, a myślę, że jest...-  
*Mądrzejsza, niż myślałem.* - ... nigdy ponownie na mnie nie spojrzy.

- Ale wciąż jej pragniesz.

Kolejne oświadczenie. Znała go dobrze.

- Tak, pragnę - mruknął. - Nie powinienem, ale pragnę.

- Wychowałam cię, abyś był niezależny, Matty. Wiem, że twój  
ojciec ma oczekiwania, rzeczy, które chce, żebyś zrobił ze swoim życiem,  
ale zawsze byłam dumna z faktu, że stworzyłeś swoją własną drogę.  
Podążałeś nią, odkąd pamiętam. Nigdy nie zapomnę, jak te wszystkie  
lata temu, mój silnej woli ośmioletni synek, postawił na swoim i  
sprzeciwił się ojcu po raz pierwszy. Pamiętasz to? Ten dzień?

Matty siedział przez chwilę cicho, zaskoczony przez to, gdzie  
został skierowany temat.

- Oczywiście, że pamiętam. Jednak nie chciał ustąpić.  
Powiedziałem mu, że nienawidzę go za to, nienawidzę go za to, że  
sprawił, że trzymał mnie z dala, a to nie speszyło go ani trochę.

Roześmiała się sucho.

- Ty i ja pamiętamy to trochę inaczej. To na pewno go zmartwiło.

- Zamknął mnie w moim pokoju - powiedział. - Gdy w końcu mnie wypuścił, wysłał mnie i Enza, żebyśmy mieszkali z ciotką Leną i wujkiem Johnnym. A kiedy po mnie wrócił - gdy *myślałem*, że wrócił po mnie - to było tylko po to, żeby odtransportować mnie do szkoły z internatem.

- Prawda - powiedziała cicho. Nie mogła zaprzeczyć tym faktom. - Ale nie wiesz, jak rozdarty przez to był. Pytał mnie tak wiele razy, 'myślisz, że on naprawdę mnie nienawidzi?' Zawsze mówiłam, że nie, mając nadzieję, że mu nie kłamałam, mając nadzieję, że zrozumiałeś, dlaczego zrobił to, co zrobił.

- Zrozumiałem, że chciał nas chronić...

- Ale? Wiem, że jest jakieś *ale*.

- Ale sprowadził Enzo do domu. Było wystarczająco bezpiecznie, żeby Enzo wrócił lata temu, ale nie ja. *Nigdy* nie powitał mnie z powrotem.

- Teraz jesteś śmieszny.

- Czy na pewno, mamó? - Zapytał, zerkając na nią przez stół. - Wiesz, jaka była pierwsza rzecz, jaką mi powiedział, gdy wróciłem do Nowego Jorku? Pierwsza rzecz z jego ust, gdy dostrzegł moją twarz?

- Jaka?

- Dlaczego tu jesteś?

- Po prostu się martwił - powiedziała. - Był zaniepokojony, dlatego przyjechałeś. Myślał, że dzieje się coś złego.

- Dzieje się coś złego.

Jej wyraz twarzy złagodniał, gdy patrzyła na niego.

- Słuchaj Matty, chodzi mi o to, że byłeś wtedy takim małym dzielnym mężczyzną, a teraz wyrosłeś na prawdziwego mężczyznę. Nie ma znaczenia, co ludzie ci mówią... robisz to, co chcesz. Zawsze tak robiłeś. To dlatego zamknął cię w twoim pokoju. Gdyby tego nie zrobił, przeciwstawiłbyś mu się i zniknął, pomimo tego, że powiedział ci, że nie możesz.

- Co to ma wspólnego z tym?

- No cóż, nie oczekuję od ciebie w tej chwili niczego mniej - odpowiedziała. - Życie jest krótkie. Zbyt krótkie. Zaufaj mi. *Nigdy* nie będziesz miał wystarczająco dużo czasu. Więc to nie ma znaczenia, czy myślisz, że ta dziewczyna może być dla ciebie złą. Chcesz ją? Zatem po nią idź.

- To nie jest takie proste.

- Tak, jest. A jeśli ona cię już nie chce? Jej strata. W innym wypadku, nie ma żadnego powodu, żebyś nie dążył do tego, czego chcesz.



Matteo Barsanti.

Genna nawet ledwie pamiętała, że gdzieś tam *był* Matteo Barsanti. Był bardziej zjawą niż osobą, duchem z opowieści, szeptem mglistego wspomnienia o najstarszym dziecku Barsanti, którego nikt nie mógł sobie przypomnieć ze szczegółami. Jego istnienie, było jakby miejską legendą, syn Szefa Mafii, który wydawał się zniknąć ze społeczeństwa. Każdy miał pytania, ale nikt nigdy nie ośmielił się prosić o jakiegokolwiek odpowiedzi.

Genna przypomniała sobie, że miała piętnaście lat, gdy po raz pierwszy o nim słyszała... jej piętnaste urodziny. Wbrew woli ojca, poszła na strych ich domu i grzebała w spakowanych rzeczach matki, przekopując się przez wszystkie jej kosztowne ubrania, podziwiając jej biżuterię, i przymierzając jej suknię ślubną. Wtedy jej rzeczy przebywały tam przez mniej niż rok, ale warstwa kurzu zdążyła już wszystko pokryć, jakby minęły lata odkąd używała ich po raz ostatni.

W jednym z pudeł, w małej drewnianej skrzyni z zardzewiałym metalowym zamkiem, Genna znalazła gruby stos zdjęć. Usiadła tam na środku zaciemnionego strychu, ubrana w perły swojej matki i jedną z jej ulubionych letnich sukienek, i przeglądała wyblakłe obrazki. Nigdy wcześniej nie widziała żadnego z nich, na których w większość byli jej bracia i ona. Na spodzie stosu, kilka ostatnich zdjęć było Joey'a i innego chłopca.

Odwracając jedno, Genna zerknęła na tył, widząc elegancką kursywę jej matki.

## *Joseph Galante & Matteo Barsanti*

### *Siedem lat*

Wpatrywała się w to z zaskoczeniem. Znała rodzinę Barsanti - ich imiona i twarze miała wyuczone na pamięć, jako że jej ojciec rutynowo przepytывał Dantego i ją, upewniając się, że będą mogli rozpoznać każdego z nich na ulicy. Ale nigdy, nikt nie wspomniał jej o Matteo.

Po uprzątnięciu strychu, zeszła na dół, trzymając kurczowo jedno ze zdjęć. Jej ojciec siedział w jego biurze z szeroko otwartymi drzwiami. Ciekawa, Genna zatrzymała się w drzwiach.

- Tato, kim jest Matteo Barsanti?

Przyspiliło ją spojrzenie jej ojca.

- Co powiedziałaś?

Wchodząc do pokoju, uniosła zdjęcie.

- Znalazłam to, i na tyle jest napisane...

- Wiem, co jest napisane. - Jej ojciec był na nogach, wyrywając zdjęcie z jej rąk, zanim nawet się zorientowała, że się poruszył. - Idź do swojego pokoju.

Wpatrywała się w niego.

- Ale...

- Nie kłuć się, Genevieve - krzyknął, bardziej zły, niż kiedykolwiek widziała go wcześniej. Jego oczy pałały wściekłością, a ręka się trzęsła, gdy ścisnął w pięści zdjęcie. - I trzymaj się z dala od tego przeklętego strychu. Nie zamierzam powtarzać ci tego ponownie!

Później zapytała Dantego, który zignorował jej pytanie mizerną odpowiedzią.

- Już nie ma go w pobliżu.

Tak było. Żadnego wyjaśnienia.

Rok później, podczas jednej z jej lekkomyślnych chwil buntu, Genna przeszukiwała sypialnię ojca i znalazła to zdjęcie w szufladzie w jego stoliku nocnym..., w każdym razie jego połowę.

Połowę na której znajdował się Joey.

Matteo został beztrąsko z niego wydarty.

W końcu wyciągnęła więcej z Dantego, ale nic znaczącego. Matteo był najstarszym synem, a Joey'a... wtedy miałby koło dwudziestu lat.



Zakładała, że chłopiec zmarł, dokładnie tak jak jej brat, ale wyraźnie był cały i zdrowy.

*I jakoś udało mu się napieprzyć w jej życiu.*

Tak szybko jak Dante i Genna dotarli z Małych Włoch do domu, jej brat poszedł prosto do gabinetu ich ojca. Głosy niosące się stamtąd, oraz różne samochody ustawione przed ich domem, mówiły jej, że prowadzili interesy. Przez pośpiech, Dante nieopatrznie zostawił uchylone za sobą drzwi. Kierowana ciekawością, Genna przeszła na palcach w tamtą stronę, stanęła przy ścianie obok drzwi i wysiliła uszy.

- Widziałem go dziś - powiedział Dante. - Matteo Barsanti.

To od razu uciszyło innych mężczyzn.

- Jesteś pewny, że to był on? Matteo? - Primo zapytał. - Nie ma szansy, że to była pomyłka?

- Nie ma szansy.

Żołądek Genny opadł.

- Barsanti muszą myśleć, że to bezpiecznie, żeby sprowadzić go do domu i włączyć w sprawy - stwierdził Primo. - Z jakiego innego powodu byłby teraz w pobliżu?

*Jego matka jest chora, pomyślała. Wrócił do domu, żeby nie przegapić tej szansy.*

- Nie wiem - Dante powiedział. - Ale się dowiem.

Wzdychając, Genna odepchnęła się od ściany, zanim zostałaby złapana na podsłuchiwanie i udała się do swojego pokoju, rzucając się na łóżko i patrząc na sufit. Leżała tam przez coś, co odczuwała jak wieczność, aż rozbrzmiało lekkie pukanie do jej drzwi.

- Proszę - wymamrotała, nie na tyle głośno, żeby ktokolwiek usłyszał.

Drzwi otworzyły się i jej brat wszedł do środka, wyglądając na dużo bardziej zrelaksowanego niż był, gdy wrócili do domu. Odwracając głowę, popatrzyła na niego, gdy usiadł na łóżku.

- Przepraszam za wcześniej - powiedział od razu. - Nie powinienem tak rzucać ci Joey'a w twarz, żeby cię przestraszyć.

Westchnęła.

- Chciałeś dobrze.

- Chciałem - zgodził się - Ale to wciąż nie było w porządku. Nie powinienem tego robić.

- No cóż, wybaczam ci.

- Dzięki. - Dante wyciągnął rękę, żartobliwie ją trącając. - Więc powiedz mi więcej o tym twoim facecie, który sprawia, że próbujesz ulec samozapłonowi.

Powoli pokręciła głową.

- Nie ma sensu.

- Dlaczego?

- Myślę, że możesz mieć rację na temat tego wszystkiego.

- Tak?

- Zdałam sobie sprawę, że nawet go nie znam - powiedziała. - Po prostu oszukiwałam samą siebie, będąc jak zwykle idiotką, i myśląc, że mógłby być inny, gdy wszyscy są dokładnie tacy sami.

- Ach, nie wierzę w to.

- Jestem głównianym znawcą charakteru - mruknęła. - Zamierzam po prostu leżeć tutaj i marnieć, nie ma już nawet sensu się starać. Oficjalnie rezygnuję z życia.

Dante wstał, łapiąc ją za rękę, by ją podciągnąć. Opierała się, nie będąc w nastroju żeby nawet się ruszać, ale nie dał się zniechęcić, i ściągnął ją z łóżka. Jęknęła, kiedy jej plecy uderzyły o twardą podłogę, ale Dante wciąż nie puścił, ściskając jej nadgarstki i ciągnąc ją przez pokój.

- Przestań - jęknęła, gdy ciągnął ją po dywanie. - Spalisz mój dywan!

- Nie - powiedział. - Moja siostra nie jest kimś, kto się łatwo poddaje.

Walczyła z nim, kopała piętami, ale to jedynie sprawiło że ciągnął mocniej, praktycznie szarpiąc nią na podłodze. Do czasu, gdy dociągnął

ją do drzwi sypialni, była pogrążona w ataku śmiechu i niezdolna, żeby więcej z nim walczyć.

- Okej, okej, rezygnuję! - Zmrużył oczy, a ona śmiała się mocniej. - Chodzi mi o to, że *nie* rezygnuję. Wygrywasz, okej?

- Dobrze - powiedział, stawiając ją w końcu na nogi. - Ponieważ te schody mogłyby sprawić ból, gdybym musiał pociągnąć cię w dół.

Kilka minut po ósmej. Oboje byli spóźnieni na kolację. Genna podążyła za Dantem na dół, wsuwając się na swoje miejsce. Ich ojciec nie powiedział nic o ich opóźnieniu, po prostu sięgnął w poprzek stołu i ujął ich ręce, żeby się pomodlić. Wszyscy jedli cicho, atmosfera była napięta. Minęła godzina tortur, zanim w końcu miała szansę na ucieczkę, wracając niepostrzeżenie na górę, gdy jej brat podążył za ich ojcem do jego biura.

Tak szybko jak dotarła do sypialni, złapała swoją komórkę z torebki i opadła na łóżko.

Leżąc na plecach, wpatrywała się w ekran, otwierając kontakty, aby zobaczyć jego imię.

**Matty B.**

Matteo Barsanti, tylko jedno dotknięcie przycisku.

Ich rodziny nie tylko nosiły urazę - były śmiertelnymi wrogami, zdeterminowane, żeby zniszczyć siebie nawzajem. Ich dwoje było

katastrofą czekającą, aby się zdarzyć, i tylko oszukiwali siebie, myśląc, że coś dobrego może z tego wyjść.

Wahając się, jej palec przez chwilę wisiał nad ekranem w powietrzu, zanim uderzyła w przycisk *usuń*, wymazując go z jej życia tak szybko, jak w nie wpadł.

Nikita24

## ROZDZIAŁ 4

Sto dwadzieścia godzin prac społecznych – trzy godziny dziennie, pięć dni w tygodniu, przez następne dwa miesiące. Praktycznie całe lato Genna będzie pochłonięta karą. Sąd zorganizował wyczerpujący obowiązek gruntownego czyszczenia graffiti w odcinku Greenwich Village na Manhattanie, ale jej ojciec szybko interweniował i to zmienił.

Greenwich Village było terytorium Barsanti.

Zamiast tego, została wyznaczona do pracy w jadłodajni dla ubogich w East Harlem, w części dzielnicy uważanej za jedną z najbardziej podejrzanych, ale jej ojciec uznał, że dla niej to będzie najbezpieczniejsze. Powiedział, że nikt z *ich* rodzaju, nigdy nie odważyłby się ryzykować wędrówki tak daleko na wschód.

Zacząła w pierwszy poniedziałek czerwca - zmiana kolacji, od czwartej do siódmej wieczorem. Zamiast fatygować brata, żeby ją zawiózł, wiedząc, że miał lepsze rzeczy do roboty, niż wożenie jej wszędzie gdzie musiała być, zadzwoniła po taksówkę, żeby ją zabrała na miejsce. Tego pierwszego wieczora, zjawiała się piętnaście minut spóźniona, ubrana w ładną czarną sukienkę i buty na wysokich obcasach, a włosy miała rozpuszczone i zakręcone. Pomyślała, że tylko dlatego, że musiała to zrobić, nie oznacza, że nie może zrobić tego w dobrym stylu.

*Błąd.*

Koordinator – chudy, wysoki mężczyzna z siwymi włosami i zwiędłą skórą o imieniu Adam, – spotkał się z nią w drzwiach, spojrzał na nią i pokręcił głową.

– Wiesz, w co się tutaj pakujesz?

– Pewnie – powiedziała, wzruszając ramionami. Karmili ludzi. Jak trudne *to* może być?

– Dobrze – powiedział, rzucając jej brudny biały fartuch. – Zatem zaczynajmy.

Jak się okazało, absolutnie nie miała pojęcia, w co się pakuje. Spodziewała się, że ciśnie jedzenie na tacę i bezmyślnie przesunie je dalej do następnej osoby w linii montażowej. Ale nigdy nie rozważała faktu, że ktoś musiał *ugotować* to jedzenie.

I tym kimś, wydawało się, była ta sama osoba, która wydawała posiłki.

Przed piątą, ociekała potem, jej ramiona bolały od szybkiego mieszania olbrzymiego garnka chili, przód jej fartucha był cały ochlapany przez sos, a jej głowa swędziała od siatki na włosy, którą była zmuszona nosić. W jej osiemnastoletnim życiu, nigdy wcześniej nie gotowała – nigdy nie musiała. Jej matka była tak daleko od gospodyni domowej, jak osoba mogłaby się prawdopodobnie dostać i wydawało się, że Genna odziedziczyła jej umiejętności kuchenne. Jej niedoskonałość zdobyła rozbawione spojrzenie od koordynatora, gdy obserwował jej szamotaninę, aby zdążyć na czas.

Taszcząc ciężki garnek z kuchni, potknęła się w swoich butach na obcasach i niemal upuściła chili. Chrząkając, przesunęła go na ladę do wydawania jedzenia, ledwie miała czas, aby złapać oddech, gdy drzwi się otworzyły, a ludzie zaczęli napływać, aby zjeść. Od tej chwili, nieprzerwanie nalewała chili do małych styropianowych miseczek, ledwie kilka kęsów dla każdej osoby, zanim kładła je na tacy i wysyłała w dół linii do kanapek i kartonów mleka.

Gdy nadeszła w końcu godzina siódma i jej zmiana dobiegała końca, była zupełnie wyczerpana, bolały ją stopy, a jej mięśnie drżały. Niemal tęskniła za obowiązkiem czyszczenia graffiti. Po drodze do wyjścia, spotkała w drzwiach koordynatora, który stał tam przez większość wieczoru, witając każdego, kto się zjawiał.

- Jestem zaskoczony, że przetrwałaś cały wieczór, panno Galante - powiedział, zerkając na zegarek. Wiedziała, że jest kilka minut wcześniej, ale miała nadzieję, że to zignoruje. To było tylko około pół godziny jazdy do domu, ale nie chciała się spóźnić na obiad. - Cóż, prawie cały wieczór. Czy zobaczymy cię jutro ponownie?

- Oczywiście - odpowiedziała. - I następnego dnia. I tego po tym, również.

*I prawie każdego pieprzonego dnia przez następne osiem tygodni.*

- Dobrze - powiedział. - I przypuszczam, że w lepszych butach?

- Jak najbardziej.

Nie popełni tego błędu ponownie.



Następnego wieczoru, pojechała do miasta pociągiem, wysiadając dokładnie po drugiej stronie ulicy gdzie mieściła się jadłodajnia dla ubogich, i dała radę być tam kwadrans wcześniej. Miała na sobie dzinsy i koszulkę bez rękawów, na nogach trampki, i jedną z czapek Jankesów jej brata, założoną daszkiem do tyłu na luźno splecionych włosach. Koordynator uśmiechnął się, witając ją z dużo większą pewnością.

- Czy kiedykolwiek robiłaś gulasz wołowy? - Zapytał, unosząc brwi z zaciekawieniem.

- Nie - powiedziała. - Nigdy nie robiłam niczego... teraz z wyjątkiem chili, oczywiście.

To wydawało się go rozbawić.

- No cóż, nie ma lepszego czasu niż dziś, żeby się nauczyć, prawda?

Codziennie było coś nowego, coś tak nieapetycznego jak dzień wcześniej - gulasz wołowy, zupa z kukurydzy, ziemniaków i mleka, zupa ziemniaczana, - ale Genna sumiennie przestrzegała podanych jej przepisów, upewniając się, że była gotowa, zanim zbliżyła się godzina piąta. Piątek był wyjątkowy, pełna taca jedzenia: trochę tajemniczego mięsa - wynalazku ogłoszonego jako klops z ziemniakami, brązowego sosu, bukietem z jarzyn i bułeczką podawaną do obiadu. Przyszło wtedy dwa razy więcej ludzi, utrzymując ich w ciągłym ruchu, gdy nakładała kawałek mięsa za kawałkiem mięsa na stare plastikowe tacki, zanim przesuwała je w dół linii.

- Weekendy są najpracowitsze - wyjaśnił koordynator, zabierając się energicznie do pracy na linii, aby trzymać ją równomiernie działającą.
- Przychodzi więcej rodzin, z większą ilością dzieci, więc próbujemy się upewnić, że mamy wystarczająco, żeby ich wszystkich nakarmić.

Tego dnia została do siódmej, nie oddalając się od linii, dopóki nie odeszła ostatnia osoba. Ściągając bardzo brudny fartuch, wrzuciła go do kosza, znajdującego się obok i przeskanowała zapełnioną salę. Stoły były stare, popękane, a różnokolorowe siedzenia były zapełnione ludźmi, i nie było ani jednego wolnego miejsca.

- Czy kiedykolwiek zabrakło ci jedzenia?

- Czasem tak się zdarzało - odpowiedział. - Jednak zazwyczaj mamy tyle, że niektórzy z nich wracają po dokładkę.

Zmarszczyła brwi.

- Nigdy nie widziałam, żeby ktokolwiek wrócił po dokładkę.

- To dlatego, że nie ma cię już w porze, kiedy to się zdarza - powiedział. - Oficjalnie zmiana kolacji kończy się o siódmej, ale nikogo nie wypraszamy. Niektórzy z tych ludzi wciąż tutaj są, gdy dochodzi dziesiąta, jedząc, aż skończy się jedzenie. Nie pozwalamy, żeby cokolwiek się zmarnowało, a dla większości z nich, to jest jedyny posiłek, jaki dostaną w ciągu dnia.

To ją zaszokowało. Rozejrzała się, przyglądając się ich twarzom. Większość z nich uśmiechała się, gdy fala rozmów przetaczała się przez

pomieszczenie. Nie mieli nawet krzty tego, co miała w życiu ona, a mimo to wyglądali na bardziej zadowolonych, niż kiedykolwiek była.

Nie uważała siebie za egocentryczną osobę, ale wtedy poczuła się niezwykle chciwa.

- Możesz już iść - odezwał się koordynator. - Jest siódma.

- Nie, chciałabym zostać - powiedziała, zerkając na niego. - Jeśli to jest w porządku.

Uśmiechnął się.

- Oczywiście. Zachęcam do zostania tak długo, jak będziesz chciała.

Dziś nie było dużo pozostałości jedzenia, ale wystarczająco, żeby kilka tuzinów mogło wrócić po dokładkę - przeważnie rodzice, biorący to dla swoich dzieci. Było grzecznie i kulturalnie, nikt nie walczył o to, kto dostanie dodatkową porcję albo odchodził zły. Wydawali się być po prostu wdzięczni za cokolwiek, co zostało im dane.

Było już po dziesiątej, kiedy w końcu wyszła z centrum społecznego. Od razu znalazła jej brata, stojącego przed budynkiem, opierającego się plecami o jego samochód, który zaparkował był przy krawężniku. Miał skrzyżowane ramiona na piersi. Gdy zbliżyła się do niego, zmarszczyła brwi.

- Dante? Wszystko w porządku?

- Tata wysłał mnie, żeby zobaczyć, co z tobą. Nie przyszedłeś do domu na kolację, więc się martwił.

- Jak długo tu byłeś?

- Godzinę lub coś koło tego.

- Dlaczego nie wszedłeś?

- Wszedłem - odparł. - Wszedłem, zamierzałem zapytać, kiedy wyjdiesz, ale zobaczyłem, że wciąż pracujesz. Pomyślałem, że pozwolę ci robić swoje i poczekam tu na ciebie.

- Nie musiałeś czekać - powiedziała. Dante tylko patrzył na nią. Tak, musiał poczekać. Ich ojciec wysłał go po nią, i nie było mowy, żeby mógł wrócić do domu sam.

- Chodź - powiedział, otwierając drzwi od strony pasażera, i wskazując gestem, żeby wsiadła do środka. - Chodźmy do domu. Padam z głodu.



Na rogu Sixth Avenue w dzielnicy Chelsea, stał trzydziestopiętrowy luksusowy budynek, mieszczący sześćdziesiąt obszernych mieszkań własnościowych, a każde z nich było wciąż puste. Budowa była właśnie zakończona, a lokatorzy spodziewali się, że zaczną się wprowadzać w przeciągu kilku tygodni. Światła na zewnątrz budynku

świeciły się, odbijając się w szerokich oknach i oświetlając małą przyczepę, zaparkowaną na parkingu.

W przyczepie zapaliło się przyćmione światło, a energia elektryczna zabrzęczała z agregatu prądotwórczego podłączonego do niego. Matty zatrzymał Lotusa od frontu nowego budynku, parkując w przestrzeni zaprojektowanej na parking z obsługą. Zamknął drzwi samochodu i ruszył prosto do przyczepy. Gdy do niej doszedł, lekko zapukał w drzwi.

Upłynęła zaledwie sekunda, zanim zostały uchylone i osiadł na nim podejrzliwy wzrok. Przez chwilę na twarzy mężczyzny ukazało się zdezorientowanie, po czym przez jego twardą powierzchnię przedarł się uśmiech. Szarpnięciem otworzył szerzej drzwi i uśmiechając się szeroko.

Gavin Amaro.

- No, no, no, - powiedział Gavin, - jeśli to nie jest jedyny i niepowtarzalny Matty-B.

Amaro, wraz z Genevas i Calabrese, uzupełniali pięć rodzin przestępczych, które kontrolowali podziemia Nowego Jorku. Chociaż starali się utrzymać neutralność, rodzina Amaro była powszechnie uważana za największego sojusznika Barsantich ze względu na fakt, że byli praktycznie rodziną.

*Niemal* kluczową. Roberto Barsanti i Johnny Amaro nie dzielili krwi, ale ich dzieci tak. Mężczyźni ożenili się z siostrami, Saviną i Leną

Brazzi z rodziny, która kontrolowała większą część New Jersey. Pomimo że to nie było wystarczające, by oficjalnie zjednoczyć rodziny, dało to Matty'emu kogoś z zewnątrz, do kogo mógł się zwrócić. Gavin był nie tylko jego kuzynem, ale również mentorem, a nawet kimś, kogo nazwałby bliskim przyjacielem. A dla ludzi o tym stylu życia, nawet tych tak daleko oddalonych jak Matty, przyjaciel nie był terminem lekko używanym.

- Gavin. - Skinął głową na powitanie. - Dobrze cię widzieć.

- Ciebie również - powiedział Gavin, odsuwając się na bok i machając, żeby Matty przeszedł. - Wejdz.

Gavin zamknął za sobą drzwi przyczepy, zanim opadł na krzesło stojące przy biurku. Przed nim stał otwarty notebook, a po całym biurku porozrzucone były papiery.

Matty wiedział, że były to książki rodziny Amaro.

- Jak to wygląda w tym tygodniu u ciebie? - Zapytał Matty, siadając ostrożnie na wyściełanej ławce z boku. - My nadal utrzymujemy dwudziestocentową różnicę.

- Tak samo tutaj - odezwał się Gavin, i chwytając ołówek wracając do pracy. - Te kilka tygodni były ciężkie. Zbyt wielu podskakiwało bez płacenia.

- Tak naprawdę, my nie mieliśmy tego problemu.

- Oczywiście, że nie - Gavin powiedział. - Masz Bestię, żeby ich ścigać. Enzo przegania kutwy z twojego terenu prosto na mój.

Matty uśmiechnął się.

- Tak, jest przydatny do tego.

- Z tego co słyszałem, przydatny dla wielu zadań. Wyrabia sobie nazwisko, jako następcę twojego ojca. Gdy zniknąłeś, każdy się przez chwilę martwił. Wszyscy zastanawiali się...

*Zastanawiali się, co będzie z rodziną Barsanti.*

Gavin nie musiał tego mówić. Matty o tym wiedział.

- No cóż, Enzo może to mieć. Jestem szczęśliwy tu, gdzie jestem.

Gavin sucho się zaśmiał.

- Nikt nie jest *szczęśliwy* prowadząc księgi. Robimy to, ponieważ ktoś musi, a połowa tych osłów nie umie nawet dodawać czy odejmować.

Matty nie miał na to żadnej odpowiedzi. To była prawda.

- Mówiąc o osłach - zagaił Matty. - Któregoś dnia byłem z Enzem w Małych Włochach, i wpadliśmy na Galantes.

- Serio? Primo?

- Nie, to był tylko Dante, - zawahał się po czym dodał, - i jego siostra.

- Ach, Lodowa Księżniczka.

Matty się zawahał.

- Czy *wszyscy* ją tak nazywają?

Gavin wzruszył ramionami.

- Jeśli buty pasują...

- Więc jest, co? Zimna?

- Tak - powiedział. - Zimna i rozpieszczona. Jest nieprzystępna, głównie dlatego, że Primo ściga każdego, kto ośmiela się nawet zbliżyć do jego księżniczki. Jest nadopiekuńczy, ale wiesz co - powiedziałbym że słusznie. Z pewnością ma powód, żeby trzymać ją w zamknięciu.

- Czy kiedykolwiek spuszcza ją z oczu?

- Rzadko. - Gavin przez chwilę kontynuował pracę w ciszy, zanim obrócił krzesło, aby znaleźć się twarzą do niego, unosząc pytająco brwi. - Dlaczego pytasz mnie o Genevieve Galante?

- Bez powodu.

Gavin pokręcił głową.

- *Zawsze* jest jakiś powód, więc nie wciskaj mi bzdur.

- Jestem po prostu ciekawy.

- Księżniczki Galante?



- Tak.

Gavin dziwnie się w niego wpatrywał, jakby decydując, czy powinien przyjąć tą odpowiedź.

- Spójrz, Matty, powiem ci coś, co ktoś powiedział mi raz, kilka lat temu, gdy stałem się *ciekawym* tej dziewczyny... Nie sadzaj swoich nasion w ogrodzie kogoś innego, bo narazisz się na zostanie pochowanym sześć stóp pod nawozem.

- Ktoś ci to powiedział?

- Parafrazuję, ale tak, zrobił to przyjaciel spoza organizacji Chicago.

- Chicago? Próbowałeś *posadzić swoje nasienie* w rodzinie DeMarco?

- Tak jakby. To długa historia, ale myślałem o tym, gdy nie powinno mi to nawet przejść przez myśl. Czasami to po prostu nie jest dobry pomysł. Nie idziesz głaskać jadowitego węża, wiesz? Nie ważne, jak piękny może być.

- Nie próbuję nic głaskać. Jestem po prostu...

- Ciekawy. Załapałem. - Gavin patrzył na niego jeszcze przez chwilę, zanim odwrócił się z powrotem do pracy. - Słyszałem, że pracuje w jadłodajni dla ubogich w East Harlem, w jednym z centrum społecznych. Wykonuje pracę społeczną jako karę za jakieś kłopoty, w które się dostała.

*Praca społeczna.*

- Założę się, że mają to miejsce strzeżone.

- Mógłbyś tak pomyśleć, ale nie, jest tam dość bezpieczna. Jej brat czasami czai się w pobliżu, gdy nie jest zajęty niczym innym. Wiesz, jak wtedy, gdy rodzina jest zajęta w innych dzielnicach, jak na Brooklynie, jak na przykład dziś wieczorem...

- Dziś wieczorem?

- Tak. - Gavin zerknął na swój zegarek. - Właściwie to tak naprawdę w tej chwili.

Matty wstał i ruszył do drzwi.

- Dzięki.

- Proszę bardzo. Ale Matty? Zostań złapany na głaskaniu czegoś, czego nie powinienesz, - a nie słyszałeś nic z tego ode mnie.

# ROZDZIAŁ 5

Poniedziałkowy wieczór. Chili. *Ponownie.*

- Podajesz to samo, co tydzień? - Zapytała Genna, taszcząc wielki garnek do lady serwującej, tym razem bez potknięcia się. Jej fartuch, przykrywający ciemne obcisłe dżinsy i czarną dopasowaną koszulkę, pozostał dziś prawie biały, plamiło go tylko kilka plamek sosu pomidorowego.

- Zazwyczaj - powiedział koordynator. - Podajemy to, co możemy uzyskać, i cóż, gospodarka jest w takim stanie, że to nie jest dużo. Ludzie nie walą do naszych drzwi z datkami, nie ma też kolejki ochotników pragnących nam pomóc.

W jej pierwszym tygodniu zauważyła, że to było te same kilka osób pracujących codziennie. Inni trzymali się sami, nie byli tak przyjaźni jak koordynator. Miała podejrzenia, że też nie byli tu z własnej woli.

Wieczór minął szybko, gdy nakładała chili, napełniając małe styropianowe miseczki - tym razem prawie po brzegi, zanim odkładała je na tace i przekazywała w dół linii. Ludzie przechodzili obok, żeby zebrać ich obiad, niektórych rozpoznała z poprzedniego tygodnia, kilku nawet nawiązało z nią przyjazną rozmowę.

Jej zmiana dobiegała końca za piętnaście siódma. Wpatrywała się w garnek chili, mieszając wodnistą mieszankę, obserwując wirującą wokół fasolę i kawałki pomidorów. Wzdychając, zaczęła wybierać resztę do miseczek, gdy ktoś powoli się zbliżył i odchrząknął.

- Wracasz po dokładkę? - Zapytała z uśmiechem na twarzy, zerkając w górę.

W chwili, gdy jej oczy złączyły się z jego, chili z chochlą w jej ręku odwróciło się całkowicie omijając kubek i ochlapując dolną część przodu jej fartucha. Sapiąc, odskoczyła do tyłu, zdając sobie sprawę co zrobiła, gdy tuziny oczu w pomieszczeniu obróciły się w jej kierunku na dźwięk zamieszania.

Ledwie to jednak zauważyła - jej wzrok wrócił, aby spotkać jego.

Matty.

- Dokładkę - powiedział, gdy patrzył prosto na nią. - Ponieważ za pierwszym razem było tak dobre, co?

Gennie zmroziło krew w żyłach. Nie miała pojęcia, co powiedzieć - nie spodziewała się, że kiedykolwiek jeszcze go zobaczy. Jej umysł był lawiną pytań. Czego chciał? Dlaczego był tutaj? Po prostu gapiła się na niego, nie będąc w stanie znaleźć słów, gdy wpatrywała się w jego jasne oczy.

*Uch, dlaczego musi być tak cholernie atrakcyjny?*

- Panno Galante? - Koordynator zawołał przez salę. - Wszystko w porządku?

- Uch, tak, w porządku - krzyknęła, odrywając spojrzenie od Matty'ego. Nie uszło jej uwadze, że wyraźnie skulił się na brzmienie jej nazwiska. - Po prostu miałam mały wypadek, ale już sobie z tym poradziłam.

Szybko rozwiązała fartuch, ściągnęła go i wrzuciła do kosza stojącego z boku. Gdy zaczęła sprzątać bałagan, robiła co w jej mocy żeby ignorować obecność Matty'ego, ale przez cały czas mogła poczuć na sobie jego wzrok. To wytrącało ją z równowagi na więcej niż jednym poziomie, jej żołądek trzepotał, podczas gdy próbowało to zagłuszyć inne uczucie.

*Strach.*

Był tam Barsanti, stojąc tuż przed nią, oddychając tym samym powietrzem, i nic nie mogła na to poradzić.

Gdy się odwróciła, zbliżył się do nich koordynator.

- Czy zamierzasz pomóc naszemu gościowi? - Zapytał, unosząc brwi, gdy skinął w kierunku Matty'ego. - Czekaj cierpliwie.

- Nie - powiedziała. - On właśnie wychodzi.

Powiedziała to rzeczowo, jak gdyby wystarczająco wierzyła w to, że może tak zrobić, ale Matty wydawał się uprzeć i to odepchnąć.

- Właściwie, nigdzie się nie wybieram.

- Ale nie masz tu żadnego interesu - powiedziała szybko. - To jadłodajnia dla ubogich. Ludzie przychodzą tu jeść.

- Może jestem głodny.

- Więc idź gdzie indziej.

Zanim zdążył się odgryźć, wtrącił się koordynator.

- To nie jest sposób, aby rozmawiać z jednym z naszych gości. Nie odprawiamy tu *nikogo*.

- On może sobie pozwolić na zakup własnego jedzenia - motywowała. - Jezu, tylko spójrz na niego! Nosi Rolexa.

- Nie osądzamy ludzi. Ani kwestionujemy ich powodów. Powiedział, że jest głodny. Nakarm go. *Koniec*. - Koordynator zaczął odchodzić, ale zawahał się. - I panno Galante? Spodziewam się również, że go przeprosisz.

Jak tylko koordynator odszedł, zwróciła uwagę ponownie na Matty'ego. Powoli, nałapała małą chochlę chili do miseczki i trzasnęła nią w dół. Styropianowe naczynie pękło, rozbryzgując wodnisty sos pomidorowy na tacę. Pchnęła ją w dół linii, a jej oczy ani na moment nie opuściły jego.

- Przepraszam, panie Barsanti. Chyba zapomniałam, że twój rodzaj, lubi wykorzystywać, kiedy to tylko jest ku temu okazja. Zapewniam cię, - nie popełnię tego samego błędu ponownie.

Przez chwilę patrzył na nią w ciszy, wyglądając tak, jakby jej słowa w ogóle go nie uraziły.

- Brzmi jak przeprosiny Galante, - gdybym kiedykolwiek je słyszał.

Spiorunowała go wzrokiem, gdy odszedł. Przeprosiny Galante? Co to miało znaczyć?

Matty uprzejmie przywitał się z innymi serwującymi, oczarowując ich, zanim wziął swoją tacę z końca linii. Swobodnie kroczył się przez salę, sprawiając, że coś tak zwykłego jak chodzenie, wyglądało jak forma artystyczna, - i wśliznął się na krzesło na końcu stołu, z dala od innych.

*Niewiarygodne.*

Godzina siódma. Genna odeszła od lady serwującej, jej zmiana oficjalnie się skończyła, ale zamiast skierować się do wyjścia, jej stopy instynktownie pokierowały ją prosto do niego. Zatrzymała się przy jego stole, z rękami na biodrach i surowym wyrazem twarzy.

- Czego, do cholery, chcesz?

Szturchnął plastikową łyżką pękniętą miseczkę, i nie patrząc w górę odpowiedział.

- Chcę trochę więcej mięsa w tym chili. Kurcze, trochę go poskapałaś, prawda? - Zamiast spojrzeć na nią, zerknął wzdłuż stołu, na innych jedzących. - Hej, czy twoje chili też jest trochę, uch... żalodne?

- Tak - człowiek zgodził się.

- Zawsze jest - ktoś narzekał.

- Powinni coś z tym zrobić - Matty powiedział.

- Tak, cóż, na bezrybiu i rak ryba, więc albo jedzcie to albo wyjdźcie - warknęła Genna. Gdy tylko te słowa opuściły jej usta, zdała sobie sprawę, jak nieczule zabrzmiała. Rozejrzała się wokół na innych w pobliżu, widząc kilka osób, patrzących na nią gniewnie. - Ja, uch... przepraszam. Ja po prostu...

- Nie chciała brzmieć, jak niewrażliwa suka - Matty powiedział od niechcenia, podnosząc łyżeczkę chili i przyglądając się jej ze wstrętem. - To jest po prostu cecha rodzinna.

Pochyliła się do przodu, położyła płasko dłonie na stole, i spiorunowała go wzrokiem.

- Masz bardzo dużo odwagi przychodząc tutaj. Skąd w ogóle wiedziałeś, jak mnie znaleźć?

Jego spojrzenie powoli przesunęło się z jedzenia na nią. Między ich twarzami było zaledwie kilka centymetrów przestrzeni. Wpatrywała się w niego, obserwując, jak jego usta drgnęły. Obezwładniło ją pragnienie, by go pocałować. Wspomnienia sposobu, w jaki czuła jego usta, wysyłały dreszcze w dół jej kręgosłupa, ale przemogła to.

To nigdy nie mogło się powtórzyć.

*Nigdy.*



- Mam swoje sposoby - powiedział cicho. - Nie jesteś trudną osobą do wyśledzenia. To była tylko kwestia znalezienia odpowiedniej chwili. Wiesz, gdy oni są zajęci.

Nie wchodził w szczegóły - czy sprecyzował, ale wiedziała, że miał na myśli jej rodzinę. Nie śpieszyła się dzisiaj, żeby dostać się do domu, ponieważ jej ojciec był poza miastem, a brat korzystał nieobecność starca, śpiesząc się do zgiełku Brooklynu, więc nie będzie rodzinnego obiadu. Nikt się jej nie spodziewał.

Wyraz jej twarzy szybko zmienił się z gniewu w strachu, a żołądek zamarzł. Skąd mógł to wiedzieć?

- Jak powiedziałem, mam swoje sposoby - powiedział, odpowiadając na jej nieme pytanie. - Wiedziałem, że nie przyjdą dziś, żeby sprawdzić, co z tobą więc to była moja szansa.

- Nie masz jaj, żeby mnie zranić - powiedziała twardym głosem, gdy wmusiła wiarę w swoje słowa... chociaż ledwie wierzyła w nie sama.

Ten facet był cholerną definicją niebezpieczeństwa, zwłaszcza z uczuciami, które w niej wzbudzał. Chciała jednocześnie przywalić mu w twarz i zedrzeć jego ubrania, i nie była pewna, które z tego ostatecznie wygra tę bitwę.

- Och, mam jaja - odpowiedział, unosząc na nią brew. - A może zapomniałaś? Ponieważ, ja nie.

- Masz o sobie tak wielkie, pełne mniemanie. - Czuła rozpaloną krew pędzącą do jej policzków na przypomnienie. Hm, tak, była również pełna *jego*... wypełniona aż po rękojeść, tak bardzo, że wciąż czuła bolesną pustkę, od kiedy się wycofał. - Nie byłeś *tak* wspaniały, wiesz.

- Sądząc po sposobie, w jaki krzyczałaś moje imię, muszę powiedzieć, że kłamiesz.

Jego słowa były wystarczająco głośne, aby zwrócić na nich uwagę. Jęcząc, zakłopotana Genna spojrzała ze złością na kilku wścibskich podsłuchiaczy, i szarpnęła krzesło naprzeciwko Matty'ego, żeby usiąść. Pochyliła się nad stołem, i odezwała się cichym głosem tak, aby nikt inny nie mógł jej usłyszeć.

- To teren *mojego* ojca. Powinieneś zostać po drugiej stronie Central Parku. Nie wolno ci tu przychodzić.

Bez odpowiedzi, Matty sięgnął przez stół w jej kierunku. W chwili, gdy jego ręka wystrzeliła, przesunęła się do tyłu, a nogi krzesła z piskiem przesunęły się po podłodze, gdy przeniosła się poza jego zasięg. Jej serce nierówno łomotało. Przełknęła z trudem, próbując odepchnąć strach, który wywołał ten ruch. Jego ręka zamarła w powietrzu, zwlekając tam przez chwilę, zanim powoli opuścił ją z powrotem na stół.

- Boisz się mnie.

- Jesteś jednym z nich.

- Byłem jednym z nich w dniu, kiedy się poznaliśmy, ale nie bałaś się wtedy.

- Nie wiedziałeś, kim byłam - odpowiedziała. - Nie miałeś żadnego powodu, żeby mnie wtedy skrzywdzić.

- Teraz też nie mam żadnego powodu, żeby cię skrzywdzić.

Zadrwiła. - Kłamca.

- Skąd wiesz, że kłamię?

- Twoje usta się ruszają.

- Spójrz, to nie ma nic wspólnego z biznesem mojego ojca - powiedział. - Jakikolwiek problemy mają nasi ojcowie... to nie ma nic wspólnego ze mną.

- To ma coś wspólnego z nami wszystkimi - argumentowała.

- Dlaczego?

Wpatrywała się w niego. Dlaczego? Jak mógł zadać to pytanie?

- Zawsze tak było. Twoja rodzina... twoja rodzina jest bezwzględna!

- Nie zachowuj się, jakbyście wy Galante byli usłani różami - odpowiedział. - Masz więcej cierni niż płatków, księżniczko.

*Księżniczka.* Sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że jej włosy się zjeżyły. Wpatrywała się w niego, gdy odwrócił się do swojego jedzenia, podnosząc ciekawą kanapkę i rozdzielając ją, żeby ją zbadać: dwa kawałki białego chleba, kawałek z pokrojonej szynki i plasterki sera, mocno wystające wokół brzegów.

- Jeśli nie chodzi o biznes, - zaczęła, zakładając ręce na piersi, - to dlaczego tu jesteś?

- Chciałem cię zobaczyć - powiedział cicho.

- Cóż, oto jestem - powiedziała. - Widzisz mnie? Dobrze. Teraz, czego naprawdę chcesz?

Jego wzrok powędrował z powrotem do niej, gdy opuścił kanapkę. Ponownie sięgnął przez stół, tym razem poruszał się powoli i rozmyślnie. Genna siedziała spokojnie, z plecami sztywnymi jak deska, a jej oczy zatrzepotały, gdy wierzchem ręki musnął jej zarumieniony policzek, wysyłając tym dreszcze, tańczące po jej skórze. Przesunął trochę krnąbrne włosy, które wypadły z pod czapki jankesów i wsunął je za jej ucho.

- Czy tak trudno uwierzyć, że chciałem *tylko* cię zobaczyć?

- Tak - przyznała.

- Cóż, to prawda - powiedział, znowu opuszczając rękę. Spojrzał ponownie na swoją tacę, chwytając łyżkę i zgarniając trochę chili. Tym razem, zamiast tylko wpatrywać się w to, wsunął łyżkę do ust i zaczął żuć. Genna wzdrygnęła się, patrząc jak jego twarz wykrzywia się z obrzydzeniem, ale przełknął to i wziął kolejny kęs. - Kto przygotował to gównno?

- Ja - powiedziała, patrząc na niego ze zdziwieniem. - Nie mogę uwierzyć, że naprawdę to jesz.

- Po to jest, prawda? To byłoby chamstwo, wziąć jedzenie i go nie zjeść.

- Cóż... nikt by cię nie winił - powiedziała, obserwując, jak wziął jeszcze jeden kęs. - Cecha rodzinna i wszystko.

Spojrzał na nią, uśmiechając się, gdy rzuciła jego zniewagę z powrotem na niego. Genna siedziała tam, patrząc z podziwem, gdy zjadł każdy kęs jedzenia na tacy, przelękając to bez odruchu wymiotnego, jakby próbował jej coś udowodnić. Otworzył mleko i wypił je duszkiem, zanim zgniótł pusty kartonik jedną ręką.

- Muszę się napić.

- Dadzą ci drugie mleko.

- Nie mleka.

- Jest wodotrysk z wodą po drugiej stronie sali.

Odepchnął pustą tacę na bok.

- Nie wody, również. Chcę drinka... prawdziwego drinka.

- Ach, szklanka rumu.

- I coli - powiedział.

- Nie było żadnej coli w tym rumie.

Zaśmiał się, odprężając się na krześle, gdy wpatrywał się w nią.

- Była.

- Nie dbam o to, co mówisz.

- Zatem, chodź ze mną - powiedział. - Pozwól mi ci pokazać. Zrobię ci jednego sam.

Instynktownie, pokręciła głową. Czy on zwariował? Spodziewał się, że gdzieś z nim pójdzie?

- Nie mogę.

- Możesz - nalegał. - Chryste, już pozwoliłaś mi zabierać cię do serca terytorium Barsanti.

- Nie wiedziałam, że byłeś....

- To nie ma znaczenia - powiedział, przerywając jej. - Poszłaś tam, wiedząc, że to nie było bezpieczne, i nawet nie mrugnęłaś okiem. Uwierzyłaś mi, że utrzymam cię bezpieczną, i zrobiłem to, prawda? Wróciłaś bezpiecznie do domu, zgadza się?

- Tak, ale...

- Więc co sprawia, że myślisz, że nie utrzymam cię bezpieczną teraz?

- Bo wiesz, kim jestem.

- I mówię ci, że to mnie nie obchodzi.

- Ale to wszystko zmienia - powiedziała. Nawet nie mógł temu zaprzeczyć. Niezależnie od tego, czy go to obchodziło, tak wielu innych będzie.

- Zmienia - zgodził się, pochylając się bliżej, a jego oczy latały z jej oczu na usta, niemal przez jakiś instynkt. I jakoś, wiedziała - walczył z takim samym pragnieniem, z jakim wcześniej walczyła ona. - Teraz, musimy być o wiele bardziej ostrożni.

Te słowa przepłynęły przez Genę, osłabiając trochę jej determinację. Wpatrywała się w niego, badając jego twarz, próbując znaleźć jakąś aluzję oszustwa, coś zdradzającego ukryte motywy, które była pewna, że musiał mieć, ale on tylko patrzył na nią, szeroko otwartymi oczyma pełnymi szczerości. *Uch, dlaczego musiał wyglądać tak cholernie szczerze?* Chciała wierzyć, że był wilkiem w owczej skórze, wysłanym żeby ją zwabić, by ją pożreć, ale w tej chwili wyglądał jak owca, która wiedziała, że jest niebezpiecznie blisko, żeby zostać obdartą ze skóry, ale ta owca i tak była gotowa iść do rzeźni sama.

- Nie mogę iść z tobą z powrotem do tego miejsca.

- Jakiego miejsca?

- *The Place.*

Uśmiechnął się na to.

- Zatem pójdziemy gdzieś, gdzie jest neutralnie.

- Nigdzie nie jest neutralnie.

- Małe Włochy?

Zakpiła.

- Błagam, przynajmniej połowa tej dzielnicy nas zna.

Ją, w każdym razie. Oczywiście, znali Barsanti, ale jeszcze nie była pewna, ile osób będzie w stanie go zidentyfikować. Jednak nie mogła ryzykować. Wystarczyłaby tylko jedna osoba, rozpoznająca ich razem, aby całe piekło wybuchło.

Przez chwilę siedział w milczeniu.

- Zatem gdzieś indziej.

- Nie ma nigdzie indziej. - Jej oczy zwęziły się, gdy przyglądała się mu, wciąż próbując się dowiedzieć, czy to był pewnego rodzaju podstęp.

- Skąd mam wiedzieć, że to nie jest sztuczka? Że nie wprowadzisz mnie prosto w zasadzkę?

- Nie będziesz wiedzieć. Po prostu musisz mi zaufać.

- Potrzebuję pewnego rodzaju gwarancji - powiedziała. - Jakiś rodzaj bezpieczeństwa.

- W takim razie wybierz miejsce. Pójdziemy tam, gdzie chcesz.

- Nie wiem gdzie.

Westchnął z irytacją, przesuwając ręce przez włosy.

- Zmierzamy tutaj donikąd.

Był w błędzie. Zdecydowanie dokądś zmierzali. Stopniowo, rozwalał jej ściany, pomimo głosu w głębi umysłu, krzyczącego, płaczącego, i ostrzegającego ją, żeby trzymała się z dala. Nie była idiotką,



i pomimo tego, co powiedziała bratu, wiedziała, że była dobrym sędzią charakterów. To było coś, co jej ojciec jej wpoił, ucząc ją, jak dostrzec intryganta na milę, ucząc ją, jak okantować oszusta. Ale ten facet, siedzący naprzeciwko niej był również tak szczery jak to możliwe - albo zasłużył na pieprzonego Oscara.

Wilk w owczej skórze, może nie, ale był niewątpliwie szatanem, kusząc ją na ciemną stronę. *Wybacz mi, Ojczy, bo nie chcę niczego więcej, jak tylko grzeszyć i grzeszyć i grzeszyć ponownie...*

- Mogę cię o coś zapytać?

Matty zmarszczył brwi. - Pewnie.

- Jak układasz swoje włosy, że twoje rogi nie są widoczne?

Wypuścił głośny śmiech, gdy odsunął krzesło.

- Zabawne.

- Było, prawda?

- Tak, to było dobre - powiedział, wstając. - Szczerze mówiąc, jestem zaskoczony, że to pochodziło z *twojego* umysłu.

Genna uśmiechnęła się, zdumiona, jak łatwo przyszło im przekomarzać się. *To musi być w naszym DNA.*

- Nie mogę zostać tu zbyt długo - powiedział, patrząc na nią. - Mój samochód jest zaparkowany na zewnątrz, i cóż, ktoś w końcu go zauważy.

Kiwnęła głową. Igrał z ogniem przyjeżdżając tutaj, nawet z jej zaabsorbowaną rodziną. Jej ojciec osobiście nie może go złapać, ale ktoś inny mógłby. Miał oczy i uszy w całym mieście.

- Byłeś głupi, że w ogóle tu przyjechałeś.

- Źle określasz nieustraszoność - powiedział, wyciągając rękę i lekko chwytając jej brodę. Przechylając jej twarz nieco bardziej ku niemu, wpatrując się w nią. - Dzięki za chili, Genna. Najlepszy posiłek z jadłodajni dla ubogich, jaki kiedykolwiek miałem.

- A często stołujesz się w jadłodajniach? - Zapytała, gdy zaczął odchodzić.

Zatrzymał się na chwilę, zerknął na nią do tyłu, a jego usta wykręciły się w tym protekcyjnym - i cholernie seksownym - uśmiešku.

- Nie, ale mogę zacząć.



Wchodzenie do jadłodajni dla ubogich w East Harlem, było jak wejście do ruchliwej podziemnej stacji metra. Ludzie ciągle - a jednocześnie wciąż chaotycznie, - przesuwali się do przodu, i pomimo faktu, że zawsze był tam ktoś sprząający, to miejsce ciągle pozostawało bardzo brudne. Nieprzyjemna woń z nieznanego źródła wisząca w powietrzu, - która Matty podejrzewał że mogła być jakąkolwiek

miksturą którą przyrządzali w kuchni, - była dostatecznie silna, aby sprawić, że się wzдрыgał, podczas oddychania.

Ponownie przeszedł wolnym krokiem w kierunku końca serwisu, od razu zauważając Gennę za ścianką działową. Nawet mając na sobie bardzo brudny fartuch, założony na dżinsy i koszulkę, zmusiła go do zatrzymania się, aby ją obejrzał. Uśmiech rozświetlał jej twarz, - rodzaj uśmiechu, który mógłby zastąpić słońce, a ty nawet nie zauważyłbyś obniżenia temperatury. Dziewczyna była *promienna*. Roześmiała się, a głowy mimowolnie obróciły się w jej kierunku, jak kwiat, odwracający się w stronę światła.

Lodowa księżniczka? Raczej nie. Była przeciwieństwem zimna.

Chryste, tylko jej widok sprawił, że Matty chciał mówić pieprzoną poezją, jakby był wcieleniem Szekspira.

Gdy się zbliżył, Genna spojrzała w górę, a wyraz jej twarzy trochę przygasł. W jej oczach było widać zmartwienie, gdy rzucała szybkie spojrzenia wszędzie wokół, robiąc wszystko, by nie patrzeć na *niego*. Rozumiał to... naprawdę. Nie ufała mu. Nie mógł powiedzieć, że ją wini.

Po chwili, sceptycznie spotkała jego spojrzenie, a jej policzki się zarumieniły.

- Czego chcesz teraz?

Jej głos był na krawędzi wrogości, co sprawiło, że trudno mu było się nie śmiać. Słabo skrywane rozbawienie Matty'ego sprawiło, że jej

oczy się zwęziły, gdy patrzyła na niego gniewnie, czekając na odpowiedź.

- Po prostu wstąpiłem, - powiedział. - Ale nie martw się, tym razem nie zamierzam kraść żadnego twojego jedzenia. Przyniosłem własne.

Uniósł swoją torbę jedzenia na wynos, by zobaczyła, że przywiązywał uwagę do tego co powiedziała, kiedy skrytykowała go za zabieranie jedzenia ludziom, którzy go potrzebowali. Spodziewał się, że może co najwyżej na to zerknie, ale błysk gniewu w jej oczach go zaskoczył.

- Przyniosłeś własne jedzenie? Czy jesteś głupi? Nie możesz tego robić!

- Dlaczego?

- Dlaczego? To *niegrzeczne!* Jak śmiesz przynosić to tutaj i drażnić tych ludzi. W każdym razie, co to jest? - Zanim zdążył odpowiedzieć, sięgnęła przez przegrodę i wyrwała torbę z jego ręki, otwierając ją, aby zerknąć do środka. Przesunęła jedzenie, lustrując wzrokiem zawartość. - Frytki i co, kanapka filadelfijska? Masz w niej cebulę i paprykę?

- Oczywiście.

Chwyciła frytkę i wrzuciła ją do ust, pośpiesznie zamykając torbę. Jej oczy szybko spojrzały obok niego.

- Hej, ty. Tak, ty... facet w zielonej koszuli. Lubisz kanapki filadelfijskie?

Matty obrócił się, patrząc na faceta obok niego, gdy oczy mężczyzny się rozszerzyły.

- Uch, tak, pewnie.

Genna pchnęła torbę nad przegrodą, w jego stronę.

- Proszę bardzo. Zjedz to. Smacznego. Ja stawiam.

Mężczyzna chwycił jedzenie, szybko mówiąc 'dziękuję', i rzucił się do ucieczki, zanim ktokolwiek mógł mu je zabrać. Matty odwrócił się, wpatrując się w Genę, która wzięła papierową miseczkę i nałożyła do niej jakiś rodzaj brązowego mazistego gulaszu.

- Smacznego obiadu, panie Barsanti<sup>11</sup> - powiedziała, stawiając ją na tacy, zanim przesunęła ją w dół linii.

Matty stał tam przez chwilę oniemiały, ale nie powiedziała nic więcej. Obsesowo odprawiła go machnięciem ręki, i kontynuowała nakładanie gulaszu dla innych.

Nie chcąc opóźnić linii czy robić większej sceny, Matty odszedł i wziął tacę z końca. Skierował się przez salę, prosto do tego samego miejsca, na którym siedział ostatnim razem. Spojrzał na jedzenie, podnosząc plastikową łyżkę i przesuwając gulasz wokół miski.

---

<sup>11</sup> Haha, babka ma ikrę, trzeba to przyznać xD - Kaś

Zauważył, że ziemniaki i marchew zamieniały się w papkę na prosty dotyk. Gulasz wołowy, - jak przypuszczał, pomimo że ledwie znalazł jakąkolwiek wołowinę.

Z wahaniem wziął mały kęs, wzdrygając się, gdy go przełknął. To smakowało tylko wodą i solą. Nie mógł pojąć, jak można codziennie jeść takie gówno.

Tym razem to trwało dłużej, ale Genna w końcu podeszła do niego na kilka minut przed siódmą, wyszarpując krzesło stojące naprzeciwko i opadła na nie. Krzyżując ramiona na piersi, ostentacyjnie się w niego wpatrywała. W przeciwieństwie do wczoraj, gdy była w defensywie walcząc rozpaczliwie aby pojąć jego obecność, ta dziewczyna siedziała tu całkowicie opanowana, z otaczającą ją aurą władzy. Z jej porów emanowała śmiałość granicząca wręcz z pewnością siebie.

Matty wiedział że to gra, ale cholera, jeśli go nie pociągała.

- Teraz jesteś mi winna obiad - powiedział rzeczowo.

- Dałam ci obiad - powiedziała, wskazując w kierunku jedzenia znajdującego się przed nim. - Nawet ugotowałam go sama.

- Tak, cóż, zrobisz mi przysługę? - zapytał, biorąc kolejny kęs gulaszu wołowego. - Nigdy ponownie dla mnie nie gotuj, ponieważ to? To nie jest twoja mocna strona.

Dramatycznie sapnęła, łapiąc się za pierś w udawanym bólu.

- Czy to znaczy, że nie spełniam twoich oczekiwań? Jak kiedykolwiek pójdę dalej?

Bez odpowiedzi, ostentacyjnie wmusił każdy cholerny kęs okropnego gulaszu, zanim popił to mlekiem, zdesperowany, aby pozbyć się słonego smaku ze swoich ust. Wzdychając, rzucił karton na tacę i na nią spojrział.

- Więc, co powiesz na drinka, Genna?

Jej pewny siebie wyraz twarzy osłabł trochę, zastąpiony przez sceptycyzm.

- Będziemy robić to codziennie?

- Robić, co?

- Robić *to* - powiedziała, wskazując między nich dwoje. - Ta rzecz, gdzie udajesz, jakby faktycznie mogłoby być kiedykolwiek *coś* między nami.

- Mogłoby być - powiedział. - Było.

- To przeszłość.

- I mówiłem ci, że nie żyję przeszłością.

- Zatem dlaczego tu jesteś?

Chryste, była irytująco uparta. Pochylając się, przesunął swoją tacę na bok. Żadne słowa nie wyszły z jego ust, gdy patrzył jej w oczy,

wchłaniając bladoniebieską barwę, tak nienaturalnie jasną, że wydawały się niemal szare, pozbawione koloru. Jak najbardziej lodowaty kamień.

- Nie patrz jej w oczy - powiedział cicho. - Jest niebezpieczna.

Zbladła.

- Co?

- To jest to, co mówią o tobie. Jestem pewien, że twoja rodzina przestrzegała cię przede mną, każąc ci trzymać się z dala, ale nie jesteś jedyna, Genna. Ja też słyszałem to wszystko. Mają wiele imion dla ciebie... Lodowa Księżniczka... Meduza... mówią, że jesteś najgorszym rodzajem potwora, rodzajem, który może doprowadzić mężczyznę na kolana, który może zniszczyć jego świat prostym spojrzeniem.

Zamrugnęła szybko, odwracając na chwilę wzrok, zanim przewyciężyła ciekawość. Odwróciła się z powrotem do niego.

- Słyszałam wcześniej o Lodowej Księżniczce, ale poważnie nazywają mnie *Meduzą*?

Uśmiechnął się na pełen niedowierzania ton jej głosu.

- Nazywają.

Milczała przez chwilę, w zamyśleniu zagryzając dolną wargę, jej wzrok znowu opuścił jego. Tym razem nie wrócił.

- Jeśli przestrzegali cię przede mną, dlaczego po prostu nie trzymasz się z dala? Byłoby o wiele łatwiej.



- Nie robię rzeczy tylko dlatego, że są łatwe. Pomimo tego co możesz myśleć, nie mam złowrogich zamiarów. Ryzykuję przychodząc tutaj, ponieważ jedno z nas musi podjąć to ryzyko. Jedno z nas musi być gotowe, żeby wykorzystać możliwość. Ale jeśli chcesz, żebym trzymał się z daleka, jeśli nie chcesz mieć nic ze mną wspólnego, w porządku. Po prostu mi powiedz. Będę trzymał się z daleka. Nigdy nie zobaczysz mnie ponownie. - Odsuwając krzesło, wstał i pochylił się nad stołem. Napięła się, a jej oczy się zamknęły, gdy przysunął bliżej do jej swoją twarz, a jego policzek musnął jej, gdy szepnął jej do ucha. - Jednak dla mnie jest już za późno. Już spojrzałem złodziejce duszy w oczy.

Chwytnąjąc tacę, zaczął odchodzić, gdy dźwięk jej głosu zatrzymał jego kroki.

- Matty?

Obracając się, uniósł pytająco brwi.

Wpatrywała się w niego przez chwilę, marszcząc brwi, gdy uwolniła włosy spod swojej czapki i przesunęła palcami przez falujące kosmyki.

- To nie jest, uch... to nie dlatego, że moje włosy wyglądają strąkowato jak węże, prawda? Ponieważ przysięgam, zazwyczaj wyglądają lepiej od tego.

Wybuchnął śmiechem, kręcąc głową. *Ta cholerna dziewczyna...*

- Jesteś piękna, Genna. Najładniejszy złodziejaszek samochodów, jakiego kiedykolwiek widziałem.

Matty wyszedł z budynku, trzymając opuszczoną głowę i idąc szybko wzdłuż przecznicy za róg, do miejsca, gdzie w ciemnej alei zaparkował Lotusa. Wyciągając kluczyki, nacisnął przycisk, aby odblokować drzwi samochodu i wcisnął zdalne uruchomienie. Silnik ryknął do życia. Zadzwonił jego telefon w kieszeni - jego osobista linia, nie Blackberry, który był zamknięty w schowku samochodu. Wibrował nieustannie w ciągu ostatnich kilku minut, ale nie chciał, żeby cokolwiek przerwało jego rozmowę z Genę. Otworzył drzwi samochodu, wsunął się do środka - poza zasięg wzroku, - gdy wyciągnął telefon.

Enzo.

- Tak? - Powiedział, odbierając, gdy ruszył i zmienił bieg w samochodzie, chcąc wydostać się z East Harlem. Ociągnięcie się mogłoby z łatwością go zabić. Przyjechał dziś wieczorem bez potwierdzenia, że Galante byli zajęci. Na wszystko, co wiedział, mogli go obserwować.

- Jezu, Matty - powiedział Enzo, szalonym głosem. - Gdzie jesteś do cholery?

- W pobliżu Central Parku. - Wystarczająco blisko, w każdym razie. - Dlaczego? Co się dzieje?

- To *ma* - powiedział. - Została zabrana do szpitala.

Przez jego ciało przepłynął chłód, gdy mocno chwycił dźwignię zmiany biegów.

- Którego?

- NewYork-Presbyterian.

Powiedział, że dostała ataku. Znaleźli ją nieprzytomną. Matty pojechał prosto na północ do Presbyterian i spotkał się z rodziną w poczekalni dwadzieścia minut później. Nie pytali gdzie był, albo dlaczego zajęło mu tak długo, żeby odebrać telefon, i był za to wdzięczny.

Nie miał pojęcia, co by powiedział, gdyby zapytali.

Przeprowadzili jakieś testy i zdecydowali, że zatrzymają ją na obserwację. Życie nie zatrzymało się dla Enza i jego ojca, którzy ciągle przychodzili i wychodzili, ale Matty nie odchodził od jej boku przez dwa dni. Mógł robić swoją część w dowolnym miejscu. Gdy wyrzucili go z jej pokoju, zamieszkał w holu szpitalnym, jedząc jedzenie ze stołówki, które rywalizowało z gównem, które przyrządzała Genna, i kierowaniem rozmów telefonicznych z zakładami do *The Place*.

To był czwartkowy wieczór, dobrze po godzinach odwiedzin, gdy siedział na małym niewygodnym krześle, a ściszony telewizor dawał mu wystarczająco dużo światła, aby przeglądał liczby w notebooku. Jego matka głęboko spała. Pokój wypełniało jej miękkie ciche chrapanie, - dźwięk, który niemal ukołysał Matty'ego do snu.

Czuł się tak, jakby nie spał przez wieczność.

Drzwi otworzyły się i spojrzał przez pokój, spodziewając się, że to pielęgniarka, która przysłała go wyrzucić, ale był zaskoczony, spotykając spojrzenie ojca. Nie było go w pobliżu od rana.

Roberto cicho się zbliżył, gładząc włosy matki Matty'ego i spoglądając na nią, gdy mówił cicho, chociaż jego słowa wyraźnie były skierowane do Matty'ego.

- Jestem zaskoczony, że wciąż tu jesteś.
- Nie zostawię jej, jeśli mogę coś na to poradzić.
- Nie miałem na myśli w szpitalu.
- Wiem, co miałeś na myśli.

Był zaskoczony, że Matty nadal był w Nowym Jorku.

Z poważnym wyrazem twarzy, powoli przesunął spojrzenie na Matty'ego.

- Zakładam, że nie zmieniłeś zdania na temat mojej oferty?

Matty pokręcił głową.

- Te inne rzeczy nie są dla mnie.

Zgodził się przyjąć odpowiedzialność za księgi, ale to było tak daleko, jak wszedłby w interes rodzinny. Gdyby miał być zaangażowany, gdyby musiał pomóc, trzymałby się za kulisami. Nie chciał mieć nic wspólnego z przemocą i nienawiścią - nic wspólnego z rywalizacją.

- Mylisz się, Matteo. To *wszystko* jest dla ciebie. Zbudowałem to całe imperium dla ciebie, i smuci mnie, że bardzo mało chcesz mieć z nim wspólnego.

- Smuci? - Zapytał. - Czy doprowadza do szału?

- Oba - jego ojciec przyznał. - Jesteś moim najstarszym, i denerwuje mnie, gdy widzę, jak robisz afront rodzinnemu dziedzictwu.

Piekielnemu dziedzictwu, pomyślał Matty, ale nic nie powiedział. To spowodowałoby tylko kłótnię - kłótnię, której nie muszą mieć *tutaj*. Roberto również wydawał się zdawać sobie z tego sprawę, bo jego spojrzenie przeniosło się z Matty'ego z powrotem na łóżko szpitalne.

- Idź do domu, Matteo. Ona zostanie wypuszczona rano. Nie ma nic więcej, co możesz zrobić tutaj.

Nie chciał wyjść, ale wiedział, że jego ojciec nie przyjmie lekko odmowy. Roberto był przyzwyczajony do ludzi, którzy podążali za każdym jego słowem, co było tym, co spowodowało rozdźwięk pomiędzy nimi. Matty nie był zbyt dobry w byciu uległym.

Zerkając na zegarek, zobaczył, że była prawie siódma.

- Tak, masz rację.

Zaczął wychodzić, przechodząc obok ojca, gdy mężczyzna wyciągnął rękę i chwycił go za ramię, zatrzymując go.

- Wiem, że nie chcesz się angażować, ale pewne rzeczy są nieuniknione. Jesteś Barsanti, i jeśli nie znajdziesz sposobu, żeby przestać nim być, zawsze będziesz miał cel na swoich plecach po tym, co się zdarzyło. Więc bądź ostrożny - wiesz. Zostań tam, gdzie możemy cię chronić.

Wiadomość była głośna i wyraźna: trzymaj się z dala od terytorium Galante. Matty kiwnął głową, przyswajając te słowa, ale się nimi nie przejmując.

Tak szybko jak znalazł się w swoim samochodzie, pojechał prosto do East Harlem.

Było kilka minut po siódmej, gdy dotarł do tej części miasta. Zbliżył się do jadłodajni i właśnie miał zaparkować samochód na miejscu parkingowym wzdłuż krawężnika, gdy spostrzegł Dantego, czającego się od frontu.

Przeklinając, przemknął tuż obok, mając piekielną nadzieję, że Galante go nie zauważył.



Genna miała gówniany dzień w domu, następnie gówniany wieczór w jadłodajni, zakończony największym gównem z gównien: jej niańka aka ochroniarz czekał na nią na zewnątrz, gdy jej zmiana się skończyła.

To nigdy nie wróżyło dobrze.

Dante stał przy krawężniku, z rękoma wsuniętymi do kieszeni. Ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w ulicę. Genna powoli się do

niego zbliżyła, chwytając go za ramię i przestraszając tym go. Podskoczył, i natychmiast spiorunował ją wzrokiem.

- Cholera, Genna, przestraszyłaś mnie!

- Przepraszam - powiedziała, zerkając za niego. - Na co patrzysz?

- Na nic, po prostu myślałem, że widzę... - Przerwał, gdy spojrzał na nią z dziwnym wyrazem twarzy. - Nie widziałaś żadnego Barsanti, czającego się tu w pobliżu, prawda?

Jej oczy rozszerzyły się. *O cholera.* - Oczywiście, że nie.

- Musiało mi się przewidzieć - powiedział. - To wyglądało prawie, jak ten samochód z Małych Włoch, ale nawet oni nie są tak głupi, prawda?

- Prawda. - Szkoda, że byli. Głupi, głupi chłopak. Wcale się nie pokazywał przez kilka ostatnich dni. Zlekceważyła to, drwiąc, mówiąc sobie, że tak było najlepiej, że nie powinna być zaskoczona, ponieważ był jednym z nich... byli zwariowani, i nie powinna go chcieć w pobliżu siebie. Ale jednak... tęskniła za nim. Zorientowała się, że czeka na niego, obserwując drzwi, rozczarowana, gdy jej zmiana się kończyła, a jego nigdzie nie można było znaleźć. Nawet się martwiła. *Boże, co do cholery jest ze mną nie tak, denerwuję się o jednego z nich?* - To musiał być ktoś inny. To nie byliby oni. Nie tutaj.

- Masz rację - zgodził się. - Powiesz mi, jeśli zobaczysz któregoś z nich, prawda?

- Oczywiście - powiedziała, marszcząc brwi. Nienawidziła okłamywać Dantego. Był jej osobą, ale nie zrozumiałby tego. Jak mógł? Sama ledwie rozumiała. - Powinniśmy iść, zanim spóźnimy się na obiad.

- Ach, tak, dlatego tu jestem - powiedział. - Tata musiał wyjechać z miasta na kilka dni, więc jesteśmy tylko ty i ja.

- Och?

- Tak, mam plany na ten weekend, ale pomyślałem, że ty i ja możemy coś porobić dziś wieczorem.

- Oj, dostałeś trochę wolności i nie ma nikogo innego, z kim wolałbyś ją spędzić?

- Oczywiście, że jest - powiedział, - ale i tak to zrobisz.

Przewróciła oczami, trącając go, gdy podeszła do jego samochodu od strony pasażera, podczas gdy on usiadł za kierownicą.

- Więc, gdzie chcesz jechać?

- To nie ma dla mnie znaczenia - powiedziała.

Uniósł brwi.

- Genna, bez opinii? Zaczyna mi się podobać ta twoja nowa odsłona.

Roześmiała się, gdy uruchomił samochód i włączył się w ruch, przyspieszając wzdłuż ruchliwej ulicy.



- Wciąż jestem taka sama.

- Nie, nie jesteś - powiedział. - Daj spokój, Genna, z którą dorastałem już miotałaby się z pracą społeczną i zmuszała tatę do opłacenia kogokolwiek, kogo musiał opłacić, aby wydostać ją z tego bałaganu. Byłaś *taka*, a teraz akceptujesz to wszystko.

- To nie jest takie złe - powiedziała, wzruszając ramionami. - To znaczy, to nie jest łatwe, ale to nie tak, że wykonuję pracę fizyczną. Po prostu gotuję.

- I jak to się udaje?

- Strasznie. Najwyraźniej, jestem głównianym kucharzem.

- Ani trochę mnie to nie dziwi - Dante powiedział, rzucając jej figlarny uśmiech. - Zawsze mówiłem, że będziesz dobrą żoną *trofeum*.

Poszli na obiad do restauracji specjalizującej się w stekach na Upper Eastside. Genna zdjęła czapkę i przesunęła palcami przez włosy, próbując poprawić swoją nedorobioną prezentację, zanim dołączy do brata wewnątrz restauracji. Był spokojny, rozsiadł się w boksie, sącząc z kieliszka gratisowe wino. Jak tylko Genna wsunęła się naprzeciwko niego, kelner zwrócił się do niej.

- Wina, panienko?

Właśnie miała powiedzieć wyraźne "cholera, tak!", gdy jej brat odchrząknął, odprawiając kelnera.

- Ona ma tylko osiemnaście lat, człowieku.

Genna spiorunowała wzrokiem Dantego, gdy kelner odszedł, zabierając jej alkohol wraz z nim.

- To podłe.

- Jesteś moją młodszą siostrą - powiedział. - Moim zadaniem jest o ciebie dbać.

Przewracając oczami, wypła szklankę wody z lodem, czekając, aż wróci kelner. Zamówiła stek i pieczone ziemniaki, i flirtowała jak szalona, próbując przekonać mężczyznę, aby przyniósł wino z powrotem, ale bezskutecznie. Dante obserwował ją z rozbawieniem, stale pijąc własny alkohol.

- Więc powiedz mi - powiedział w końcu. - Jak twój facet?

Napięła się, z widelcem w powietrzu, gdy rzuciła szybkie spojrzenie przez stół na brata.

- Jaki facet?

- Pan Eyes on Fire<sup>12</sup> - Powiedział. - Co się z nim stało?

- Ja, uch... nic - wymamrotała. - Nic się nie stało.

- Tata powiedział, że nazywa się Matthew, czy jakoś tak? Matt... nazwał go Matty.

Zamrugła kilka razy, unikając jego spojrzenia. *Nie dobrze.*

---

<sup>12</sup> Pan Ogniste Spojrzenie :D

- Eee, tak. To było, uch... to nie było to, co myślałam, że było.

- Szkoda - powiedział. - Ale wiesz, jeśli chcesz, żebym spiknął cię z Umberto...

- O mój Boże - powiedziała głośno, przerywając mu. - Jeśli chociaż spróbujesz, Dante, przysięgam, zamienię twoje życie w piekło.

- Daj spokój, czemu nie?

- Wrócę do Jacksona, zanim w ogóle będę nosić się z zamiarem spotkania się z Umberto.

- Co jest nie tak z Umberto?

Zanim zdążyła odpowiedzieć i zapytać go, co było *w porządku* z Umberto, zadzwonił telefon Dantego. Swobodnie go wyciągnął i zerknął na ekran, rzucając jej refleksyjne spojrzenie, zanim odebrał.

- Co się dzieje, tato?

Dante przez chwilę w ciszy słuchał ich ojca, nie odrywając od niej wzroku. Genna pokazała mu język, gdy kelner wrócił, ponownie napełniając jego kieliszek winem. *Głupek*. Stłumił śmiech, a wyraz jego twarzy poprawił się, gdy skupił się z powrotem na rozmowie. - Planujemy wkroczyć w ten weekend... Nie sądzę, że napotkamy duży opór, wiesz, ponieważ to Małe Włochy... tak, Umberto jest w tym ze mną, nic wielkiego. Mamy to pod kontrolą.

Dante podniósł kieliszek wina, złośliwie biorąc łyk i teatralnie przewracając oczami do tyłu głowy, jakby to była najwspanialsza rzecz,

jaką kiedykolwiek próbował. Genna cisnęła w niego kilka z jej ziemniaków, ale Dante tylko je strzepał, skupiając się z powrotem na rozmowie.

- Mówiąc o nich, wydawało mi się, że widziałem najstarszego dzisiaj... jechał tym sportowym samochodem, wiesz, tym fantastycznym czerwonym? Szpanerski skurwiel. Jak głupi może być? Nawet Enzo wie, jak latać pod radarem, a on jest dokładnie tak głupi jak reszta z nich.

Genna napięła się, patrząc na brata.

- No cóż, na ulicy mówią, że Savina jest chora. Tak, rak czy coś. Jest leczona w Presbyterian w Washington Heights... prawdopodobnie tam się kierował, gdy przejechał przez East Harlem, ale pomyślałbyś, że wie lepiej i zostanie na zachodzie.

Genna przesuwiała jedzenie wokół swojego talerza, jej apetyt dawno zniknął, gdy wchłaniała słowa brata.

- Tak, przejechał tuż obok jadłodajni... Nie wiem, czy wiedzą, że Genna tam pracuje, ale może pomyślimy o kilku ludziach, obserwujących to miejsce. Wiesz, tak na wszelki wypadek.

Jej serce opadło do żołądka, a widelec uderzył o talerz, wysuwając się z jej palców. Dante rzucił jej dziwne spojrzenie.

- Prawdopodobnie powinienem już kończyć. Tak, będę cię informował na bieżąco.

Rozłączył się, schował telefon i skupił się na swoim talerzu.

- Wszystko będzie w porządku - wiesz. Będziemy cię chronić.

- Ja, uch... nie boję się. - W każdym razie nie boi się tego, czego powinna się bać. - Nie musisz się mną zajmować.

Dante był cicho przez chwilę, krojąc stek w milczeniu, zanim upuścił sztucę i zaprzestał pozorować jedzenie.

- Wiesz, *tego* dnia... dnia...

- *Tego* dnia?

Kiwnął głową.

Dnia, kiedy Joseph Galante stracił życie w wybuchu.

- Co w związku z nim? - Genna zapytała. Dante rzadko o mówił tym.

- Prawie umarłem tego dnia, Genna.

- Wiem - powiedziała cicho.

- Wiesz, dlaczego nadal żyję?

Powoli, pokręciła głową.

- Ponieważ byłem zbyt zajęty, próbując zająć się tobą. Nie byłem w tym samochodzie z Joey'em, bo czekałem na ciebie. Więc, w pewnym sensie, uratowałaś mi życie. Obserwowanie ciebie, uratowało mi życie. Robiłem to, odkąd byłem dzieckiem i nie zamierzam przestać robić tego teraz.

Wzdychając, Genna podniosła szklanę wody i sączyła ją, próbując zagłuszyć swoje uczucia. Czuła kwas w żołądku, poczucie gorzkiej zdrady utrzymywało się wewnątrz niej.

- Myślisz, że Matteo Barsanti jest problemem? Że jest... zły?

Dante wzruszył ramionami.

- Jest Barsantim, prawda?

- Tak, zgaduję, że tak - Genna wymamrotała. - Widziałam raz jego zdjęcie, w naszym domu.

- Wiem - Dante powiedział. - Tata mi powiedział.

Genna spojrzała na niego dziwnie.

- Powiedział?

- Tak - odpowiedział. - Powiedział, że węszyłaś wokół rzeczy mamy i znalazłaś je.

- Powiedział ci, że wściekł się na mnie za to?

- Powiedział, że mógł trochę przesadzić.

- Mało powiedziane! Uziemił mnie w moje urodziny.

- Tak, cóż, był zdenerwowany. Nie lubi, gdy mu się przypomina, że kiedyś dobrze dogadywaliśmy się z tymi ludźmi.

- A Matteo i Joey... oni byli...?

- Przyjaciółmi, tak - Dante powiedział. - Najlepszymi przyjaciółmi.

- Ale wtedy... zdarzył się ten dzień.

- Tak - Dante potwierdził. - Ten dzień.

Tego dnia Roberto Barsanti zabił najlepszego przyjaciela swojego syna.

Nikita24

## ROZDZIAŁ 6

Właśnie zaczęło się wydawanie obiadów, i otwarto drzwi centrum społeczności dla gości przeciskających się do środka. Genna stanęła przy swoim miejscu w linii. Metodycznie i obojętnie nakładała na plastikowe tacki, wcześniej pokrojone kawałki mięsa, zanim naląła na nie grudkowaty sos i wysłała posiłek w dół linii. Ludzie przechadzali się wokół spokojnym krokiem, niektórzy rozmawiając, a większość po prostu przemieszczała się w milczeniu. Minęło zaledwie kilka minut, gdy owinął ją znajomy zapach, niosąc się łagodną bryzą.

Nie musiała nawet podnosić wzroku. Uśmiech lekko dotknął jej ust, a serce nabrzmiało z nieokreślonych emocji.

*Pieprzone uczucia.*

- Co to, do cholery, jest?

Genna powoli spojrzała w górę, spotykając spojrzenie Matty'ego, gdy zatrzymał się tuż przed nią.

- Klops.

- To, - powiedział, machając w kierunku tacy, - nie jest klops. Zniosłem chili, i przecierpiałem gulasz wołowy, ale to? To jest *nienaturalne*.



- Powinieneś być tu wczoraj - powiedziała Genna. - Zrobiłam cholerny gar zupy z kukurydzy, ziemniaków i mleka.

Wyraźnie się skrzywił.

- Ludzie faktycznie to zjedli?

- Do każdego ostatniego kęsa - potwierdziła Genna.

- I przeżyli?

- Tak.

Pokręcił głową, gdy cofnął się o krok od linii.

- Przykro mi, Genna, ale tu wyznaczam swoją granicę.

Genna zmarszczyła brwi. Cisnęła trochę mięsa na tacę, nie chcąc zatrzymać linii, i obserwowała z niedowierzaniem, jak Matty odwrócił się i przechodząc szybko obok ludzi czekających na obiad, wybiegł przez drzwi.

*Drań wyszedł.*

Radosne podniecenie, które czuła zaledwie chwilę wcześniej, zniknęło. Wzdychając, zwróciła uwagę z powrotem na tacę, kontynuując porcjowanie jedzenia i wysyłając je w drogę. *Tak będzie najlepiej*, mówiła sobie. *I tak nie może tu być.* To nie było bezpieczne.

Piątek. Wieczór minął boleśnie powoli. Była już prawie siódma, a całe jedzenie już zniknęło. Nie było już dla nikogo żadnych drugich porcji. Ledwie mieli wystarczająco na skąpe *pierwsze*. Genna zaczęła

sprzątać, gdy ktoś za nią chrząknął. Odwracając się, jej oczy się rozszerzyły, gdy ponownie stanęła twarzą w twarz z Mattym.

- Wróciłeś.

Z rękoma w kieszeniach kiwnął głową. Wyglądał spokojnie.

- No cóż, przykro mi, ale całe jedzenie zeszło - powiedziała, wskazując w kierunku pustych naczyń. - Zabrakło nam.

- Nie przyszedłem tu, żeby zjeść.

- Zatem dlaczego tu jesteś?

- Wiesz, dlaczego - powiedział, przechodząc bliżej przekładki pomiędzy nimi. - Wyjdź gdzieś ze mną.

Pokręciła głową.

- Nie wiem gdzie.

- Ja wiem - powiedział.

Spojrzała na niego ostrożnie.

- Potrzebuję jakiegoś zapewnienia.

- Znasz numer 911, prawda? Użyj go, jeśli poczujesz potrzebę.

- Skąd mam wiedzieć, czy w ogóle będę miała szansę?- Zapytała. - Co jeśli to pułapka?

- Daj spokój. Poważnie myślisz, że zrobiłbym to?

- Ja tylko...

- Posłuchaj mnie - powiedział, przerywając jej, gdy rozejrzył się dookoła, aby się upewnić, że nikt nie podsłuchiwał. - Rozumiem to. Nie spodziewałaś się tego, nie spodziewałaś się, że jestem kim jestem, ale ja też nie, Genna. Nie spodziewałem się, że jesteś jedną z nich. Ale jesteś, i ja jestem. Jest jak jest. Zrobiłem wszystko, co mogłem, żebyś włożyła we mnie trochę zaufania, więc powiedz mi... co jeszcze mógłbym zrobić? Co *chcesz*, żebym zrobił? Ponieważ zrobię to, cokolwiek to jest.

- Nie wiem - powiedziała cicho. - Nie chodzi o *ciebie*.

- Nie ufasz mojej rodzinie - powiedział.

- Tak.

- Nie zamierzam pozwolić im cię skrzywdzić - powiedział. - Jeśli boisz się, że do nich zadzwonię, że powiem im gdzie jesteś, wtedy zabierz mój telefon. Weź go, więc nie będę mógł zadzwonić do *nikogo*.

Wyciągnął telefon z kieszeni i wsunął go pod przekładkę między nimi. Genna spojrzała na biały iPhone, powoli sięgnęła po niego, gdy jej brwi się zmarszczyły.

- Myślałam, że miałeś Blackberry.

- Mam - powiedział. - To mój telefon służbowy. Dałbym ci go również, ale jest w schowku w samochodzie.

Podniosła telefon, przyglądając się mu przez chwilę.

- Dlaczego potrzebujesz dwóch telefonów?

- Jeśli pójdziesz ze mną, powiem ci - powiedział. - Chodź, co masz do stracenia?

*Moje życie*, pomyślała, ale te słowa utknęły w jej wnętrzu, zablokowane przez nabrzmiałą pierś, odmawiając wyjścia z jej ust. Bez względu na to, jak bardzo dobrze wyszkolony głos, ostrzegał ją w głębi głowy, wykrzykując tą mantrę, nie mogła słuchać. Nie wierzyła w to.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, przy drzwiach zrobiło się zamieszanie. Spojrzała w tamtą stronę za Mattym, i szybko zamrugła, gdy do środka wkroczyła wolnym krokiem grupa facetów w czerwonych i białych uniformach, niosąc duże i małe opakowania pizzy. Oszołomiona obserwowała, jak zaczęli umieszczać je na wszystkich stołach przed ludźmi. Zszokowana, z szeroko otwartymi oczami powoli odwróciła się do Matty'ego. Nie poruszył się, a jego spojrzenie wciąż przyklejone było do niej. Jego usta szarpnęły się w zadowolonym z siebie uśmiešku.

- Ty...

- Powiedz mi coś - powiedział. - Czy naprawdę się mnie boisz? Szczerze myślisz, że wciągnąłbym cię w zasadzkę? Ponieważ zapewniam cię, że są znacznie łatwiejsze sposoby, żeby dostać się do ciebie niż to, jeśli to jest to, czego chcę.

Jej uwaga przeniosła się z powrotem na salę, obserwując, jak klops został zepchnięty na bok, zapomniany i odrzucony, gdy stłoczyli się

przy świeżo dostarczonym jedzeniu. Tam musiało być tam co najmniej sto pudełek, a dostawcy w dalszym ciągu napływali.

- Zrobiłeś to tylko po to, żeby zrobić na mnie wrażenie?

- To robi na tobie wrażenie? - Odparł. - Ja, kupujący obiad dla wszystkich, oprócz ciebie?

Odwróciła się do niego, powoli kręcąc głową. Nie przyznałaby tego głośno, ale tak, była pod cholernym wrażeniem, głównie dlatego, że nigdy w jej życiu nie pomyślałaby, że Barsanti byłby zdolny do bycia tak hojnym. Chociaż, część jej nie była zaskoczona, gdy wpatrywała się w Matty'ego. Czyż nie był taki od chwili ich spotkania? Kupił jej mnóstwo drinków i następnie dał jej nawet więcej orgazmów.

Chłopak z całą pewnością był darczyńcą.

- Miejsce, które znasz - drażyła. - Jest bezpieczne?

Kiwnął głową.

- Całkowicie neutralny teren.

Ostrożnie, rozwiązała swój fartuch i ściągnęła go, rzucając go na bok. Nie dała mu żadnej odpowiedzi, ale w oparciu o sposób, w jaki wyraz jego twarzy się rozjaśnił, a ramiona odprężyły, wyczuła, że wiedział... że ustąpiła. Każdy kawałek zaprzeczenia wewnątrz niej, każdy kawałek determinacji, rozpadł się, gdy przyjęła prawdę. Wcale jej nie przestraszył.

To, co ją przestraszyło, to sposób, w jaki się czuła, gdy chodziło o niego.

Bez słowa, przeszła przez centrum społeczne z nim za sobą. Jej oddech uwiązał, gdy zbliżyła się do drzwi, czując jego dłoń przyciskającą się do jej pleców. Przeszli tuż obok koordynatora, zbyt przytłoczonego nagłym anonimowym ofiarowaniem obiadu, aby nawet zauważać ich ucieczkę, czy powiedzieć Gennie 'do widzenia'. Jej serce waliło dziko, gdy objęła się ramionami, wdzięczna, że zapadła noc, i mając nadzieję, że może ciemność ukryłaby jej grzechy.

- Tędy - powiedział Matty, a jego oddech połaskotał jej kark, gdy pochylił się, by szepnąć. Zadrżała, bo przesunął swoje ciało, blokując jej widok, gdy prowadził ją wzdłuż dzielnicy do ciemnej alejki. Jak tylko wyszła zza rogu, dostrzegła częściowo ukryty tył Lotusa. Nacisnął w kluczykach przycisk, otwierając go, i zapalając światła które rozświetliły przestrzeń wokół nich, zanim samochód ryknął do życia.

- Zdalny rozrusznik - powiedziała Genna, kręcąc głową.

Matty przeszedł dookoła i otworzył drzwi od strony pasażera.

- To praktyczne.

- To *pretensjonalne*. - Zatrzymała się, a oczy czujnie zbadały ruchliwą okolicę, zanim wśliznęła się do środka.

Nie było żadnego przewidywania, żadnego wahania, ale Genna czuła się tak jakby nie mogła oddychać, gdy mknął z dala od tej dzielnicy. Opony piszczały, gdy samochód lawirował przez uliczny

ruch. Przyciszył radio, a dudniący bas ledwie wibrował, gdy jechali na północ przez znany teren.

- To terytorium Galante - powiedziała zaskoczona, gdy skierował się do Washington Heights. Z jakiegoś powodu spodziewała się, że zabierze ją na płaszczyznę porozumienia, gdzieś wzdłuż niewidocznych granic, gdzie nikt nie był całkiem pewien, kto kontroluje, co.

Wypuścił śmiech.

- Twój ojciec nie posiada GWB.

Patrzyła przez przednią szybę, jak pędził przez ulice, jadąc prosto na George Washington Bridge<sup>13</sup> wiodący poza Manhattan, poza Nowy Jork.

- Zabierasz mnie do Jersey?

- Tak.

Napięła się lekko, wierząc się na swoim siedzeniu, gdy samochód włączył się do ruchu na moście, kierując się na zachód do New Jersey. Zauważyła to, gdy pierwszy raz usłyszała jego głos. Subtelny akcent z Jersey. Czy to tam był przez te wszystkie lata, gdy zniknął ze



13

społeczeństwa? Wiedziała, że jej ojciec ściśle współpracował z rodziną mafijną w New Jersey - Brazzis, podobnie jak robili to Barsanti, ale żaden z nich nie sprawował tam żadnej kontroli. Ich rywalizacja pozostała w obrębie Nowego Jorku. *Teren neutralny.*

Najwyraźniej znał jakieś miejsce.

Jak tylko przekroczyli New Jersey, Matty skierował się na południe. Minęła niemal godzina, zanim dojechali do małej podmiejskiej dzielnicy, gdzie stały standardowe, skromne i jednolite domy. Trawniki były doskonale utrzymane, zraszacze w ciemnościach zraszały trawę, a subtelne światła ganków oświetlały okolice. Było cicho i spokojnie, a w większości domów było już ciemno o godzinie dziewiątej wieczorem.

Wjechał samochodem w ślepią uliczkę, zatrzymując się na podjeździe białego domu na samym jej końcu. Wcisnął przycisk w samochodzie, reflektory zaświeciły na drzwi garażowe, gdy te powoli zaczęły się podnosić. Jak tylko były w górze, wjechał Lotusem do środka, poza zasięg wzroku, i nacisnął przycisk ponownie, aby zamknąć drzwi.

Matty wyłączył silnik, ale siedział tam, sięgając w kierunku schowka. Otworzył go, wyjmując znajomy Blackberry, i rzucił go jej na kolana. Genna ostrożnie podniosła go, przesuwając palcami po porysowanym ekranie, gdy on bez słowa wysiadł z samochodu.

Dom był uroczy - tylko jedno piętro, z niewielką kuchnią i dwoma staromodnymi sypialniami. Matty włączył światła w salonie, podczas gdy Genna sama badała resztę miejsca, nie czekając na oprowadzenie. Subtelna woń wydawała się przylgnąć do wszystkiego. Powietrze było



nieświeże. Kurz rozchodził się wokół, wzbity w górę przez jej ruch. Dom był w pełni umeblowany różnymi odcieniami brązu, przytulny, jednak trochę bezosobowy. Ktoś mieszkał w tym domu na pewno, ale nie był tym, co Genna nazwałaby cokolwiek 'domem'.

- Mieszkałeś tu? - Zapytała niepewnie, przesuwając dłonią wzdłuż gładkiego drewnianego blatu, oddzielającego kuchnię od salonu, a na jej palcach zebrały jej się drobinki brudu.

- Kiedyś - powiedział Matty, czekając w pobliżu drzwi, gdy ostrożnie ją obserwował. - Pomyślałem, że łatwiej będzie po prostu przenieść się do Nowego Jorku na jakiś czas, niż codziennie dojeżdżać.

- Aby widywać twoją matkę?

- Tak - potwierdził, bez żadnego wahania w głosie. - Więc przeprowadziłem się do mieszkania nad *The Place*, które dzielę z moim bratem.

Jej mina zrzędnęła, a ramiona się napięły, gdy uderzyły w nią te słowa.

- Enzo też tam mieszka?

- Tak.

Pokręciła głową, wpatrując się w pluszowy jasnobrązowy dywan. Jak blisko była do bycia przyłapaną, do zostania złapaną przez nich w pułapkę. Nie tylko powędrowała na terytorium wroga... weszła prosto do ich bazy, przebywała osobiście w domu - w ich gnieździe, jakby

faktycznie tam należała. A najgorsza tego część? Najgorszą częścią było to, że prawie czuła się tak, jakby tam należała. Czuła się bezpiecznie. Jej obrona opadła w chwili, gdy miała jeden z najpodatniejszych momentów w swoim życiu.

Miała szczęście, że w ogóle wróciła, a tym bardziej, że wyszła z tego całkowicie bez szwanku.

W każdym bądź razie fizycznie. Emocjonalnie - to była zupełnie inna historia, a następstwa wciąż uciskały jej wnętrze i kierowały jej istotę.

Powoli, Matty podszedł do niej, zbliżając się od tyłu. Wierzchem ręki potarł nagą skórę jej lewego przedramienia, pieszcząc ją, gdy jego druga ręka odgarnęła jej włosy do tyłu. Pochylając się, delikatnie pocałował ją w szyję, wysyłając dreszcze przez jej ciało.

- Nie musisz się bać.

- Nie boję się - powiedziała. *Przerażona* było lepszym określeniem. Jej oczy zatrzepotały i zamknęły się, gdy zalało ją uczucie ciepła. Przechyliła głowę na bok, instynktownie dając mu więcej z siebie. - Twój brat... naprawdę mógł mnie wtedy skrzywdzić.

Jego ramię otoczyło ją, przyciągając plecami do niego, podczas gdy wargami sunął w dół jej szyi, w kierunku ramienia, pozostawiając lekkie jak piórko pocałunki.

- Nie mógł.

- Jak możesz tak mówić?

Pocałował jej kark, a jego wargi odnalazły jej ucho.

- Bo nie pozwoliłbym mu na to.

Chciała mu wierzyć. Boże, jak bardzo chciała wierzyć, że ta oszałamiająca istota mogła zapewnić jej bezpieczeństwo, zamiast być katalizatorem do jej upadku, ale było to trudne. Jedna noc namiętności nie mogła wymazać całego życia nienawiści.

- Nie jestem taka pewna, że mógłbyś go powstrzymać.

Matty roześmiał się, gdy jego usta zostawiły jej skórę, ale nie poluzował swojego uścisku.

- Genna, czy kiedykolwiek spotkałaś Enza?

Zakpiła.

- Wiem, kim on jest.

- Prrrr! - Przerwał jej, a ten szorstki dźwięk sprawił, że się wzdrygnęła. - Nie o to pytałem. Zapytałem, czy go *spotkałaś*.

- Oczywiście, że nie.

- Zatem jak możesz mówić, co on by zrobił? Jak możesz go osądzać, jeśli nigdy nawet z nim nie rozmawiałaś?

- On jest Bar...

- Barsanti. Rozumiem to. - Matty złagodził swój uścisk, obracając ją wokół, aż stanęła twarzą do niego. - Ja też. Byłem Barsanti od dnia, kiedy się urodziłem.

Przewróciła oczami.

- Jestem w pełni tego świadoma.

- Mimo to mi ufasz.

- Nie bądź zbyt pewny sobie - mruknęła. - Tylko dlatego, że ci zaufałam, nie znaczy, że już ci stuprocentowo ufam.

- Nieważne. Chodzi mi o to, że może powinnaś uwierzyć mi na słowo. Znam swojego brata, i może nie jest najbardziej rycerskim facetem w okolicy gdy chodzi o kobiety, nigdy nie słyszałem, żeby jakąś skrzywdził.

- Żadnej kobiety związanej w jego bagażniku?

Roześmiał się.

- Nie-e.

- Hmm. - Jej oddech się urwał, gdy Matty chwycił ją za biodra, a jego wzrok przemknął do jej ust. - Ale zawsze jest ten pierwszy raz.

Pochylił się bliżej, a jego wyraz twarzy nagle spowaźniał.

- Zaufaj mi, Genna.

- Próbuję - szepnęła.

Jego usta spotkały się z jej, delikatnie, słodko, gdy ją pocałował. Genna owinięła ramiona wokół jego szyi, drżąc, gdy odwzajemniła pocałunek. Jej wargi rozdzieliły się, a język błyskawicznie przyłączył się do jego. Zatraciła się w jego objęciach, jego ramiona były mocno owinięte wokół niej, trzymając ją blisko. Jej zmysły wzniecił zapach jego wody kolońskiej. Po chwili wycofał się z pocałunku, przyciskając swoje czoło do jej. Genna otworzyła oczy, widząc że miał wciąż zamknięte swoje, a wygładzone rysy twarzy, zmiękczyły jego opaloną twarz. Przechyliła głowę, składając miękki, niewinny pocałunek na jego dolnej wardze, gdy nagły głośny dzwonek zakłócił ciszę.

Każdy mięsień w ciele Genny stał się napięty na obcy dźwięk.

- Co to?

Matty cofnął się.

- Mój telefon.

Jej oczy instynktownie rozszerzyły się z lęku, ale on tylko się roześmiał z jej wyrazu twarzy i żartobliwie trącił jej brodę.

- Nie patrz na mnie taka przerażona - powiedział. - Ty go masz.

Niemal zapomniała. Odsuwając się poza jego zasięg, chwyciła torebkę z miejsca gdzie zostawiła ją przy drzwiach i wyciągnęła jego dzwoniący telefon. Spojrzała na rozświetlony ekran, a na wyświetlaczu ukazało się krótkie imię. *En*.

- Enzo? - Zapytał nonszalancko. Zawahała się, zanim powoli kiwnęła głową. En. Enzo. - Nie jestem zaskoczony.

Spojrzała na niego ostrożnie.

- Dlaczego?

Skinął w kierunku swojego zegarka.

- Jest prawie dziesiąta.

- Więc?

- Więc formalnie rzecz biorąc powinienem pracować - wyjaśnił. - Prawdopodobnie dzwonił na Blackberry i zastanawia się, dlaczego jest wyłączony.

Spojrzenie Genny przesunęło się z cichego iPhone'a w jej ręku do Blackberry, leżącego na wierzchu jej torebki. Zanim mogła coś powiedzieć, jego telefon zaczął dzwonić ponownie. En.

- Prawdopodobnie będziesz chciała go wyłączyć - powiedział. - Będzie dzwonił cały czas.

Genna wpatrywała się w niego przez chwilę. Jej palec unosił się nad przyciskiem, ale zawahała się. Zamiast tego ostrożnie podeszła do niego, i podała mu telefon.

- Proszę.

Matty go wziął, dziwnie jej się przyglądając, gdy telefon przestał dzwonić. W ciągu kilku następnych sekund, zaczął ponownie.

- No dalej - nalegała. - Możesz go odebrać.

Matty nacisnął coś na ekranie, a dzwonięcie natychmiast ustało. Ale zamiast podnieść go do ucha by porozmawiać, odwrócił wzrok. Odrzucił rozmowę. Genna obserwowała go zaskoczona, gdy wyłączył telefon i położył go na ladzie, znajdującej się obok.

- Pracuję dla swojego ojca - powiedział cicho. - Do tego jest Blackberry. To moja bezpośrednia linia.

- I powinieneś pracować?

- Tak.

- Teraz?

- Tak.

Zawahała się.

- Nie robisz tego, prawda?

- Nie robię czego?

- Nie pracujesz - wyjaśniła. - W tej chwili.

Jego wyraz twarzy złagodniał, gdy podszedł do niej, a jego ręce lekko chwyciły jej biodra.

- Nie łączę biznesu z przyjemnością, Genna. A ty? No cóż, nie jesteś biznesem dla mnie.

- Zatem, czy to czyni ze mnie przyjemność?

Uśmiech dotknął jego warg, gdy przyciągnął ją bliżej.

- Hmm, no cóż, z pewnością tak to pamiętam.

Serce Genny waliło mocno w piersi, gdy pochylił się, aby ją całować. Ciarki pomknęły w dół jej kręgosłupa, gdy inne uczucie buzowało wewnątrz niej: *niepokój*. To było złe, tak bardzo złe, więc dlaczego miała wrażenie, że to jest takie właściwe?

Jego usta nigdy nie opuściły jej, gdy pociągnął ją przez dom, do zaciemnionej sypialni, gdzie stało jedynie ogromne łóżko. Jej nerwy rosły w zawrotnym tempie, strzępiąc się, gdy próbowała złagodzić swoje obawy. Była wprawdzie daleka od niedoświadczonej, ale to odczuwała inaczej niż cokolwiek, czy kiedykolwiek zrobiła wcześniej.

Gorliwie zabrał się do pracy przy jej ubraniach, ostrożnie się ich pozbywając. Nerwowo poszła w jego ślady, drżącymi rękoma próbując rozpiąć jego koszulę. Po chwili odsunął jej rękę, zrywając ją z siebie i rzucając na podłogę. Po chwili dołączył do niej biały podkoszulek, a oddech Genny uwiązał, gdy jej oczy zetknęły się z jego nagą klatką piersiową.. Tusz na jego rękach rozciągał się na ramiona, a stamtąd prowadził na jego pierś. Instynktownie przebiegła po tym wzrokiem, a jej żołądek zwinął się w węzeł, gdy zobaczyła fantazyjne gryzmoły nad jego sercem.

*Barsanti*

Gdyby tylko zdjęła jego koszulę ostatnim razem. Wiedziałyby. Zobaczyłyby. Jak by zareagowała? Nie mogła tego pojąć. Stojąc tam,



wiedząc to co wiedziała, wierząc w to w co wierzyła, widok tego – fizyczne przypomnienie wypisane na jego ciele – sprawił, że zrobiło jej się słabo.

Zanim mogła zacząć się na tym rozwodzić, Matty ściągnął jej stanik i rzucił go na podłogę. Jego usta przykryły jej sutek, a przez jej ciało przemknął dreszcz. Jej umysł stał się pusty, gdy wciągnął ją do łóżka i uniósł się nad nią. Gdy pozbyli się reszty ubrań, drażnił jej ciało, zanim wyciągnął rękę i wziął prezerwatywę z nocnego stolika. Jej serce mocno walił, gdy odsunął się, żeby ją nałożyć, a jej ręce nerwowo sięgnęły w górę, aby przykryć piersi. Nie była nieśmiała, ale zdenerwowana? Cholera, kurwa, tak.

- Odpręż się - szepnął, a jego ciało nakryło jej, gdy wcisnął się między jej uda, rozkładając jej nogi. Jego usta odnalazły linię jej szczęki, składając delikatne pocałunki wzdłuż jej twarzy. - To tylko ja.

Czy to powinno ją pocieszyć? Nie była pewna, ale jakoś to zrobiło. Odprężyła się, obejmując go, po czym zamknęła oczy, czekając.

Pierwsze pchnięcie ponownie zabrało jej oddech. Tym razem złapała go, ostro wdychając, gdy się wycofał. Jej oczy się otworzyły, spotykając jego spojrzenie w ciemnym pokoju i dostrzegając jak jego wargi wykrzywiły się, w pewnym zadowolenia uśmiechu. Jego pchnięcia były głębokie i mocne, ale poruszał się boleśnie powoli, delektując się uczuciem pomiędzy ruchami. Podpierał się rękoma po obu stronach jej głowy.

- Wydaje się inaczej, prawda? - Zapytał.

- Tak - zgodziła się, nagle niespokojna, ponieważ przyznała to głośno. - Czuję się trochę jak Julia Roberts.

- Pretty Woman?

- Sleeping with the Enemy<sup>14</sup>.

Lekko się zaśmiał, patrząc na nią z góry.

- Ach, to nie jest *takie* złe.

- Nie?

- Raczej, poszedłbym z 'I Love Trouble<sup>15</sup>'. Ponieważ ty, księżniczko, niewątpliwie jesteś *kłopotami*.

- I co? Kochasz mnie?

W chwili, gdy to powiedziała, jej wizja się rozmyła, a głupie serce opuściło uderzenie. Spodziewała się szyderczego śmiechu, ale jedynie uśmiechnął się, gdy zmienił pozycję, podnosząc jej kolana wyżej, aby jeszcze bardziej się w niej zagłębić. Dysząc, na uczucie wypełnienia, owinęła nogi wokół jego pasa, i przesunęła palcami w dół jego kręgosłupa, pieszcząc jego plecy.

To trwało bardzo długo, a mimo to skończyło się o wiele za szybko. Genna i Matty leżeli razem w łóżku, a ich ciała przykrywało jedynie cienkie prześcieradło. Żadne nie wypowiedziało słowa, ale ich ręce mówiły wiele, gdy delikatnie pieściły spoconą skórę. Leżąc w jego

---

<sup>14</sup> Sypiając z wrogiem :P

<sup>15</sup> Kocham kłopoty :P

ramionach, z głową przy jego sercu, Genna przesunęła dłoń w dół jego piersi, podczas gdy jego koniuszki palców delikatnie rysowały wzory na jej plecach, łaskocząc tym ją. Walczyła ze śmiechem, delikatnie się wiercąc pod jego dotyku, gdy mrowienie ogarnęło całe jej ciało.

- Chcesz obejrzeć film, czy coś? - Zapytał miękko Matty, ale cichy pokój wzmocnił jego głos.. - Nie mam tu dużo, ale w salonie jest kilka płyt DVD. Chociaż żadne z Julią Roberts.

- Ach, żadnego Notting Hill?

Roześmiał się.

- Nie. Jednak mam Silent Hill

Skuliła się. Horror?

- Spasuję.

Nadal pieścił jej plecy, nie spiesząc się by wstać i nie mówiąc nic więcej. Genna poczuła spokój, a jej oczy powoli się zamknęły.

Zapadła w sen.

Znacznie później obudziło ją jakieś szarpnięcie. Głęboka i nieokreślona ciemność spowijała przestrzeń wokół niej. Nie było żadnego światła w pokoju, żadnego zegara, ale mogła powiedzieć, że był środek nocy, dobrze po północy. Ze sposobu, w jaki ciemność wydawała się chwytać wszystkiego, nadciągał świt. Genna usiadła na łóżku, owijając prześcieradło wokół siebie i się rozejrzała.

Była sama.

Wstając, znalazła swoje majtki i je założyła, zanim złapała białą koszulę Matty'ego i zarzuciła ją na siebie, zapinając ją tylko tyle by się zakryć. Zauważyła, że reszta jego ubrań zniknęła.

Powoli podeszła do drzwi, gdy usłyszała gdzieś w domu jego stanowczy głos, z twardym tonem, pomimo że mówił cicho, jakby nie chcąc być przypadkiem podsłuchanym. Zerkając, zauważyła go siedzącego przy stole ze świecącą przyćmioną lampą.

- Nie, nie... Rozumiem. Pracuję nad tym teraz, gdy rozmawiamy.

Pierś Genny zacisnęła się. Pracuje, nad czym?

- Tak, jestem pewien... nie martw się, zajmę się tym.

Genna zrobiła krok do tyłu, chowając się w cieniu sypialni, i nadstawiając uszu, żeby go słyszeć.

- Tak, to będzie zrobione dzisiaj. Dam ci znać, kiedy skończę.

Dziś? Skończy, z czym?

Matty wypuścił rozdrażniony jęk.

- Tak, jestem z nią teraz... nawet nie zaczynaj, En. Mówiłem ci, nie rozmawiam z tobą o tym, co robię ze swoim kutasem, więc nawet nie pytaj o szczegóły.

Genna ostro wciągnęła powietrze. *O Boże.*

- Słuchaj, muszę iść. Będę w kontakcie.

Matty wypuścił głębokie westchnienie i cicho wymamrotał coś do siebie, zanim ponownie podniósł swój głos.

- Możesz już wyjść, księżniczko. Wiem, że nie śpisz.

Biorąc głęboki wdech, próbując uspokoić szalejące serce, Genna wyszła z sypialni, ale nie uczyniła żadnego ruchu, żeby do niego podejść. Nie patrzył na nią, jego uwaga była skupiona na niewielkim notesie przed nim, gdy stukał ołówkiem o stolik.

Kiedy tak stała w bezruchu, przeniósł na nią spojrzenie, i uniósł brew.

- Coś nie tak?

- Jesteś, uch... - Jej głos zadrżał, pomimo prób, żeby go opanować.

- Pracujesz?

- Tak.

Jej żołądek szarpnął.

- Tak?

- Tak - powiedział znowu, rzucając ołówkiem tak mocno, że odbił się od stołu i uderzył w podłogę. - W każdym razie, próbuję. Po prostu nie nadaję się do tego dzisiaj.

- Do czego?

Wpatrywał się w nią przez chwilę, a wyraz jego twarzy zmiekleł.

- Jak dużo słyszałaś, Genna?

- Dość. Powiedziałaś swojemu bratu, że zajmiesz się tym dzisiaj, potem wspomniałaś mnie... że byłeś ze *mną*.

- To jest to, co myślisz, że słyszałaś?

- Nie, to jest dokładnie to, co słyszałam.

- Źle - powiedział, sięgając w dół, żeby pochwycić ponownie ołówek, używając go, aby wycelować nim w nią. - Nigdy nie wypowiedziałem twojego imienia. On wie, że jestem z dziewczyną, *moją* dziewczyną, ale nie ma pojęcia, kim ona jest.

- Nie ma?

- Nie - powiedział. - Zabija go też to, że nie wie, z kim się spotykam.

- Spotykasz się? - Zapytała Genna. - Czy to jest to, co robimy?

- Masz na to inne słowo?

Nie, nie miała, choć tak naprawdę nie spotykali się. Tak naprawdę to nie mogli. Mogli?

- W każdym razie, ponieważ zaniedbałem wcześniej pracę, musiałem wstać z łóżka i spróbować poradzić sobie z tym... a *to*, czym się musiałem zająć, to książki - powiedział, wskazując w kierunku swojego notesu.

Z wahaniem, Genna zbliżyła się do niego, widząc skomplikowane zadania matematyczne opracowane na marginesach stron, pozakreślane odpowiedzi, podczas gdy inne były zamazane. Zatrzymała się tuż obok jego krzesła, patrząc na to. Księgi. Był *bukmacherem*?

- To jest to, co robisz?

- Tak. - Westchnął, patrząc na notes, gryzmołąc jeszcze kilka rzeczy, zanim wyrwał stronę wypełnioną nazwiskami i liczbami. - Spędzam swoje dni, robiąc statystykę matematyczną.

- Więc, jesteś trochę jak nudziarski gangster.

Roześmiał się, chwytając ją w tali. Krzyknęła, gdy pociągnął ją na swoje kolana. Pochylając się ku niej, pocałował odsłoniętą skórę jej klatki piersiowej w pobliżu szczytu jej piersi.

- Mogłabyś tak powiedzieć.

- Hm - powiedziała. - Fascynujące. Gdzie wchodzi stopień z komunikacji?

- Hmm, cóż... mam przyzwoite, umm, umiejętności ustne.

Genna zarumieniła się na to.

- Nie spostrzegłam.

- Nie? - Zapytał. - Będę musiał pamiętać, żeby pokazać ci następnym razem.

- Następnym razem?

- Tak. Pokazałbym ci teraz, ale, cóż... - Uniósł kartkę, którą wyrwał z notesu. - Mój brat na to czeka, i lepiej, żebym to ja mu to dostarczył, niż żeby sam próbował mnie znaleźć.

- Zrozumiano - powiedziała, wstając z jego kolan, i oplakując utratę jego dotyku w chwili, gdy była z dala od niego. Cholera, wpadła jak kompot w śliwkę. - Ubiorę się.

Szybko założyła swoje ubrania, spotykając się z nim ponownie w salonie, wkładając swoje buty. Matty złapał swoje kluczyki i oboje ruszyli do samochodu.

- Mogę po drodze podrzucić cię do domu - powiedział, patrząc w lusterko wsteczne, gdy drzwi garażowe się otworzyły.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Oszalałeś?

- Być może - powiedział, uśmiechając się, gdy wycofywał. Zatrzymał się, by zamknąć drzwi, i ruszyli ulicą. - W każdym bądź razie, oszalałem na twoim punkcie.

- Tak, no cóż, musisz być umyślowo chory, aby nawet myśleć o odwiezieniu mnie do domu - powiedziała. - Mój ojciec *zabiłby* cię.

- Twój ojciec jest poza miastem - powiedział. - Jest w stanie Connecticut. A twój brat, cóż... chodzą pogłoski, że ma dziewczynę w Małych Włochach, z którą zamierza spędzić weekend.

Wpatrywała się w niego.



- Jak ci się...

- Daj mi tutaj trochę wiary, Genna - odpowiedział. - Wiem, w co się pakuję.

Kręcąc głową, odwróciła wzrok i spojrzała na zegar na desce rozdzielczej. Była prawie trzecia nad ranem.

- Nie jesteś tak dobry, jak myślisz. Mój brat cię widział.

- W East Harlem?

- Tak.

- Tak myślałem - wymamrotał Matty. - Widziałem, że stał tam, więc pojechałem dalej. Nawet nie pomyślałem, żeby sprawdzić, gdzie był, zanim wpadnę. To był ciężki dzień.

- Twoja mama była w szpitalu - Genna powiedziała cicho, przypominając sobie rozmowę, jaką Dante miał z ich ojcem.

- Skąd ty... - zaczął, po czym zaśmiał się sucho, kręcąc głową. - Zgaduję, że nie jesteśmy jedynymi, którzy mają na oku przeciwną stronę.

- Oczywiście, że nie. Jednak wydajesz się zbijać ich z tropu.

- Dlaczego?

Zawahała się, a wewnątrz samochodu ogarnęła cisza. Radio było wyłączone, i Genna mogła usłyszeć każdy swój drżący oddech.

- Nie mogą zrozumieć, dlaczego tu jesteś.

- Nie powiedziałaś im, dlaczego?

Zadrwiła.

- Nigdy bym nie powiedziała.

- Bo nie chcesz, żeby wiedzieli o nas?

Patrzyła na niego w ciemności, zaskoczona jego poważnym tonem.

- Po prostu nie chcę dać ojcu powodu, żeby cię zabił.

Zaśmiała się sucho.

- Twój ojciec nie potrzebuje powodu. Próbowaliby mnie zabić tylko za istnienie.

- Nie próbowaliby.

- Ależ *tak* - powiedział Matty, z twardą nutą w głosie. - Już próbował, księżniczko. To na pewno nie jest nic nowego.

Jego szyderczy ton sprawił, że włosy na jej karku zjeżyły się.

- Kiedy?

Pokręcił głową, rzucając na nią spojrzenie.

- Nie teraz.

- Zatem kiedy?

- Po prostu... kiedy indziej - powiedział. - Wolałbym nie wchodzić w to teraz. Ale uwierz mi, kiedy mówię, że nie boję się twojego ojca. Nie

ma nic, co mógłby mi zrobić, czego jeszcze nie próbował... próbował i nie udało mu się. Nigdy mu się nie uda.

Genna odwróciła wzrok patrząc przez okno, i nie powiedziała nic więcej, gdy jechali z powrotem przez Manhattan. Matty pojechał do Westchester County, prosto pod jej dom. Nie musiała podawać mu adresu lub jakikolwiek innych wskazówek. Nie była zaskoczona, niespecjalnie, ale to wciąż wytrącało ją z równowagi, że oni dokładnie wiedzieli przez cały czas, gdzie ją znaleźć.

Zatrzymał się tuż przed jej frontowymi drzwiami i zaparkował samochód, chwytając za jej ramię, by ją zatrzymać, gdy próbowała wysiąść. Przyciągnął ją do siebie i delikatnie pocałował w usta.

- Dziękuję - powiedział cicho.

- Za co?

- Za zaufanie mi, nawet jeśli mi nie ufasz.

Zawahała się, patrząc na dom, a następnie z powrotem na niego.

- Dostarczyłeś mnie do domu bezpieczną.

- Tak.

- Mówiłeś, że tak zrobisz.

- Mówiłem.

- Zgaduję, że to oznacza, że nie mam teraz żadnego powodu, żeby ci nie ufać.

Uśmiechnął się lekko, puszczając jej ramię.

- Czy to znaczy, że postanowiłaś, że mnie chcesz? Ponieważ wciąż nie zadzwoniłaś do mnie, jak mówiłem ci, żebyś zrobiła.

Przewróciła oczami.

- To dlatego, że usunęłam twój numer.

- Poważnie?

Wyjęła swój telefon, śmiejąc się do siebie.

- Tak.

Bez słowa, Matty wyciągnął rękę i złapał telefon, ponownie wpisując swój numer, zanim go jej oddał.

- Nie usuwaj go tym razem.

Uśmiechnęła się figlarnie, machając telefonem w jego stronę, gdy wysiadła z samochodu.

- Nie mogę nic obiecać.

# ROZDZIAŁ 7

*La Traviata*. Pieśń biesiadna.

Muzyka rozbrzmiewała echem w jadalni, tak cicho, że inni wydawali się jej nie zauważać, ale była wszystkim, co Matty mógł słyszeć. Ciągle i bezustannie.

To była ulubiona piosenka jego ojca.

Ulubiona opera ojca.

To drażniło każdy nerw Matty'ego.

Siedział przy stole, przesuwając jedzenie na swoim talerzu, nie będąc ani trochę głodnym. Nie był pewien, dlaczego zgodził się na tę farsę rodzinnego obiadu.

*Prawdopodobnie, dlatego, że to mama poprosiła mnie, żebym przyszedł.*

Jego matka, która siedziała naprzeciwko niego, jadła obiad uśmiechając się radośnie, a jej wzrok wędrował pomiędzy nimi wszystkimi. Matty uśmiechał się za każdym razem, gdy patrzyła na niego, wdzięczny, że widzi adorację w jej wyrazie twarzy. Kochała go. Wiedział to. *Wierzył w to.*

Nie mógł wyobrazić sobie życia bez niej, ale wiedział że to nadejdzie – prędzej, niż później. Mógł zobaczyć, jak zmęczona już była.

Matty ponownie pogrzebał w jedzeniu, biorąc kilka kęsów, gdy piosenka rozpoczęła się od nowa. Wzdychając, upuścił widelec i oparł się o krzesło, gdy w pokoju rozbrzmiało dzwonienie z jego kieszeni. Wyciągając telefon, spojrział na ekran, żeby zobaczyć nową wiadomość tekstową z zagranicznego numeru... takiego, który z pewnością należał do Genny.

*Więc, myślałam...*

Szybko odpisał, trzymając telefon obok kolan.

*O czym?*

Zanim mógł odłożyć telefon, zasygnalizował on nową wiadomość.

*O tych zdolnościach które posiadają twoje usta, i w których podobno jesteś certyfikowany.*

Odpowiedział jej natychmiast.

*Certyfikowany? Książniczko, praktycznie posiadam tytuł doktora.*

- Całe to pisanie SMS-ów i technologia - narzekał Roberto.

Matty zignorował swojego ojca, pisząc do Genny ponownie, zanim mogła odpowiedzieć na jego ostatnią wiadomość.

*Więc, też myślałem...*

- To jest coś, co krzywdzi rodziny, wiesz - ciągnął Roberto. - To niszczy społeczeństwo. W tych czasach dzieci nie mogą nawet przetrwać obiadu bez ich telefonów.

Wzdychając z irytacją, wiedząc, że ten człowiek nie odpuści, Matty zaczął odkładać telefon, gdy ten zadzwonił znowu z już kolejną wiadomością. *Pieprzyć to.* Lekceważąc niepowstrzymany jęk irytacji ojca, Matty spojrzał na wiadomość i uśmiechnął się.

*O moich umiejętnościach moich ust?;)*

*Nie. Myślałem o pójściu na randkę... chociaż, teraz myślę też o TYM.*

- Co sprawiło, że się uśmiechasz kochanie?

Matty odłożył telefon i spojrzał na swoją matkę, rejestrując jej ciekawskie spojrzenie. Zanim jednak zdążył odpowiedzieć, wtrącił się Enzo.

- To musi być znowu jego dziewczyna.

- Jego dziewczyna? - Jego rodzice powiedzieli w tym samym czasie.

- Tak - potwierdził Enzo. - Sprawia, że od kilku tygodni jaśniej jak pieprzony czwarty lipca.

- En, język - zbesztła go matka, zanim zwróciła swoją uwagę z powrotem do Matty'ego. - Więc ta dziewczyna...

- Mamo - ostrzegł. - Proszę.

- Och, w porządku. - Machnęła na niego. - Zamierzałam być po prostu wścibska.

- Nie, chciałbym usłyszeć o tej dziewczynie - powiedział Roberto. -  
Czy ona ma imię?

- Tak - powiedział Matty. - Z tego co wiem, to każdy je ma.

Roberto zmrużył oczy na jego sarkazm, zanim odwrócił się do  
Enza.

- Enzo?

- Mnie nie pytaj - odparł jego brat, unosząc defensywnie rękę. -  
Nie chce mi powiedzieć tego gówna.

- En!

- Język, wiem - mruknął. - Przepraszam mamę, ale to prawda.  
Myślę, że musi jej się wstydzić, prawda?

- Hm. - Roberto spojrzał znowu na Matty'ego, lustrując go chłodno  
z jasną oceną sytuacji w oczach. - Albo wstydzi się *nas*.

- Dość - powiedziała jego matka, a szczęście zniknęło z jej twarzy.  
- Nie dzisiaj, chłopcy.

- Przepraszam, Savina - powiedział Roberto, odsuwając krzesło i  
wstając. - W każdym bądź razie, mamy coś do załatwienia. Obiad był  
wspaniały, kochanie. Enzo?

- Idę - powiedział Enzo, będąc już na nogach.



Szybko skierowali się do biura Roberto, natomiast Matty po prostu siedział tam, wpatrując się w swój talerz. Po chwili jego wzrok przesunął się do jego matki, widząc z powrotem ciekawość w jej oczach.

- Tak między nami - zagadnęła cicho. - Kogo się wstydzisz?

- Nikogo.

- Zatem o co chodzi?

Westchnął, odpowiadając milczeniem. *Obawiam się, że to wy wszyscy będziecie wstydzić się mnie.*

Wpatrywała się w niego, a jej wyraz twarzy zmiękł.

- Nie zamierzam pytać cię o to więcej. Nie będę ci tego robić. Chcę tylko, żebyś był szczęśliwy, Matty.

To było wszystko, czego kiedykolwiek chciała - ich szczęście. Ale co z jej?

Zanim mógł nad tym pomyśleć jego telefon znowu zadzwonił. Wyjął go, zerkając na ekran.

*Jak prawdziwa randka?*

Kilka sekund później, przyszła kolejna wiadomość.

*Ze mną?*

- Jej imię to Genna - powiedział cicho, kręcąc głową. *Tylko ona.*

- Genna - powtórzyła. - Czy to ta sama dziewczyna, o której rozmawialiśmy wcześniej? Ta, o której myślałeś, że ją stracisz, ponieważ jesteś Barsanti?

- Tak.

Zajął ją to chwilę, ale gdy wypowiedziała to imię ponownie, miękki uśmiech dotknął jej ust.

- Genna.

- Nie wyprzedzaj faktów - ostrzegł ją, widząc to spojrzenie na jej twarzy, to samo rozmarzone spojrzenie miała ostatnim razem, wtedy, gdy mówiła, że wyobrażała sobie wnuki.

- Genna Barsanti ładnie brzmi - powiedziała, ignorując go. - Zawsze chwaliłam Carę za wybranie tego imienia.

- Carę?

- Tak, moja stara znajoma Cara Galante. Ich córka, Genevieve... czasami nazywali ją Genna.

Matty wpatrywał się w swoją matkę, widząc znaczący błysk w jej oczach. Nie była głupia, ani trochę.

- Ja, uh... powinienem już iść - powiedział, wstając i przechodząc na drugą stronę stołu, aby pocałować policzek jego matki. - Dziękuję za obiad.

- W każdej chwili. Może następnym razem przyprowadzisz ze sobą Genę.

- Nie liczyłbym na to, mamo.

*Nie, tak długo jak mój ojciec jest w pobliżu.*



- Przyjadę po ciebie.

- Nie możesz - Genna szepnęła do telefonu, gdy podeszła do szafy i wzięła z półki swoje ulubione czarne szpilki. - Są w domu.

- Ach, racja.

- A co powiesz na to, żebyśmy gdzieś się po prostu spotkali?

- Gdzie?

- Nie wiem. Gdzie jesteś?

- W *The Place*.

- Czy to będzie dla mnie bezpieczne, jeśli tam przyjadę?

- Uch, pewnie.

Westchnęła, siadając na łóżku i trzymając telefon w zgięciu szyi, gdy wsuwała buty.

- Brzmisz nie zbyt pewnie.

- No cóż, to Soho. Czy kiedykolwiek było to dla ciebie bezpieczne?

*Prawda.*

- Co powiesz na to, że ja... - Pukanie do drzwi przerwało jej w pół zdania. - Oddzwonię.

Rozłączyła się, rzucając telefon na łóżko w chwili gdy jej drzwi zostały otwarte. Gdy Dante wszedł do środka, wstała i przebiegła palcami przez swoje kręcone włosy, uwalniając trochę więcej loków.

- Hej - powiedziała swobodnie, zerkając na niego w drodze do łazienki. - Potrzebujesz czegoś?

- Nie - powiedział, podążając za nią, i zatrzymał się w drzwiach, gdy złapała lakier do włosów i pokryła nim włosy. - Słyszałem, że wychodzisz.

Spojrzała na niego.

- Więc?

- Więc byłem wścibski jak diabli - przyznał się, przyglądając się jej dziwnie. - Nie wychodziłaś odkąd, wiesz...

- Od czasu, kiedy zostałam aresztowana - powiedziała. - Minęło trochę czasu, co?

- Tak. Zaczynałem się martwić, że *naprawdę* zrezygnujesz z życia.

- Oczywiście, że nie - powiedziała, chwytając błyszczący do ust i nakładając na nie warstwę, zanim odwróciła się do niego. - Czemu?

Wzruszył ramionami, gdy się odwrócił i zaczął przechadzać się po jej sypialni, jakby nonszalancko przyglądał się różnym rzeczom.

- O Boże - jęknęła, gasząc światło w łazience i wchodząc do sypialni. - Nie, Dante. Proszę powiedz mi, że nie nakazał ci jechać za mną dziś wieczorem.

Wzdychając rzucił jej spojrzenie z ukosa, gdy bezceremonialnie przejrzał książkę na jej biurku.

- Wiesz, jak to działa.

- To śmieszne! - Powiedziała, wyrzucając ze frustracji rękę do góry.  
- Nie mam dwunastu lat, wiesz. Jestem dorosła. Nie potrzebuję niańki.

- Po prostu zawiozę cię, gdziekolwiek się wybierasz.

- I co, poczekaś na parkingu? - Spytała z niedowierzeniem. - Ukryjesz się w kącie w restauracji? Usiądziesz dwa rzędy z tyłu za mną w kinie?

- Właśnie to zamierzasz robić? Zjeść obiad i obejrzeć film?

- Czy to ma znaczenie?

Zaczął odpowiadać, ale przerwała mu, zanim mógł coś powiedzieć, ponieważ tak... to miało znaczenie. Oboje to wiedzieli. To miało znaczenie dla ich ojca.

- To nie w porządku - wycedziła przez zęby, patrząc na niego gniewnie, choć wiedziała, że to nie jego wina. - Wcale.

- To cena, jaka płacisz za bycie jedną z nas.

Pokręciła głową. *To cena, jaką płacę za wyglądanie jak moja matka.*

- Słuchaj, po prostu pozwól mi cię zawieźć - powiedział. - Mam dziś wieczorem kilka rzeczy do załatwienia. Obiecuję, że nie będę się przyczajał. Po prostu cię podrzucę i odjadę.

Zawahała się.

- Obiecujesz?

Uniósł palce.

- Słowo skauta.

- W porządku - powiedziała, chwytając torebkę i wyrzucając z siebie pierwszą rzecz, która pojawiła się w jej umyśle. - Spotykam się z kilkoma przyjaciółmi w Harlem.

- Jakimi przyjaciółmi?

Spojrzała na niego ze złością.

- Ustąpiłam co do jazdy Dante, ale nie przesłuchania.

Roześmiał się, wyciągając kluczyki z kieszeni.

- Naprawdę, tym razem byłem po prostu ciekawy.

Genna zeszła na dół, zatrzymując się przy biurze ojca, żeby szybko się pożegnać. Weszła do środka, przechodząc tuż obok jednego z jego współpracowników. Kiedy tylko się pojawiła, dwóch mężczyzn nagle przestało rozmawiać. Wzdychając, Genna pocałowała ojca w policzek i odsunęła się, gdy przyjrzał jej się, wyraźnie ją oceniając.

- Ta sukienka jest trochę za krótka, nie uważasz kochanie?

Przewróciła oczami, nie racząc go odpowiedzią. Sukienka była krwistoczerwona i sięgała jej do koniuszków palców. Koronkowa wierzchnia warstwa z długim rękawem opinała jej figurę niczym druga skóra. Krótka, może, ale była cholernie dużo bardziej skromniejsza, niż większość wiszących w jej szafie.

- Wychodzę, tato. - Dante krzyknął od progu, gdzie czekał na nią. - Wrócę później.

- Podwieziesz siostrę, prawda? - Zapytał Primo swobodnym głosem, mimo to sprawił, że Genna spojrzała na niego gniewnie. Wiedziała, że to było udawane. To zostało zorganizowane godziny temu i nie było żadnego pytania odnośnie tego. To był rozkaz.

- To już ustalone - powiedział Dante, machając na pożegnanie, gdy skinął na Gennę, aby szła przed nim. Ruszyła na zewnątrz, a jej brat był tuż za nią. Oboje wsiedli do jego samochodu, i uniósł brwi, gdy zapinała pasy bezpieczeństwa. - Dokąd?

- Mówiłam ci - Harlem.

- Gdzie w Harlem?

- Wiesz, gdzie mieszka Jackson?

Wyraz twarzy Dantego opadł.

- Genna...

- Po drugiej stronie ulicy jest pizzeria - powiedziała, odganiając jego zaniepokojone spojrzenie. - Wysadź mnie tam.

Mniej niż przecnicę dalej, był również dworzec kolejowy.

Dante był cicho przez większą część jazdy, wioząc ją tam, gdzie poprosiła, nie zadając pytań. Tak było, aż dotarli do pizzerii i Dante zatrzymał się przy krawężniku. Wtedy się odezwał.

- Naprawdę, sis? Stać cię na dużo więcej, niż na tego nieudacznika.

- Na kogo?

- Jacksona.

Posłała mu uśmiech.

- Kto powiedział, że spotykam się z Jacksonem?

Dante przeniósł wzrok na drugą stronę ulicy, gdzie mieszkał Jackson, po czym pokręcił głową.

- Po prostu bądź ostrożna, okej? Nie kradnij żadnych samochodów.

- Nie będę.



- I zadzwoń do mnie. Jeśli będziesz potrzebowała podwózki..., jeśli będziesz potrzebowała *czegokolwiek*... po prostu zadzwoń do mnie. Okej? Powinienem mieć oko na ciebie przez całą noc, ale cóż... nie chcę robić tego bardziej, niż ty chcesz, żebym to robił. Więc po prostu trzymaj swój tyłek z dala od kłopotów, a to będzie trzymało mnie z dala od kłopotów.

- Obiecuję - powiedziała, naprawdę mając to na myśli. - Nie będzie żadnych kłopotów dziś wieczorem.

- Dobrze. Baw się dobrze.

Genna wysiadła z samochodu i weszła do pizzerii, natychmiast zajmując miejsce przy pierwszej pustej kabinie wzdłuż okna. Siedziała tam, patrząc na zewnątrz, gdy samochód jej brata włączył się do ruchu ulicznego.

Potem powoli, licząc do stu w głowie, wstała i wyszła na zewnątrz, kierując się prosto na stację kolejową, znajdującą się mniej niż przecznice dalej.

Trzydzieści minut później, Genna wyszła w Soho, dwie przecznice w dół do jej celu. Trzymając opuszczoną głowę, szybko poruszała się po ulicach, kierując się do *The Place*, gdy wyciągnęła swój telefon i wybrała numer Matty'ego. Telefon dzwonił, i dzwonił, i dzwonił, gdy dostrzegła wyblakły znak sportowego baru. Zwolniła, gdy zbliżyła się do niego, wahając się na rogu, w pobliżu parkingu piętrowego.

- Halo? - Odpowiedział, ostrożny głos, jakby za chwilę miał się rozłączyć.

- Hej - powiedziała, rzucając szybkie spojrzenie na okolicę, gdy przemknęła obok baru i sięgnęła po drugie drzwi, wsuwając się do klatki schodowej prowadzącej do mieszkania na górze.

- Myślałem, że mnie porzuciłaś - odpowiedział.

- Oczywiście, że nie - powiedziała. - Po prostu miałam mały problem, żeby uciec od mojego brata. Gdzie jesteś?

- W *The Place*.

- Wewnątrz, czy nad nim?

- Nad nim - powiedział. - Dlaczego? Gdzie jesteś?

- Na twojej klatce schodowej.

Jak tylko te słowa opuściły jej usta, usłyszała kroki na górze i otwieranie drzwi. Matty pojawił się w progu z telefonem przy uchu, a gdy ją dostrzegł, jego twarz rozświetlił uśmiech. Genna stała u podnóża schodów, patrząc na niego w górę. Miał na sobie to samo, co tego dnia, kiedy pierwszy raz go zobaczyła, tyle że w rzucających się w oczy odcieniach szarości i czarni, zamiast ciepłego brązu i bieli. Wyglądał tajemniczo i elegancko, - wręcz niebezpiecznie.

Zakończył rozmowę, wsuwając telefon do kieszeni, gdy cicho zamknął za sobą drzwi i powoli zaczął do niej schodzić. Jego spojrzenie

omiotło jej ciało, skanując długość jej postaci, gdy zatrzymał się tuż przed nią.

- No, no - powiedział, sięgając i chwytając ją za biodra, jego ręce zdawały się instynktownie znaleźć krzywiznę jej tyłka, gdy przyciągnął ją do siebie. - Wyglądasz wystarczająco dobrze, żeby cię zjeść.

Gorąco ogarnęło policzki Genny, gdy owinęła ramiona wokół jego szyi, stając z nim oko w oko w swoich butach na obcasach. Nie mogła powstrzymać rumieńca przed pędzeniem w dół jej szyi i zalania jej ciała dreszczami.

- Dziękuję.

- Mówię poważnie - powiedział, a jego chrapliwy głos wcale nie odzwierciedlał jego słów. - Chcę zaciągnąć cię na górę i natychmiast zdjąć z ciebie tę sukienkę. - Pochylając się, pocałował ją w szyję, lekko gryząc skórę w pobliżu jej ramienia. - Moimi zębami.

Zadrzała, jej oczy zamknęły się na chwilę na to uczucie.

- Więc dlaczego tego nie zrobisz?

- Ponieważ obiecałem ci randkę - powiedział, odsuwając się, aby spojrzeć na nią ponownie. Uśmiechając się łagodnie potarł jej brodę. - Po za tym, mój brat jest w domu.

Wyraz jej twarzy powoli opadł, a jej oczy przyniosły się za niego w kierunku zamkniętych drzwi.

- Nie martw się - Matty powiedział uspokajająco, gdy opuściła ramiona. - Śpi, prawdopodobnie nie wstanie, dopóki nie zajdzie słońce.

Wziął ją za rękę, splatając ich palce, a serce Genny bębniło w jej piersi na to uczucie. Matty ścisnął jej rękę, gdy pociągnął ją w kierunku drzwi, otwierając je i rozglądając się, zanim wyprowadził ich na zewnątrz. Przeszli obok *The Place*, za róg i do garażu. Genna trzymała opuszczoną głowę, odwracając wzrok, gdy Matty swobodnie przywitał się z parkingowym, stojącym w pobliżu jego samochodu. Wyciągając kluczyki, przycisnął guziki, aby je otworzyć i uruchomić silnik z daleka.

Wsiadła do samochodu, nagle dziwnie nerwowa. Dlaczego? Otarła swoje spocone dłonie o uda, i wzięła głęboki uspokajający oddech, gdy Matty usiadł za kierownicę.

- Wszystko w porządku? - Zapytał, gdy wycofał z parkingu i włączył się do ruchu.

- Tak, tylko, uch... - Pokręciła głową. - Zgaduję, że naprawdę teraz się spotykamy, co?

Uśmiechnął się łagodnie.

- Chyba tak.

Nie było dociekania gdzie jechali, i żadnego zaskoczenia, gdy ruszył na północ. Genna rozluźniła się trochę na miejscu dla pasażera, patrząc przez boczne okno, gdy pędzili wzdłuż GWB, i zaśmiała się, gdy wjechali do New Jersey.

- Co jest takie śmieszne? - Zapytał Matty, rzucając jej szybkie spojrzenie.

- To trochę popieprzone, że musimy przekroczyć granice stanu na *randkę*, nie sądzisz?

- Mogło być gorzej.

- Jak? - Zapytała, unosząc brew na niego. - Poważnie, chcę wiedzieć.

- No cóż, moglibyśmy musieć opuścić *kraj*.

- To może być lepsze - mruknęła. - W tym przypadku, bylibyśmy daleko... z dala od nich.

- Których *ich*?

- Wszystkich z nich - powiedziała. - Całe mnóstwo ich, Barsantich i Galantes.

- Opuściłabyś swoją rodzinę?

Zawahała się, rozmyślając nad jego pytaniem. Cisza była tak wszechobecna, że wszystko, co mogła usłyszeć, to własne bicie serca w uszach.

- Tęskniłabym za swoim bratem, ale tak... opuściłabym. Szczerze mówiąc, Dante miałby dużo łatwiej, nie musząc ciągle mnie strzec.

- Hm.

- Co? - Spojrzała na niego nieufnie. - A ty, opuściłbyś?

W przeciwieństwie do niej, nie zawahał się.

- Nie mogę opuścić swojej rodziny, Genna... nie, kiedy ona sama opuściła *mnie* już dawno temu.

Wpatrywała się w niego przez chwilę, zanim sięgnęła i chwyciła jego rękę na dźwigni zmiany biegów, splatając jej palce z jego. Jego oczy na chwilę opuściły drogę, i rozproszone osiadły w miejscu, gdzie byli połączeni.

Pomimo że zastanawiała się, pomimo że nie chciała nic więcej jak tylko usłyszeć jego historię, usłyszeć jego wersję wszystkiego, wiedzieć to co wiedział, zobaczyć to co widział, gdy cofnął się i obserwował wszystko. Ale nie powiedziała słowa przez resztę jazdy, ponownie pozwalając ciszy zatopić samochód. Matty przejechał przez Jersey, w stronę jego starego domu, ale skręcił do bardziej handlowego obszaru, kierując się do ruchliwej restauracji, serwującej głównie steki. Zaparkował samochód, i kiedy Genna zaczęła odsuwać rękę, chwycił ją za nią mocno przyciągając ją do siebie, i złożył miękki pocałunek na wierzchu dłoni, zanim w końcu ją puścił.

Restauracja była zatłoczona, a dziesiątki ludzi tłoczyły się wokół drzwi, cierpliwie czekając na stoliki. Genna westchnęła, rozglądając się, żeby gdzieś usiąść, gdy hostessa spojrzała na nich, zauważając ich obecność. Coś mignęło w jej oczach, coś zbliżonego do rozpoznania.

Żołądek Genny opadł. *O nie.*

- Pan Brazzi! - Powiedziała hostessa, uśmiechając się. - Tylko jeden?

- Dwa - powiedział Matty, odwzajemniając jej uśmiech, gdy skinął w kierunku Genny. - Mam gościa.

- Cudownie - powiedziała, chwytając dwa menu. - Proszę za mną.

Genna rzuciła przepaszające spojrzenie w kierunku czekających gości, którzy wydawali się być nie zbyt szczęśliwi, że wskoczyli przed kolejkę. Hostessa poprowadziła ich do stolika daleko w głębi, i Genna zajęła miejsce naprzeciwko Matty'ego.

- Brazzi? - Zapytała z niedowierzaniem, gdy zostali sami. - O co z tym chodzi?

Uśmiechnął się, otwierając menu, ale ledwie na nie spojrzął.

- To nazwisko panińskie mojej matki. Savina Brazzi.

- Ach.

- Po prostu przyjąłem to nazwisko tutaj. Pomogło powstrzymać, wiesz, *pewne osoby* przed znalezieniem mnie.

- Pewne osoby, jak... ?

Matty nie odpowiedział, ale jego wyraz twarzy był dla niej wystarczającą odpowiedzią.

Galantes.

- Wciąż chcę usłyszeć tę historię - powiedziała, idąc w jego ślady i otwierając menu.

- Jaką historię?

- Opowieść o czymkolwiek, co mój ojciec ci zrobił.

- Nie dzisiaj - mruknął. - Mam plany, co do ciebie, więc powinienem ograniczać gadanie bzdur o twojej rodzinie do minimum.

- Plany, co?

Kiwnął głową, gdy kelner podszedł z winem i bez słowa nalał trochę w oba kieliszki, zanim postawił dla nich butelkę na stole. Matty uśmiechnął się, gdy mężczyzna odszedł.

- Jak to mówią? Nakarmię cię, napoję cię, a później będę się z tobą kochał?

Genna zarumieniła się na chrapliwą nutę w jego głosie. Ten zdeterminowany dźwięk zdawał się sunąć po jej skórze i sprawiał, że jej włosy stanęły dęba, gdy wypuściła drżący oddech, niezdolna by powstrzymać uśmiech rozprzestrzeniający się na jej ustach.

- To są twoje plany?

- O ile oczywiście, nie planujesz wyjść z tej sukienki później - powiedział, a jego wzrok palił jej skórę jakby chłonąc jej duszę.

- No cóż, uch - powiedziała, spoglądając na siebie. - Lubię tę sukienkę. Mogę chcieć ją zatrzymać.



- Hm. - Matty odwrócił od niej wzrok, a jego spojrzenie wróciło do jego menu. - W takim razie, zamów coś taniego.

Sapiąc, Genna wsunęła nogę pod stół, aby go kopnąć, gdy się śmiał. Zanim zdążyła wymyślić jakąś ciętą ripostę, czy w ogóle coś powiedzieć, kelner ponownie podszedł do ich stołu.

- Czy są państwo gotowi, by złożyć zamówienie, czy potrzebujecie jeszcze kilku minut?

- Jestem gotowy - powiedział Matty, zamykając ponownie menu i kładąc ręce na stole. - Genna?

- Ja, uch... - Nie miała okazji jeszcze zajrzeć do swojego, a ze sposobu, w jaki Matty skołował ją prostym spojrzeniem, nie była pewna, czy *kiedykolwiek* zabrałaby się za to, aby w nie spojrzeć. I to jak wymówił jej imię, podkreślając 'a' na końcu z nieznacznym akcentem z Jersey, sprawiło, że podkurczyła swoje palce u stóp. - Wezmę tylko... - zerknęła do menu, wybierając pierwszą rzecz, którą zobaczyła. - ...klasyczną polędwicę wołową. Wysmażoną.

- Jakiej wielkości? - Zapytał kelner, zapisując to.

- Uch ... dziesięć - powiedziała, zamykając menu. - Dziesięciocalową<sup>16</sup>.

---

<sup>16</sup> 1 cal = 2,54cm

Zanim to całkowicie wydobyło się z jej ust, Matty wypuścił ostry, stłumiony śmiech, który wyraźnie próbował powstrzymać. Kelner stał nieruchomo, a jego zaskoczone spojrzenie przemknęło do niej na krótko, zanim pokręcił głową i w końcu coś zapisał.

- Co? - Zapytała Genna, spoglądając na Matty'ego z zaciekawieniem. Co, do cholery, było tak zabawne?

- Dziesięć cali, co? - Matty podniósł szklanę i skinął nią ku niej. - Może powinniśmy pominąć tę część planu z *napojeniem*. Możesz już być gotowa by wyjść.

To rozbiło poważną fasadę kelnera, który zachichotał. Genna otworzyła usta, żeby zapytać go, o czym, do cholery, mówi, ale zamarła, gdy to ją uderzyło: *dziesięć cali*. Zawstydzona, zakryła twarz. *O Boże*.

Kelner odchrząknął.

- A dla pana, sir?

- Poproszę to samo - powiedział Matty, biorąc menu od niej i zwracając obydwu kelnerowi. - Befszyk, chociaż dziesięciuncjowy<sup>17</sup>.

- Oczywiście.

Kelner wydawał się nie móc czmychnąć wystarczająco szybko. Jak tylko był poza zasięgiem słuchu, Genna jęknęła i opuściła głowę na stół, wiedząc, że jej twarz była jaskrawoczerwona.

---

<sup>17</sup> 1 uncja = 28,35 gram

- Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałam.

- Ja mogę.

Podnosząc głowę, zmrużyła oczy na niego, widząc, jak jego wargi drgają z rozbawienia, gdy wziął łyk z lampki wina. Obserwowała jego mięśnie gardła, gdy przełknął, dziwnie pobudzona na podskakiwanie jego jabłka Adama, i niemal przegapiła bolesny grymas, który wykrzywił mu twarz, gdy odstawił kieliszek.

- Coś nie tak? - Zapytała, podnosząc własny kieliszek i upijając łyk, delektując się gorzkim posmakiem na języku. - Możesz pić czysty rum bez żadnego problemu, ale trochę wina to dla ciebie zbyt wiele?

- To jest obrzydliwe.

- Och, przestań narzekać i wypij to.

Matty uniósł na nią brew, gdy mówiła.

- Brzmisz dokładnie jak moja matka.

Genna wzdragała się na to. Jego matka?

- Porównujesz mnie do Barsantich?

- Formalnie rzecz biorąc, ona jest Brazzi. I muszę ci przypomnieć, że jestem...

- Jesteś Barsanti - powiedziała. - Jestem bardzo tego świadoma, dziękuję.

- Poza tym, moja matka nie jest jak reszta z nich. Albo zgaduję, że powinienem powiedzieć, reszta z nas. Ona jest inna. Zawsze była. Gdyby nie ona, nigdy nie wróciłbym do miasta.

- A potem? - Genna zapytała niepewnie. - Gdy ona, cóż... wiesz... co wtedy? Wyjdiesz znowu?

Matty wpatrywał się w nią przez chwilę.

- Nie myślałem o tym.

- Nie myślałeś? - Jak mógł o tym nie myśleć?

Pokręcił głową.

- Nie lubię myśleć o rzeczach, określanych *potem*, Genna.

- Ale ono zawsze jest - powiedziała. - *Potem*. Każdy moment jest tylko następstwem tego, co było przed tym. Chodzi mi o to, cholera, nawet czas jest mierzony przez *po*. *Popołudnie*. *Kwadrans po*.

- Nie zawsze - powiedział. - Czasami jest kwadrans 'do'.

Zmrużyła na niego oczy. *Mądrała*.

- Cokolwiek, mówię tylko, że...

- Wiem o co ci chodzi - powiedział. - Ale wciąż, gdy chodzi o moją matkę? Nie lubię myśleć o *potem*.

Wzdychając, Genna sączyła wino i rozsiadła się na krześle.

- Wiem jak się czujesz, wiesz. To znaczy, nie wiem dokładnie jak się czujesz, ale rozumiem to. Moja mama...

- Wiem - powiedział cicho.

- Wiesz?

- Oczywiście - powiedział. - To cię dziwi?

- No cóż, biorąc pod uwagę, że twoja rodzina nie miała nic wspólnego z *tym*... czy, cóż, przynajmniej nie sądzę... - Rzuciła mu figlarne spojrzenie, które sprawiło, że się uśmiechnął. - Nie wiedziałam, czy wiedziałeś...

- Moja mama powiedziała mi o tym, kiedy to się stało - wyjaśnił. - Powiedziała, że zginęła w wypadku samochodowym.

- Tak - wymamrotała. - Mój tata nienawidzi tego, że prowadzę właśnie przez to. Obserwował jak odjeżdżała w jedno popołudnie, a ona po prostu nigdy nie wróciła, i myślę, że on wciąż się boi, że to samo przydarzy się mi. Zajęło mi całe wieki, aby przekonać go by pozwolił mi uzyskać prawo jazdy i w dalszym ciągu kiedy tylko ma szansę, sprawia, że i tak nie mogę prowadzić. Zawsze zmusza Dantego, by wszędzie mnie woził.

- Nie próbuje wozić cię sam?

- Nie. Nie prowadził od... cóż... - *Odkąd Joey zginął od bomby przymocowanej w jego samochodzie.* - Powiedzmy, że nie pamiętam czasu, kiedy prowadził.

Matty kiwnął głową, i przeniósł spojrzenie na jego kieliszek z porzuconym winem. Przesunął go na bok, z dala od siebie. Czują, obserwując jego wyraz twarzy, że wiedział, o czym mówiła.

- Porozmawiajmy o czymś innym. Zawsze rozmawiamy o naszych rodzinach, i cóż, szczerze mówiąc, ostatnią rzeczą o której chcę myśleć dziś wieczorem jest to, co nas czeka jutro. Wolę raczej myśleć o dzisiejszym wieczorze... i tobie... i upewnić się, że dostaniesz te całe dziesięć cali, o które poprosiłaś.

Parsknęła śmiechem, biorąc kolejny łyk wina, a atmosfera natychmiast zrobiła się lżejsza. Jak na zawołanie, pojawił się kelner z jedzeniem, stawiając ich talerze na stole przed nimi.

- Czy mogę dostać jakiś sos do steku? - Zapytała Genna, rozglądając się po stole, i nie widząc żadnego.

- Tak - powiedział Matty, biorąc nóż i wskazując na jej stek. - Nie ma nic gorszego, niż wzięcie dziesięciu cali na sucho, co? Mówią, że im bardziej mokry, tym lepiej.

Spojrzała na niego gniewnie, gdy kelner się zaśmiał i ruszył szybko po sos.

- Zabawne.

Matty wzruszył ramionami.

- Myślałem, że takie było.

Przy kolacji, gdy jedli i śmiali się, żarty płynęły swobodnie między nimi. Alkohol zrelaksował Genę, krążąc w jej krwiobiegu i rozluźniając napięte mięśnie. Powietrze w restauracji stało się duszne, ciepłe i przeladowane rozmowami z otaczających ich stołów, a niekończąca się paplanina czasami przeszkadzała im w ich skradzionej chwili. Matty w końcu westchnął i wstał.

- Chodźmy stąd.

Rozejrzała się za ich kelnerem. Nie widziała go już przez jakiś czas.

- Zapłaciłeś już rachunek?

Nie mogła nawet sobie przypomnieć, czy został przyniesiony.

- Dopiszą mi to do rachunku - powiedział, wyciągając do niej rękę.

- Chodź.

- Jesteś pewny?

- Robili tak wcześniej.

Lekceważąc to, Genna chwyciła go za rękę i wstała nie wysuwając żadnego argumentu, gdy wyprowadził ją na zewnątrz w ciepłą, spokojną noc.

Przejechali przez miasto, kierując się do małego białego domu na przedmieściach, do którego Matty zabrał ją wcześniej. Genna weszła do środka, zatrzymując się w salonie, podczas gdy Matty włączył światła i zdjął sweter rzucając go na kanapę. Podwinął rękawy swojej szarej koszuli i zbliżył do niej.

- Naprawdę pięknie wyglądasz dziś wieczorem, Genna - powiedział cicho, zatrzymując się przed nią. Delikatnie, odsunął kilka włosów z jej twarzy i włożył je za jej ucho, wierzchem dłoni dotykając lekko jej zarumienionego policzka. - *Powinienem cię porównać do... uch... czegokolwiek, do cholery, Szekspir cię porównuje.*

Uśmiechając się, Genna owinęła ramiona wokół jego szyi.

- *Letni dzień, ale jestem bardziej jak zimowa burza.*

- Lodowa księżniczka - zażartował, delikatnie ją całując, gdy chwycił jej biodra. - Dla mnie jesteś ciepła.

- Może po prostu też jesteś zimny.

- Być może - powiedział. - Ale nie sądzę, że jesteś zrobiona z lodu. Jesteś jak wulkan, Genna. Byłaś w stanie uspienia przez cały ten czas, cała ta pasja narastała i wrzała tuż pod powierzchnią, czekając tylko na odpowiednie drżenie by spowodować eksplozję. - Pocałował ją znowu, sunąc ręką w dół jej nogi i wślizgując ją pod sukienkę. - I myślę, że dostałem po prostu falę uderzeniową, aby włączyć cię, księżniczko.

Genna zadrżała, gdy jego ręka wśliznęła się między jej uda. Jej oddech uwiązł, gdy koniuszki jego palców musnęły krawędź jej koronkowych stringów.

- Zmieniłam zdanie.

- Na temat?

- Chcę zdjąć sukienkę.



- Nie. Sukienka zostaje... i buty, też, skoro już jesteśmy przy tym.

Uniosła brew na niego.

- Och?

Uśmiechnął się, wyciągając rękę, po czym zrobił krok do tyłu, sunąc powoli i metodycznie spojrzeniem wzdłuż jej ciała. Gdy dotarł do jej butów, jego wzrok wrócił do jej oczu.

- Zdecydowanie.

Genna wypuściła zaskoczony okrzyk, gdy złapał ją za rękę i pociągnął w kierunku sypialni. Oszołomiona poszła za nim, chwiejąc się przy tym lekko i nie będąc pewną, czy to za sprawą wina utrzymującego się w jej krwiobiegu, czy spojrzenia, jakie jej rzucił. Jak tylko znaleźli się w sypialni, Matty przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował. Jego ręce ponownie znalazły się na jej biodrach, gdy prowadził ją w stronę łóżka. Powoli, położył ją i uniósł się nad nią, odrywając się od jej ust by musnąć ustami jej szczękę i skierować je na szyję. Całował i pieścił jej skórę, liżąc i ssąc, pozostawiając po drodze niewielkie czerwone ślady.

Matty podążył pocałunkami w dół jej okrytej piersi. Zsunął stringi, i delikatnie pogłaskał wewnętrzną stronę jej ud. Gdy Genna poczuła jego zęby lekko przygryzające jej osłonięte przez sukienkę ciało, wygięła się w łuk czując gęsią skórę rozkwitającą na jej skórze. Znalazła rękoma jego włosy, sunąc palcami przez ciemne loki, podczas gdy on przesunął się wzdłuż jej brzucha jeszcze niżej, dopóki nie znalazł się pomiędzy jej rozchylonymi udami.

Chwytnając jej biodra, Matty unieruchomił ją w miejscu i podążył mokrymi pocałunkami w górę po wewnętrznej stronie jej uda, dopóki nie dotarł do jej obolałego centrum. W chwili, kiedy Genna poczuła jego usta na swoim ciele, a jego język delikatnie i żartobliwie musnął jej łechtaczkę, zassała ostry oddech, który opuścił jej ciało niczym słaby krzyk przyjemności.

- O kurwa...

Była skończona.

Matty zabrał ją na krawędź szybko i łatwo, za pomocą tylko delikatnego dotyku i swojego języka. Grał na jej ciele jak na instrumencie, szarpiąc jej struny i uderzając w jej klawisze, ponownie zostawiając ją drżącym bałaganem.

Krzycząc, chwyciła mocno jego włosy, zaciskając w pięściach loki, gdy ścisnęła uda wokół jego głowy. Jej obcasy wbiły się w jego plecy, gniotąc koszulę, brudząc materiał podszwami jej butów.

Orgazm wstrząsnął nią, jak trzęsienie ziemi, skręcając palce u jej nóg i przyspieszając pędzące serce. Gdy przyjemność przygasła, rozluźniła swój uścisk na Mattym, i delikatnie przesunęła palcami przez jego włosy, gdy na nią patrzył.

- Więc? - Powiedział, unosząc pytająco brew, gdy zawisł nad nią ponownie.

- Więc - szepnęła - Myślę, że ukończyłbyś szkołę z wyróżnieniem.
- Uśmiechnęła się. - Łapiesz to? Z wyróżnieniem<sup>18</sup>?

Matty zaśmiał się, kręcąc głową, gdy pocałował ją szybko.

- To był okropny żart.

Wzruszyła ramionami. Myślała, że to było całkiem zabawne.

- Matty?

- Tak?

- Czy mogę teraz zdjąć sukienkę?

- Abso-kurwa-lutnie.

Godziny później leżeli razem, spoceni i splątani w zmiętej pościeli. Genna nie miała poczucia czasu - to mogły być minuty albo godziny, ale gdy leżała w jego ramionach, miała wrażenie jakby świat się zatrzymał.

Ciężka ciemność przeniknęła powietrze. Północ?

- Prawdopodobnie powinniśmy niedługo się zbierać - powiedziała.

- Masz rację - opowiedział, chociaż nie wykonał żadnego ruchu by wstać albo nawet ją puścić.

Minęło kilka minut, zanim wymamrotała.

---

<sup>18</sup> Gra słów - *cum* – wyróżnienie; *cum* – orgazm. - Kaś

- Moja rodzina prawdopodobnie mnie oczekuje.
- Tak - powiedział, delikatnie całując czubek jej głowy. - Moja również.



Dziki zamieszanie otaczało *The Place*, a wrzawa stała się jeszcze głośniejsza, gdy Matty otworzył zewnętrzne drzwi, by udać się do jego mieszkania. Zatrzymał się u podnóża schodów i westchnął z irytacją. Podeszwy jego butów wibrowały w rytm riffów gitarowych.

*Po prostu świetnie.* Enzo był w domu... i oczywiście nie był sam.

Wlokąc się noga za nogą Matty wszedł na górę, otworzył drzwi i wszedł do środka. Ryknął w niego klasyczny rock, z taką głośnością, że aż się skulił. Salon wypełniały ciała - trzech facetów i trzy dziewczyny. Enzo siedział na kanapie z jedną na kolanach. Obok nich była inna dziewczyna - młoda - z mocnym makijażem na twarzy. Matty rozpoznał AquaNet i Crayola z *The Place*.

Po obu stronach jego brata siedzieli Carl i Roy Civello - dwaj uliczni żołnierze Barsantich, bracia z reputacją z bycia samymi mięśniami bez grosza rozumu. Trzecia dziewczyna klęczała na podłodze skulona nad stolikiem, wciągając nosem jakiś proszek. Jej skóra miała odcień upiornie białej. Odchyliła głowę, a jej oczy zamknęły się w euforii.

*Niewiarygodne.*

Matty zamknął za sobą drzwi, co zwróciło ich uwagę. Enzo spojrział w górę, a jego twarz rozjaśniła się uśmiechem.

- Matty-B! Co tam?

- Nic - mruknął Matty, nie wystarczająco głośno by jego brat mógł usłyszeć. Rzucił swój sweter na jeden ze stołków otaczających mały bar w pobliżu kuchni i podszedł do zestawu stereo. Przyciszył muzykę na tyle, by mógł myśleć, ignorując przy tym protesty dziewczyn. - Mogłem usłyszeć to gówno z ulicy. Masz szczęście, że nikt nie wezwał glin.

Enzo zadrwił, wyciągając pięść do brata by w nią uderzył.

- Kto na mnie zadzwoni do glin?

- Ktoś, kto nie jest na tyle mądry, aby wiedzieć lepiej - powiedział Carl, śmiejąc się i zarzucając rękę na ramię Crayoli.

Matty nie zaszczycił tego odpowiedzią, zamiast tego skierował się do kuchni po drinka. Rozejrzał się, dostrzegając na ladzie niemal pustą butelkę rumu, po czym chwycił kieliszek do shotów i nalał sobie strzał. Wypił szybko, krzywiąc się na ciepły gorzki płyn, który palił jego gardło. Z zamkniętymi oczami stał przy ladzie, pozwalając paleniu osiąść w jego piersi.

Po chwili, otworzył oczy i ponownie napełnił kieliszek. Do kuchni wszedł Enzo.

- Nieźle wyglądasz dziś wieczorem, bracie.

Matty rzucił mu szybkie spojrzenie, widząc, jak jego brat go oceniał.

- Gorąca randka? - Zapytał Enzo, chwytając butelkę rumu i nalewając sobie shota. Stuknął swoim kieliszkiem z Matty'ego, zanim obaj je opróżnili. Drugi strzał był gładszy, odrętwiając pierś Matty'ego na tyle, by wypełnić nagłą pustkę, którą czuł... pustkę z konieczności odstawienia Genny do domu i odjechania, nie będąc pewnym, kiedy będzie miał szansę, żeby zobaczyć ją ponownie.

- Można tak powiedzieć - odpowiedział.

- Ta sama dziewczyna?

- Tak - powiedział. - Ta sama.

- Czy kiedykolwiek zamierzasz ją przyprowadzić?

Matty pokręcił głową.

- Prawdopodobnie nie.

- Dlaczego? - Naciskał Enzo. - Boisz się, że ją ukradnę? Bo nie zrobię tego. No cóż, wiesz... zależy jak bardzo jest gorąca.

Matty zaśmiał się sucho.

- Nie mógłbyś jej ode mnie ukraść, nawet gdybyś próbował.

- Chcesz się założyć?

- Spasuję. - Matty odstawił kieliszek i odszedł od lady. - Idę spać.

- Ale jest jeszcze wcześniej.

- Jest trzecia nad ranem.

- Dokładnie - powiedział Enzo. - Słońce nie wszędzie jeszcze przez kilka godzin.

Matty uderzył brata lekko w ramię, gdy mijał go, zmierzając do swojej sypialni.

- Dobranoc, En.

- Myślałem, że posiadanie jakiejś cipki w końcu cię rozluźni - Enzo krzyknął za nim - A nie rozdrażni twój tyłek jeszcze bardziej!

Matty pokazał mu środkowy palec, zanim schował się w sypialni i zamknął za sobą drzwi. Skopując buty, opadał na łóżko i wpatrywał się w ciemny sufit, wsłuchując się w zamieszania w salonie.

- Twój brat ma chyba kija w tyłku, nie? - Zapytała głośno jedna z dziewczyn, pijackim bełkotem. - Rany.

- Nie mów o moim bracie - powiedział Enzo.

- Al...

- Słyszałaś mnie - powiedział Enzo, ostrym tonem. - On zasługuje na szacunek, a jeśli nie możesz go szanować, w takim razie możesz wynieść się w cholere.

- Daj spokój, En - powiedział Carl. - Sam powiedziałaś, że był mocno spięty.

- Tak, cóż, jest *moim* bratem - powiedział Enzo. - To moje zadanie, żeby dać mu porcję gówna. Ale ty? Kurwa, zwłaszcza ty, Carl ... wiesz lepiej. Nie mówisz o Barsantich.

- Tak, masz rację - mruknął Carl. - Przepraszam.

- Co zrobił? - Jedna z dziewczyn zapytała.

- Co masz na myśli?

- Powiedziałeś, że zasługuje na szacunek - odpowiedziała. - Co zrobił, aby na niego zasłużyć?

- Nie ma znaczenia, co zrobił - odpowiedział Enzo. - Nie musiał robić nic. To jest to, kim jest i przez co przeszedł. Chodzi o to, co zostało mu zrobione.

- To znaczy?

- Wicie co? - Enzo podniósł głos, a w jego słowach iskrzył cień gniewu, co zaskoczyło Matty'ego. - Na dzisiaj koniec.

Dziewczyny znowu zaprotestowały, ale Enzo spławił ich wszystkich, szybko wyludniając mieszkanie, praktycznie wypychając ich za próg. Trzasnął za nimi drzwiami, a wibracje były tak silne że wstrząsnęły ścianami i rozbrzmiewały echem w całym mieszkaniu. Matty zastanawiał się czy nie wstać i pójść by porozmawiać z bratem, ale zamiast tego po prostu tam leżał, a słowa Enza odbijały się echem w jego głowie.

*Chodzi o to, co zostało mu zrobione.*



Matty starał się nad tym nie rozmyślać, ale w ciągu jednej nocy zostało to poruszone dwukrotnie - wypchnięte na przód, w sam środek jego umysłu. Szepty z dnia, w którym jego doskonały świat został popsuty. Od tamtej pory minął długi czas - ponad szesnaście lat, - ale wciąż pamiętał to wyraźnie... pamiętał zamęt, i terror... pamiętał żal, i gniew... pamiętał cierpienie.

Cierpienie. Pamiętał je najbardziej, ponieważ wciąż je odczuwał. Czuł je często, wijące sobie drogę do kącików jego istoty, infiltrujące jego życie i niszczące jego szczęśliwe wspomnienia. Zostawiało ciemną plamę na wszystkim co dobre w jego wszechświecie i wiedział... po prostu kurwa *wiedział...*, że kiedy powie o tym Gennie, to również pokieroszuje to, co miał z nią.

Zamykając oczy, Matty westchnął.

*Chodzi o to, co zostało mu zrobione...*

*Jaskrawe wielokolorowe balony, zajmowały niemal każdy skrawek przestrzeni, pokrywając podłogę, podczas gdy inne unosiły się w kupkach w powietrzu pod niskim sufitem, a zakręcone łańcuchy zwisały niemal do podłogi jadalni. Stół został przepchnięty pod ścianę, prezenty ułożone na nim w wysoki stos. Cały pokój został przemeblowany, aby pomieścić wszystkie opuszczone balony.*

*Było ich dwieście, będąc dokładnym: sto u jego stóp i sto nad jego głową. Matty pamiętał, ponieważ jego matka powiedziała mu to wcześniej tego ranka. Przeszedł wokół pokoju, lawirując przez labirynt łańcuchów, gdy jego młodszy*

brat Enzo chwycił balony z podłogi i rzucał je wokół jak piłki, ganiąc je, skacząc na nie i przebijając tym cienki lateks.

Pop.

Pop.

Pop.

Przebitych zostało już około dwudziestu.

Spojrzenie Matty`ego ciągle wędrowało do ogromnego okna, wychodzącego na podwórze. Dziesiątki samochodów stało równo zaparkowane na podjeździe – była to rodzina, i przyjaciele rodziny, ale pomimo tego że przyjęcie rozpoczęło się już dawno temu, było bardzo mało dzieci.

Ósme urodziny Matty`ego.

Z głośników leciała La Traviata, a echem przez dom rozchodziły się głosy świętujących dorosłych, pijących i rozmawiających - nieświadomych narastającego niepokoju Matty`ego.

Nie było tam Galantes.

Powinni być.

Dlaczego ich nie było?

– Mamo! - Zawołał, głosem zabarwionym marudzeniem. – Dlaczego nie ma tu jeszcze Joey`a?

Savina stanęła w drzwiach, uśmiechając się smutno.

– Nie jestem pewna, kochanie. Dzwoniłam ale nikt nie odbierał, więc prawdopodobnie są w drodze. Wiesz, że Joey nie przegapiłby twojego przyjęcia.

– Poczekaj, aż zobaczy wszystkie moje balony – powiedział podekscytowany Matty, w chwili gdy Enzo przebiegł przez nie, ściskając w rękach niebieski, i lądując twarzą na podłodze, przebijając tym go. Pop. – W każdym bądź razie jeśli jakiś jeszcze zostanie.

Mijały minuty... pięć, dziesięć, piętnaście... bez żadnego śladu najlepszego przyjaciela Matty'ego. Stając się sfrustrowanym, Matty znowu odszukał swoją mamę. Przeszedł przez jadalnię i zatrzymał się w drzwiach, widząc mamę trzymającą telefon przy piersi, z zachmurzonym wyrazem twarzy. Roberto stanął przed nią, z poważną miną.

– Żadnego z nich tu nie ma - Roberto powiedział ostro. – Ani jednego, Savina.

– Przyjadą - odpowiedziała. – To urodziny Matty'ego.

– To nic nie znaczy.

– Są naszymi przyjaciółmi - powiedziała. – Primo jest jego ojcem chrzestnym! Przyjadą.

– Nie przyjadą - powiedział Roberto niskim głosem. – Przystali tym wiadomość.

– Jaką wiadomość?

Zanim Matty mógł usłyszeć odpowiedź ojca, dźwięk ryku silnika na zewnątrz zwrócił jego uwagę. Odwrócił się w kierunku okna, obserwując samochód jadący w stronę domu.

*– Mamo, jedzie tu samochód! – Krzyknął Matty. – Może to Joey!*

*Jego rodzice weszli do jadalni, ale żadne z nich nie miało możliwości by się odezwać zanim to się stało.*

*Pop.*

*Pop.*

*Pop.*

*Matty myślał, że to balony. Instynktownie i naiwnie, przeniósł na nie zdezorientowane spojrzenie. W ciągu kilku sekund, jego matka chwyciła go i rzuciła na podłogę, chwytając w przelocie również Enza trzymającego balon. Rzuciła się na nich, unieruchamiając ich pod swoim drżącym ciałem, gdy hałas stał się głośniejszy, spowijając powietrze wokół nich.*

*Pop.*

*Pop.*

*Pop.*

*Nieustający ostrzał rozświetlił dom, grad kul opadał na nich, rozbijając okna, poruszając zastony, i niszcząc wszystko dookoła. Enzo krzyczał, przerażony, gdy szarpał się pod ich matką, ale Matty po prostu tam leżał, zbyt oszołomiony, aby nawet się poruszyć, a łzy spływały w dół jego zaczerwienionych policzków, gdy gwałtownie się trząsał.*

*Skończyło się tak szybko, jak się zaczęło. Zajęło mniej niż minutę, aby wybić jego świat z osi, zniszczyć jego życie i nie pozostawić nic oprócz spustoszenia .*

*Matty otworzył oczy, znów wpatrując się w sufit w jego ciemnej sypialni. W salonie było teraz cicho, Enzo przeszedł do własnego pokoju. Nagła cisza była niemal ogluszająca.*

*Nigdy więcej nie zobaczył swojego najlepszego przyjaciela.*

*Tydzień później, Joey nie żył.*

*Nikita24*

## ROZDZIAŁ 8

- Więc, uch, gdzie jedziemy?

Matty spojrzał na Gennę, która siedziała obok, na miejscu pasażera.

- Mówiłem ci...

- Powiedziałaś, że zobaczę.

- Dokładnie. Zobaczysz.

Genna spojrzała na niego udając rozdrażnienie, ale Matty mógł zobaczyć tylko lęk. Z roztargnieniem potarła dłonie o swoje ciemne dżinsy, gdy zlustrowała wzrokiem dzielnicę za oknami samochodu. Prawdopodobnie nigdy wcześniej tu nie była, ale mimo to wiedziała wszystko na temat tych ulic.

To były ulice, na których *nigdy* nie powinna postawić nogi.

Nie musiała czekać zbyt długo, by otrzymać odpowiedź na to pytanie. W ciągu kilku minut Matty zatrzymywał się przed rezydencją jego rodziców. Niepokój Genny wzrósł w zawrotnym tempie, a jej wiercenie zmieniło się w coś cholernie bliskiego dygotania.

- Czy my...? Czy to...? Dobry Boże, proszę powiedz mi, że to nie jest dom twojej rodziny.

- Jest.

Wpatrywała się w niego.

- Dlaczego tu jesteśmy?

- Na obiad.

- Czy ty kurwa stroisz sobie ze mnie żarty? Hannibal Lecter zabrał mnie do *domu*?

- Hannibal?

- Tak, ty pokręcony kanibalistyczny pojebie.

Wbrew sobie, Matty zaśmiał się z tego. *Głupiutka dziewczynka.*

- Nie mam żadnych planów żeby cię zjeść, Genna. - Przerwał, podnosząc swoje brwi i swawolnie nimi poruszając. - No cóż...

- To *nie* jest śmieszne.

- Tak, masz rację. Chodź.

Zaparkował samochód i wysiadł, słysząc, że drzwi pasażerskie też się otwierają.

- Poważnie, Matty? Matty... Matty... A niech to szlag trafi, Matteo!

Skrzywił się, gdy użyła jego prawdziwego imienia, i rzucił jej spojrzenie z ukosa.

- Nie nazywaj mnie tak.

- Zatem dobrze, Michael, Myers... cokolwiek. ale zwolnij kurwa i powiedz mi, dlaczego jesteśmy w domu z horrorów twojego dzieciństwa.

- Mówiłem ci... na obiad. - Przez jej zewnętrzne ukazanie gniewu, Matty wciąż widział jedynie niepokój. Poważnie, zaczynała się pocić. Nie mógł ją za to winić. Ale nie powiedział jej wcześniej dokładnie z tego właśnie powodu, wiedząc, że to nie zabrzmiał nawet w najmniejszym stopniu racjonalnie. - Ufasz mi, prawda? To jest to, co powiedziałaś. Zaufaj mi teraz.

- Tak, ale...

- W takim razie *zaufaj* mi - powiedział, wyciągając do niej rękę. - Proszę.

- Dobrze - wycedziła, pocierając ponownie dłońmi o dżinsy, zanim wsunęła rękę w jego. Wziął ją, i ścisnął uspokajająco, zanim poprowadził ją w kierunku domu.

Matty nie zapukał, otworzył frontowe drzwi i wszedł prosto do środka, praktycznie przeciągając Genę przez próg. Kiedy zamknął za nimi drzwi, Genna uchwyciła się go, a jej oczy rzucały szybkie spojrzenia wokół holu, jak zdziczały kot przyparty do muru szukający wyjścia. Wzdychając, przyciągnął ją do siebie, wyciągając rękę z jej uścisku, i położył ją na jej ramieniu, przytulając ją do swojego boku.

Zawsze zachowywała się jakby była taka niezniszczalna, taka silna, taka nieustraszona. Ale chwile takie jak ta przypominały Matty'emu, że



Lodowa Księżniczka była jedynie fasadą ukrywającą fakt, że była najpodatniejsza z nich wszystkich.

- Matty? Czy to ty, słodziutki?

Z pokoju doszedł cichy głos, dający poczucie komfortu Matty'emu, ale dźwięk ten miał negatywny wpływ na Genę. Skuliła się u jego boku, a ręką chwyciła tył jego koszuli.

- Tak, mam, to ja - zawołał.

Sekundy później pojawiła się w zasięgu wzroku.

- Zastanawiałam się, czy wstąpisz dziś wieczorem. Twój ojciec i brat właśnie...

Jego matka zamarła w drzwiach, a jej słowa się urwały. Uśmiech na jej twarzy znikł szybko, gdy jej usta otworzyły się w szoku. Mrugając kilka razy, wpatrywała się w Genę.

- Wyszli? - Matty zgadł, kończąc jej zdanie. - Wiem. Czekałem, aż wyjadą.

- Rozumiem - powiedziała, przeciągając słowo, nie będąc w stanie odciągnąć wzroku od Genny. Otrząsnęła się z tego po chwili, a uśmiech wrócił na jej usta, gdy wzięła się w garść. - Więc, uch, wejdźcie. Usiądźcie.

Skinęła w kierunku pokoju. Matty zaczął iść, ciągnąc Genę za sobą. Nie walczyła, ale nieśmiało pochyliła głowę z zarumienionymi policzkami, gdy mijali jego matkę. Usiadł na krześle, wciągając Genę na

kolana, gdy jego matka zajęła jej zwykle miejsce na kanapie. Wciągnęła koc na siebie zwijając się w kłębek, z oczami skupionymi na ich dwojce.

- Genno, to moja mama, Savina - powiedział Matty, wskazując między nimi dwoma. - Mamo, poznaj Gennę.

- Och, poznałyśmy się wcześniej - powiedziała Savina.

Genna spojrzała na nią ostrożnie.

- Tak?

- Oczywiście - powiedziała, uśmiechając się. - Chociaż byłaś małeńka ostatnim razem kiedy tu byłaś, więc nie dziwi mnie że nie pamiętasz. Chociaż czuję się jakby to było wczoraj.

- Tutaj? - zapytała Genna. - Byłam *tu* wcześniej?

- Twoja mama przyprowadzała was - dzieci - wiele razy, żebyście się pobawili.

- *Bawiliśmy się?* - Zapytała z niedowierzaniem w głosie. - Jak, my i...oni?

Sceptycyzm Genny sprawił jedynie, że Savina uśmiechnęła się szerzej, wypuszczając przy tym lekki śmiech.

- Oczywiście. Matty i Joey byli najlepszymi przyjaciółmi. Próbowali uciec i robić swoje rzeczy, podczas gdy Dante i Enzo podążali za nimi, denerwując chłopców, jak młodsi bracia często robią.

- A ja?

- Byłaś bardziej zainteresowana sianem spustoszenia niż czymkolwiek innym.

- Wciąż jest - żartobliwie powiedział Matty, zarabiając łokciem w pierś od Genny, gdy ta się uśmiechnęła.

- To były stare dobre czasy - ciągnęła Savina, wypuszczając głębokie westchnienie. - Nie zawsze szliśmy łąb w łąb. Kiedyś egzystowaliśmy spokojnie.

- Co się stało? - Niepewnie zapytała Genna. - Co się zmieniło?

- Ci głupcy, których Cara i ja poślubiłyśmy, wybrali władzę nad przyjaźnią - Savina powiedziała otwarcie. - Wybrali pieniądze, i sławę... zamiast wybrać siebie, tak jak powinni. Nie zrozum mnie źle, są wspaniałymi mężczyznami. *Obydwaj* są wspaniałymi mężczyznami. - Zanim Matty mógł się odezwać czy sprzeczać się o to, jego matka wycelowała w niego palcem, z surowym wyrazem twarzy. - Są. Po prostu zablądźli, i mam nadzieję, że zobaczą błąd swoich wyborów, zanim będzie za późno.

- Było już za późno ,jak tylko to się zaczęło, mamó - powiedział Matty. - Zajęło im mniej niż tydzień by zniszczyć obie rodziny.

- Nie powiedziałbym, że nas *zniszczyli* - przeciwdziałała. - Wciąż tu jesteśmy, prawda? I spójrz na nas, siedzimy tutaj znowu razem. Wszystko, czego potrzebujemy, to żeby Genevieve włożyła monetę jednopensową do kontaktu i będzie jak za dawnych czasów.

Zamiast zamilknąć, Genna wydawała się bardziej zrelaksować, spokojnie wtulając się w ramiona Matty'ego, gdy miękki uśmiech dotknął jej warg.

- Spowodowałam zwarcie elektryczne w moim domu kilka lat temu, bawiąc się w ten sposób kontaktem.

- Mówiłem ci - powiedział Matty, owijając ramiona wokół niej. - *Wciąż* sieje spustoszenie.

Przez jakiś czas prowadzili swobodną rozmowę, zanim Matty przeprosił, zostawiając Gennę w pokoju z mamą, i udał się do kuchni. Zapalając światło, przystąpił do pracy, wyjmując wszystko co było mu potrzebne by zrobić obiad. Tym razem zaczął poprawie, chcąc zrobić to wszystko od podstaw. Martwił się, że to może zająć trochę czasu ale nie martwił się - wiedział, że z Genną będzie w porządku. Jego ojciec wróci do domu późno, znacznie później po tym, jak już odjadą, a wiedział, że jego matka nie piśnie słowa o tej wizycie.

Spaghetti i klopsiki. Matty miał podwiniete rękawy, a ręce brudne, gdy robił świeży makaron. Sos już gotował się na wolnym ogniu na kuchence. Co jakiś czas słyszał śmiech dochodzący z pokoju, ale od kilku minut było cicho.

Prawie *zbyt* cicho.

Rozważał czy może zajrzeć do nich, by sprawdzić co było powodem tej ciszy, gdy ciche kroki w korytarzu zwróciły jego uwagę. Spoglądając w górę, zobaczył, jak Genna stanęła w drzwiach.

- Hej - powiedział. - Wszystko w porządku?

- Tak... twoja mama zasnęła.

- Nie jestem zaskoczony - odpowiedział. - Ostatnio była zmęczona. Obudzę ją, gdy jedzenie będzie gotowe.

Genna uśmiechnęła się łagodnie, wchodząc do kuchni, a jej wzrok przeskanował bałagan, który zrobił.

- Więc gotujesz?

- Tak.

- Jesteś w tym dobry?

- No cóż, lepszy niż *ty*.

Zadrwiła żartobliwie, trącając go, gdy zatrzymała się obok niego.

- To nie mówi za wiele. Wszyscy są lepsi ode mnie.

Matty wyciągnął klopsiki z piekarnika, zanim zaczął gotować makaron. Zamieszał sos, i nabrał trochę na łyżkę, wyciągając ją w kierunku Genny. Skosztowała, po czym powoli oblizwała usta.

- Więc? - Zapytał.

- Więc, przypuszczam, że jesteś całkiem dobry.

Uśmiechając się, umieścił klopsiki w sosie, aby gotowały się na wolnym ogniu.

- Przypuszczasz?

- Tak - powiedziała, opierając się plecami o ladę, krzyżując ramiona na piersi. - Zdecyduję dopiero po tym, jak spróbuję całość.

- Wystarczająco uczciwe.

Matty skończył gotować, czując na sobie przez cały czas skupione spojrzenie Genny. Jak tylko jedzenie było gotowe, Genna zaproponowała by nakryć do stołu, a Matty poszedł po swoją mamę. Spała głęboko, z głową opartą na ramieniu kanapy. Jej twarz była rozluźniona, a ciało odprężone.

Rozważał by pozwolić jej spać, ale wiedział że usłyszałby od niej później, gdyby jej nie obudził. Delikatnie potrząsnął nią mówiąc do niej miękkim głosem.

- Mamo, obiad gotowy.

Jej oczy otworzyły się, a zdezorientowanie na jej twarzy płynnie przeszło w zakłopotany uśmiech.

- O mój, musiałam przysnąć.

Gdy weszli, Genna siedziała już przy stole. Zajęli swoje miejsca, i natychmiast zaczęli jeść. Matty wziął kilka kęsów nie mając zbytnio apetytu, skupiając się na kobietach siedzących przy stole.

Nigdy, nawet za milion lat, nie przyszło by mu do głowy, że taka sytuacja będzie miała miejsce. Rozmawiały cicho, a łatwość ich konwersacji, z szerokimi ramionami przywitała Gennę w ich domu.

- To jest dobre, słodziaku - powiedziała jego mama. - Znacznie lepsze niż ostatnim razem, kiedy to robiłeś.

Już miał jej podziękować, gdy odezwała się Genna.

- Słodziaku?

Matty przewrócił oczami, zanim jego mama nawet zaczęła wyjaśniać.

- Tak, bo jest taki słodki - powiedziała,- ale nie daj się zmylić, jest również kategoriyczny.

Genna roześmiała się, niemal krztusząc się swoim piciem.

- Nie jestem *taki* zły - powiedział defensywnie.

- Nie jesteś - jego matka powiedziała krzepiaco, sięgając i przykrywając jego dłoń. - Byłeś o wiele gorszy. Rozluźniłeś się dużo w ciągu tych kilku ostatnich tygodni. Zastanawiam się, dlaczego tak jest...

Pojawił się znaczący błysk w jej oku, gdy powędrowała wzrokiem w stronę Genny.

- Prawdopodobnie dlatego, że mam *dwie* piękne kobiety, z którymi mogę spędzać moje dni.

- Cieszę się, że to robisz - powiedziała jego mama. - Jestem szczęśliwa, że masz także ją.

Nie uszło jego uwadze, że policzki Genna zarumieniły się przy uznaniu.

Obiad minął zbyt szybko, a na zewnątrz zapadła ciemność. Tak bardzo jak Matty chciał by mogli zostać dłużej, jak tylko uprzątnął kuchnię wiedział, że musieli się stamtąd wydostać. Wbrew jego pragnieniom, jego matka odprowadziła ich do drzwi, przytulając mocno Genę.

- Tak wspaniale było cię zobaczyć, Genevieve.

- Panią również, pani uch...

Potknęła się przy nazwisku.

- Mów do mnie Savina.

- Savina.

Genna zeszła z ganku, zmierzając do Lotusa, gdy Matty uważnie przyjrzał się matce. Wyglądała teraz na jeszcze bardziej wyczerpaną z bladą twarzą i perełkami potu rozsianymi na jej czole. Coś tak błahego jak obiad, wyssało z niej każdą uncję energii.

- Wrócę po tym, jak ją podrzucę - powiedział. - Poczekam z tobą, aż tata wróci do domu.

- Nonsens, nie potrzebuję niańki - powiedziała, machając lekceważąco. - Udanego wieczoru.

Wzdychając, pochylił się by pocałować ją w policzek, gdy ona go przytuliła.

- Dobranoc, mamó.



- Dobranoc. - Zaczął schodzić z ganku, gdy zawołała go.

- Matty?

- Tak.

- Dziękuję.

Stał tam, obserwując jak skierowała się z powrotem do domu i zamknęła drzwi. Wzdychając, Matty skierował się do samochodu i wsunął na siedzenie kierowcy.

Uniósł brwi na Genę.

- Więc?

- Więc jesteś dobrym kucharzem - przyznała, sięgając by ująć jego policzek, zanim delikatnie wycisnęła pocałunek na jego ustach. - Ale co ważniejsze, zaczynam myśleć, że jesteś wspaniałą osobą.



Matty stał z boku parkingu, opierając się plecami o przyczepę budowlaną, gdy obserwował ruch uliczny wzdłuż Sixth Avenue. Było południe, a temperatura stale rosła, więc pot skraplał się wzdłuż jego kręgosłupa, sprawiając że jego ciemna koszula przyklejała się do jego pleców.

- To miejsce wygląda tak, jakby budowanie go trwało całe wieki - powiedział Matty, wskazując w kierunku budynku. - Pamiętam, kiedy najpierw zoraliście ziemię. Dopiero, co zaczynałem college.

- Tak, wydoiliśmy z niej każdy grosz, jaki mogliśmy - powiedział swobodnie Gavin ze schodów przyczepy, gdzie siedział i sączył wodę z butelki. - Jednak nie mogliśmy już dłużej tego opóźnić. Miasto zaczynało się wkurzać, że to nie zostało skończone.

- Wyszło całkiem nieźle - powiedział Matty. - Za ile chodzi jedno z tych miejsc?

- Uch, około czterech tysięcy miesięcznie lub coś w tym stylu - odpowiedział. - Rozglądasz się za nowym miejscem?

- Nie.

- Więc dlaczego pytasz?

- Po prostu prowadzę rozmowę.

Gavin przeniósł na niego swoje spojrzenie, sceptyczne mu się przyglądając.

- Ach, daj spokój Matty-B. Przestań pieprzyć. Wiesz, że nienawidzę rozmowy na błahe tematy. Po prostu powiedz to, co przyszedłeś powiedzieć.

- Dlaczego myślisz, że przyszedłem coś powiedzieć?

- Ponieważ w przeciwieństwie do tego jak zachowujesz się w tej chwili, wiem, że też nienawidzisz czczego gadania. Zawsze masz cel we wszystkim, więc dojdź do niego.

Matty stał przez chwilę w ciszy, nadal obserwując śmigające samochody, zanim wypuścił głębokie westchnienie.

- Tkwię po uszy i nie wiem, co z tym zrobić.

Gavin pokręcił głową.

- Pogłaskałeś to, prawda? Mówiłem twojemu tyłkowi, żeby tego nie robił, a i tak to zrobiłeś, prawda?

- Niczego nie *pogłaskałem* - powiedział.

- Nie?

- Nie, właściwie to zagarnąłem, zabrałem do domu i nazwałem moim własnym.

- Jezu Chryste. - Gavin spojrzał na niego z niedowierzaniem. - Niektóre gówna nie zostały stworzone w celu posiadania. Nie ma znaczenia, jak śliczne to jest, nie możesz próbować oswoić dzikiego zwierzęcia i oczekiwać, że *przetrwasz*.

Matty wzruszył ramionami.

- Poradziłem sobie całkiem dobrze w przetrwaniu.

- Albo masz dużo odwagi albo nie masz mózgu. A opierając się na fakcie, że twój elegancki tyłek poszedł do Princeton, zastanawiam się, jak

do cholery chodzisz, nosząc takie wielkie jaja. - Gavin zakręcił swoją wodę, gdy wstał i spojrzał na Matty'ego, przyglądając się mu dziwnie. - Syn Marnotrawny i Lodowa Księżniczka, co? Brzmi jak straszna bajka. Wiesz, tego rodzaju, gdzie duży zły wilk zjada w końcu wszystkich.

Wbrew sobie, Matty roześmiał się z tego.

- Tak to brzmi.

- Więc tkwisz po uszy i nie wiesz, co z tym zrobić - kontynuował Gavin. - Chcesz mojej rady? Czy to jest to, czego chcesz?

- Tak.

- Wynoś się w cholere.

Wyraz twarzy Matty'ego opadł. - Co?

- Nie mam na myśli odejścia od niej. Chodzi mi o to, że wydostań się z *tego*... życia, z wszystkiego do czego wróciłeś, choć wiem że nie chcesz. Odejdź od tego. Twój ojciec będzie wkurzony, ale daj spokój... bądźmy realni... kiedy wujek Bobby nie był wkurzony na ciebie?

Matty wydawał się nie pamiętać czasu, gdy ten człowiek nie był przynajmniej rozczarowany. Nigdy nie żył zgodnie z jego standardami, a nawet jeśli zostałby w pobliżu, wiedział, że nigdy nie będzie. Jego serce nie było tym zainteresowane. Nie mógłby pójść w ślady ojca.

Gavin uderzył go lekko w ramię.

- Chodź, napijemy się drinka i powspółczujemy sobie. Nawet pozwolę ci postawić mi jednego.

- Dzięki. - Matty roześmiał się, gdy wyciągnął kluczyki. - Dlaczego mamy sobie współczuć?

- Z powodu pięknych kobiet i piekła, przez które nas przeprowadzają.

- Skoro o tym mowa, co się stało z twoją dziewczyną? - Matty zapytał z ciekawością. - Tą, przed którą zostałeś ostrzeżony, żeby się trzymać z dala?

- Ach. - Gavin wzruszył ramionami. - Chyba skończyła tam, gdzie było jej pisane.

## ROZDZIAŁ 9

- Kto cię nauczył jak grać? - Zapytał Matty, przekładając kij z ręki do ręki, utrzymując swój wzrok na Gennie, zamiast na stole bilardowym. Wzruszyła ramionami, próbując skupić się na grze, ale nie ułatwiał jej tego.

*Pieprzony atrakcyjny facet i jego cholernie rozprasające oczy.*

Przygotowała się i z wdziękiem uderzyła bilę. Głośne odbicie rozbrzmiało echem w cichym mieszkaniu, gdy czerwona bila poleciała prosto do bocznej kieszeni. Jej oczy śmignęły do jego, upajając się jego prawdziwą ciekawością.

- Dante mnie nauczył.

- Musi być całkiem dobry.

- Najlepszy - potwierdziła, uderzając białą bilą w zieloną. Ta uderzyła w róg, odbijając się z powrotem. *Cholera.*

Matty zadrwił.

- Nie posuwałbym się *tak* daleko. Lubię myśleć, że jestem najlepszy.

- To nie myślenie - powiedziała, trzymając przed sobą oburącz kij, gdy spojrzała na niego. - To marzenia. I śnij dalej, kolego. Mój brat jest zdecydowanie lepszy od ciebie.

- Jak do tego doszłaś?
- Nie mogę go pokonać, ale mogę pokonać ciebie.
- Nigdy mnie nie pokonałaś.
- Ale mogłabym.
- Chcesz się założyć?

Genna obserwowała, jak uderzył w czarną bilę, wbijając ją w kieszonkę narożną i kończąc tym grę. Niewątpliwie był dobry. W innym życiu, niesamowicie byliby oglądać jego i Dantego w rozgrywce.

- Okej - powiedziała. - O co się zakładamy?
- O cokolwiek chcesz - powiedział, uśmiechając się. - Oprócz mojego samochodu.
- Ach, człowieku. - Dramatycznie zmarszczyła brwi. - A co z zegarkiem?

Spojrzał na Rolexa.

- Dobra. Ale jeśli wygrywam, chcę twoje majtki.

Jej oczy się rozszerzyły.

- Co?

Przeszedł do niej. Ich palce się musnęły, kiedy jego nos otarł się o jej, zanim delikatnie przycisnął usta do jej warg.

- Chcę twoje majtki. - *Pocałunek.* - W twoich ustach. - *Kolejny pocałunek.* - Kneblujące cię. - *Kolejny pocałunek.* - Gdy ja będę cię pieprzył od tyłu.

*O. Mój. Boże.*

Genna odepchnęła się od niego, a jej policzki się zarumieniły na wyobrażenie, które przemknęło przez jej umysł. Matty tylko zachichotał, starannie układając bile do następnej gry.

- Mamy umowę? - Zapytał.

- Tak. - Nie miała zamiaru przegrać, więc nie było ważne, czego chciał. Ten zegarek będzie jej.

Skinął w kierunku stołu.

- Panie przodem.

- Jesteś pewny? - Zapytała. - Nie chcę, żebyś krzyczał „faul”, gdy wygram, ponieważ pozwoliłeś mi zacząć.

- Nie będę *nic* krzyczał. Zaczynaj, księżniczko. - Mrugnął. - Zawsze słyszałem, że jesteś dobra w kopaniu jaj.

Przewróciła oczami, gdy podjęła swoją pierwszą próbę, rozbijając mocno, ale nie zdobywając przy tym żadnego punktu. Zamiast tego biała bila poleciała do kieszeni bocznej. Jęcząc, obcesowo machnęła na niego wskazując, że jego kolej. Źle zaczęła.



Uśmiechając się, Matty pochylił się nad stołem i zatopił bilę z paskiem. Zauważyła, że zawsze wybierał połówki. Zmieniali się w tę i we w tę, oboje intensywnie skoncentrowani na grze, zdobywając punkty, do czasu aż wszystko, co pozostało to czarna bila.

Kolej Matty'ego. *Uch.*

- Czarna bila, narożna kieszeń - oświadczył, pewny siebie, granicząc z zarozumiałstwem, gdy skinął w kierunku kieszeni po przekątnej od niego. Przygotował się, nie spiesząc się. Uderzył. Bila poleciała pod kątem w dobrym kierunku, choć nieco zbyt daleko w lewo. Uderzyła mocno w krawędź, odbiła się, i potoczyła się prosto do kieszeni bocznej tuż przed Genną.

Jego zadowolony z siebie wyraz twarzy opadł, gdy wygięła usta w uśmiechu. Zła kieszeń.

- Wygrałam - oświadczyła Genna.

Matty zaklął pod nosem, rzucając kij na bok, gdy ruszył ku niej, ostrożnie odpinając zegarek. Ściągnął go i trzymając go w górze za pasek machnął nim przed nią.

- Zgaduję, że tak.

- Nie rób takiej zdziwionej miny - powiedziała, chwytając Rolexa ze śmiechem, gdy oparła się plecami o stół i szybko go założyła. Zegarek był krzykliwy, ciężki i przytłaczający na jej wątłym nadgarstku, ale nosiła go z dumą. - Jest prawdziwy, prawda? Nie zafarbuje mi nadgarstka na zielono i nie sprawi, że moja ręka odpadnie, prawda?

- Oczywiście, że jest prawdziwy. To był prezent na zakończenie studiów.

- No cóż, teraz jest mój, skoro cię *szkoliłam*. - Uśmiechnęła się. - Mówiłam, że cię pokonam.

- Nie pokonałaś mnie. Przegrałem. A to jest różnica.

Przewróciła oczami.

- Cokolwiek.

- I myślę, że skoro mnie nie *pokonałaś*, też powinienem dostać to, czego chcę.

- Tak myślisz?

- Mmhmm, tak myślę - oświadczył, zatrzymując się tuż przed nią, i przygważdżając ją w miejscu. Jego ręce zaczęły głaskać jej biodra, zanim przeniosły się dalej w dół i uniosły jej spódnicę w kierunku talii. Powoli pieścił nagą skórę, gdy zaczepił palce po bokach jej czarnych stringów. Uśmiechając się, przykucnął przed nią, pociągając cienki materiał w dół jej ud. Genna nie podjęła walki. Patrząc na niego, podniosła stopy by mógł mu je ściągnąć. Jego ruchy były boleśnie powolne, a koniuszki palców pozostawiały palące ślady wzdłuż jej skóry. Cały czas ją to hipnotyzowało, jak jego prosty dotyk wzniecał w niej ogień.

Znowu stojąc, trzymał koronkowy materiał przed jej twarzą.

- Otwórz szeroko.

Jej usta rozchyliły się, a jej usta wygiął uwodzicielski uśmiech, gdy pochyliła się do niego, szepcząc.

- Pieprz się.

Nie wzdrygnął się. Odzwierciedlając jej słowa, odpowiedział.

- Myślę, że umowa była taka, że ja pieprzę *ciebie*.

Piszcząc, Genna odepchnęła się od niego, aby uskoczyć poza jego zasięg. Matty złapał ją, a jego silne ręce trzymały ją, gdy żartobliwie próbował ją odwrócić. Piszczła i wykręcała się. Oboje walczyli, ich śmiech niósł się echem przez mieszkanie, gdy udało jej się podstępnie wymknąć. Obrócił się szybko, ruszając za nią, gdy wypuściła kolejny pisk.

- O nie, ty...

Matty nie miał szansy by skończyć. 'Nie' było w połowie drogi z jego ust, gdy drzwi mieszkania nagle się otworzyły. Genna stanęła, obracając się w tym kierunku i zmroziło jej krew w żyłach. Matty ochronnie stanął przed nią, a jego postawa nagle stała się obronna.

Jakby znajomy głos, uderzył Genę na chwilę przed tym, zanim dostrzegła jego twarz. *Enzo*.

- Hejka, Matty, zobaczyłem twój samochód zaparkowany na dole i pomyślałem, że... - Enzo wszedł do mieszkania i zmarł. Jego słowa osłabły, a ton zmienił się w zimny. - ...powiem cześć.

Enzo zamrugał gwałtownie, wpatrując się w nią z niewielkiej odległości. Wizja Genny rozmazała się, gdy krew z wściekłością pulsowała przez jej ciało, paląc jej żyły. Żółć wzniosła się, parząc jej gardło, gdy próbowała przełknąć strach. Mogła tylko wpatrywać się w niego z szeroko otwartymi oczami, a Enzo wpatrywał się w nią, celowo robiąc krok w bok, by spojrzeć za jego brata, prosto na nią.

Kątem oka Genna zobaczyła, jak Matty szybko wsunął jej stringi do kieszeni, gdy zrobił zapobiegawczy krok w kierunku brata. Ten ruch zwrócił uwagę Enza. Przeniósł spojrzenie z dala od Genny, gdy lawirował tam i z powrotem między gniewem i niedowierzaniem. Jego brwi zmarszczyły się, a nozdrza się rozszerzyły.

- Uspokój się - powiedział Matty, patrząc bratu prosto w oczy, zanim Enzo wypowiedział choćby słowo. Zdezorientowanie zniknęło z jego twarzy, wygrał gniew.

*O cholera.*

- Co tu się do cholery, dzieje? - Enzo wycedził przez zęby, wskazując na Genę. - Czy wiesz, kim jest ta dziewczyna? Wiesz?

- Tak, ale...

- Oczywiście, że wiesz! - Wypluł Enzo, wyraźnie niezainteresowany odpowiedzią brata. - Pamiętam, jak ci *mówiłem*, kim jest! Więc dlaczego jest tutaj? Co? Co, do cholery, ta dziewczyna *tutaj* robi?

- Przeprowadziłem ją tu.

- Przyprowadziłeś ją tu? *Ją?* Dlaczego miałbyś to zrobić? Co, do cholery, jest z tobą nie tak? Dlaczego miałbyś w ogóle...? Jak miałbyś...? Kiedy...? - Gniew Enza zastąpił szok. Zesztywniał i złapał się rękoma za głowę, gdy rzeczywistość była niebezpiecznie blisko zaszokowania go. - Ona? To właśnie ona? Boże, proszę, powiedz mi kurwa, że dziewczyna o której opowiadałeś, to nie *ona!*

- Uspokój się.

To wydawało się być wystarczającą odpowiedzią dla Enza. Nagle, przesunął swoje ciało ku Gennie, robiąc pośpieszny krok w jej stronę, oskarżycielsko wskazując.

- *Ty.* Nie wiem, w jaką grasz tu grę, ale spieprzyłaś. Bardzo. Ponieważ przysięgam na Chrystusa, Galante, ja...

Żołądek Genny się zacisnął. To były jej najgorsze obawy. Widząc odrazę w oczach Enza, słysząc groźny ton w jego słowach, z głosem tak bardzo rozwścieczonym, że aż drżał... Genna chciała wyparować z pokoju, poza pole jego widzenia. Strach, jak żaden inny pokrył jej wnętrznosci. Czuli się jak ranne zwierzę. *Walcz albo uciekaj.* Jej ojciec zawsze uczył ją, aby stawać w obronie siebie, ale gdy chodziło o Barsantich? *Uciekaj jak skurwysyn.*

Zanim zdążyła wymyślić sposób, żeby wydostać się z mieszkania - przebiec obok niego i za drzwi, albo wyskoczyć prosto przez najbliższe okno, - Matty zainterweniował, odcinając Enza. Mówiąc zdecydowanie, chwycił brata za kołnierz koszuli i brutalnie szarpnął go do siebie, chwilowo odciągając jego uwagę.

- Uspokój się. - Szczęka Matty'ego zacisnęła się, gdy wycedził słowa. - Albo spieprzaj.

- Spieprzać? - Enzo usunął ręce Matty'ego ze swojej koszuli i odepchnął go. - *Mieszkam tu*. A ty przyprowadziłeś ją tu, do mojego domu!

- Naszego domu - poprawił go Matty . - Też tu mieszkam.

- Jakby to miało to polepszyć! - Enzo wyrzucił ręce z niedowierzaniem. - Ona jest jedną z nich!

Matty westchnął z irytacją, przebiegając rękoma przez włosy.

- Słuchaj, po prostu... uspokój się, dobrze?

- Uspokoić się? - Powiedział Enzo. - Przestań mi mówić, żebym się uspokoił! Jestem, kurwa, spokojny!

Był daleki od spokoju. Jego ruchy były nerwowe, gdy wymachiwał dookoła, jakby nie był pewien, na czym do cholery ma się skupić. Jego policzki zrobiły się czerwone z wzburzenia, a pot tworzył się wzdłuż jego czoła.

Ostrożnie, Matty wyciągnął rękę w kierunku Genny. Nie opierała się, gdy pociągnął ją do siebie. Jego ramiona owinęły się mocno wokół niej, gdy stanęła przed nim, chwytając jego pokryte tuszem przedramiona tak mocno, że jej paznokcie wbiły się w jego skórę, a jej knykcie zbieleły z napięcia. Krzywe spojrzenie Enza paliło ją na wskroś.

- Powiedziałem jej, że nie może cię osądzać, ponieważ nigdy cię nie spotkała - Matty powiedział spokojnie. - Powiedziałem jej, że nie jesteś dupkiem, jak była wychowana, by wierzyć że jesteś. Nie udowadniaj, że się myliłem, En. Nie sprawiaj, że uwierzy, iż kłamałem.

Enzo zamknął na krótko oczy, gdy wypuścił głęboki oddech. Irytacja wciąż nie opuściła wyrazu jego twarzy, gdy ponownie je otworzył, ale jego postawa złagodniała, a jego pięści się rozluźniły.

- Powinna.

- Powinna co? - Zapytał Matty.

- Powinna wierzyć, że kłamałeś. Powinna myśleć, że jestem tym dupkiem. Powinna mnie osądzać, bo w ten sposób jest lepiej. Powinna się mnie bać, powinna bać się tego, co mógłbym jej zrobić, co patrzenie na jej śliczną twarz sprawia, że *chcę* zrobić. - Wzrok Enza przeniósł się na Genę. Był spokojniejszy, ale nie było żadnego ciepła w jego wyrazie twarzy. Genna zadrżała na oziębłość jego słów. - Ponieważ jeśli się mnie nie boi, wtedy jest zagrożeniem... dla mnie, dla ciebie, dla nas wszystkich. Jeśli nie jest przerażona, wówczas jest niebezpieczna.

- Ona nie jest zagrożeniem.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem. Myślisz, że przyprowadziłbym ją tutaj, gdyby była?

Enzo pokręcił głową.

- Nie wiem. Nie wiem, dlaczego ją tutaj przyprowadziłeś. Może zapomniałeś, jak to wszystko działa. Może zapomniałeś, co się stało.

Uchwyt Matty'ego na Gennie zacieśnił się, a jego mięśnie zeszywniały. Skrzywiła się na ciśnienie w jej piersi, kiedy jej żebra naciskały na płuca, ograniczając dopływ powietrza.

- Myślisz, że zapomniałem? Że mógłbym tak po prostu zapomnieć?

- Jest tutaj, prawda?

- Nigdy nie zapomnę tego, co się stało - Matty wyrzucił z siebie twardym tonem, jakiego Genna nigdy nie słyszała od niego wcześniej. Ten groźny ton wysłał dreszcze wzdłuż jej kręgosłupa. - Pamiętam to lepiej od kogokolwiek. Wiem, do czego jest zdolna ta rodzina.

- Zatem dlaczego *ona* jest tutaj?

- Ponieważ wiem również, do czego jest zdolna nasza. Zostałem wypieprzony przez *obie* strony, Enzo, ale może o tym zapomniałeś. Nie mogę obwiniać jej bardziej, niż mogę obwiniać ciebie. Mniej, nawet, biorąc pod uwagę, że ona nie ma nic wspólnego z procederami jej ojca, ale ty? - Zakpił Matty. - Tkwisz po same uszy w tym gównie. Jestem zaskoczony, że nie śmierdzisz.

Śmierdział, pomyślała Genna. Jego woda kolońska sprawiała, że jej nos się wykrzywił.

Bracia wpatrywali się w siebie, zwarci we wzajemnym zirytowanym spojrzeniu, a cisza wokół nich rozbrzmiewała jak na



cmentarzu. Genna pozostała nieruchomo, z pędzącym serce tak mocno, że byłaby zaskoczona, gdyby nie mogli go usłyszeć. Ona mogła. *Bum-bum*, waliło w jej napiętej piersi, rozbrzmiewając echem w jej uszach.

Enzo przerwał pierwszy, ten fakt zaskoczył Genę. Wypuścił przesadny jęk, gdy odwrócił wzrok, kręcąc głową.

- Igrasz z ogniem, Matty.

- Pozwól, że ja się będę o to martwił - powiedział Matty, a jego uchwyt na niej zelżał gdy się odprężył. Trzymał ją blisko, nie pozwalając odejść, ale na niedbały ton jego głosu, poczuła się jakby mogła w końcu odetchnąć. - Jeśli się sparzę, zostanę spalony.

- Sparzysz się, w porządku - wymamrotał Enzo, przechodząc tuż obok nich i opadając na kanapę. Matty obrócił ich, by stanąć twarzą do niego. - Jeśli tata się dowie, to może spalić cię sam.

- Nie dowie się - powiedział Matty. - Prawda?

Enzo podniósł obronnie ręce.

- Ja z pewnością nie zamierzam mu powiedzieć, jeśli to jest to, o co się martwisz. Ale nie widzę, jak możesz to przed nim ukryć.

- Nie dowiedział się jeszcze - powiedział Matty. - A jeśli się dowie, poradzimy sobie z tym.

- Kiedy - poprawił go Enzo. - Kiedy się dowie. Ponieważ to zrobi. To tylko kwestia czasu. A jej ojciec? Kiedy on się dowie? Ten zimny drań

będzie miał twoją głowę odciętą. Prawdopodobnie powiesi ją na jego pieprzonej ścianie jak trofeum.

Głos Genny był potulny, gdy instynktownie przemówiła.

- Nie powiesi.

Obaj mężczyźni roześmiali się sucho, gdy Enzo rzucił jej pełne niedowierzania spojrzenie. Najwyraźniej nie lubił jej. *Wcale*.

- Nie powiesi - powtórzyła, bardziej uparcie, gdy spojrzała na niego gniewnie. - On jest, no cóż... on nie...

- Nie - powiedział Matty, z ustami tuż obok jej ucha, gdy wymówił to jedno słowo, szorstko i stanowczo, zdumiewając ją tym, aż zamilkła. - Po prostu... nie.

- Nie, pozwól jej mówić - powiedział Enzo, jego wyraz twarzy był rozbawiony, gdy rozsiadł się na kanapie, wyciągając ramiona, gdy przyglądał się jej. - No dalej, kochanie. Opowiedz nam wszystko o Primo i o tym, co zrobi, albo czego nie zrobi.

Genna napięła się na te słowa.

Puszczając ją, Matty westchnął, wysuwając ramiona z jej uścisku. Zostawił ją samą, a bez wygody jego uścisku przepłynął przez nią chłód. Stoicko pozostała w miejscu, gdy ruszył w kierunku otwartej kuchni. Bez słowa, chwycił butelkę alkoholu, pijąc prosto z niej. Wracając podał ją Gennie, która wzięła ją nawet nie patrząc. Gorzki alkohol palił jej gardło.

Nie mogła zwalczyć dreszczy.

- Genna, to jest Enzo - powiedział Matty, biorąc z powrotem od niej butelkę i wskazując nią na jego brata. - Enzo, to jest Genna.

Żadne z nich nie powiedziało czegokolwiek. Żadnego ciepłego pozdrowienia. Żadnego 'miło cię poznać'. *Nic*. Genna popatrzyła na niego groźnie przez chwilę, zanim odwróciła się do Matty'ego.

- Poznałam go teraz.

Matty kiwnął głową.

- I?

- I jest jeszcze większym dupkiem niż myślałam.

Matty po prostu wpatrywał się w nią, ale Enzo, zaskakująco, wybuchnął śmiechem. Ten ożywiony dźwięk przyciągnął uwagę Genny. Wyglądał na autentycznie ubawionego jej oceną, gdy wyciągnął rękę, dając znak Matty'emu by dał mu butelkę z alkoholem. Chwytną ją, wziął łyk, próbując pohamować rozbawienie. - Uczucie jest odwzajemnione, kochanie.

Genna skrzywiła się na jego protekcyjny ton. To był *drugi* raz, gdy tak ją nazwał.

- Nie jestem twoim kochaniem.

- Mam kilka innych nazw, którymi mogę cię nazwać, jeśli wolisz.

- Jak *Meduza*? - Zapytała, unosząc brew. - *Lodowa Księżniczka*?

Oczy Enza przemknęły do Matty'ego, zanim skupił się na niej ponownie.

- Myślałem raczej o *suka*, ale cokolwiek cię bawi, kochanie.

Zanim zdążyła się odgryźć, Matty ponownie owinął wokół niej ramię, przyciągając ją do siebie.

- Powinienem zabrać cię do domu.

- Nie wychodź z mojego powodu - powiedział Enzo, wstając i przyciskając butelkę alkoholu do piersi Matty'ego, gdy ruszył w kierunku drzwi. - Tak jak mówiłem, wpadłem tylko powiedzieć cześć. Mam robotę.

Matty westchnął, gdy Enzo wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Pochylając się, złożył lekki pocałunek na szyi Genny.

- Przepraszam za niego.

Przepraszał za swojego brata. Barsanti, przeprasza, ponieważ inny Barsanti robił rzeczy typowe dla Barsantich? Genna niemal się roześmiała, ale rzeczywistość sytuacji trzymała jej rozbawienie z dala.

- Przyjął to wszystko spokojniej, niż się spodziewałam.

- Tak?

- Tak - mruknęła Genna, przechylając głowę na bok, gdy całował jej szyję, kierując się do linii jej szczęki. - O wiele lepiej, niż przyjąłby to Dante.

# ROZDZIAŁ 10

Enzo siedział w Lotusie na miejscu pasażera, wyglądając gniewnie przez boczne okno. Matty pędził ulicami Manhattanu, zmierzając na południowy wschód w kierunku Małych Włoch. Czuł jak dyskomfort pełznął po jego ciele. Jego skóra była zbyt napięta na ciele, swędząc, jakby rozciągnięta do granic wytrzymałości.

Enzo nie rozmawiał z nim od kilku dni. Napięcie, początkowo denerwujące, urosło do punktu, gdzie Matty fizycznie mógł poczuć, jak naciskało na jego ciało.

- Masz zebrane wszystkie zeszlotygodniowe płatności? - Zapytał Matty, próbując zacząć rozmowę.

Cisza była zbyt cholernie przytłaczająca.

- Czy kiedyś nie miałem? - Zapytał Enzo, szorstkim tonem. Wciąż nie patrzył na niego. - Zapłacę ci, kiedy dzisiaj skończymy.

- Nie niepokoję się o pieniądze.

- Więc dlaczego o to pytasz?

To było dobre pytanie, takie, na które Matty nie mógł odpowiedzieć. *Ponieważ nie chcesz ze mną rozmawiać* brzmiało naprawdę cholernie drażliwie, a myślał, że Enzo jest wystarczająco dziecinny za nich obu. Pełna napięcia cisza przeniknęła samochód, gdy kontynuował

jazdę, kierując się na Mulberry Street. Podjechał do krawężnika, parkując przed starym sklepem muzycznym. Zanim zdążył wyłączyć silnik, Enzo otworzył drzwi i wysiadł.

Gasząc samochód, Matty westchnął i dołączył do brata na chodniku. Opierał się... i opierał się... i opierał się trochę bardziej... ale to było nieuniknione, że ostatecznie skończy tutaj, wciągnięty w jeden z wielu planów jego ojca.

Wymuszenie.

Powszechnie było wiadomo, że Małe Włochy były nieustabilizowane, fakt, który Roberto Barsanti postanowił obrócić na własną korzyść. Za sto dolarów tygodniowo, zaproponował ochronę lokalnym biznesmenom. Ta oferta większość z nich zbytnio przerażała, by ośmielili się odmówić. To nie był nowy plan, wszak nigdy nie omijali podobnej szarej strefy, chodząc na paluszkach wokół niepisanych zasad i przesuwając niewidzialne granice, posuwając się na przód na terytorium, które nigdy nie zostało zatwierdzone.

Jednak rodzina Barsanti chciała tego.

Enzo, zawsze pierwszy robił krok naprzód, zgadzał się wprawić to wszystko w ruch, ale Matty nie mógł po prostu siedzieć, podczas gdy jego brat podejmował całe ryzyko. Tak głupio, podjął się grania przyzwoitki - fakt, którego żałował, gdy tam już stał. Okolica była daleka od zagrożenia, ale to było poza ich polem.

Wiedział, że prędzej czy później, to wróci by ich prześladować.

Bez słowa podążał za Enzo po okolicy, stojąc cicho z tyłu, gdy jego brat robił swoje. Ludzie ledwie nawet patrzyli na Matty'ego, - coś do czego się przyzwyczaił. Większość nie orientowała się, kim był, ale nieznanie ich przerażało. Jego nieobecność zamieniła go w swego rodzaju legendę, przerażającą bajkę do poduszki o chłopcu, który może lub może nie być martwy.

Po chwili wymknął się, podczas gdy Enzo rozmawiał ze starym znajomym. Matty pokonał drogę do *Casato*. Kiedy wszedł do kawiarni, dzwonek w drzwiach obwieścił jego przyjście. Mężczyzna stojący za ladą, natychmiast uniósł wzrok, uśmiechając się, gdy go tylko zauważył.

- Matteo!

- Wujku Johnny - powiedział, kiwając głową na powitanie.

Johnny podparł się na swojej lasce, gdy wpatrywał się w niego.

- Co mogę ci podać, chłopcze?

- Nic - powiedział. - Po prostu byłem w okolicy i pomyślałem, że wpadnę.

Johnny Amaro wciąż nadzorował działalność w jego starej rodzinnej kawiarni, pomimo bycia głową znanej i bogatej przestępczej rodziny Amaro. To była kwestia dumy, o której zawsze mówił Matty'emu. Z posiadania czegoś legalnego, co zostało zbudowane ciężką pracą.

- Chodź, usiądź, zjedz coś - nalegał Johnny. - Minęło tyle czasu.

Matty był zobowiązany i usiadł przy stole, pijąc kawę z ekspresu i wybierając muffinkę. Enzo pojawił się chwilę później, witając się z ich wujem chłodno, zanim skinął w kierunku drzwi.

- Skończyłem, więc możemy iść.

Wstając, Matty próbował zapłacić, ale Johnny odmówił pieniędzy, zamiast tego machnął na niego.

- Nie bądź obcym.

- Nie będę.

Wyszli, a Enzo przeszył go wzrokiem, jak tylko wyszli na ulicę.

- Jesteś bardzo przyjazny w stosunku do Amaros.

Matty zmarszczył brwi.

- Są naszą rodziną.

- Ledwie - powiedział Enzo. - Poza tym, wiesz, że jeśli chodzi o *rodzinę*, to krew nie ma takiego dużego znaczenia, jak lojalność.

Matty zignorował jego słowa. Z opuszczoną głową szli w dół przecznicy, kierując się do miejsca, gdzie był zaparkowany Lotus.

Jak tylko skręcili za róg, Enzo zwolnił i przeklął pod nosem.

- Kurwa.

Matty spojrzał na niego dziwnie, widząc wyraz nienawiści na jego twarzy. Podążył za spojrzeniem brata i jego żołądek się skręcił. W dalszej



części ulicy, czając się przed sklepem muzycznym, było dwóch facetów, znajdujących się w pobliżu latarni, oświetlającej ich zaciemnione postacie i dając Matty'emu błysk na jedną z ich twarzy.

Dante Galante stał na samym środku chodnika, blokując im drogę. Ręce miał swobodnie wsunięte w kieszenie, a postawę zrelaksowaną, gdy rozmawiał z facetem przed nim. Drugi był niski, około metr pięćdziesiąt z budową ciała jak Pillsbury Dough Boy<sup>19</sup>.

Enzo ledwie się wzdrygnął, z powrotem przyśpieszając krok, gdy szedł ulicą prosto w ich kierunku.

- Proszę, proszę, proszę - Enzo powiedział przeciągając samogłoski. - Jeśli to nie jest szumowina ulic, która blokuje chodnik i będąca obok nas tak bezużytecznie jak tylko Galante jest znany z bycia.

Ramiona Dantego zeszywniały, ale utrzymał nonszalancką postawę.

- Barsanti.



19

Matty okrążył ich, schodząc z krawężnika, gdy zmierzał do Lotusa, ale Enzo ruszył do przodu, prosto w kierunku mężczyzn. Przeszedł pomiędzy nimi, celowo idąc powoli i ocierając się o Dantego, gdy ten spojrzał na niego gniewnie. Jego wyraz twarzy wręcz błagał chłopaka, by zareagował. Dante podtrzymał postawę, nie ustępując, ze stopami zapartymi w chodnik.

Kręcąc głową, Enzo roześmiał się gorzko pod nosem, gdy szedł w kierunku samochodu. Powoli, Dante odwrócił się, żeby ich obserwować. Jego oczy zwęziły się na Enza, zanim podryfowały do Lotusa. Po chwili jego spojrzenie złapało Matty'ego.

- Ładny samochód.

Matty zawahał się. Komplement?

- Dzięki.

- Lotus, co? Jaki to jest, Elise?

- Evora.

- Lotus Evora - powiedział Dante. - Nie może ich być zbyt wiele w okolicy, co? Myślę, że widziałem jeden w East Harlem w jedno popołudnie. Cholera, wyglądał prawie identycznie, jak twój.

*Cholera.* Wiedział, że go widział, Genna potwierdziła to, ale miał nadzieję, że to nigdy nie wykroczy poza to. Próbował unikać zostawiania w tym obszarze od tamtej pory.

Zanim Matty mógł wymyślić jakąś odpowiedź, która nie sprawi, że będzie wyglądał na tak cholernie winnego albo defensywnego, Enzo dopowiedział.

- Oskarżasz mojego brata, czy coś, Galante?

- Oczywiście, że nie - powiedział Dante. - Mówię tylko...

- Wiem, co mówisz - powiedział Enzo. - I możesz przestać dokładnie tam, gdzie zacząłeś z tym gównem.

- Tak, cóż, pamiętaj tylko - zażartował Dante. - Trzymaj się swojej strony, a my zostaniemy na naszej.

- Nie potrzebuję cię, żebyś mówił mi, co robić - powiedział Enzo. - Nie ma żadnej cholerniej rzeczy, której potrzebujemy w East Harlem.

Dante nic nie powiedział, ale jego podejrzliwy wyraz twarzy powiedział Matty'emu, że nie wierzył. Jego *siostra* była w East Harlem, i to najwyraźniej martwiło Dantego.

- Mamy lepsze rzeczy do roboty, niż radzenie sobie z tobą - mruknął Enzo, odwracając się od Dantego, aby wsiąść do samochodu. - Chodź, Matty. Wynośmy się stąd w cholerę.

Matty zaczął wsiadać do samochodu, gdy głos Dantego rozległ się ponownie, wołając jego imię.

- Matty.

Zerknął na Dantego, unosząc brwi z zaciekawieniem.

- Co?

- To tak cię nazywają? - Zapytał Dante. - *Matty*?

Coś w jego tonie opóźniło odpowiedź *Matty*'ego, ale Enzo szybko wtrącił.

- To jego pieprzone imię, prawda?

Dante zignorował wrogie pytanie, jego oczy skupiły się prosto na *Mattym*.

- Po prostu pamiętaj, co tutaj powiedzieliśmy... trzymaj się z dala od naszego terytorium i z dala od tego, co jest nasze. Nie ma tam nic dla ciebie. *W ogóle*.

*Matty* nie uznał oświadczenia, wsiadając niezwłocznie do samochodu i uruchamiając go. Zwiększając obroty silnika i szybko odjechał z krawężnika, zanim Enzo zdążył nawet zapiąć pasy. *Matty* mógł poczuć na sobie spojrzenie brata, gdy jechał w kierunku Soho. Osąd w jego oczach przeszywał go jak sztylety.

- Nigdy nie pomyślałem, że mógłbyś to zrobić, *Matteo*.

Spojrzał brata ostrożnie, wiedząc, że był wyjątkowo wściekły.

- Co zrobić?

- Być tym, który oślepnie przez cipkę<sup>20</sup>- powiedział Enzo, kręcąc głową. - Zgaduję, że wypieprzyła z ciebie zdrowy rozsądek. Czy to jest *tak* dobre, bracie?

- En?

- Co?

- Wciąż nie rozmawiam z tobą o moim życiu seksualnym.

- Tak, cóż, powinienes - wymamrotał Enzo, - biorąc pod uwagę, że prawdopodobnie będę również wypieprzony przez to wszystko.

Genna oparła się o ladę w kuchni, obserwując, jak mrożony obiad kręcił się na tacy w mikrofalach, a czas na zegarze stale odliczał w dół.

Trzydzieści sekund.

Dwadzieścia dziewięć.

Dwadzieścia osiem.

Dwadzieścia siedem.

*Uch, przyśpiesz się, kurwa.*

---

<sup>20</sup> Stan, który spotyka przeważnie mężczyzn. Osłabia ich zdolność korzystania ze zdrowego rozsądku, niszczy relacje interpersonalne oraz zdrowie psychiczne i emocjonalne.

- Co robisz?

Genna zerknęła w kierunku drzwi, widząc tam stojącego swojego brata, i gapiącego się na nią z niedowierzaniem. Był świeżo po prysznicu i nienagannie ubrany od stóp do głów. *Ktoś ma plany dziś wieczorem...*

- Próbuję się zabić przez przedawkowanie promieniowania - powiedziała, wskazując w kierunku mikrofalni dokładnie w momencie, gdy ta zapiszczała. *Najwyższy cholerny czas.* Pięć minut odczuwało się, jak wieczność z warczącym żołądkiem. - Poważnie, a na co to wygląda?

- Wygląda, jakbyś robiła jedzenie - odpowiedział Dante. - Genevieve Galante, gotująca w kuchni. Jedna z tych rzeczy po prostu tu nie należy.

Przewróciła oczami, otwierając drzwiczki mikrofalni i wyciągając pojemnik z stekiem Salisbury, sosem pieczeniowym, piure ziemniaczanym i kukurydzą.

- To jest... jak mu tam... szybkie danie na gorąco. Ledwie nazwałabym to gotowaniem.

- No cóż, wciąż nazwałbym tego cudem.

Genna usunęła taflę folii z cienkiej białej tacy i złapała widelec, żeby dziobnąć w jedzenie. Odcięła kawałek mięsa i wrzuciła go do ust.

- Dobre? - Zapytał Dante, jego wyraz twarzy był zaprawiony niezdrowym rozbawieniem, gdy obserwował jej walkę, żeby przeżuć.

- Mniej więcej tak dobre, jak to gówno, które serwowałam wczoraj wszystkim w jadłodajni - powiedziała. *Tajemniczy Klops*.

- Więc dlaczego to jesz?

- Bo jestem głodna - powiedziała, biorąc kolejny kęs. - Ponieważ tata jest Bóg wie gdzie, więc nie ma obiadu dziś wieczorem, a suka musi coś zjeść.

Dante zaśmiał się, kręcąc głową.

- Powinnaś wyjść dziś ze mną.

Genna wzięła trochę kukurydzy. Nie miała w ogóle smaku, to było jakby żuła małe żółte gumowate kawałki.

- Gdzie?

- Na miasto - powiedział, wzruszając ramionami. - Jest sobotnia noc.

Spojrzała sceptycznie na brata, powoli przegryzając kawałek ziemniaków i krzywiąc się na rozrzedzoną, ziarnistą konsystencję. *Obrzydliwe*. Przetykając, machnęła na niego widelcem.

- To nie jest, jak, *praca*, prawda? Nie mówisz tak, ponieważ chcesz wyjść, ale zamiast tego tata nakazał ci trzymać się w pobliżu i mnie obserwować?

- Nie - powiedział, kręcąc głową. - Jestem po służbie.

- Więc to poczucie winy, a nie obowiązek.

- Bardziej jak litość. - Dante śmiał się z niej, gdy zmusiła się, żeby przełknąć kolejny kęs jedzenia. - Chodź, nawet kupię ci obiad.

Genna upuściła widelec i odepchnęła na bok tacę z jedzeniem, zanim ruszyła w kierunku brata.

- Przebiorę się.

- Wyglądasz dobrze - powiedział, chwytając ją za ramię, aby ją zatrzymać, gdy próbowała szybko przejść obok niego.

Zerkając w dół, westchnęła. Za duża szara koszula spadająca z jej ramienia, podarte dzinsy i czarne buty na płaskim obcasie z pewnością nie były *dobre* na wyjście w sobotnią noc w jej świecie.

- Poważnie?

- Tak, poważnie.

Dante obrócił ją prosto do drzwi. Genna zlekceważyła swój ubiór, i wyszła na zewnątrz, wsiadając do jego samochodu na miejsce dla pasażera. W każdym razie, jechała tylko po to, żeby coś zjeść. Ściągnęła włosy do tyłu, próbując poskromić dziki bałagan, który nie była pewna, czy w ogóle wyszczotkowała, gdy jej brat ruszył w kierunku Manhattanu.

- Gdzie jedziemy? Czekaj... czy możemy jechać jeszcze raz do tej restauracji, serwującej głównie steki? Och, nie, co powiesz na tą kawiarnię w dole w Małych Włochach?



- Odrzucam - powiedział, gdy skierował się na południe. - Dziś jedziemy do baru sportowego.

Zmarszczyła brwi.

- *The Place*<sup>21</sup>?

Słowa umknęły z jej ust rozprzestrzeniając się w powietrzu, zanim miała wystarczająco dużo rozsądku, by je powstrzymać, czy nawet zdać sobie sprawę, co powiedziała. Napięła się, gdy Dante rzucił jej zaciekawione spojrzenie. *Cholera*.

- Jakie miejsce?

- Miejsce, do którego zawsze chodzisz - powiedziała, próbując wycofać się. - Wiesz, gdziekolwiek wychodzisz. Twoje zwykłe miejsce.

- Och, tak, jasne.

Genna odetchnęła, odwracając się, by spojrzeć przez okno. Może mimo wszystko to była genialna nazwa. Nie powiedziała nic więcej, gdy jechali przez miasto do tego miejsca, przejeżdżając granicę pomiędzy Małymi Włochami i Nolita. Dante zaparkował samochód w podziemnym garażu i zaprowadził ją do baru tylnym wejściem. Był on podobny do *The Place*, ale nie tak ekskluzywny. Jego wnętrze było zniszczone, a oświetlenie słabe. Ludzie wypełniali teren, rozmawiając i śmiejąc się. Stoły pokrywały drinki, a muzyka dudniła z głośników,

---

<sup>21</sup>**The Place** – nazwa baru nad którym mieszka Matty – i **the place** – czyli *miejsce* - Kaś

ustawionych w rogach. Ponad dźwiękiem piosenki rockowej, Genna słyszała trzaskanie, pochodzące z gry w bilard w głębi.

Dante skierował się prosto do kabiny i skinął na kelnera, który porzucił klienta, któremu pomagał, aby natychmiast zająć się jej bratem. Genna mimowolnie się na to uśmiechnęła, myśląc o Mattym. W ten sam sposób traktowali go w *The Place*.

- Przynies mi piwo, Heineken - powiedział. - I podaj mojej siostrze colę.

- Tylko colę?

- Rum - odpowiedziała Genna. - Rum i colę.

- Rum z colą, tylko bez alkoholu. - Głos Dantego miał gniewny ton, podkreślający jego punkt. - Słyszałeś?

Kelner kiwnął głową.

- Tylko colę.

- Och, i przyniosłeś menu? - Zapytał Dante. - Ona jest głodna.

- Oczywiście. - Kelner chwycił menu, przekazując je Dantemu, zanim ruszył po ich napoje.

Genna usadowiła się w kabinie, przeglądając menu, w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Kelner wrócił z ich napojami i stanął tam, cierpliwie czekając, aby przyjąć ich zamówienie.

- Poproszę hamburgera - powiedział Dante. - Krwisty, z wszystkimi dodatkami.

- Poproszę to samo - powiedziała Genna, wzduszając ramionami, gdy zamknęła menu. - Tyle, że chcę, aby mój był naprawdę usmażony.

Nie zajęło długo, żeby ich jedzenie przybyło. Genna skrzywiła się, zdejmując cebule i ogórki z jej hamburgera, zanim zabrała się do jedzenia. Dante wypił swoje piwo podczas gdy jadł swojego, po czym odepchnął talerz i wskazał w kierunku tyłu baru.

- Będziesz miała coś przeciwko, jeśli pójde wbić kilka bil?

Pokręciła głową.

- Śmiało.

Dante uśmiechnął się, uderzając pięścią o stół, gdy wstał aby odejść. Genna skończyła jedzenie w milczeniu. Mogła widzieć stoły bilardowe z miejsca, w którym siedziała i obserwowała, jak jej brat cisnął trochę pieniędzy na najbliższy stół.

*Wpychając się.*

Śmiejąc się, spojrzała na swój talerz i chwyciła frytkę, wrzucając ją do ust, po czym podniosła swój wzrok. Jej mina natychmiast zrzędnęła, kiedy zaskoczona przerwała żucie, kiedy ktoś wsunął do kabiny naprzeciwko niej, zasłaniając jej widok gry.

Nie był kimś, kogo znała osobiście, chociaż jego twarz wydawała się znajoma, jakby *powinna* go skądś znać. Mimo wszystko, jego nagła

obecność, bez zaproszenia do jej stołu, sprawiła, że zjeżyły jej się włosy. Rozważała szczegółowo jego wyrzeźbioną szczękę i wyrazistą twarz... klasycznie przystojny, nie awanturniczny typ, a jego oczy opowiadały głębszą historię. Były koloru stalowego, podkreślone przez jego surowy szary garnitur.

- Przepraszam - powiedziała ostrożnie, gdy oparła się w kabinie, instynktownie odsuwając się od niego. - Ale właśnie próbuję...

- Genevieve, prawda? - Uniósł brwi, gdy jej przerwał. - Genevieve Galante?

To uciszyło ją natychmiast uciszyło. Znał jej imię. Jej wyraz twarzy stwardniał, gdy wpatrywała się w niego, a jej myśli już zmieniły się w defensywne. *Kto to, kurwa, jest?*

- Zależy, kto pyta.

- Możesz mówić do mnie Gavin.

- Wolę wcale do ciebie nie mówić - powiedziała. - Teraz, jeśli mi wybaczysz, chciałabym skończyć jedzenie.

Uniósł ręce.

- Nie pozwól mi cię powstrzymywać.

Spodziewała się, że wstanie, łapiąc wskazówkę, ale zamiast tego pozostał w miejscu i skinął na kelnera. Mężczyzna zbliżył się niepewnie, wyglądając na zaskoczonego, że widzi ich, siedzących razem.

*Jestem tak samo, cholernie, zaskoczona, kolego.*

- Poproszę to, co zwykle - powiedział Gavin. - I przynieść pannie Galante następną kolejkę czegokolwiek, co pije.

- Rum i cola - wymamrotała Genna, podnosząc szklanę, gdy zaśmiała się sucho. - Bez rumu.

- Roman Coke - zamówił Gavin, zaskakując Genę, gdy użył tej nazwy. - Z rumem tym razem.

- Ale... - Kelner powoli pokręcił głową. - Pan Galante powiedział nie.

- No cóż, *ja* mówię daj dziewczynie trochę rumu - uzasadniał Gavin. - Więc zgaduję, że to, co zrobisz teraz zależy od tego, co w rezultacie przeraża cię bardziej.

Kelner wydawał się rozdarty i autentycznie przerażony, gdy cofnął się od stołu. Oczy Genny zwęziły się podejrzliwie, gdy patrzyła na faceta, siedzącego naprzeciwko niej.

- Gavin, powiedziałeś? Czy masz nazwisko?

Kiwnął głową.

- Amaro.

*Amaro*. To nazwisko znała. Przerażony wyraz twarzy kelnera miał teraz sens. Rozluźniła się z powrotem w kabinie, czekając w milczeniu,

aż zostały im przyniesione ich drinki. Wzięła łyk, krzywiąc się na gorzki alkohol. To było *mocne*.

- Miło wiedzieć, że nie straciłem umiejętności - powiedział Gavin, zauważając wyraz jej twarzy.

- No cóż, dzięki za drinka - powiedziała, wskazując na niego szklanką. - Ale naprawdę, jestem tu ze swoim bratem, i nie jestem taka pewna, czy będzie szczęśliwy widząc, że rozmawiasz ze mną, więc możesz chcieć... wiesz...

- Odejść? - Zgadł.

*Bingo.*

- Twój brat nie będzie miał nic przeciwko temu - powiedział Gavin. - Poza tym, tylko rozmawiamy.

- O czym mamy rozmawiać?

Gavin podniósł swojego drinka i wziął łyk, nie odpowiadając przez chwilę. Jego oczy zostawiły jej, aby przeskanować bar wokół nich.

- Jestem zaskoczony, widząc cię tutaj, Genevieve.

- Genna - poprawiła go. - Przez G.

- Genna przez G - powtórzył. - Tak jak powiedziałem, jestem zaskoczony, widząc cię tutaj. Myślałem, że *The Place* w Soho jest bardziej twoją sceną.

Wewnątrz Genny zawrzała panika. Jego głos był nonszalancki, ale było głębsze znaczenie w tych słowach, które skrzyły jej żołądek w węzeł.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Nie? - Spytał, ponownie spotykając jej oczy.

- Nie - powiedziała. - W ogóle.

Pochylił się przez stół, bliżej do niej.

- Kłamczucha.

Genna siedziała nieruchomo, a jej wzrok przeniósł się ponad ramieniem Gavina tam, gdzie jej brat grał w bilard, zupełnie nieświadomy jej gościa. Odwróciła się do Gavina, próbując przełknąć alarm wewnątrz niej.

- Posłuchaj, nie wiem, czego chcesz ode mnie, ale jeśli myślisz, że możesz mnie zastraszyć...

Zanim mogła skończyć, Gavin przerwał jej rozbawionym śmiechem.

- Myślisz, że próbuję ci grozić?

- Nie wiem, co próbujesz zrobić.

- Po prostu staram się zobaczyć, co mój kuzyn w tobie widzi.

Szok przepłynął przez nią, gdy gapiła się na niego. Kuzyn? Zanim zdążyła wymyślić, co powiedzieć, Gavin wstał i zaczął odchodzić, zmierzając prosto w kierunku stołów bilardowych. Genna chwyciła swojego drinka, szybko przełykając resztę.

*Drogi Boże, daj mi siłę, by walnąć tego skurwiela w twarz, jeśli nie będzie trzymał gęby na kłódkę.*

- Galante - krzyknął Gavin, a jego głos był na tyle głośny, że Genna słyszała go ponad muzyką.

Zerwała się na równe nogi i szybko ruszyła w tym kierunku, z walącym sercem w jej piersi. Co on robił? Co, do cholery, było z nim nie tak? Próbował wywołać bójkę?

Dante uniósł wzrok znad gry, spotykając spojrzenie Gavina.

- Amaro.

- Znowu kradniesz pieniądze od tych głupców? - Zapytał Gavin.

Dante się wyprostował, opierając kij o ścianę, gdy skinął na swojego przeciwnika, aby podjął swoją kolej. Powoli, podszedł do Gavina, wzruszając ramionami.

- Nie moja wina, że są na tyle głupi, by ze mną grać.

Gavin szedł prosto na Dantego. Genna sapnęła i zwolniła kroku, gdy zamiast rzucania ciosów, chwycili się ręce i zrobili jakiś rodzaj prymitywnego młodocianego uścisku, waląc pięściami w plecy, gdy obaj się śmiali, witając się z sobą jak starzy przyjaciele.



*Co jest, kurwa!*

- Można by pomyśleć, że już się nauczyli - powiedział Gavin.

- Tak, no cóż, mam nadzieję, że nigdy się nie nauczą - powiedział Dante, łapiąc ponownie kija, by podjąć jego następną kolej.

Uśmiechając się, Gavin oparł się o ścianę, a jego oczy przeniosły się na Gennę. Spojrzała na niego gniewnie, gdy się zbliżyła, nie znajdując rozbawienia, gdy mrugnął do niej figlarnie. Uch, zadowolony z siebie dań z  *pewnością*  był związany z Mattym. Obydwaj instynktownie wiedzieli, jak nacisnąć jej guziki.

Dante zwrócił uwagę na jej obecność i wskazał na nią.

- Gavin, to moja młodsza siostra, Genna. Genna, to Gavin Amaro, syn Johnnego.

- Miło cię poznać, panno Galante - Gavin powiedział uprzejmie, uśmiechając się ironicznie. - Dużo o tobie słyszałem.

Nic nie powiedziała w odpowiedzi, patrząc między nim i Dantem.

- Więc wy dwoje jesteście, czym... przyjaciółmi?

Dante wzruszył ramionami.

- Mogłabyś tak powiedzieć.

Kręcąc głową, zrezygnowała ze rozumienia tego, i przeszła obok nich, opadając na krzesło przy stoliku w pobliżu miejsca, gdzie stał Gavin.

Dante kontynuował grę, nie zwracając na nią uwagi, gdy Gavin ostatecznie usiadł naprzeciwko niej. Ani razu nie wspomniał imienia Matty'ego, nie szepnął ani słowa z tego, co wiedział, ale mogła dostrzec znaczące spojrzenie w jego oczach, gdy subtelnie jej dokuczał. Drinki napływały do ich stolika, i Genna powoli stawała się pijana. Alkohol rozluźnił jej mięśnie i złagodził napięcie. Dante podchodził pomiędzy kolejkami, żeby porozmawiać, a jego kieszenie napełniały się gotówką.

Kilka godzin i tak samo wiele drinków później, Gavin wreszcie się podniósł.

- Prawdopodobnie powinienem iść do domu.

Dante oparł swojego kija o ścianę, kończąc grę, i zerknął na zegarek.

- Również powinniśmy ruszać.

Gavin zaoferował Gennie swoją rękę. Wzięła ją, chwiejąc się, gdy szarpnięciem ją postawił. Zanim zdążyła się od niego odsunąć, podniósł jej dłoń do swoich ust i złożył pocałunek na jej grzbiecie. Jego spojrzenie zwlekało na zegarku, który wciąż nosiła - tym, który ściągnęła z nadgarstka Matty'ego.

- Myślę, że teraz już mogę to zobaczyć, Genno przez G.

Wpatrywała się w niego, zaskoczona, gdy jeszcze raz pozdrowił jej brata, zanim spokojnie odszedł. Dante zrobił kilka kroków w jej stronę, zatrzymując się obok niej.

- Co zobaczyć?

- Uch... - Spojrzała na brata, widząc, że jego brwi uniosły się w zaciekawieniu. - Film. Powiedziałem mu, wiesz, że powinien zobaczyć ten film, i zgaduję, że ma taki zamiar.

- Jaki film?

- Oceans 11. - Jezu Chryste. Przeklęła siebie w chwili, kiedy to powiedziała. *Naprawdę, Genna?* - I 12, również.

- Nigdy ich nie widział?

- Nie - powiedziała szybko.

- A ty tak?

- Tak, pewnie... Jest w nich Julia Roberts.

- I to, dlatego kazałaś je obejrzeć?

Zadrwiła.

- Nie. Kazałam mu je obejrzeć, ponieważ, wiesz, są w nich kradzieże, a skoro on jest... - Pokręciła głową. Była strasznym kłamcą, gdy była pod wpływem alkoholu. - Kimkolwiek on jest.

Dante gapił się na nią, nie wierząc w ani jedno jej słowo. Genna bała się rozwodzić, wiedząc, że tylko wkopywałby się głębiej. Po chwili, jej brat westchnął.

- Posłuchaj, szanuję Gavina. Pomimo tego, że jest blisko *tych* ludzi, nigdy nie dał mi powodu, by go nienawidzić. I po prostu cię proszę, Genna... błagam cię... nie daj mi powodu, żebym go nienawidził.

- Dlaczego miałabym to zrobić?

- Nie zrobiłabyś tego celowo, ale wiem, jaka jesteś z facetami. I podczas gdy go lubię, nie zamierzam go lubić, dotykającego moją młodszą siostrę.

- Myślisz, że ja... że my... ja i on? - Zmarszczyła brwi. - Poważnie?

- Tylko mówię, nie zaczynaj się z nim *widywać*.

- Zaufaj mi - powiedziała. - Nie musisz się o to martwić.

# ROZDZIAŁ 11

Powietrze w domu było lodowate, i przy każdym wdechu ostro kąsało płuca Matty'ego. Gdy wszedł do środka, w górę jego kręgosłupa zaczął skradać się chłód. Nie zadał sobie nawet trudu pukaniem do frontowych drzwi. Wiedzieli, że tam był.

Przez okna wlewało się przytłumione światło zbliżającego się zmierzchu, przyciemniając tym pomieszczenia i spowijając je cieniem. Jego plecy nieprzyjemnie mrowiły, a włosy na karku stanęły dęba. Nic nie było tak bardzo odpychające i zniechęcające, jak dom Barsantich bez odgłosu śmiechu jego matki. Właściwie, w tym momencie jego brak, mocno w niego uderzył. Nie było nic spokojnego w tej ciszy.

Brutalnie do niego krzyczała.

Bezszelestnie, Matty pokonał drogę na górę, słuchając szurania nogami i ściszonych głosów dochodzących z gabinetu ojca, do którego drzwi były szeroko otwarte. Matty zatrzymał się w korytarzu tuż obok, zerkając do środka na brata i ojca, stojących wokół drewnianego stołu. Broń pokrywała każdy skrawek powierzchni - od najprostszyc

pistoletów 22 kalibru<sup>22</sup> do najnowocześniejszych karabinów szturmowych<sup>23</sup> wykonanych przez człowieka.

Enzo ścisnął rewolwer 9 mm<sup>24</sup>, starannie sprawdzając i upewniając się że został załadowany. Spojrzał w stronę drzwi, rzucając ponowne spojrzenie gdy zauważył stojącego tam Matty'ego, ale zgodnie z przewidywaniami, ich ojciec wcale nie był tym zaskoczony.



22



23



24

- Matteo - powiedział Roberto stanowczym tonem, równie lodowatym jak dom. Był odwrócony plecami do Matty'ego, gdy przesunął ręką po AK-47<sup>25</sup>. Nawet się nie odwrócił, by na niego spojrzeć.

- Tato.

Enzo spojrział pomiędzy nimi dwoma i wypuścił głębokie westchnienie, wsuwając pistolet za pas. Kiwnął raz do ich ojca, przekazując mu wiadomość bez słów, której Matty nie rozumiał, po czym wyszedł z pokoju.

- Odpoczywa - powiedział Roberto cicho.

- Spokojnie?

- Na razie.

- Co powiedział lekarz?

- To samo, co mówi zawsze - odpowiedział Roberto. *Trudno powiedzieć; nie ma żadnego sposobu, by to wiedzieć.* - Chociaż to nie ma znaczenia, ponieważ *ja* wiem. Nie potrzebuję lekarza, żeby mi to powiedział. *Sam* to wiem. Ne zostało jej długo..



Na te słowa, pierś Matty'ego się zacisnęła. Jego płuca protestowały przeciwko każdemu poborowi powietrza. Roberto opuścił nisko głowę, wydając smutne westchnienie.

Pomimo, że nie był pewien co powiedzieć, Matty czuł potrzebę, żeby powiedzieć *cokolwiek*. Coś, aby oczyścić pomiędzy nimi atmosferę, rozproszyć trochę zimnego napięcia, aby choć trochę ogrzać dom dla jego matki, gdy zbliżała się ku swojemu końcowi.

Jednak nie miał szansy. Moment rozumienia, moment wzajemnego strachu -zniknął, gdy Roberto ponownie otworzył usta, osadzając Matty'ego z powrotem w ich rzeczywistości.

- Nosisz broń, Matteo?

- Wiesz, że nie.

Roberto kiwnął głową, w końcu odwracając się twarzą do niego. Jej wyraz, był niczym więcej niż pustą maską wyrzeźbioną na jego twarzy.

- Po dzisiejszej nocy synu, możesz chcieć zacząć.

Mężczyzna wyszedł, zostawiając Matty'ego samego, aby słuchał jego ciężkich kroków po schodach, gdzie każdy jeden był jak kopniak w jego bebech. Nie było nic niebezpieczniejszego na świecie, niż mężczyzna bez żadnego fundamentu. Matka Matty'ego była spoiwem, które trzymało ich wszystkich razem. Bez niej, byli tylko popękkanymi cegłami i zaprawą. Fragmentami, dającymi ciemności łatwy dostęp, by wkradła się do środka kiedy rozpadli się na kawałki.



I pomimo tego że Roberto wyglądał na tak silnego i mocnego jak stal, Matty wiedział, że strata przez którą mieli cierpieć, będzie na tyle silna, by zgiąć nawet najtwardszy metal.

Jego oczy krótko zeskanowały pistolety leżące wzdłuż stołu, zanim odwrócił się i wyszedł z gabinetu, cicho pokonując drogę wzdłuż korytarza do głównej sypialni. Jedynie z szacunku lekko zapukał knykциями o drzwi, w najmniejszym stopniu nie oczekując odpowiedzi, zanim wszedł do środka. Jego matka spała głęboko, ze spokojnym wyrazem twarzy, a jej pierś chrobotła z każdym oddechem, który wzięła.

Wzdychając, Matty usiadł przy niej na krawędzi łóżka. Pozostał tam przez minutę lub coś koło tego, słuchając dźwięku jej oddechu, zanim wyciągnął swój telefon z kieszeni.

Napisał do Genny.

**Sprawy z moją mamą nie mają się dobrze.**

Odpowiedziała natychmiast.

**Tak mi przykro. Potrzebujesz czegoś?**

Czy potrzebował czegoś? Potrzebował, żeby to wszystko było snem -bezwzględnym koszmarem, z którego mógłby się obudzić.

**Potrzebuję, żebyś mi powiedziała, że będzie z nią wszystko dobrze.**

Nawet pisząc te słowa, w jego gardle utworzyła się bryła, a oczy zaszkliły się niewyłanymi łzami. To było pobożne życzenie, myśląc w ten sam sposób jak kiedy był jeszcze dzieckiem, odmawiając uwierzenia że ktoś kogo kochał miał odejść na zawsze. Wtedy powiedziałby „nie ma takiej opcji”. Że to był żart, *okrutny* żart - kłamstwo, *najgorsze* kłamstwo, które kiedykolwiek ktoś powiedział. Ludzie nie umierali. W każdym razie nie ci, których kochał.

Jej odpowiedź, po raz kolejny, przyszła natychmiast.

**Z nią będzie wszystko w porządku, Matty. Może nie być już z tobą, możesz jej nie widzieć, ale będzie z nią w porządku. Obiecuję ci to.**

- To tak kurewsko niesprawiedliwe - mruknął do siebie, pisząc jej odpowiedź, gdy łza przedarła się przez kącik jego oka, ześlizgując się w dół po policzku. Otarł ją w chwili w której drgnął materac obok niego. Przenosząc spojrzenie, zobaczył, że jego matka się porusza, a jej oczy się otworzyły by na niego spojrzeć.

Delikatny, senny uśmiech wykrzywił jej wargi.

- Cześć, słodziaku.

Jej głos był taki słaby. Ból w jego piersi się pogłębił.

- Cześć, mamó.

- Jak długo tu jesteś?

- Zaledwie kilka minut.

- Powinieneś mnie obudzić.

Zadrwił.

- Potrzebujesz odpoczynku.

- Wkrótce będę miała mnóstwo odpoczynku - powiedziała cicho, przesuwając się na łóżku, żeby lepiej go widzieć. - Jestem zmęczona, Matty. Tak bardzo zmęczona.

- Wiem, mam. - Pomimo jego największych starań by utrzymać go stałym, jego głos się załamał.

Uniosła w jego kierunku rękę. Gdy przysunął do niej twarz, jej koniuszki palców musnęły jego policzek.

- Taki przystojny.

Jej ręka zaczęła opadać, gdy ją chwycił, ściskając delikatnie i kładąc ją na swoich kolanach.

- To dlatego, że pochodzę od kogoś tak pięknego jak ty.

Jej uśmiech urósł.

- Trzymaj ten czar dla tej twojej dziewczyny.

- Będę.

- Musisz ją kochać, aby zapewnić jej bezpieczeństwo - ciągnęła. - Jeśli dostałeś coś od twojego ojca, jeśli czegokolwiek od niego się nauczyłeś, mam nadzieję, że to jest właśnie to. Potrafił zapewnić rodzinie

godziwe życie, był dobrym obrońcą, nawet jeśli sposób w jaki się do tego czasami zabierał...

- Nie teraz, mamó - powiedział cicho Matty, ściskając jej rękę. To była ostatnia rzecz, o której chciał teraz rozmawiać.

- Zatem kiedy? - Zapytała poważnym głosem. - Teraz to jest wszystko, co mam, Matty, i chcę, żebyś zrozumiał.

- Zrozumiał co?

- Że czasami robimy rzeczy, których żałujemy, z żalu, z gniewu, i to niszczy ludzi, których kochamy - powiedziała. - Nie popełniaj tego samego błędu.

- Nie zrobię tego.

- I utrzymaj tę dziewczynę bezpieczną.

Zanim Matty mógł odpowiedzieć, Roberto odchrząknął przy drzwiach, zanim powiedział:

- Jaka dziewczyna?

Spoglądając za siebie, Matty przyjrzał się ojcu, gdy mężczyzna wszedł do środka ciężkimi krokami. Nie słyszał, jak wchodził na górę. Celowo do nich się podkradł. Enzo był z nim, czając się w drzwiach, wahając się, zanim podszedł bliżej.

- Podśłuchujesz, Bobby? - Zapytała Savina, przyglądając się mężowi. Jej wyraz twarzy zmiażdżył, gdy zabrała rękę od Matty'ego i

wyciągnęła ją jeszcze raz. Roberto zbliżył się, chwytając jej dłoń i przechylając się, by delikatnie ją pocałować.

- Tylko przypadkiem usłyszałem - powiedział. - Wyłącznie przypadkowo.

- Tak, tak - powiedziała. - A jeśli musisz wiedzieć, miałam na myśli dziewczynę Matty'ego, tak jak ja jestem twoją.

- Ach. - Roberto spojrzał pomiędzy nich z zaciekawieniem. - Utrzymać ją bezpieczną, przed czym?

- Życiem - odpowiedziała, wahając się, zanim dodała. - Śmiercią.

- Niemożliwe - powiedział Roberto. - To jak płyniecie pod prąd. Walczysz i walczysz i walczysz, ale dostaniesz się tylko tak daleko, zanim pociągnie cię z powrotem w dół.

- Ale zazwyczaj, to jest walka, która ciągnie cię w dół - odparła, a jej głos był teraz silniejszy. - Czasami po prostu lepiej jest płynąć z prądem.

Roberto wpatrywał się w nią przez chwilę, nie oferując żadnej riposty.

- Zakończ to - ciągnęła. - Proszę, Bobby. Dla mnie. Dla nas wszystkich. Zakończ ten nonsens.

Spór. Walkę. Wojnę z Galantes. Matty nigdy nie słyszał, żeby jego matka konfrontowała się wprost z jego ojcem na ten temat. Nigdy nie słyszał, żeby prosiła go o taką rzecz, i po wyrazie twarzy Roberto

dostrzegł, że jego maska się ześliznęła gdy rozbłysło na niej zaskoczenie. Prawdopodobnie nigdy tego nie robiła. Kiedy Matty się nad tym zastanowił, to nigdy nie prosiła o dużo.

Roberto wypuścił znużone westchnienie, gdy podniósł jej rękę, składając pocałunek na jej wierzchu.

- Uważaj to za zakończone.

W tym momencie uśmiech zdobiący jej usta był promienny. Zabrała rękę od swojego męża, zmieniając pozycję na łóżku, aby usiąść, pomimo protestów od wszystkich trzech mężczyzn, chcących by dalej odpoczywała. Ignorując ich, poklepała łóżko po obu stronach niej, prosząc ich, by usiedli.

Matty przesunął się w kierunku krańca, opierając się o podnózek, gdy Enzo i jego ojciec zajęli miejsca tuż obok niej. Rozmawiali, odprężając się. W tym momencie świat zewnętrzny wokół nich zniknął - nic innego oprócz niej nie miało znaczenia. Śmiała się z czegoś, co powiedział Enzo, z jakiejś historii, którą opowiedział a ten dźwięk spłynął po Mattym i ogrzał powietrze wokół niego. Czuł ten śmiech, czuł go głęboko w piersi, gdy otaczał jego serce ściskając do tego stopnia, że miał wrażenie jakby mogło pęknąć. Uśmiechnął się, a w jego oczach ponownie pojawiły się łzy, kiedy upajał się tym uczuciem - dźwiękiem jej szczęścia.

Och, jak pragnął by to było dzięki niemu, ale zaakceptowałaby to, mimo wszystko.

Minuty zmieniały się w godziny, ale w wielkim schemacie rzeczy, to wcale nie był czas. To nie wystarczyło. To nigdy nie byłoby dosyć. Mogliby siedzieć tam przez dni, tygodnie, miesiące, i to nigdy nie byłoby wystarczająco dużo czasu dla żadnego z nich.

Pomimo jej najlepszych prób aby nie zasnąć, pochłonął ją sen i wkrótce po tym, zabrała ją również śmierć, niezależnie od determinacji jej serca, by ciągle bić. Wszystko zwolniło, kiedy wypuściła swój ostatni delikatny i drżący oddech ,gdy Matty obserwował uniesienie się i upadek jej piersi po raz ostatni.

Przez jakiś czas nikt nic nie mówił. Nie ruszyli się; ledwie sami oddychali. Ostatecznie, Roberto puścił jej rękę i wstał. Cofając się od łóżka z oczami wciąż wpatrzonymi w żonę, uczynił znak krzyża i pochylił głowę, wypowiadając cichą modlitwę. Potem, spojrzał między swoich synów, a jego spojrzenie osiadło na Enzo.

- Chcę ciebie i braci Civello na Dantem. Śledźcie każdy jego ruch; znajdźcie jego słabe punkty. Tą jego siostrę, również. Nie zbliżycie się zbyt blisko Primo, a ja nie mogę go tknąć, ale jego dzieci... *to właśnie tak* można dostać się do niego.

Żołądek Matty'ego się zacisnął. Spojrzenie Enza przeniosło się do niego na ułamek sekundy, jakby martwił się o jego reakcję, zanim kiwnął głową i wstał.

- Tak, sir.

- Po pogrzebie - powiedział Roberto, a jego spojrzenie przesunęło się z powrotem do jego żony, - uderzymy.

Enzo wyszedł z opuszczoną głową. Roberto odwrócił się, by wyjść, gdy Matty obserwował go z niedowierzaniem.

- Powiedziałeś, że to zostało skończone. Spór... powiedziałaś jej, że to skończysz.

- Powiedziałem, i skończę. - Roberto stanął na chwilę tuż obok Matty'ego, patrząc mu prosto w oczy. - To wszystko niedługo będzie skończone.

Po tym jak został sam, Matty wstał z łóżka i poprawił swoje ubranie, ponownie powstrzymując łzy. Zrobił kilka kroków w kierunku swojej matki, delikatnie odgarniając włosy z jej twarzy, zanim przycisnął wargi do jej czoła.

*Potem.* Nie chciał myśleć o tym wcześniej, o życiu bez jego matki, ale Genna miała rację. Nie mógł tego uniknąć. Miał z nim do czynienia właśnie teraz.

Wyciągając ponownie telefon, wysłał wiadomość.

**Odeszła.**

Jak można było się spodziewać, odpowiedź była prawie natychmiastowa.

**Jak się czujesz?**



Jak się czuł? Odrętwiały. Wstrząśnięty. Zrozpaczony. Gdyby był szczery, był wręcz cholernie przerażony. Ale zamiast jej to powiedzieć, napisał jej jedno zwykłe słowo... to, które wydawało się najbardziej w tym momencie pasować.

### **Samotny.**



Genna stanęła na dole schodów, wpatrując się w pojedyncze słowo na ekranie jej telefonu. *Samotny*. To ją opóźniło, jej odpowiedź była wolniejsza niż zwykle, gdy próbowała wymyśleć, co mu powiedzieć. Co by sprawiło, że poczułby się lepiej? *Nic*.

### **Możesz czuć się samotnym, Matty, ale nigdy nie będziesz sam.**

Gdy nacisnęła wyslij, frontowe drzwi otworzyły się i przez hol poniosły się głosy. Zerkając, zdenerwowana, zobaczyła jak jej brat wszedł do środka, rozmawiając z kimś idącym tuż za nim. Jak tylko Dante zszedł z drogi, Genna dostrzegła twarz.

*Uch. Umberto Ricci.*

- Hej, sis - powiedział Dante, wskazując w stronę jego przyjaciela.  
- Pamiętasz Berta?

*Bert? Kto, kurwa dobrowolnie nazywa siebie Bert?*

- Pewnie - wymamrotała, zmieniając dzwonek na wibracje i wsuwając telefon do kieszeni. - Bert i Ernie.

Dante zaśmiał się, szturchając swojego przyjaciela. Nie uszło uwadze Genny, że opalone policzki Umberto się zaczerwieniły.

- Miło cię znowu widzieć, Genevieve - powiedział cicho. - Wyglądasz jak zawsze pięknie.

W tym momencie jej ojciec wyszedł ze swojego biura, idąc w ich kierunku. Primo zawahał się w holu, a jego twarz rozświetlił uśmiech gdy zobaczył ich, stojących tam razem.

- Umberto, jestem wdzięczny, że mogłeś dołączyć do nas na kolację - powiedział Primo, witając go ciepło, i potrząsając mocno jego dłonią, chwytając jego ramię drugą ręką.

- Dziękuję za zaproszenie - powiedział Umberto. - To zaszczyt.

Genna zmarszczyła brwi, obserwując jak dwóch z nich skierowało się w kierunku jadalni. Jej oczy zwęziły się na brata, gdy ten został z tyłu. Zanim nawet mogła powiedzieć zjadliwe słowo, Dante uniósł obronnie rękę.

- Nie obwiniaj mnie. Byłem tak samo zaskoczony, jako ty.

To była ostatnia rzecz, jakiej dziś potrzebowała. Jęcząc, zeszła ze schodów i weszła do jadalni. Tylko zwykle zostało przygotowane pięć nakryć, które każdego wieczoru zdobiły stół. Umberto zajął to najdalsze

od Primo – zwykle siedzenie Genny, – i wysunął krzesło obok dla niej. Zamarła, wpatrując się w krzesło... krzesło jej *matki*.

Dante wysunął własne miejsce i zawahał się, wydając się wyczuć jej rozterkę, i zaczął mówić, gdy Primo odchrząknął.

- Jest w porządku, Genevieve. Zajmij miejsce.

*Nie. Nie. Nie.* Instynktownie kręciła głową, przyciągając uwagę Dantego. Skinął w kierunku krzesła, a wyraz jego twarzy nakłaniał ją, by nie robiła z tego wielkiego problemu. Marszcząc brwi, usiadła teraz jeszcze bardziej zdenerwowana.

Czuła, że to wszystko jest niewłaściwe.

Miała dreszcze podczas modlitwy, gdy Umberto chwycił ją mocno za rękę spoconą dłonią. Zdenerwowany. Genna wyszarpnęła swoją dłoń, wycierając ją o spodnie pod stołem, gdy mężczyźni natychmiast przystąpili do posiłku. Żołądek Genny protestował nawet na zapach lasagne. Jej apetyt zniknął, od czasu pierwszej wiadomości, którą Matty wysłał jej tego dnia.

Gdy jej myśli wróciły z powrotem do niego, poczuła swój telefon, wibrujący w kieszeni. Ostrożnie, rozejrzała się wokół stołu, upewniając się, że inni byli zajęci, zanim wysunęła go i ukryła na swoich kolanach, widząc nową wiadomość od Matty'ego.

**Czy jest jakiś sposób, abym mógł cię zobaczyć?**

To pytanie wprawiło jej wnętrzości w całkowity rozstrój, a jej żołądek zacisnął się, gdy serce zamarło czyniąc ją chwilowo oszołomioną. Wpatrywała się w pytanie. Jej umysł pracował szybko, próbując wymyślić sposób, aby to urzeczywistnić, gdy jej ojciec odchrząknął.

- Odłóż telefon, Genevieve.

Spojrzała na niego, widząc, że obserwował ją z dezaprobatą.

- Przepraszam - wymamrotała, wsuwając telefon z powrotem do kieszeni, gdy podniosła widelec i wbiła go w swoje jedzenie.

To miała być jedna z najdłuższych godzin w jej życiu.

- Więc, jak idzie praca społeczna, Genevieve? - Zapytał Umberto, zaczynając rozmowę.

Wzięła mały kęs, aby dać złudzenie jedzenia.

- Praca społeczna?

- Twój ojciec powiedział, że pracujesz społecznie w jadłodajni w to lato - wyjaśnił. - Wiesz, pomagając ludziom którzy potrzebują pomocy, robisz wspaniałą rzecz. Co sprawiło, że chciałeś to robić?

- Moje pragnienie, aby pozostać z dala od więzienia - powiedziała.

- Kombinezon nie pomógłby mojej figurze, nie wspominając już o kolorze pomarańczowym.

Brwi Umberto zmarszczyły się, nie rozumiejąc, gdy Dante wybuchł śmiechem.

- To nie jest tak bardzo praca społeczna, jak praca na rzecz społeczeństwa.

- Ach. - Umberto kiwnął głową, wydając się rozumieć. - Wszystko jasne.

- Pomimo tego, to nie jest tak złe - powiedziała, wzruszając ramionami. - Zawsze mogło być gorzej.

Primo zanucił kontemplacyjnie.

- Gdzie nauczyłaś się patrzeć na sprawy optymistycznie?

*Od chłopca Barsantich.* Zamiast odpowiedzieć, tylko wzruszyła ramionami.

Wielokrotnie podczas kolacji próbowali obrócić rozmowę ku niej, a ona najlepiej jak mogła zmieniała jej kierunek nie będąc zainteresowaną w jej uczestnictwie. Przez cały ten czas, jej telefon ciągle wibrował z wiadomościami. Pragnienie, by je przeczytać zadrezczało ją z każdym cichym brzęczeniem. Jej noga podskakiwała pod stołem w oczekiwaniu na dzwoniący dzwonek.

Zawsze wtedy kończyła się kolacja. Nie zatrzyma jej dłużej, prawda?

*O Boże, zatrzyma.*

Było już kilka minut po dziewiątej, a Primo nie wykazywał żadnych oznak bycia gotowym, aby ich zwolnić. Genna właśnie miała wymyślić wymówkę, żeby się wymknąć, gdy nagle dzwonienie zakłóciło powietrze, uciszając ich wszystkich.

Awaryjna linia.

Primo błyskawicznie chwycił telefon, odbierając szorstkim tonem.

- Mów.

Mijały napięte sekundy, gdy Primo słuchał swojego rozmówcy, w końcu kończąc rozmowę i nie odzywając się po tym ani słowa. Odłożył telefon i podniósł widelec, wznowiając jedzenie. Nie wydał się przygnębiony - fakt, który rozładował trochę napięcia Genny.

- Więc - powiedział Primo po chwili. - Savina Barsanti nie żyje.

Genna zamarła. Wiedziała to, wiedziała o tym przed którymkolwiek z nich, ale mając ojca ogłaszającego to tak swobodnie - z taką lekkością, odczuła to jak cios prosto w brzuch. Dante nie powiedział ani słowa, nawet nie spojrzał w górę z nad swojego talerza z jedzeniem, gdy Umberto wypuścił niski gwizd.

- Cholerny pech. Zawsze słyszałem, że była dobrą kobietą - wiesz, relatywnie mówiąc.

Roberto zadrwił.

- Jedyne dobre Barsanti, to martwy Barsanti.

*Jedyny dobry Barsanti, to martwy Barsanti.* Ile razy Genna słyszała, jak jej ojciec to mówił? Ile razy w to *wierzyła*? Ta myśl uczyniła ją chorą.

Nie żyła dobra kobieta. Kobieta, która ciepło przywitała Genę w swoim domu.

Nie miała nic wspólnego z jej nazwiskiem.

*Formalnie rzecz biorąc, była Brazzi, w każdym razie.*

Chęć powiedzenia tego była na czubku jej języka, ale jej ojciec kontynuował, uciszając ją.

- Wydajemy przyjęcie w ten weekend, w piątkową noc. - Przyjęcie inicjacyjne. Genna wiedziała, chociaż ledwie znała szczegóły. To było zaplanowane dawno temu. - Po tym, zrobimy nasz ruch.

- Nasz ruch? - Zapytał Dante.

- Tak, myślę że już czas, żebyśmy rozstrzygnęli to raz na zawsze - odpowiedział. - A teraz, ponieważ Matteo wrócił do miasta, to doskonała okazja, by wykończyć ich *wszystkich*.

Gdy wypowiedział te słowa, Genna upuściła widelec rezygnując z udawania jedzenia. Brzęk metalu zwrócił uwagę jej ojca.

- Mogę prosić o wybaczenie? - Zapytała, odsuwając krzesło, by wstać, nawet nie czekając na jego odpowiedź. Czuła się, jakby miała zwymiotować. Musiała wyjść z tego pokoju.

- Oczywiście - powiedział, odprawiając ją. - I tak prawdopodobnie nie powinnaś być w pobliżu, żeby tego słuchać.

Genna wyszła i skręciła za róg, czując, jakby jej nogi były z galarety. Stała z boku w zaciemnionym korytarzu, opierając się plecami o ścianę obok drzwi jadalni. Jej serce biło nierówno, gdy wyciągnęła swój telefon, pobierając wiadomości.

**Nawet tylko na minutę.**

**Muszę cię zobaczyć nawet przez minutę.**

**Nie chcę być teraz sam.**

Po tym były dwa nieodebrane połączenia i jeszcze jedna wiadomość.

**Proszę.**

To słowo sprawiło, że bolało ją serce. To przyszło ponad trzydzieści minut temu.

- Jak to zrobimy? - Zapytał Dante w jadalni, jego głos był niski. -  
Masz plan?

- Jeszcze nie - powiedział Primo. - Ale jakiś stworzę.

Wzdychając, Genna odepchnęła się od ściany i ruszyła na górę, wybierając numer Matty'ego. Dwie rozmowy poszły prosto na pocztę głosową, a następnie trzy wiadomości, które pozostały bez odpowiedzi.

**Gdzie jesteś?**

**Tak mi przykro.**



## Spróbuję się wyrwać.

Gdy chodziła po swoim pokoju jej umysł pędził. Nie była zdolna do odprężenia się, czy zmuszenia swojego żołądka, by się uspokoił. Była w ten sposób tak długo, że jej nogi zmęczyły się, głowa waliła, podczas gdy ona sama wpędziła się w panikę. W końcu na zewnątrz usłyszała charakterystyczny odgłos odpalanego samochodu jej brata, który szybko odjechał spod domu, by robić Bóg wie co na ulicach Manhattanu. Wtedy Genna wymknęła się na przedpokój, słuchając na szczycie schodów, jak jej ojciec chodzi po domu i odprawia pracowników, zanim usadowił się w swoim gabinecie i zamknął drzwi.

Gdy usłyszała kliknięcie zamka, wiedziała, że będzie tam przez całą noc zajęty.

Jej umysł szaleńczo pędził. Wsunęła buty i włożyła telefon do kieszeni, zanim cicho, na paluszkach zeszła na dolne piętro. Wymknęła się tylnymi drzwiami, wiedząc z doświadczenia, że w ten sposób było łatwo niepostrzeżenie uciec.

Jak tylko była na zewnątrz, odeszła, przywołując taksówkę w chwili, w której jedną napotkała. Taryfiarz spojrział na nią we wstecznym lusterku, unosząc z zaciekawieniem brwi.

- Dokąd?

- *The Place* - powiedziała. - To bar. Znasz go?

- Oczywiście.

Trzydzieści minut później, wysiadła z tylnego siedzenia, rzucając mężczyźnie zwitek pieniędzy i mówiąc mu, by zatrzymał resztę. Ostrożnie rozejrzała się po okolicy, trzymając nisko opuszczoną głowę. Skierowała się do baru, dając nura przez drzwi obok wejścia do niego.

Jak tylko weszła do środka, spostrzegła kogoś na schodach. Para oczu natychmiast spotykała jej.

Enzo.

Niewłaściwy Barsanti.

Zatrzymał się w połowie drogi w dół schodów, i zamrugał kilka razy jakby był zaskoczony jej obecnością. Genna po prostu stała tam zamrożona, a jej serce pędziło, gdy w niego się wpatrywała. Nie była pewna co powiedzieć, albo co zrobić. Gapił się na nią, a w jego oczach widziała osąd.

- Proszę, proszę - powiedział po chwili, powoli schodząc po schodach w jej kierunku. - Ponownie przyłapana w dzielnicy slumsów.

- Ja, uch... - Pragnęła, by jej głos pozostał opanowany. - Po prostu szukam Matty'ego.

Enzo zatrzymał się, gdy dotarł do podnóża schodów. Stał kilka kroków od niej, tak blisko że Genna mogła poczuć zapach jego wody kolońskiej. To sprawiło, że kręciło jej się w głowie, a żołądek wzburzył się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Wpatrywał się w nią. Nie pochodził od niego nawet ułamek ciepła, jaki czuła od Matty'ego.

- Powiedz mi coś, kochanie - powiedział cichym głosem. - Co tak naprawdę robisz z moim bratem?

- Słucham?

- W jakiego rodzaju grę grasz? - Zapytał. - Co próbujesz wyciągnąć od Matty'ego?

- Nic - powiedziała. - Nie gram w żadną grę.

- Bzdura - wypluł, robiąc gwałtowny krok w jej kierunku. Ten nagły ruch sprawił, że się wzdrygnęła. Stali jeden na jednego, tak blisko, że Genna mogła zobaczyć, jak bardzo miał przekrwione oczy od niewylanych łez czających się w kąciakach jego oczu. W jej głowie wybuchły znaki ostrzegawcze, ale niewiele w tym momencie mogła z tym zrobić. Był niestabilny. Podenerwowany. *Zrozpaczony*. - Mogłaś wpłynąć na mojego brata, *uwięść go*, ale nigdy nie przekonasz mnie. Znam takich jak ty, Galante.

- Ale nie znasz *mnie* - powiedziała, przeklinając się za drżenie w swoim głosie. - A poza tym, nawet nie wiedziałam, że był... że jest...

- No cóż, jest - powiedział Enzo, wydając się dokładnie wiedzieć, o co jej chodziło. - Jest jednym z nas, a ty jesteś jedną z nich, i ta gra w którą grasz jest skończona. Czas minął, kochanie.

Zwęziła oczy.

- Co to ma znaczyć?

- To znaczy, że nie masz żadnego interesu będąc tutaj, a jeśli wiesz co jest dla ciebie dobre, nigdy ponownie tu nie przyjdiesz.

- Jestem tu dla Matty'ego.

- Słyszałem cię za pierwszym razem - powiedział. - Ale Matty'ego tu nie ma, i ciebie nie powinno być również.

Zanim Genna zdążyła odpowiedzieć, drzwi za nią zaczęły się otwierać. Nieznane męskie głosy odbijały się echem po klatce schodowej. Zaczęła się odwracać, gdy Enzo ją chwycił i popchnął na ścianę chowając ją w cień. Powietrze ze świstem opuściło jej płuca pozbawiając tchu, gdy rzucił jej srogie spojrzenie i wyciągnął rękę, milcząco ostrzegając ją, by tam została. Ogłuszona, obserwowała jak Enzo podszedł do drzwi i zablokował tego, ktokolwiek próbował wejść.

- Cześć, chłopaki - powiedział Enzo swobodnym głosem. - Właśnie wychodziłem.

- Twój ojciec kazał nam wpaść - odpowiedział jeden z facetów. - Powiedzieć, że musimy wymyślić plan, jak poradzić sobie z dziećmi Galante.

- To nie jest na to odpowiednia pora - powiedział Enzo. - Spotkajmy się w *The Place*, powiedzmy, za godzinę? Wtedy o tym porozmawiamy.

Enzo pozostał w bezruchu ciągle odcinając im możliwość wejścia, aż faceci wreszcie odpuścili i oddalili się. Jak tylko zniknęli, odwrócił się do niej ze wściekłym wyrazem twarzy.

- Wy Galantes z pewnością zasługujecie na swoją reputację... głupi jak cholera.

- Co zamierzasz zrobić? - Zapytała napiętym głosem. - Co to było, o mnie i moim bracie?

Enzo nic nie powiedział, gdy odwrócił się zerkając na ulicę, zanim chwycił ją za ramię.

- Musisz się stąd wynieść. Już.

Chciała zaprotestować, chciała walczyć, gdy prymitywnie wyciągnął ją z klatki schodowej na ulicę, ale chwilowo brakowało jej słów. Trzymał ją w bolesnym uścisku, gdy szybkim krokiem oddalali się od *The Place* w kierunku podziemnego parkingu, na którym Matty zawsze parkował. Czerwonego Lotusa nigdzie nie było widać, ale Enzo pociągnął ją w kierunku czarnego Mercedesa tuż obok wolnego miejsca.

- Wsiadaj - zażądał, otwierając drzwi od strony pasażera.

- Co daje ci prawo, żeby mi rozkazywać?

Spojrzał na nią gniewnie.

- Po prostu wsiadaj do pieprzonego samochodu, Galante.

Zawahała, przerażona tym, co może oznaczać podążanie za jego rozkazami, ale samochód nagle skręcający na parking wprowadził ją w ruch. To wciąż było terytorium wroga, i podczas gdy mężczyzna patrzący na nią gniewnie był niewątpliwie niebezpieczny, Matty zapewnił ją, że przynajmniej jej nie skrzywdzi.

Poza tym, właśnie ją ochronił, prawda?

Z galopującym sercem wsunęła się na chłodne skórzane siedzenie i wzdrygnęła się, gdy Enzo zatrzasnął za nią drzwi. Miała nadzieję, że nie popełniała poważnego błędu.

- Gdzie mnie zabierasz? - Zapytała, jak tylko usiadł obok niej i uruchomił samochód.

Enzo nie odpowiedział od razu, czekając, aż znajdą się poza parkingiem i w ruchu ulicznym, żeby zwrócić się do niej.

- Zabieram cię do domu.

Z jakiegoś powodu, ta odpowiedź ją zaskoczyła.

- Do domu?

- Tak, do domu, tam gdzie twoje miejsce - powiedział. - Tutaj nie jest dla ciebie bezpiecznie, zwłaszcza teraz.

- Dlaczego miałbyś...? - zamilkła, oszołomiona. - Nie rozumiem, dlaczego miałbyś zrobić to dla mnie, dlaczego dopiero co mnie tam ochroniłeś. *Nienawidzisz* mnie.

- Nienawidzę - przyznał, wcale za to nie przepaszając. - Bardziej, niż zdajesz sobie sprawę. Nienawidzę wszystkiego w tobie, wszystkiego, co znaczysz. Nienawidzę nawet tego, że muszę oddychać tym samym pieprzonym powietrzem, co ty.

- Więc dlaczego?

- Ponieważ mój brat cię nie nienawidzi. - Spojrzał na nią gniewnie.  
- Nie ufam ci, nie szanuję cię, ale z jakiegoś zapomnianego przez Boga i ludzi powodu, Matty to robi. I, no cóż, bardzo dużo dziś straciliśmy. Nie sądzę, że przyjąłby dobrze jeszcze utratę ciebie. Jedna śmierć to wystarczająco dużo, żeby sobie z nią radzić.

- Dziękuję - szepnęła.

- Nie dziękuj mi - powiedział ostro. - Dziękuj mojemu bratu. Gdyby to nie było przez wzgląd na niego, zabiłbym cię w chwili w której dostrzegłem twoją twarz. I cholera, jeśli wciąż nie chciałbym tego zrobić.

Z tonu jego głosu, uwierzyła w te słowa.

Gdy mknęli przez ulice, Enzo nie odzywał się słowem. Samochód nawet nie zwolnił, kiedy wjechał na terytorium jej ojca. Ani uncja strachu nie pokazała się na jego twarzy - żadnego lęku. Pomyślała, że musiał dużo ryzykować dużo.

Ten fakt wytrącił ją z równowagi. Zawsze czuła się tutaj bezpiecznie, tak naiwnie, jak to mogło być. Te ulice były ich. Nic nie mogło jej się stać, nikt nigdy nie ośmieliłby się jej dotknąć. Ale wyraźnie, liczyła zbyt mocno w te niewidzialne granice, zachowując się tak, jakby były kuloodpornymi ścianami, fizycznie odpierając ich przed naruszeniem dzielnicy. Przekroczyła granice tak łatwo, tak beztrosko.... Co sprawiło, że pomyślała, iż ktoś taki jak Enzo Barsanti nie będzie wystarczająco bezczelny, by zrobić to samo?

Jechał prosto w kierunku jej domu, dokładnie jak Matty, nie potrzebując jakichkolwiek wskazówek. Zatrzymał się jednak przecznicę dalej, skręcając samochodem do małej alejki i stając na parkingu.

- Nie podjadę bliżej, więc musisz iść przez resztę drogi na piechotę.

Zerknęła na niego, mając dziwną chęć, żeby podziękować mu jeszcze raz, ale powstrzymała swoją wdzięczność, tak zgorzkniała jak mogła być. Jej 'dziękuję' nigdy nie spotka się z jego 'nie ma za co'.

- Gdzie jest Matty?

Enzo spojrzał na nią gniewnie.

- Twoje przypuszczenia są równie dobre jak moje. Prawdopodobnie lepsze niż moje.

- Nie wiesz? - Zapytała niepewnie. - Przyszłam tam dzisiaj, bo powiedział, że chce się ze mną zobaczyć, że *potrzebuje* mnie zobaczyć.

- Nie dziwi mnie to, ale nie, nie wiem - powiedział, kręcąc głową, gdy roześmiał się gorzko pod nosem. - Czy kiedykolwiek widziałaś, żeby mój brat był zdenerwowany?

- Nie.

- Powiedzmy, że dzisiejszej nocy mogę nie być najbardziej przerażającym Barsantim na ulicach.

Matty? Przerażający? *Ledwie.*



- Zawsze jest tak spokojny.

- Jest - zgodził się. - Ale to jest spokój, o który musisz martwić się.

- Enzo sięgnął obok niej, chwycił za klamkę i pchnięciem otworzył drzwi. - Teraz wysiadaj z mojego samochodu, zanim zmienię zdanie i zdecyduję, żeby cię zabić.

Nie musiał jej powtarzać. Genna wysiadła, tym razem niezdolna, by powstrzymać słowo 'dziękuję' przed wydobyciem się z jej ust. Gdy z trzaskiem zamknęła drzwi, usłyszała jak Enzo jęczy z irytacją, wykrzykując, 'jest, kurwa, za co'. Wrzucił samochód na wsteczny, gdy tak stała, wykręcając z alei i szybko odjeżdżając.

Genna przebiegła przecnicę, ciężko dysząc, zanim dotarła do domu. Wkradła się z powrotem do środka, robiąc co w jej mocy, aby nie wydać żadnego dźwięku, gdy ruszyła w stronę schodów. Ale gdy tam dotarła została przestraszona.

- Gdzie byłaś?

Genna podskoczyła, chwytając się za pierś, gdy Dante wyszedł ze swojej sypialni.

- Na dole.

- A wcześniej?

- Na zewnątrz.

- Gdzie?

- Dlaczego pytasz?

Oczy Dantego zwęziły się podejrzliwie, gdy przeszedł do niej, okrążając ją jak sęp.

- Dlaczego pachniesz jak tania woda kolońska?

- Dlaczego mnie obwąchujesz?

Uśmiech złamał wyraz twarzy Dantego.

- Dlaczego odpowiadasz pytaniem na pytanie?

- Dlaczego w ogóle mnie przesłuchujesz?

Wydawał się nie mieć na to żadnej odpowiedzi, jedynie wzruszył ramionami. Genna stała czekając aż powie coś innego, ale po chwili – gdy wciąż pozostawał cicho, odwróciła się, by skierować się do swojego pokoju.

- Hej, czekaj - powiedział, chwytając ją za ramię. - Przepraszam.

- Za co?

- Za wszystko - powiedział. - Dzisiejszy wieczór, wiesz... Bert... to, co tata próbował zrobić. On tylko chce, żebyś była z kimś komu może zaufać... kimś, kto może cię ochronić. Zwłaszcza teraz.

*Zwłaszcza teraz.* Były to te same słowa, których użył Enzo. Usłyszenie ich sprawiło, że jej żołądek opadł. W powietrzu wisiała burza, i miała straszne przeczucie, że zamierzało się zrobić paskudnie.

- Nie potrzebuję Berta, żeby mnie chronił . Mam zerowe zainteresowanie nim.

- Wiem, że tak jest - powiedział, przyglądając się jej dziwnie. - Jestem tylko ciekawy, kim jesteś zainteresowana.

- Co masz na myśli?

- Daj spokój, Genna. Nauczyłem cię wszystkiego, co wiesz. Znam cię lepiej, niż ktokolwiek. Kto to jest?

- To jest, uch... nikt.

- Z kim byłaś dzisiaj?

- Z nikim.

- To nie jest Gavin, prawda?

- Co? Oczywiście, że nie!

- Czy to znowu Jackson? - Naciskał Dante.

- Nie.

- Możesz mi powiedzieć, Genna - powiedział poważnie. - Wiem, że tata chce żebyś się już z nim nie widywała, i nie mogę powiedzieć, że nie zgadzam się na to. Nie sądzę, że zasługuje nawet na chwilę twojego czasu, ale nie zamierzam cię wydać. Nigdy nie chciałem. Tylko... *powiedz mi, że znowu widzisz się z Jacksonem.*

Było coś w jego głosie, błagający ton, gdy poprosił ją, by powiedziała mu to, co sugerowało Gennie, że naprawdę chciał usłyszeć.

- Dlaczego?

- Ponieważ widzisz się z *kimś* - odpowiedział. - Skradasz się, wracasz do domu pachnąc męskimi perfumami, jesteś wymijająca... w zeszłym tygodniu miałaś malinkę w pobliżu obojczyka. Nie myśl, że tego nie zauważyłem. Masz szczęście, że tata tego nie dostrzegł. Więc jest ktoś, a ja po prostu... po prostu powiedz mi, że to z Jacksonem się widzisz i zostawię cię w spokoju, ale...

Zamilkł i Genna usłyszała niepokój w jego niewypowiedzianych słowach. Martwił się, kto jeszcze to może być. Czy ją śledził? Nie mogła nawet pojąć, co by pomyślał, gdyby się dowiedział. To była najwyższa zdrada. Zadawała się z wrogiem.

Ale to był jej brat, jej najlepszy przyjaciel...

Jak kiedykolwiek mogłaby wybrać między nimi?

- W porządku - wymamrotała. - Masz rację.

Wyraz twarzy Dantego natychmiast zmiękł, zamiast tego odzwierciedlał ulgę, co sprawiło, że zaczęło ją dręczyć poczucie winy. Tak dokładnie to nie okłamała go... Miał rację, widywała się z kimś ale wprowadziła go w błąd, pozwalając mu wierzyć w cokolwiek *chciał* wierzyć.

To był jedyny sposób.

- Tylko bądź ostrożna, okej? - Powiedział Dante.

- Będę - odpowiedziała, uśmiechając się łagodnie. Zawsze się o nią niepokoił, gdy było tak wiele innych rzeczy w życiu, o które musiał się martwić. - Obiecuję.

Uciekła do swojego pokoju, zrzucając buty i opadając na łóżko, gdy wyciągnęła telefon z kieszeni. Żadnych nowych wiadomości. Żadnych nieodebranych połączeń. Ani śladu Matty'ego.

Miała tylko nadzieję, że był ostrożny, gdziekolwiek teraz był.

# ROZDZIAŁ 12

Ciemno. *Tak cholernie ciemno.*

Trumna miała kolor gorzkiej czekolady, tak brązowa, że była prawie czarna. Pasowała do samochodów ustawionych równo przy wąskiej drodze, prowadzącej przez cmentarz. Powietrze było ciężkie, chłodne i wilgotne, a chmury pokrywały każdy skrawek nieba, nie pozwalając przebić się ani krztynie słońca.

Nawet ziemia wydawała się być w żałobie.

Plamki koloru kropkujące krajobraz jak krwistoczerwone róże, pokryły górną część trumny. Roberto Barsanti stanął w centrum uwagi z Matty`m i Enzo przy jego bokach. Wszyscy trzej ubrani byli nienagannie, w trzyczęściowe czarne jak smoła garnitury, podczas gdy otaczała ich w pochylonych głowach masa ciał, ze splecionymi przed sobą dłońmi. Przyszły tu setki, aby wyrazić swój szacunek. Tak wielu powiązanych ludzi zgromadziło się w jednym miejscu, że przyciągnęło to uwagę organów ochrony porządku publicznego.

Miejscowi policjanci zostali strategicznie rozmieszczeni wokół cmentarza, podczas gdy FBI nadzorowało, parkując nieco dalej, obserwując i czekając. To był prawdopodobnie jedyny czas, gdzie mogli obnieść się swoją obecnością, biorąc pod uwagę fakt, że w tym momencie byli bardziej podatni, niż kiedykolwiek wcześniej.

Nikt nie przyszedł uzbrojony, z szacunku dla Saviny.

Chciała, żeby przemoc się skończyła.

Nie skończy się, jednak. Matty mógł wyczuć zanoszącą się burzę, ciężar w powietrzu o wiele większy niż tylko jedna śmierć.

Chodziło o te nadchodzące.

- Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj jej świeci - powiedział kapłan, robiąc znak krzyża nad trumną. - Niech spoczywa w pokoju.

Powiedziane chórem "amen" popłynęło przez tłum. Matty opuścił głowę i zamknął oczy, gdy kapłan skończył.

- Miej w opiece jej duszę, a także dusze tych, którzy nas opuszczają, przez miłosierdzie Boże, spoczywaj w pokoju.

Następnie gdy nabożeństwo się skończyło, tłum się rozszedł, rozpraszając się w różnych kierunkach po całym cmentarzu. Kilkadziesiąt osób czekało w kolejce, wykorzystując możliwość aby osobiście zwrócić się do rodziny. Matty trzymał opuszczoną głowę, a jego ręce były splecione przed nim, gdy słuchał ojca dziękującego za kondolencje. Nikt nie mówił do niego, mijając go, jakby go tam nie było. Był wręcz pewien, że go *nie* widzieli.

Czuł się jak duch.

Kiedy ostatnia osoba przeszła, Matty odwrócił się by odejść, gdy jego ojciec chwycił go za ramię, ściskając tak mocno, że Matty się skrzywił.

- Spodziewam się ciebie w domu, Matteo.

- Oczywiście - wymamrotał Matty. Pójdzie, dla jego matki, ale nie miał ochoty być w pobliżu tych ludzi, i ośmielił się zgadywać, że większość z nich nie obchodziło to, czy nawet się pojawi. - Będę tam.

Szedł przez cmentarz, w kierunku swojego Lotusa zaparkowanego przy ogrodzeniu. Otoczony przez masę ciemnych sedanów, jasno czerwony samochód sportowy pasował jak wół do karety. Wyciągnął kluczyki ze swojej kieszeni, uruchamiając silnik z oddali, i prawie doszedł do niego, gdy ktoś krzyknął jego imię.

- Hej, Matty, zaczekaj!

Zwolnił kroku, gdy jego brat spieszył by go dogonić. Nie widział Enza od tego momentu w sypialni matki, gdy wzięła swój ostatni oddech. Zniknął, żeby załatwić cokolwiek co rodzina planowała, podczas gdy Matty jedynie wędrował we mgle, gubiąc się w ciemnościach.

- En.

Enzo poklepał go po plecach, oddychając z trudem, gdy powiedział.

- Gdzie byłeś?



- W pobliżu - odpowiedział Matty. - Dlaczego pytasz?

- Bez powodu. - Enzo pokręcił głową, zwalniając kroku. - Po prostu cię nie widziałem. Nie przyszedłeś do domu.

Matty wiedział, że miał na myśli mieszkanie nad *The Place*, ale jego słowa były sprzeczne. To nie był jego dom. Tak naprawdę, nie miał już żadnego, już nie... nawet jeśli kiedyś taki miał. Najbliższy *dom* był w New Jersey, i to było dokładnie miejsce, gdzie poszedł.

Tam przynajmniej mógł *pomyśleć*.

Wzdychając, Matty otworzył drzwi od strony kierowcy swojego samochodu i przerwał, nie mając zamiaru zabawić jego brata wyjaśnieniem. Odwrócił się do Enza, przyglądając się mu z ciekawością.

- Potrzebujesz podwózki?

- Ja, uch... - Enzo rozejrzał się, wzruszając ramieniem. - Tak, pewnie.

Nie rozmawiali podczas jazdy. Muzyka była tak głośno, że utrudniała jakąkolwiek szansę na rozmowę. Matty zмагаł się, by znaleźć puste miejsce do zaparkowania przy domu Barsantich, w końcu przejeżdżając obok czekających sedanów, i zostawiając Lotusa dalej wzdłuż ulicy. Spodziewał się, że wśliznie się do domu niezauważony, aby ciągle być niewidocznym, ale został zaczepiony już w chwili gdy przekroczył próg. Ktoś stanął tuż przed nim, ktoś, kogo Matty niejasno rozpoznawał, jako jednego z współpracowników ojca.

Człowiek, z ciemnymi siwymi włosami i szorstką skórą, natychmiast chwycił rękę Matty'ego i stanowczo nią potrząsnął.

- Matteo Barsanti, to zaszczyt w końcu cię poznać.

Matty był zaskoczony.

- Nie wiesz jak długo czekaliśmy abyś wrócił - ciągnął mężczyzna, mocno trzymając jego dłoń, nie pokazując żadnych oznak, że zamierza ją w najbliższym czasie puścić. - Jak długo czekaliśmy na ciebie, abyś zajął swoje miejsce.

Żołądek Matty'ego opadł.

- Nie powiedziałbym...

Zanim zdążył skończyć zdanie, przerwała im grupa mężczyzn, która przyłączyła się do rozmowy, przedstawiając mu się. Matty ścisnął ich ręce, zapominając ich imiona w chwili, gdy drugie zostały podane. Jego ciało ogarnęło przytłaczające napięcie, a włosy się zjeżyły na tego typu zainteresowanie. Próbował przyjąć to bez mrugnięcia okiem, zignorować to i się wymknąć, ale szybko stało się dla niego jasne, że to nie było chwilowe.

To był dopiero początek.

Rozglądając się po pokoju, zobaczył ojca stojącego przy ścianie i sączącego szkocką ze szklanki. Jego wargi drżały, gdy ich obserwował. I wtedy, przyswajając jego zadowolony z siebie wyraz twarzy który mówił o niezliczonych oczekiwaniach, już wiedział.

Zorganizował to.

Enzo przedarł się przez tłum, przerywając, by odciągnąć skonsternowanego Matty'ego na bok.

- Otworzono dzisiaj księgi - wyjaśnił cicho Enzo, utrzymując nonszalancką postawę, ale była ostrożność w jego słowach. - Chciałem cię ostrzec, zamierzałem powiedzieć ci w drodze tutaj, ale...

*Ale Enzo nie powinien.* Matty westchnął, przeczesując włosy ręką.

- On używa tego jako okazji, żeby spotkać się i pogadać, prawda? Zamierza spróbować mnie nominować.

- Nie *spróbować* - powiedział Enzo. - Starzec zamierza to zrobić, czy ci się to podoba, czy nie.

- A jeśli odmówię?

Enzo wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Nikt nigdy wcześniej mu nie odmówił.

Matty rozejrzał się, obserwując tłum. Nie sądził że to możliwe, ale najgorszy dzień jego życia nagle zamierzał stać się jeszcze gorszy.

- Potrzebuję drinka.

Enzo poklepał go po plecach.

- Przyniosę ci jednego.

- Zrób mocnego - powiedział Matty.

Jeśli miał to zrobić, nie było sposobu, żeby mógł przejść przez to na trzeźwo.

\* \* \* \* \*

Hałaśliwa rozmowa i głośnie muzyka ciągnęły się za Genną, gdy z trudem wspinała się na górę. Jej głowa była opuszczona, a wzrok skupiony na różowych błyszczących paznokciach u stóp. Jej buty kołysały się w jej ręce, a ramiona były ociężałe. Przepłynęła przez nią ulga gdy uciekła z uroczystości, ale nie była na tyle silna by przyćmić jej smutek. Teraz, gdy była sama z dala od wścibskich oczu, zmartwienie wyryło zbyt głębokie zmarszczki na jej młodej twarzy. Martwiła się.

Naprawdę kurewsko się martwiła.

Nie miała żadnych wieści od Matty'ego od dni, odkąd wysłał ciąg zrozpaczonych wiadomości.

Przeszła cicho wzdłuż korytarza i wśliznęła się do swojej sypialni zamykając i blokując drzwi. Upuściła buty na podłogę i oparła się o nie, zamykając oczy. Ta noc była najdłuższą w jej życiu, najbardziej wypróbowująca jej cierpliwość. Tak wiele razy była bliska wkurzenia się, powiedzenia ostro wszystkich swoich frustracji i żalów czających się na końcu jej języka, ale ciągle powstrzymała je przyklejając uśmiech, aby zachować twarz. Więc nie wiedzą... więc nie zobaczyli.

Więc nie zdają sobie sprawy, że czuła inaczej.

Przez całą długą noc, w kółko słyszała nazwisko, wypluwane zjadliwie i wypełnione wstrętem. *Barsanti*.

Wzdychając, odepchnęła się od drzwi i się rozejrzała. Jej sukienka była zbyt ciasna, a powietrze zbyt duszne. Czuła się, jakby się dusiła, gdy dźwięki z dołu docierały nawet tutaj. Sfrustrowana, podeszła do przesuwanych szklanych drzwi i otworzyła je, przesuwając zasłony na bok. Zaatakował ją podmuch chłodnego, wilgotnego powietrza. Zaciągnęła się głęboko, wdychając je, witając je gdy wyszła na niewielki taras. Jej stopy zdawały się sunąć po drewnie przez mżący deszcz. Pomimo tego, że lato było przed nimi, noce wciąż były chłodne. Dzisiejszej nocy nie można było zobaczyć żadnej gwiazdy, księżyc był okryty grubą warstwą szarych chmur, rzucając mglisty ponury nastrój na wszystko dookoła.

Oparła się o drewnianą poręcz, gdy wiatr hulał wokół niej, szeleszcząc kwitnącymi drzewami i zdmuchując jej długie włosy na twarz. To była tak burzliwa noc, że jej myśli rozproszyły ją do tego stopnia, że niemal przegapiła ruch na podwórku poniżej. Postać wmieszała się w cienie wokół drzew tuż poniżej balkonu, aż niebo przecięła błyskawica, oświetlając teren. Pomimo że nie wydała żadnego dźwięku, Genna trzęsła się, jakby trzask grzmotu uderzył tuż obok niej. Zaskoczona, chwyciła się za pierś, gdy wpatrywała się w postać.

- Matty? - Sapnęła.

Stał tam na podwórku, jego dopasowany czarny garnitur z jakiegoś powodu wyglądał na zbyt duży, jakby tonął w materiale. Górne guziki koszuli były rozpięte, gdy wisiała w połowie schowana w spodnie, a krawat był zawiązany luźno wokół szyi, gdy szarpnął za niego.

Dusząc się. On też się dusił.

- Co ty tutaj robisz? - Zapytała, a jej serce waliło nierówno w piersi. Był tam - na jej podwórku. To było ostatnie miejsce, w jakim *kiedykolwiek* powinien być.

Jego słowa zostały wymówione niewyraźnie, gdy powiedział.

- Musiałem cię zobaczyć.

- Nie mogłeś po prostu zadzwonić?

- *Zobaczyć cię* - podkreślił. - Musiałem cię zobaczyć, Genna.

- Skype? - Zasugerowała, przechylając się przez barierkę, gdy się w niego wpatrywała. Deszcz zaczął padać na nich mocniej, gdy na niebie rozbłysło więcej błyskawic.. - FaceTime? Cokolwiek?

- To nie to samo.

Nie było, wiedziała, ale nie powinien tu przychodzić. Jej oczy nerwowo rozejrzały się dookoła, gdy jej żołądek zacisnął się.

- Jezu, Matty, nie możesz tu być. Ktoś mógłby cię zobaczyć. To nie jest bezpieczne. Wiesz o tym.

- To nie ma znaczenia. - Zrobił krok w przód, chwiejąc się, gdy szarpnął za swój krawat trochę mocniej.

- To ma znaczenie! Wiesz co by zrobili, gdyby zobaczyli cię tutaj?

- Zabili mnie. - Jego odpowiedź była niewzruszona. - Nie dbam o to.

- Powinieneś.

- Dlaczego? - Patrzył na nią, krople deszczu moczyły jego twarz i skapywały z jego bardzo zmęczonej skóry. - Dla kogo mam żyć?

- Dla mnie - powiedziała natychmiast. - Żyj dla *mnie*.

Na jego twarzy błysnęła agonía, kiedy oderwał od niej swoje oczy, wędrując spojrzeniem w kierunku tylnych drzwi domu. Za ledwie kilka metrów od niego zebrali się najwięksi i najpotężniejsi członkowie rodziny mafijnej Galante. Każdy znajdujący się tam mężczyzna wiedział kim był i nie chciał nic innego, jak tylko go zobaczyć i zniszczyć każdego, kogo kochał. Tylko drzewo, cegła, i szkło dzieliło go od upadku, a mimo to po prostu tam stał, jak posąg, jakby nie obawiał się, że zobaczy swój koniec.

To jednak przeraziło ją. Boże, jak bardzo to ją przeraziło.

- Nie możesz tutaj być - powiedziała panicznym szeptem. - Musisz odejść, Matty.

- Nie mogę. - Jego głos załamał się, gdy spotkał ponownie jej wzrok. - Nie mam dokąd pójść.

Męka w jego głosie uderzyła głęboko w jej wnętrze, ściskając za serce i sprawiając, że bolała ją pierś. Głupi, głupi chłopiec. Jej oczy jeszcze raz omiotły okolicę. Była w szoku, że nie został jeszcze odkryty. To była jednak tylko kwestia czasu. Musiała coś zrobić - szybko.

- Szopa - powiedziała, wskazując w stronę niewielkiego budynku, stojącego wzdłuż tylnej części posiadłości.

Jego oczy szybko spojrzały w tym kierunku, i zmarszczył brwi.

- Chcesz bym się ukrył w twojej szopie?

- Nie, ty głupku - syknęła. - W szopie jest drabina.

Wydawało się, że zaświtało mu w głowie, do czego zmierzała. Ruszył w tym kierunku, gdy krzyknęła do niego.

- Zrób to szybko! I na litość boską, bądź *cicho!*

Jej słowa trafiały w próżnię... albo może po prostu był pijany. Jego kroki były wolne i niezgrabne, a serce Genny waliło brutalnie, gdy zrobił rozgardiasz, wyciągając drabinę. Brzęczała i stukotała, gdy cisnął ją w jej stronę, i Genna skrzywiła się, gdy uderzyła o ścianę domu.

Wspiął się na nią, jego lśniące czarne buty ślizgały się na mokrych, metalowych szczeblach. Jak tylko był na tyle blisko by Genna sięgnęła, chwyciła go za rękę i pomogła przejść nad poręczą. Wpatrywała się w drabinę, a jej myśli pędziły.

*Uch.* Naprawdę nie pomyślała nad tym dobrze.



Zastanowiła się nad wtaszczeniem jej na górę, ale zamiast tego po prostu ją popchnęła i rzuciła na podwórko. *Może nikt nie zauważy.*

Matty spojrzał w dół, gdy wylądowała na trawie.

- Zgaduję, że zostaję.

Wzdychając dramatycznie, Genna pociągnęła go z deszczu do swojej sypialni. Zostawiła przesuwane szklane drzwi otwarte, a chłodny wiatr podązał za nimi, gdy Matty wciągnął ją w ramiona. Odór przylgnął do niego, odzwierciedlenie butelki alkoholu, lekko przysłonięty przez mocną miętę, rozpuszczającą się na jego języku.

- Jesteś pijany - powiedziała. Jej wcześniejsze obawy wcale nie złagodniały. Jeśli już, to potwierdziły jej podejrzenia. Był wrakiem. - Proszę, powiedz mi, że nie prowadziłeś w tym stanie.

- Nie - powiedział. - Nie jestem głupi, Genna.

- Nie jesteś głupi? - Zakpiła. - Nie mogłeś być *głupszy!* Pokazałeś się w moim domu, gdy oni wszyscy...

- Świętują. - Jego głos zadrżał, gdy gorzko wypluł słowo. - Ja jestem w żałobie, a ci ludzie - *świętują.*

- Oni... nie robią tego. - W chwili gdy to powiedziała, wiedziała że to było kłamstwo. Na pewno nie byli zrozpaczeni obrotem wydarzeń. Nigdy nie zdradziliby jej żadnych ze swoich planów, nigdy nie wciągnęliby jej w biznes, ale słyszała szept i insynuacje przez całą noc. Teraz, gdy Barsanti byli rozproszeni, to był doskonały moment, by

wykonać na nich ruch. Zamierzali wyeliminować wroga, zanim wróg się dowie, że wojna została wypowiedziana. Jeśli ojciec Genny miał swoje sposoby, to był dopiero początek spustoszenia dla Matty'ego. Zamierzali zdjąć jego całą rodzinę, wystrzelać ich jeden po drugim.

Przesunęła ręką po jego szczęce, czując kilkudniowy zarost, drapiący jej dłoń. Jego oczy wyglądały na tak puste, zaczerwienione i błyszcząły niewylanymi łzami. Widzenie go w takiej męce wzbudziło w niej identyczne uczucia. Czowała się zdradzona... ale nie przez niego. Nie przez nich. Nie przez Barsantich. Jej własny ojciec, jej własna rodzina, spowodowała to cierpienie i nie była pewna czy był jakiś sposób by wyleczyć ten ból. Poczucie lojalności, które było w niej osadzone odkąd się urodziła, zamknęło jej usta i uciszyło język, zanim wyjawiała rzeczy które wiedziała.

- Tak mi przykro - szepnęła, lekko dotykając palcami jego spierzchnięte wargi, zastanawiając się, jakiego rodzaju tajemnice on również przełknął. - Tak bardzo mi przykro. Żałuję, że nie mogłam być tam dla ciebie. Chciałam być tam dla ciebie. *Próbowałam.*

Złapał ją za rękę, trzymając ją gdy całował opuszki jej palców.

- Jesteś tu teraz.

- Jestem - powiedziała. - Czegokolwiek potrzebujesz.

- Potrzebuję ciebie. - Odsunął jej rękę od swoich ust. Nie było żadnego wahania, gdy jego usta spotkały jej w płomiennym pocałunku. Jęknęła, owijając ramiona wokół jego szyi, gdy rękoma powędrował na

jej biodra. Podciągnął jej sukienkę, wsuwając ręce pod materiał, gdy nakrył jej tyłek ściskając pośladki, i przyciągając ją do siebie. Jęknęła w jego usta, a w jej brzuchu wznieciło się gorąco, gdy poczuła erekcję, napinającą materiał spodni.

Prowadził ją do jej nieposłanego łóżka szamocąc się z ich ubraniami. Przerywał pocałunek na wystarczająco długo by ściągnąć jej ubranie i je odrzucić. Patrzyła na niego w ciemności, zagryzając dolną wargę, obserwując jak się rozbierał.

- Teraz? - Zapytała, kiedy rozpiął spodnie i pozwolił im opaść na podłogę zostając jedynie w czarnych bokserkach. - Mój tata jest tutaj... i mój brat...

- Więc?

- Mogliby usłyszeć.

- Nie, jeśli będziesz cicho... jeśli to możliwe dla ciebie.

Dramatycznie przewróciła oczami, niezdolna by powstrzymać rumieniec przed wypłynięciem na jej policzkach. Cicho? Z nim? Mało prawdopodobne. Matty pociągnął ją na łóżko. Leżała na plecach, jej serce biło gorączkowo w piersi, gdy unosił się nad nią, całując ją głęboko. Jej wargi drżały od jego siły, a smak mięty pokrył jej język, gdy, również stała się odurzona ale z pożądania. Rozbudził każdą jej część, zapalając każde zakończenie nerwowe, gdy jej ciało instynktownie go powitało.

Całował i pieścił jej odsłoniętą skórę, gdy zamknęła oczy, odprężając się w miękkiej satynowej pościeli. Jego ręce badały, zanim

prymitywnie chwycił jej bok, zaskakując ją przewracając ją na brzuch. Jej oczy się otworzyły, a pytania znajdowały się na czubku jej języka. Ale zostały powstrzymane w chwili, gdy poczuła jak usadowił się pomiędzy jej nogami. Pogładził jej uda, rozdzielając jej nogi i podnosząc jej dolną połowę z łóżka tylko na tyle, aby wsunąć się od tyłu w jej wnętrze. Krzyknęła, zaciskając w pięści prześcieradła, gdy ją wypełnił. Składał pocałunki wzdłuż jej kręgosłupa, zanim położył się na niej. Jego ciepła pierś przyciskała się do jej pleców, okrywając ją, otaczając jego uściskiem. Jedno ramię owinał wokół jej piersi trzymając ją mocno. Jedną ręką spoczywała na jej gardle, podczas gdy drugą potarła jej biodro, zanim zsunął się niżej. Koniuszkami palców pogładził jej łechtaczkę, wywołując głośny jęk z jej ust.

- Ciiii - szepnął, gdy pocałował jej ucho, całkowicie przykrywając jej ciało swoim własnym. - Cicho, pamiętasz?

- Próbuję - jęknęła, gdy wysunął się i powoli pchnął z powrotem. - To jest trudne.

- Jest, prawda? - szepnął. - To wszystko jest dla ciebie. Tylko ciebie.

Jej oczy przetoczyły się do tyłu, gdy przyśpieszył tempo. Każde pchnięcie tylko trochę mocniejsze i głębsze. Trzymał ją tak mocno, że ledwie mogła oddychać, ale rozkoszowała się uczuciem, delektując się paleniem w piersi i pokrywającym ją ciepłem. To było duszące, i obezwładniające. Odpuściła, przekazując mu kontrolę, kiedy napięcie i zmartwienie wyparowały z jej ciała. Pokrył ją pot. Niewielkie skrawki

gęsiej skórki sunęły po jej skórze z chłodnej bryzy dryfującej z otwartych drzwi.

Nie powiedział nic innego - żadne z nich tego nie zrobiło. Nie było nic więcej do powiedzenia. Genna zagrzebała się w pościeli, dławiąc okrzyki rozkoszy, gdy oddawał jej siebie. Mogła poczuć to w każdym pchnięciu, w każdym mocnym uderzeniu jego bioder, w każdym stłumionym stęknięciu które uciekło z jego gardła, gdy trącił nosem jej szyję. To nie była żądza. To było coś innego, coś wielkiego. To nie była chęć; to była *potrzeba*, większa niż czuła kiedykolwiek wcześniej. To była rozpacz. Tonący mężczyzna zrozpaczony powietrza, umierający z głodu mężczyzna szukający resztek by pomogły mu przetrwać. Uchwycił się jej, jakby trzymał się drogiego życia i bał się oddalić.

Nie, to nie żądza. To była miłość.

I wiedziała, gdy jego oddech stał się urywany, ciało drżało a jego chwyt wzmocnił się nawet bardziej, że to nie przyjemność doprowadziła go blisko krawędzi. To była ta agonia, którą tak rozpaczliwie próbował powstrzymać przed przeprowadzaniem czystki pod jego skórą. Krzyknął, gdy doszedł, jego łzy staczały się po policzkach i uderzały w jej wilgotną skórę, mieszając się z ich potem. Genna mogła to poczuć, gdy trysnął wewnątrz niej. Czuła jak pozostałości spływały po jej udach, gdy uspokoił swoje ruchy. Trząśił się gwałtownie, a jego ramiona drżały tak mocno, że miała wrażenie jakby łóżkiem wstrząsnęło trzęsienie ziemi. I prawie poczuła to w tym momencie, jej och-tak-stabilny grunt zatrzęsł się i zwałił ją z nóg, zabierając ich oboje.

- Kocham cię - szepnęła, pragnąc by było coś więcej, co mogła zrobić dla niego, coś by złagodzić jego cierpienie.

Zastanawiałam się, jak długo cierpiał?

Jak duża tego część była winą jej rodziny?

Ledwie powstrzymał szloch na brzmienie jej słów, wciągając głęboko powietrze. Gdy wysunął się z niej, poluźnił swój uścisk. Genna przewróciła się na plecy pod jego ciałem i spojrzała na niego w ciemności. W chwili, gdy ich oczy się spotkały, odwrócił wzrok pochylając głowę by uniknąć jej spojrzenia. Ukrywał się przed nią.

Wyciągając rękę, chwyciła jego twarz i obróciła ją ku sobie. Opuszkami palców musnęła jego policzki, zanim pochylił się aby lekko ją pocałować. Na jego ustach pozostał słony smak łez.

Coś wewnątrz niej się poruszyło gdy wpatrywała się w jego przekrwione, załzawione oczy. W dole jej żołądka zagnieździł się złowieszczy ciężar. To samo czuła od tego dnia, gdy na ulicy po raz pierwszy usłyszała jego imię.

Był Barsanti...

...ale może Barsanti nie byli wrogami.

Przez chwilę wyraz jego twarzy był poważny, zanim zmiękł a na jego ustach pojawił się mały uśmiech.

- Naprawdę mnie kochasz?

- Kocham.

- Ja też cię kocham.

Na te słowa jej serce zakołatało pomijając bicie, zanim się lekko rozeźmiała.

- Jesteśmy tak cholernie banalni.

- Ta myślisz?

- Tak - powiedziała. - Pierwszy raz, gdy to mówimy jest podczas seksu.

- Technicznie jest *po* seksie.

- Bez różnicy. - Przewróciła oczami. - Następnie, będziesz biegł przez lotnisko, próbując mnie powstrzymać przed opuszczeniem ciebie, a potem będziemy całować się w deszczu.

- Ale nie wcześniej, zanim zaśpiewamy piosenkę, prawda?

Zmarszczyła brwi.

- Co?

Wzruszył ramionami.

- Robią to gównem w filmach przez cały czas. Zrobili to w '*Mój chłopak się żeni*'.

Wpatrywała się w niego.

- Niepokojące.

- Co?

- Twoja wiedza o filmach z Julią Roberts.

Chichocząc, Matty odsunął się od niej i stanął obok łóżka, lekko się kołysząc wciąż pijany. Światło księżycy napływające przez otwarte szklane drzwi, roztaczało łagodną lunę na jego nagim ciele. Genna leżała podziwiając go w świetle, gdy odwrócił się do niej, unosząc brwi. Zaczął mówić, gdy uciszyło go głośne walenie w drzwi. Genna spanikowała i szybko spojrzała w ich kierunku. Gdy gałka się poruszyła, a przez cienkie drewno przebił się głos Dantego.

- Genna, otwórz! - Krzyknął.

Serce waliło jej jak bęben, gdy skoczyła na równe nogi. Chwytnąjąc sukienkę z podłogi, szybko ją wciągnęła, gdy krzyknęła.

- Zaczekaj, jedna sekunda!

- Pośpiesz się - powiedział, waląc do drzwi.

Genna zaczęła zbierać ubrania Matty'ego, wpychając je w jego ramiona, zanim pchnęła go w kierunku jej garderoby.

- Ukryj się.

Zaczął protestować, ale uciszyła go szybkim pocałunkiem, zanim rzuciła mu jego buty. Zamknęła za nim drzwi, ukrywając go w środku, i zatrzymała się by wziąć głęboki oddech, dokładnie w chwili gdy Dante



zaczął pukać ponownie. Szybkimi krokami popędziła w kierunku drzwi sypialni, gdy wygładziła włosy i poprawiła sukienkę. Odblokowując je, otworzyła drzwi zatrzymując się progu, by powstrzymać brata przed wejściem do środka.

- Co? - Warknęła, trzymając mocno za klamkę, próbując wymusić spojrzenie irytacji na swojej twarzy, chcąc powstrzymać go przed zobaczeniem jej paniki.

Dante zepchnął ją z drogi, aby wejść do pokoju.

- Nie *cotuj* mi - powiedział, przechodząc obok. - Zniknęłaś z imprezy.

- No cóż, oto jestem - powiedziała, lekceważąc to, gdy otworzyła drzwi jeszcze szerzej, mając nadzieję, że weźmie to, jako zaproszenie do wyjścia tak szybko, jak się pokazał. - Potrzebujesz czegoś?

- Nie - powiedział. - Po prostu tata się zastanawiał, gdzie uciekłaś. Powiedziałem mu, że pójde cię sprawdzić.

Powoli, Genna podeszła do łóżka i usiadła na nim, przyglądając się bratu gdy ten przeszedł przez jej pokój, omiatając go wzrokiem. Jego spojrzenie przeniosło się do otwartych przesuwanych drzwi i ruszył w tym kierunku. Pchnięciem otworzył je bardziej i wyszedł na balkon. Genna napięła się wstrzymując oddech, gdy zbliżył się do barierki. *Proszę nie patrz w dół.*

- Uch, Genna? - Powiedział Dante, patrząc prosto w dół. *Kurwa.* - Dlaczego pod twoim oknem jest drabina?

- Nie wiem - powiedziała. - Może ogrodnik ją pominął, czy coś. Wiesz, że nie pracuję w ogrodzie.

Dante pokręcił głową, gdy wszedł z powrotem do środka, strzepując krople deszczu z włosów, narzekając na niekompetentnych robotników. Trącił ją, gdy przeszedł obok.

- Powiem tacie, że zasnąłaś, więc zostawi cię w spokoju.

- Dzięki - mruknęła, gdy ruszył do drzwi, żeby wyjść. Patrzyła na jego plecy, oddychając krótkotrwałym westchnieniem ulgi. Jak tylko dotarł do drzwi, głośny dźwięk uderzenia odbił się echem przez pokój. Genna zrobiła ostry wdech, gdy kroki Dantego się zatrzymały. Odwrócił się, a jego oczy zwęziły się na nią, zanim obrócił się prosto do jej garderoby, skąd dochodził hałas. Wydawało się, że nie była jedyną osobą, która usiłowała być cicho. - Jesteś sama?

- Oczywiście.

Sceptyczne spojrzenie Dantego przesłakiwało między nią, a drzwiami garderoby.

- Czy to Jackson? Jezu, Genna, powiedz mi, że to nie Jackson, że nie przemyślałaś tego idioty tutaj, z tatą w domu.

- Nie - powiedziała szybko, gdy wszedł z powrotem do pokoju. - To nikt.

Dante poszedł prosto w kierunku garderoby, gdy Genna zerwała się na równe nogi. Rzuciła się w stronę brata by go zatrzymać, ale

zignorował ją, chwytając za gałkę. Czowała mdłości, gdy próbowała odciągnąć brata, ale był niezłomny.

*Proszę, bądź ukryty, pomyślała. Na górze na półce, w pieprzonym kufrze, w wysokim stosie ubrań... czymś. Czymkolwiek. Nie pozwól mojemu bratu cię zobaczyć.*

Intonowała to w swojej głowie te kilka sekund, gdy Dante wahał się, mając nadzieję, że Matty był wystarczająco bystry, by być poza zasięgiem wzroku. Ale jej nadzieja znikła gdy Dante energicznie otworzył drzwi. Tuż przed nim, bosy i tylko w połowie ubrany z rozczochranymi włosami, stał Matty. Jego wyraz twarzy był poważny, a ramiona wyprostowane, jakby przygotowując się do walki. Dante zamarł zaledwie kilka stóp przed nim i szybko zamrugał, chwilowo ogłuszony w ciszy, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom. Napięte sekundy mijały, każda zaakcentowana przez przerażony rytm bicia serca Genny, gdy dwóch mężczyzn, którzy najwięcej dla niej znaczyli – jej brat, i ten, któremu tak chętnie oddała serce – wpatrywało się w siebie z gorzką nienawiścią, jakby świat został zatrzymany.

Nagle, impas dobiegł końca. Prędko, w mgnieniu oka, Dante sięgnął do swojego paska i błyskawicznie wyciągnął pistolet, który zawsze ze sobą nosił. Genna wypuściła zaskoczony okrzyk, a łzy szczypały jej oczy, gdy Matty powoli podniósł ręce w natychmiastowym poddaniu. Otrzeźwiały z surowym wyrazem twarzy na której błysnął strach, Matty przeniósł na nią swoje spanikowane spojrzenie.

– Dante, proszę – błagała Genna, łapiąc brata za ramię. Ale on wydawał ledwie rejestrować jej obecność. – Pozwól mi wyjaśnić.

- Tato! - Krzyknął Dante tak głośno, że jego głos się załamał. Genna skuliła się na dzwonienie jej w uszach. Jej panika się nasiliła. - Chodź tutaj, tato! Szybko!

*Nie, nie, nie.*

- Proszę - błagała, przesuwając się obok Dantego, aby wcisnąć się pomiędzy mężczyzn. Trzymała defensywnie wyciągnięte ręce, gdy stanęła przed Mattym. Z szeroko otwartymi oczami błagała. - Proszę, Dante. Nie rób tego!

- Odsuń się, Genna - wycedził przez zęby, celując tuż nad jej lewym ramieniem... prosto w serce Matty'ego. - Nie chcę, żebyś została zraniona.

- Już jestem zraniona!

To zwróciło uwagę Dantego na nią.

- Zranił cię?

- Nie, *ty* mnie ranisz - powiedziała jak oszalała, przesuwając się do boku, stając twarzą wprost do wylotu lufy broni jej brata. Jeśli planował zastrzelić Matty'ego, najpierw musiałby przedostać się przez nią. - Proszę zatrzymaj to, Dante. Nie rób tego!

Wyraz twarzy Dantego zmienił się, a jego twarz wykrzywiła wściekłość. Wolną ręką chwycił ramię Genny z taką siłą, że się skrzywiła. Dante szarpnął ją, przesuwając ją za siebie, zanim podszedł do Matty'ego, oburącz chwytając swój pistolet. Matty instynktownie

zrobił kilka kroków w tył, gdy Dante osaczył go w garderobie, łapiąc go w pułapkę.

- Nie wiem, jaki jest tutaj twój plan Barsanti, ale to nie będzie działać. Myślisz, że możesz zatruć moją siostrę przeciwko nam, że możesz jej użyć, żeby dostać się do nas?

- Dante! - Krzyknęła Genna, próbując powstrzymać go jeszcze raz, ale ledwie się zachwiał. Brzmiał dokładnie tak jak Enzo. - Proszę, przestań, dla mnie!

- Nie wiesz, o co prosisz, Genna - wycedził przez zęby Dante, zanim znowu podniósł głos. - On jest jednym z *nich*.

- Nie rozumiesz - zawołała Genna, łzy paliły jej oczy i spływając po jej policzkach. - Kocham go, Dante! Ja go *kocham!*

Te słowa zaskoczyły Dantego po raz drugi tej nocy. Zachwiał się, obracając nieznacznie głowę, aby spojrzeć na nią.

- Kochasz go?

- Kocham - zawołała. - Nie rób tego, proszę. Proszę. Jesteś mi winny.

- Jestem ci *winny*?

- Powiedziałeś, że jest mi winny, że cokolwiek potrzebuję, wszystko, co miałam zrobić, to poprosić - powiedziała. - Więc proszę... błagam... *proszę* nie rób tego.

Dante zawahał się, gdy odgłos kroków zbliżył się, wspinając się po schodach.

- Dante? - Zawołał ich ojciec. - Gdzie jesteś?

- Proszę - szepnęła Genna drżącym głosem. - Dla mnie.

Dante zrobił krok do tyłu, przyglądając się Matty'emu przez chwilę, zanim odwrócił wzrok i opuścił broń.

- W pokoju Genny, tato.

Zanim Genna zdążyła zaprotestować, Dante wyszedł z garderoby i zamknął drzwi z Mattym wciąż wewnątrz. Genna wytarła twarz, trzęsąc się, gdy kroki ich ojca pośpieszyły wzdłuż korytarza. Doszedł do drzwi, zatrzymując się, gdy ocenił swoje dzieci.

- Co tu się dzieje?

- To nic - powiedział Dante. - Myślałem, że widziałem szczura.

Primo zmarszczył brwi.

- Szczura?

- Tak, szczura.

Primo wpatrywał się w niego przez chwilę, zanim jego oczy zwróciły się na pistolet w jego ręce.

- I zamierzałeś, co? Zastrzelić go?

Dante wymusił śmiech, gdy wsunął z powrotem pistolet.

- Siła przyzwyczajenia. Jednak tak jak powiedziałem, to był błąd. Prawda, Genna?

- Tak - szepnęła. - Duży błąd.

- Ach. - Primo popatrzył pomiędzy nimi, a jego spojrzenie osiadło na Gennie. - Wszystko w porządku, kochanie? Jesteś zarumieniona.

- Nie czuję się dobrze - powiedziała. Przynajmniej to nie było kłamstwo. Żółć paliła jej pierś. Chciała wymiotować.

- No cóż, prześpij się - powiedział Primo. - Powiem ludziom, że powiedziałaś dobranoc. I zadzwonię jutro do deratyzatora, wiecie, żeby się upewnić, że nie ma żadnych szcurów. Nienawidzę ich, kurwa.

- Dzięki - powiedziała, z ulgą zamykając oczy, gdy jej ojciec odszedł. Nikt nic nie mówił, ich uwaga skupiła się na odgłosie kroków, gdy schodziły ze schodów. Jak tylko zniknął, Dante ponownie otworzył drzwi garderoby i stanął między Genną a Mattym. Jego poważne spojrzenie przeskakiwało między nimi, karcąc, osądzając.

- Wyciągnij go stąd w cholere - fuknął Dante. - I nigdy mnie nie proś, żebym zrobił to ponownie, Genna. Zrobiłbym dla ciebie wszystko, wiesz o tym, ale nie możesz mnie prosić, żebym robił *to*. Nie możesz mnie prosić, żebym to zaakceptował.

- Przykro mi - szepnęła, gdy jej brat zaczął odchodzić.

- Będzie - powiedział, rzeczowo. - Jeśli nie będziesz się trzymać z dala od niego, Genna, *będzie* ci przykro.

- Nie groź jej. - Głos Matty'ego sprawił, że Genna się wzdrygnęła. Wyszedł z garderoby, ochronnie obejmując ramieniem jej talię i przyciągając ją do siebie.

- Nie grozę jej - powiedział gniewnie Dante, jego oczy zwęziły się na Matty'ego. - Jedynym zagrożeniem dla niej tutaj jesteś ty, Barsanti.

- Nigdy bym jej nie skrzywdził - powiedział Matty.

- Może nie - powiedział Dante. - Ale to nie znaczy, że nie stanie jej się krzywda. I nie waż się temu zaprzeczać. Nie waż się zaprzeczać temu, że będąc z tobą nie stanie jej się krzywda.

- Ochronię ją.

- Może w to wierzysz - powiedział Dante, - ale nauczyłem się dawno temu, aby nie ufać bezpieczeństwu swojej rodziny w pobliżu Barsantich, i nie zamierzam ignorować tego teraz, bez względu na to, jak mocno moja siostra mnie błaga.

Dante wyszedł, nawet nie patrząc ponownie na Genę. Stała tam przez chwilę, starając się uspokoić swoje serce, gdy wydawała się ponownie topnieć w objęciach Matty'ego.

- To nas zabije, prawda? - Szepnęła.

Matty wypuścił zirytowane westchnienie, gdy objął ją mocniej. Miała nadzieję, że jej zaprzeczy, powie coś aby ją uspokoić. Ale zamiast tego wymamrotał odpowiedź, która sprawiła, że jej żołądek opadł.

- Prawdopodobnie.



## ROZDZIAŁ 13

Zanim nawet Savina Barsanti została opuszczona w to ponure letnie popołudnie do ziemi, plany zostały wprowadzone w ruch, wzniesając płomienną nienawiść, która tliła się przez wiele lat. Po zmroku, gdy Matty szukał wsparcia w uścisku Genny, znajdując pociechę w jej ciepłym ciele, walka pomiędzy ich rodzinami gwałtownie rozbudziła się na nowo, gdy obie strony przekroczyły granice pod osłoną ciemności, skradając się i spiskując, kradnąc i śledząc.

*Mordując.*

Następnego ranka, gdy po tej pierwszej nocy zniszczenia zaczął opadać dym pozostawiając zazwyczaj ciche części Manhattanu nagle skażone przemocą, została już rozlana pierwsza krew.

Dwaj żołnierze Galante leżeli martwi na brudnym asfalcie w Soho, zaledwie kilka przecznic od *The Place*, zastrzeleni, gdy przechodzili na drugą stronę ulicy. Nikt nie wiedział gdzie szli, czy co robili w tej części miasta. Zostali zabici bez ostrzeżenia, bez zbędnych pytań, za samo wyruszenie na terytorium wroga.

Została wypowiedziana wojna.

Ciężarówki porywano, a sklepy były obiektem włamań. Jednych ludzi napadano, a innych okradano. Działo się to noc po nocy, i żadne już miejsce nie było bezpieczne od morderstw i chaosu.

Kilka tygodni później, Matty siedział przy swoim zwykłym miejscu w *The Place* z szeroko otwartymi oczami utkwionymi w notesie, wyliczając na marginesie papieru statystykę i wmawiając sobie że wciąż miał jeszcze czas, zanim rozpocznie się przyjmowanie zakładów. Blackberry na stole przed nim dzwonił i dzwonił, ale ignorował to, tak jak ignorował mężczyzn zebranych wokół stołów i wzdłuż baru, czekających na swoją szansę, by obstawić na weekend.

Była dziesiąta trzydzieści... był już trzydzieści minut do tyłu.

- Zamierzasz odebrać? - Zapytał z irytacją Enzo z miejsca naprzeciwko niego, wskazując w kierunku wciąż dzwoniącego telefonu.

- Nie.

Enzo wpatrywał się w niego przenikliwym spojrzeniem.

- Czy prawie skończyłeś?

- Nie.

- Czy zamierzasz dziś wieczorem zabrać się w ogóle za przyjmowanie zakładów?

Słowo "nie" był na czubku języka Matty'ego, ale powstrzymał je. Ostatecznie... zacznie. Po prostu nie teraz.

- Ostatnio zwolniłeś tempo - powiedział Enzo, podnosząc piwo i biorąc łyk. - Tata nie jest zadowolony z tego powodu.

- Tak, no cóż, zamiast niechcianego awansu, mam nadzieję, że wyśle mi wypowiedzenie.

Enzo roześmiał się sucho.

- Wypowiedzenie taty przychodzi w postaci kulki w łeb.

- Wiem - mruknął Matty, rzucając pióro i rozglądając się po barze, przebiegając wzrokiem po żarliwie oczekujących oczach, żeby znaleźć kelnerkę. Dostrzegł ją i skinął na nią, by przyniosła mu drinka, zanim odwrócił się do brata. - W tym tygodniu różnica znowu wynosi dwadzieścia centów.

Enzo wyłopał ostatni łyk piwa.

- Możesz mnie wykluczyć.

- Dlaczego? - Zapytał Matty. - Boisz się, że stracisz?

- Do diabła, tak - powiedział Enzo. - A jeśli jest coś, czego się nauczyłem, to to, że o wiele bardziej nie cierpię przegrywać, niż cieszyć się wygraną.

Wzruszając ramionami, Matty sięgnął po Blackberry, podniósł dzwoniący telefon, gdy Enzo wstał i odszedł. Matty odebrał z zirytowanym westchnieniem.

- Tak?

Nie było żadnej rozmowy towarzyskiej. Mężczyźni bez zastanowienia mówili ich zakłady, a Matty zapisywał je, znając imiona w

chwili, kiedy usłyszał ich głosy. W przerwach pomiędzy rozmowami, podchodzili do niego inni z baru, robiąc zakłady osobiście, przekazując pieniądze dla Enza, by je przetrzymał. To było metodyczne i monotonne. Umysł Matty'ego wędrował, gdy prowadził rejestry zakładów i bieżących sald w przypadku, gdyby musiał poprawić swoje dane.

Kilka minut przed północą, zamknął je, wyrrywając kartkę zakładów i przesuwając ją w poprzek stołu do Enza. Kelnerka przechodząca obok, przyniosła mu kolejnego drinka bez konieczności zamawiania, gdy jego brat przeglądał listę.

- Zaczynasz późno, kończysz wcześniej. - Enzo złożył kartkę i włożył ją do kieszeni na przechowanie. - Nie siedzisz już w tym sercem, prawda?

*Nigdy nie siedziałem, pomyślał Matty, sącząc drinka.*

- Mam zbyt wiele innych rzeczy na głowie.

Enzo porozumiewawczo kiwnął głową, a jego ostrożne spojrzenie przesunęło się wokół baru.

- Nikt jeszcze nie wie, jeśli to jest to, o co martwisz się.

*Jeszcze.* Kluczowe słowo, takie, które sprawiało, że Matty'ego bolała głowa, tylko je słysząc. Nikt wokół nie wiedział jeszcze o nim i Gennie, ale to tylko kwestia czasu, zanim zwęszy to niewłaściwa osoba. Celowo przez kilka ostatnich tygodni trzymali się z dala od siebie wiedząc, że to było zbyt niebezpieczne, by znowu ryzykować złapanie ich razem. Ale to było męczące dla jego nerwów, niewygodnie zagnieżdżające się pod

jego skórą. Kilka krótkich, niejasnych wiadomości i kilka szeptanych, pośpiesznie wykonanych rozmów telefonicznych nie zaspokajało go, gdy potrzebował jej.

Ale nie mógł jej mieć, nie teraz, nie - gdy ich rodziny były na straży, śledząc każdy swój wzajemny ruch, w próbie ochrony samych siebie, i zaczynał się zastanawiać, czy *kiedykolwiek* naprawdę mógł ją mieć.

*Nie, tak długo, jak nasze rodziny są całkowicie zdeterminowane, żeby się wzajemnie powybijać.*

- Mogę powiedzieć, że się z nią nie widziałeś - powiedział Enzo.

- Jak?

- Jesteś bardziej sztywny niż zwykle - mruknął Enzo. - Zaczynam widzieć, dlaczego tak lubicie siebie nawzajem. Oboje jesteście ponurymi sukami.

- En - ostrzegł Matty, patrząc gniewnie na niego. - Nie zaczynaj.

- Mówię tylko, że byłeś przygnębiony jak cholera, i rozumiem to... to jest kurwa do bani bracie. Wierz mi. Mi też nie podoba się to gówno. Ale działasz mi na nerwy tą postawą „o biedny ja”.

- Zamień się ze mną miejscami i zobacz, jak sobie poradzisz.

Enzo zaśmiał się sucho.

- Po pierwsze, nie byłbym na twoim miejscu, ponieważ nie byłbym na tyle głupi, żeby zakochać się w Meduzie.

- En...

Uniósł ręce.

- Ma jaja, oddaję jej to, i nie kłamałem, gdy powiedziałem że jest twardzielką. Ale faktem pozostaje... że jest Galante. I może lubisz ten cały nieszczęśliwy szekspirowski bzdurny romans, może to do ciebie przemawia. Dla każdego swój własny. Ale nie skacz w to na główkę, a potem nie próbuj mi wciskać tego *biedny ja*. Z jakiegoś powodu nazywają to tragedią. To nie może się dobrze skończyć. Ja to wiem, ty to wiesz, każdy to kurwa wie, więc zacznij się tak zachowywać.

- Co do cholery powinienem zrobić? - Zapytał Matty, chwytając szklankę tak mocno, że jego knykcie bolały z napięcia.

- Coś - powiedział Enzo. - Cokolwiek.

- Łatwo ci powiedzieć.

- Tak, *łatwo*. - Enzo pokręcił głową, gdy wstał by wyjść. - Bo jest mi naprawdę kurewsko łatwo, pomagać złamać serce mojemu bratu przez zabranie mu tego, co kocha... *znowu*. Nie obchodzi mnie to, prawda?



Genna w ogromnym garnku pomieszała zupę z kukurydzy, ziemniaków i mleka, po czym naląła to, co zostało z paskudnej mieszanki o kolorze rzygowin do jednorazowych kubków, wysyłając je w dół linii. Była już prawie siódma, ale nie śpieszyła się do wyjścia, nie śpieszyła się, by wrócić do domu.

Z miejsca w którym stała, nie widziała nic co się działo na zewnątrz, ale wiedziała, co tam na nią czekało. Przed budynkiem stał Dante opierając się o samochód od strony pasażera, który zaparkował zaraz przy wyjściu, żeby zabrać ją prosto do domu na kolację.

I nie był sam. Inni zostali ustawieni wokół dzielnic, niczym ludzkie tarcze, chroniąc obszar przed każdym niepożądanym gościem. Jej ojciec kazał ją śledzić. Ludzie obserwowali ją jak jastrzęb za każdym razem, gdy wystawiła z domu nos. Posunął się tak daleko, że postarał się, aby uchylono jej karę. Jej praca społeczna się skończyła, więc nie musiała już ryzykować bycia z dala od domu, ale i tak należała by iść.

Może to był upór. Może to było po to, żeby wkurzyć jej ojca.

Albo może to było dlatego, że głupio miała nadzieję, że Matty znajdzie sposób by wpaść niezauważonym.

Zbliżała się godzina siódma, a jedzenie na dzisiejszy dzień już zniknęło. Genna rozwiązała swój fartuch i ściągnęła go, rzucając do kosza. Jednak zamiast skierować się do drzwi, chwyciła pusty garnek i zatańczyła go z powrotem do kuchni.

- Wychodzisz już? - Zapytał koordynator.

Genna pokręciła głową.

- Chciałabym jeszcze trochę się tu pokręcić.

- Nie musisz.

- Wiem.

Prawda była taka, że tak bardzo jak nie mogła się doczekać spędzenia czasu z bratem, tak bardzo jak pielęgnowała ich czas razem, teraz zaledwie kilka minut z nim w samochodzie było praktycznie nie do zniesienia. Napięcie między nimi było duszące, odkąd Dante odkrył jej sekret. Gdy patrzył na nią, mogła dostrzec w jego oczach osąd, wstręt, brak zrozumienia tego, jak mogła kochać kogoś *takiego* - kogoś jak Matteo Barsanti.

*Nie znasz go*, Genna myślała za każdym razem, gdy jej brat patrzył na nią w ten sposób, ale nigdy nie wypowiedziała tego na głos. Nie zrozumiałby. Nie mógłby. Jego niechęć była głęboko zakorzeniona, scementowana wewnątrz niego przez pogrubione blizny na jego piersi.

Pozmywała naczynia i wytarła stoły, pomagając w każdy możliwy sposób, do czasu gdy nie miała już wymówek, aby zostać w pobliżu. Zbliżała się dziesiąta, gdy w końcu ruszyła w kierunku drzwi i wyszła na zewnątrz. Jej oczy natychmiast zwróciły się na Dantego. Wciąż tam był, przemierzając chodnik przed jego samochodem. Rozmawiał z kimś przez telefon, jego głos był cichy, a mimo to twardy.



Obracając się, zauważył Genę i przerwał. Otworzył dla niej drzwi od pasażera aby wsiadła do samochodu i kontynuował rozmowę. Jak tylko była w środku, zatrzasnął drzwi i usiadł za kierownicą.

- Nie, nie martw się o to - powiedział do telefonu, a jego głos był znużony. - Jestem pewien... pojedę tam teraz i zajmę się tym.

Rozłączył się, wypuszczając rozdrażniony jęk, gdy rzucił telefon i uruchomił samochód.

- Problem? - Zapytała z wahaniem Genna.

- Można tak powiedzieć - mruknął, zawracając samochód w ruchu ulicznym. - Muszę pojechać do Małych Włoch.

- Możesz najpierw podrzucić mnie do domu.

- Nikogo nie ma w domu.

- Więc?

- Więc - powiedział, - nie zostawię cię tam samej.

- Żartujesz? Nie mogę nawet być sama w domu?

- Nie teraz. To nie jest bezpieczne.

- Jesteś paranoidalny.

- A ty jesteś zbyt, kurwa, ufna, Genna. - Spojrzał na nią, ze znajomym wstrętem wypisanym swojej twarzy. - O ile mi wiadomo, to może być tylko dywersja, ich sposób by dostać cię samą, odizolować cię,

dzięki czemu będą mogli dotrzeć do ciebie bez żadnego z nas będącego w pobliżu.

Genna przewróciła oczami i skrzyżowała ramiona na piersi. Niewielka jej część chciała żeby tak było. Przynajmniej wtedy by wiedziała, że możliwe było ponowne zobaczenie Matty'ego. Minęło już tak długo – *zbyt* długo.

Dante pędził ulicami, kierując się na południe do Małych Włoch. Pomimo tego, że było ciemno na zewnątrz i większość miejsc była zamknięta na noc, dzielnica była ożywiona. Ludzie spędzali czas na rogach, budynki były oświetlone, rozbrzmiewała muzyka, a samochody śmigały po ulicach. Dante przemknął obok małej kawiarni i skręcił na Mulberry Street, zatrzymując samochód na pierwszym miejscu parkingowym wzdłuż ulicy, do której podjechał.

- Poczekaj tu - powiedział Dante poważnym tonem. - Cokolwiek zrobisz Genna, nie wysiadaj z tego samochodu.

Nie udobruchała go odpowiedzią – w zamian za to wyprostowała się na miejscu i szyderczo mu zasalutowała. Dante wysiadł trzaskając drzwiami, używając kluczy by zamknąć za sobą drzwi. Genna odchyliła głowę i zamknęła oczy, wypuszczając głębokie westchnienie. Czuła się jak małe dziecko z tym, w jaki sposób traktowała ją jej rodzina. *Absurdalnie.*

Minęło kilka minut, kiedy na zewnątrz doszło do zamieszania i usłyszała głośnie niosące się głosy. Genna otworzyła oczy i wyjrzała przez przednią szybę, niejasno rozumiejąc krzyczącego na kogoś

swojego brata. Usiadła, nagle zaalarmowana, gdy Dante pchnął kogoś przed sklepem muzycznym. Mężczyzna potknął się do tyłu od niespodziewanego ataku, a Genna dostrzegła w basku latarni jego twarz.

Enzo.

- O cholera.

W chwili, gdy Genna szepnęła te słowa, wybuchł chaos. Dante zrobił krok do przodu, wciąż krzycząc, gotów by znów uderzyć, ale tym razem Enzo był gotowy. Zamachnął się, a jego pięść złączyła się ze szczęką Dantego i posłała go do potknięcia. Zanim mógł złapać oparcie, zanim mógł przeciwdziałać, Enzo rzucił się na niego, brutalnie powalając Dantego na chodnik i lądując na nim, atakując go pięściami.

Serce Genny przestało bić, chwilowo zamrażając ją w fotelu, ale w chwili, kiedy ruszyło z powrotem w bieg waląc mocno w piersi, już jej nie było. Nie namyślając się otworzyła drzwi pasażera i wyskoczyła z samochodu prosto na ulicę. Ryknął klakson gwałtownie skręcającego samochodu, który przymknął obok niej, ledwie unikając wybicia drzwi samochodu i uderzenia jej. Zatrzasnęła drzwi i wbiegła na chodnik, w bezpieczne miejsce, gdy usłyszała pisk opon. Inny samochód wpadł w poślizg nagle się zatrzymując, a Genna wpatrywała się na niego z szeroko otwartymi oczami. Jej wizja rozmyła się, po czym zamrugowała szybko na widok znajomego czerwonego Lotus.

Zatrzymał się na środku ulicy, a drzwi od strony kierowcy się otworzyły. Matty wyskoczył i pobiegł sprintem na chodnik, zmierzając prosto tam, gdzie ich bracia przewrócili się na ziemię, przepychając się.

*Nie. Nie. Boże, proszę, nie mieszaj się.*

Dookoła nich szybko zebrał się niewielki tłum gdy ludzie w pobliżu usłyszeli zamieszanie i przyszli, żeby sprawdzić co się dzieje. Dantemu udało się zyskać przewagę na wystarczająco długo, aby uderzyć Enza w twarz. Siła ciosu rzuciła go na kogoś z tłumu, kto cofnął się kilka kroków. Dokładnie w chwili gdy Matty przedostał się przez gapiów, docierając do nich, Dante wstał i rzucił się na Enza gorączkowo go atakując. Próbował wskoczyć między nich, przyjmując cios w policzek od Dantego, ale Enzo zablokował brata, aby odeprzeć atak. Rzucili się na siebie, niezłomni, pomimo Matty'ego, który próbował interweniować.

- Przestańcie! - Krzyknęła Genna, przeciskając się przez tłum. - Przestańcie!

Dźwięk jej głosu rozproszył jej brata, który instynktownie spojrział w jej stronę.

- Wracaj do samochodu, Genna!

Zanim nawet skończył mówić, Enzo zaatakował, korzystając z jej ingerencji. Uderzył Dantego tak mocno, że połała się krew, obrzydliwy chrzest nosa Dantego odbił się echem przez tłum. Potknął się, mocno uderzając o ziemię, gdy Enzo wylądował na nim ponownie.

Genna przeklęła, odpychając ludzi z drogi, ale zanim mogła do nich dotrzeć, ktoś złapał ją od tyłu. Krzyknęła, próbując odeprzeć ramiona, owijające się wokół niej, aż cichy głos szepnął jej do ucha.

- Uspokój się, księżniczko.

Matty.

- Powstrzymaj ich - płakała, łzy szczypały jej oczy. - Zrób coś!

- Robię coś - powiedział Matty, odciągając ją od tłumu. - Zabieram cię stąd.

Te słowa nie do końca do niej dotarły, dopóki nie wyciągnął jej na ulicę, nie poluzowując uścisku, gdy zbliżyli się do Lotusa. Wtedy próbowała odeprzeć go znowu. Co on robił?

- Nie, czekaj, przestań! Musimy *ich* powstrzymać!

- Nic nie może ich powstrzymać - powiedział, otwierając drzwi od strony pasażera w jego samochodzie i wpychając ją do środka. Walczyła, ale był silniejszy, zmuszając ją by usiadła na miejscu i zatrzasnął drzwi. Ponownie je otworzyła, aby wrócić na zewnątrz, gdy wsiadł obok niej, ale zanim mogła wystawić stopę, wrzucił bieg i szybko odjechał. Zaskoczona, Genna zatrzasnęła znowu drzwi i wpatrywała się w niego.

- Co robisz? Dlaczego odjeżdżamy?

- Muszę cię stąd zabrać.

- Co? Dlaczego?

- Naprawdę, Genna? Dlaczego? Poważnie pytasz mnie, *dla*czego?

- Ale musimy ich powstrzymać! - Dlaczego nie pojmował tego faktu? - Pozabijają się!

- Nie, nie zrobią tego - powiedział Matty, wzdychając z frustracji, gdy pędził na zachód przez Małe Włochy. - Jest zbyt wielu świadków, żeby tak się stało. Po prostu będą się bili, dopóki się nie zmęczą.

Z przerażeniem wpatrywała się w Matty'ego. Osiedliło się w niej uczucie niedowierzania. Obserwowała, jak potarł szczękę, puchnącą od uderzenia Dantego. Poczowała zawroty głowy, a nagły przyływ adrenaliny przyprowadził ją o mdłości.

- Będę wymiotować - powiedziała, zasłaniając usta, gdy żółć paliła jej gardło. Matty spojrział na nią, zanim skierował samochód na pobocze i zatrzymał się. Otworzyła drzwi, ledwie mając czas by się wychylić, zanim przegrała, opróżniając cały swój żołądek.

- Nic ci nie jest? - Zapytał, kiedy znów zamknęła drzwi i usadowiła się w fotelu. Kiwnęła głową, otwierając okno i biorąc głęboki oddech. Zapach skóry ją przytłaczał. Łzy zamglily jej wzrok, gdy zadrzała, próbując się opanować. Matty spojrział na nią, marszcząc brwi, i wyciągnął rękę by wytrzeć łzy z jej policzków. - Będzie dobrze, Genna. Obiecuję.

Sięgnęła w górę, kładąc rękę na jego, gdy koniuszkami palców muskał jej skórę. Czuła się tak, jakby nie widziała go wieczność, tym bardziej czuła jego dotyk. Matty posłał jej miękki uśmiech, zrozumienie ściemniło jego oczy w przyćmionym samochodzie.

Pojechał prosto do Soho, parkując na jego zarezerwowanym miejscu na parking, i chwycił ją za rękę, gdy pomógł jej wyjść z samochodu. Przeszli szybko obok *The Place* i zaprowadził ją prosto do

swojego mieszkania, nie puszczając jej, dopóki nie byli bezpiecznie w środku. Genna trząsała się, gdy zaczęła chodzić po salonie. Słowa Matty'ego pędziły przez nią, ale nie docierały do świadomości. Po prostu ciągle wyobrażała sobie Dantego, uderzającego o ziemię, widziała lejącą krew i słyszała trzask kości od bezwzględnej pięści Enza. Znowu i znowu, w kółko.

- Pozabijają się - powtarzała ciągle, przesuając ręce po twarzy, zanim mocno chwyciła włosy w stanie frustracji. - Ta dwójka zamierza się, kurwa, pozabijać, Matty.

- Nie, nie zrobią tego - uspokajał ją, podając butelkę wody i zachęcając ją do picia. - Nie dziś wieczorem, w każdym razie.

Wyśmiała go, odpychając jego rękę, gdy zignorowała napój. *Uspokajające.*

Czas mijał w rozmyciu, każde tykanie zegara było bolesne, gdy ciągle sprawdzała czas. Minęło zaledwie kilka minut, ale miała wrażenie, jakby minęła wieczność, gdy czekała. Na co czekała? Nie była pewna...

... aż drzwi mieszkania się otworzyły.

Genna sapnęła, gdy Enzo wszedł do środka. Jego warga była pęknięta, nos krwawił, jego szczeka spuchła, a oko zaczęło sinieć. Był żywy. O Boże, a Dante? Mdłości pędziły przez nią, a jej żołądek gwałtownie się skręcił.

- Znowu będę wymiotować.

Matty pchnięciem otworzył drzwi sypialni, wskazując na wewnątrz. Genna wbiegła do pokoju, rozglądając się jak oszalała, i zdążyła do połączonej łazienki w samą porę. Upadła na kolana na podłodze i gwałtownie wymiotowała, znowu i znowu, aż jej żołądek ścisnął się boleśnie i czuła się, jakby mogła zemdleć.

Matty dał jej kilka minut, zanim wszedł do łazienki i przykucnął obok niej. Odgarnął włosy z jej twarzy, a ona zamrugała szybko, gdy zapach jego wody kolońskiej ogarnął ją i sprawił, że zakręciło jej się w głowie.

- Jesteś strasznie blada - powiedział, ujmując jej brodę, gdy przyjrzał się jej uważnie.

- Tak, cóż, twoja woda kolońska jest mocna - wymamrotała. - Co zrobiłeś, wykąpałeś się w niej?

Jego wyraz twarzy zmiękł, gdy patrzył jej w oczy, ponownie oferując butelkę wody. Tym razem ją wzięła, siadając na podłodze w łazience i powoli sącząc zimny płyn. To uspokoiło jej gardło, zabijając gorycz w jej ustach.

- Więc, uch - wymamrotała. - Zgaduję, że twój brat przeżył.

- Przeżył - zgodził się Matty. - Twój również.

- Tak?

- Tak - odpowiedział. - Obydwaj przeżyli... tak jak powiedziałem.

- Więc, nic mu nie jest? Dantemu?



- No cóż, jest w takim samym stanie jak Enzo.

- Wyglądał na nieźle pokiereszowanego.

- Jest - zgodził się. - Wybili z siebie gówno... tak jak powiedziałem, że zrobią.

-Tak, tak - powiedziała Genna, machając na niego, gdy wzięła kolejny łyk wody. - Rozumiem - ty wiesz wszystko.

Na to Matty sucho się zaśmiał.

- Chciałbym, żeby to była prawda. Wtedy wiedziałbym, co teraz zrobić.

- Masz na myśli, co zrobić ze mną?

- Dokładnie - odpowiedział. - Co ja mam z tobą zrobić, księżniczko?

Wpatrywała się w niego. Jej żołądek w końcu się uspokoił, gdy wdychała przez usta i wydychała przez nos powietrze, biorąc powolne i stałe oddechy.

- Kochaj mnie - szepnęła.

Matty uśmiechnął się, sięgając i muskając wierzchem dłoni jej zaczerwieniony policzek.

- Już kocham.

Zaczął pochylać się ku niej, ale Genna wzdrygnęła się, odsuwając się i szybko uniosła ręce, aby go zatrzymać. Matty zamarł, marszcząc brwi na jej reakcję.

- Faj - powiedziała, wskazała w kierunku swoich ust i zrobiła minę. - Zaufaj mi, nie chcesz teraz całować tych ust. Są obrzydliwe.

Wstał i chwycił ją za rękę, aby pomóc jej podnieść się z podłogi w łazience.

- Umyj zęby, jeśli to sprawi, że poczujesz się lepiej.

- Nie mam szczoteczki do zębów.

- Użyj mojej.

- Faj, obrzydliwe.

- Możesz mnie całować, ale nie możesz użyć mojej szczoteczki do zębów?

- *Całuję* cię, nie wybieram jedzenie pomiędzy twoich zębów.

Śmiał się, gdy przeszedł obok niej, grzebiąc w szufladzie, aż wyciągnął kilka nowiutkich szczoteczek do zębów. Uniósł je.

- Niebieska, zielona, czy pomarańczowa?

Wpatrywała się w nie.

- Uch, niebieska.

Wrzucił pozostałe dwie z powrotem do szuflady i podał jej niebieską.

- Proszę.

- Dlaczego masz tyle dodatkowych szczoteczek do zębów? -  
Zapytała, patrząc na nią.

- Lubię kupować rzeczy hurtem.

- Co jeszcze kupujesz hurtem, Panie Oszczędny?

- Wszystko.

- Jak na przykład?

- Chusteczki higieniczne, wodę mineralną, pastę do zębów...  
prezerwatywy.

Spojrzała na niego dziwnie.

- Używasz wielu prezerwatyw, nieprawdaż?

- Na to wygląda.

- Ym. Więc użyłeś wielu z nich w ubiegłym miesiącu i musiałeś się ponownie zaopatrzyć?

Patrzył na nią, a rozbawienie znikło z jego oczu.

- Ani jednej. Nie użyłem żadnej, odkąd, no cóż... od ostatniego razu, kiedy użyliśmy jednej.

Stojąc tam czuła się głupio. Jej brak pewności siebie rozbudził się w tym właśnie momencie, ale nie mogła nic na to poradzić. Musiała zapytać, musiała wiedzieć, nie wychodząc i pytając go bezpośrednio. Nigdy nie rozmawiali o tym wcześniej, wybierając życie chwilą zamiast rozwodzenia się nad przeszłością, czy próby myślenia o przyszłości. Zastanawiała się czy mieli przyszłość? Czy jej chciał?

- Co zamierzasz zrobić, w związku ze mną, Matty? - Zapytała, zaskoczona przez wrażliwość w swoim głosie.

- Umyj zęby - powiedział cicho, robiąc krok do tyłu, - potem przyjdź i się dowiedz.

Wyszedł z łazienki, zamykając za sobą drzwi, dając jej trochę prywatności. Genna wyszczotkowała zęby, próbując się pozbierać, zanim spojrzała na swoje odbicie. Jej oczy były przekrwione, twarz opuchnięta od płaczu, każda kreska makijażu starła się lub rozmazała. Wzdychając, ochlapała twarz wodą, zmywając resztę tego co zostało, i wytarła się ręcznikiem, zanim ruszyła do sypialni Matty'ego.

Stał obok łóżka, mając na sobie tylko czarne bokserki. Instynktownie, Genna zlustrowała go wzrokiem, zapamiętując każdy skrawek jego ciała. Nie był zbyt silny, ale nie był wcale słaby, jego ciało było ukształtowane w sam raz - nie za miękkie, nie za twarde. To było ciało, które sprawiało, że czuła się bezpiecznie, a jednocześnie ciało, które czyniło ją tak wrażliwą. Gdy ją trzymał, czuła się tak wysoka jak góra, siła natury, niepowstrzymana i niezaprzeczalna. Mimo to, zwykłe jego spojrzenie sprawiało, że czuła się tak krucha jak bibułka, jakby najprostszy niewłaściwy dotyk mógł rozerwać ją na strzępy.

Matty wyciągnął ramiona, a Genna nawet się nie wahając, wsunęła prosto w jego uścisk.

- Tęskniłam za tobą - powiedziała cicho.

- Ja też za tobą tęskniłem - odpowiedział, całując ją w czubek głowy. - To mnie zabijało, nie widząc cię... nie wiedząc, kiedy będę mógł znowu cię zobaczyć.

- Mój ojciec trzymał mnie w zamknięciu.

- Wiem. - Matty przechylił jej brodę i delikatnie pocałował jej usta. Po chwili się cofnął i się skrzywił. - Masz rację.

Zbladła.

- Co?

- Smakujesz jak mięta. *Obrzydliwe.*

Genna przewróciła oczami, odpychając go, gdy się śmiał.

- Zabawne.

- Chcesz coś do spania? - Zapytał, wypuszczając ją, aby ruszyć w kierunku dużej komody, znajdującej się wzdłuż ściany. - Jestem pewien, że jest tam coś, co możesz założyć.

- Spania? - Zapytała niepewnie. - To jest to, co planujesz ze mną robić?

Kiwnął głową.

- Tak naprawdę planowałem z tobą robić wszystko, a jedyną rzeczą której jak dotąd nie robiliśmy było *spanie* razem.

Tak bardzo jak kochała słyszeć te słowa, jej serce opadło na to, co to oznaczało. Był powód, dlaczego tego nie zrobili, dlatego że nigdy wcześniej nie byli w stanie spędzić całej nocy razem.

- Moja rodzina... będą mnie szukać.

- W to nie wątpię.

- Dante dokładnie będzie wiedział, gdzie szukać - powiedziała. - Wie o tobie... o *nas*. Będzie wiedział, że jestem z tobą.

- W to też nie wątpię.

- Może powiedzieć. - Wierzyła, że Dante nie doniesie na nią jedynie z powodu swojego kaprysu - to nie była jego natura, wcale - ale gdyby myślał, że była w niebezpieczeństwie, gdyby myślał że jej życie wisiało na włosku, na pewno wygadałby wszystko, co wiedział. - Wiesz, powiedzieć mojemu ojcu.

- Nie byłbym ani trochę zaskoczony.

- Więc nie powinniśmy... to znaczy, nie możemy...

- Masz rację, że nie powinniśmy. Ale nie zgodzę się z tym że *nie możemy*. Możemy i chcę tego. Chcę tego, ponieważ chcę *ciebie* i jestem zmęczony przez to, że cię nie mam. Mam dosyć trzymania się z dala od ciebie, *unikania* cię. Jesteś ostatnią osobą, której chcę unikać. - Wzdychając, Matty usiadł na końcu łóżka i chwycił Genę za biodra,

przyciągając ją do siebie. Stała między jego nogami, patrząc na niego, gdy wpatrywał się w nią z poważnym wyrazem twarzy. – Posłuchaj, Genna, daję ci wybór... Zabiorę cię do domu natychmiast, upewnię się, że jesteś bezpieczna w twoim własnym łóżku, gdzie jestem pewien że twoja rodzina zrobi wszystko co w ich mocy, aby cię chronić. Zrobię to, jeśli to jest to, czego chcesz.

– Albo?

– Albo możesz zostać tutaj - powiedział. – Zostać ze mną dziś w nocy, spać w moim łóżku, być ze mną. I gwarantuję ci, jeśli zostaniesz, będę cię chronił. Będę cię chronił, choćby nie wiem co. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało. Ale nie mogę być z tobą, Genna, jednocześnie nie widując się z tobą.

– Ale kto będzie chronił ciebie? - Zapytała. – Kto utrzyma cię bezpiecznym?

– Stałaś przede mną, gdy miałem naładowany pistolet wycelowany w swoją pierś - powiedział. – Myślę, że wszystko będzie ze mną w porządku.

Rozmyślała o tym wpatrując się w niego. Miał na myśli każde słowo. Mogła to powiedzieć, wierzyła w to w głębi duszy, a mimo to wciąż ją przerażało co dla niej... dla niego... dla *nich* będzie oznaczać, jeśli zostanie dziś z nim. Wiedziała, że tak naprawdę nie było żadnego wyboru. Zostanie z nim oznaczało wybranie jego.

Czy już go nie wybrała?

- Nie potrzebuję żadnych ubrań do spania - powiedziała, pochylając się, aby delikatnie go pocałować.

- Nie?

- Nie - szepnęła przy jego ustach. - Lubię spać nago.

Zaśmiał się, chwytając ją mocniej za biodra, przyciągając ją do siebie.

- Nie usłyszysz ode mnie żadnych skarg.

Genna chwyciła rąbek koszulki i ściągnęła ją przez głowę, rzucając ją na podłogę przy stopach. Matty pochylił się, podążając miękkimi pocałunkami wzdłuż jej brzucha, gdy jego ręce przesunęły się do przodu, powoli rozpinając jej spodnie i rozsuwając zamek. Szarpnął za spodnie, ściągając je, a Genna skopała je wraz z butami, zostając jedynie w czarnym staniku i koronkowej bieliźnie. Jego ręce wędrowały po jej skórze, badając, pieszcząc, gdy patrzył na jej miękkie ciało pod jasnymi światłami. Wpatrywał się w nią tak, jakby uczył się na pamięć każdej krzywizny, studiował każde znamię i linię, a gęsia skórka, która pokryła jej ciało, nie pozostawiła żadnego niezbadanego skrawka.

Bez kolejnego słowa, Matty pociągnął ją na łóżko.



## ROZDZIAŁ 14

Serce Genny boleśnie waliło w piersi, gorączkowo pędząc i waląc do rytmu muzyki wydobywającej się z głośników samochodu.

*Bum-bum. Bum-bum. Bum-bum.*

Matty przejechał przez Manhattan, płynąc z ruchem, gdy skierował się na północ. Nigdy wcześniej nie widziała go, jadącego z dozwoloną prędkością.

*Nie wierzyła, że Lotus jechał tak cholernie wolno.*

Był nerwowy, nieobecnie bębnił palcami o kierownicę obsesyjnie sprawdzając lusterka, monitorując samochody wokół nich. Genna mogła poczuć od niego promieniujące napięcie, pomimo tego że utrzymywał pusty wyraz twarzy, a jego ramiona były odprężone, by jej nie niepokoić.

Bezsensowne, naprawdę. Była podenerwowana. Nic by jej nie uspokoiło.

- Nie musisz tego robić - powiedziała cicho, po raz kolejny próbując dać mu szansę, żeby się wycofał.

- Nie boję się, Genna - odpowiedział.

*Powinieneś, pomyślała. Ja z pewnością się boję - jak diabli.*

Jakby jakoś mógł wyczuć jej myśli, Matty sięgnął i chwycił ją za rękę, delikatnie ją ściskając w próbie uspokojenia.

Genna patrzyła przez boczną szybę, jak ulice stawały się dla niej bardziej znajome, te, na które wychodziła każdego dnia. Lotus toczył się przez rdzeń terytorium Galante. Jej serce jakoś zdołało bić jeszcze mocniej, łomocząc w jej uszach. Rozgrzany przepływ krwi sprawiał, że czuła się chora.

*Fuj, proszę, nie rzygaj ponownie.*

Zamknęła oczy ściskając grzbiet nosa i spróbowała złagodzić uczucie.

- Będzie dobrze - powiedział Matty. Brzmiał tak, jakby naprawdę w to wierzył. - Zaufaj mi.

- Ufam.

Genna ponownie otworzyła oczy, gdy skierowali się do Westchester County, zmierzając prosto do rezydencji Galante. Lotus zwolnił nawet bardziej, zatrzymując się na kilka sekund na ulicy zanim skręcił na podjazd, który poprowadził do jej domu. Samochód Dantego był tuż przy drzwiach, zaparkowany krzywo, jakby pośpiesznie opuszczony.

Matty zatrzymał się kilka metrów dalej i odwrócił się do niej. Otoczyła ich cisza, gdy siedzieli tak przez chwilę. Silnik mruczał, gdy samochód pracował na wolnych obrotach.

- Chcesz, żebym cię odprowadził?

Parsknęła.

- Z pewnością nie. Powinnam, wiesz... zmierzyć się z nimi sama. Będą wystarczająco zmartwieni, ale może uda mi się ich uspokoić jeśli, wiesz...

- Jeśli nie będą musieli patrzeć na moją twarz.

- Dokładnie.

Tak wspaniała, za jaką uważała tą twarz, wiedziała, że jej widok doprowadzi jej rodzinę do wściekłości.

- No cóż, zadzwoń do mnie, gdybyś mnie potrzebowała - powiedział, wpatrując się w główne wejściowe drzwi domu, gdy te się otworzyły. Dante wyszedł na werandę. - Gdybyś potrzebowała *czegokolwiek*. Przyjadę po ciebie, okej? Kiedykolwiek, dzień, czy noc. Mówię serio.

- Zadzwonię - powiedziała, i zanim wysiadła pochyliła się i szybko go pocałowała.

Podeszła do drzwi, z ramionami nerwowo owiniętymi wokół siebie. Od tyłu czuła na sobie zaniepokojone spojrzenie Matty'ego, podczas gdy od przodu palił ją ostry wzrok Dantego.

Powoli, Lotus się wycofał, po czym zniknął odjeżdżając ulicą. Genna weszła na werandę, unikając patrzenia na swojego brata, i

próbowała przejść obok niego, gdy ten zaszedł jej drogę. Zerkając w górę, zamarła, gdy jej oczy złączyły się z Dantego.

Wyglądał *marnie*. Rozcięcia i siniaki zniszczyły jego opaloną skórę, a jego nos był bardzo spuchnięty. Widok jego oczywistych urazów sprawił, że jej pierś bolała.

- Dante, ja...

Zanim zdążyła wymówić te słowa by mu powiedzieć że było jej przykro jeśli go zmartwiła, żeby powiedzieć mu że nie chciała walczyć, żeby powiedzieć mu że go kocha i nigdy nie zamierzała go zranić czymkolwiek z tego co się stało, chwycił ją w uścisk i przyciągnął do siebie. Przytulił ją mocno i wypuścił głęboki oddech.

- Kurwa, Genna, nie strasz mnie tak.

- Mam się dobrze - twierdziła uparcie, przytulając go, lekko masując jego plecy. - Byłam, uch...

- Byłaś z nim - powiedział Dante. - Powiedziałem ci, żebyś poczekała w samochodzie, a zamiast tego uciekłaś z *nim*.

- Ja tylko... - Nie wiedziała co powiedzieć, niezdolna by skleić kompletną myśl. - Czy ty...? Czy tata...?

- Jest w swoim biurze - powiedział Dante. - Nie spał, był na nogach przez całą noc, czekając na jakiś znak od ciebie.

Genna westchnęła, odsuwając się od niego.

- Powiedziałeś mu.

Nie było oskarżenia w jej głosie. To było jedynie kwestią faktu i spodziewała się tego.

- Martwiłem się - powiedział niskim głosem.

- Wiem - szepnęła. - Nic mi nie jest.

*Jak na razie.*

Genna skierowała się do środka, wahając się w holu. Część niej chciała pędzić na górę, żeby zabarykadować się w jej sypialni i ukryć się pod kołdrą na resztę wieczności, ale wiedziała, że im dłużej będzie to odkładała, tym będzie to gorsze. Musiała stawić czoła ojcu. Musiała zmierzyć się z rzeczywistością.

Biorąc głęboki oddech żeby się uspokoić, podeszła do jego biura i zapukała do drzwi nim otworzyła je pchnięciem. Jej ojciec siedział na kanapie i gdy weszła spojrzał na nią. Jego wzrok był tak surowy, tak *bezlitosny*, jakby jego twarz została wykuta z bryły kamienia.

- Matteo Barsanti - powiedział chłodno.

- Matty - powiedziała, jej głos był prawie szeptem.

- Matty - warknął. - *To jest twój Matty?*

- Tak.

Patrzył na nią w milczeniu, nie mięknąc ani trochę. Intensywny gniew skupiony był prosto na niej, gdy tak stała i się wierciła.

- Czy ty mnie nienawidzisz, Genevieve? - Zapytał w końcu, głosem cichym, niskim i groźnym. - Czy aż tak bardzo nienawidzisz naszej rodziny?

- Nie. - Pokręciła głową. - Nie nienawidzę cię.

- Musisz, by odwrócić się do nas plecami - powiedział. - Aby odwrócić się plecami do mnie, twojego brata... twoich *braci*. Nas wszystkich! Ta rodzina... zabili Joey'a. Mojego Joey'a, mojego syna! Ukradli go ode mnie, od nas, a ty jesteś z nimi w zмовie! Z wrogiem!

- Nie jestem! - Powiedziała. - Z nikim nie jestem w zмовie.

- Nie kłam, dziewczyno! - Primo wstał, wskazując na nią palcem, jego twarz drgała z przepływającego przez niego gniewu. Ten widok sprawił, że Genna instynktownie się cofnęła. Jej ojciec był niebezpiecznym człowiekiem. Coś o tym obito jej się o uszy. - Wiem, że byłaś z tym chłopcem, że miałaś z nim potajemne spotkania, że odszukałaś go za naszymi plecami. Zdradziłaś nas!

- Tu nie chodzi o ciebie! To nie ma nic wspólnego z tobą, czy tą rodziną, czy ich rodziną! Tu chodzi o mnie, o niego.

- On jest jednym z *nich*!

Wyrzuciła ręce w górę w stanie frustracji.

- Och, kogo to obchodzi?

- Mnie! - Szybko ruszył w jej kierunku, wywołując kolejne cofnięcie się Genny. - A jeśli cokolwiek obchodziłaby cię ta rodzina, to

miałoby znaczenie również dla ciebie. On nie jest dobry... jest trucizną! A ty ją pijesz, pozwalasz mu cię skazić!

- Kocham go! - Krzyknęła, słowa wyrwały się z jej piersi zanim mogła je powstrzymać. Wydawały się roznieść echem przez pokój i uderzyć jej ojca tak mocno, że aż się wzdrygnął. - I przykro mi, jeśli to cię martwi... jeśli to cię rani... ale go kocham. Kocham go, i nic co powiesz albo zrobisz nie może tego zmienić.

- Mylisz się.

Na te słowa Gennie zdawała się zastygnąć w żyłach krew. Jego głos złowrogo zabrzmiał ponownie.

- Grasz z tym chłopcem w rosyjską ruletkę - ciągnął, wpatrując się w nią. - Możesz mieć szczęście, kilka razy możesz wyjść bez szwanku, ale nigdy *wiecznie* los nie będzie po twojej stronie. Wystarczy raz... jeden raz... kiedy czyjś palec będzie na spuście z załadowaną w komorze kulą. A wtedy nie wrócisz więcej do domu.

- Może - powiedziała. - Ale biorąc pod uwagę to, że to nie jest *moja* wojna, zgaduję, że to ty będziesz *tym*, który naładuje pistolet.

Spojrzał na nią gniewnie, a jego wściekłość się nie zmniejszyła. Po chwili z grymasem odwrócił wzrok, jakby nie mógł już znieść jej widoku i wskazał na sufit.

- Idź do swojego pokoju.

- Nie jestem jednym z twoich ludzi - powiedziała. - Nie możesz mi rozkazywać.

- Jesteś moją córką.

- Jestem dorosła.

- Dopóki mieszkasz pod moim dachem, Genevieve, będziesz przestrzegała moich zasad.

- Zatem może nadszedł czas, żebym się wyprowadziła.

Spojrzał na nią ponownie i tam, obok gniewu i urazy, w końcu zobaczyła coś innego, przeświecającego. *Strach*. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby jej ojciec się bał. Ten widok ją wystraszył.

- Idź do swojego pokoju - powiedział jeszcze raz, przesuwając ręką po twarzy, a w jego głosie słychać było błagalną nutę.

Genna wycofała się z pokoju, odwracając się, by udać się na schody, i niemal wpadła prosto na Dantego. Czaił się za nią, słuchając. Nic nie powiedział, schodząc jej z drogi by pozwolić jej przejść, zanim zajął jej miejsce w gabinecie ich ojca i delikatnie zamknął za sobą drzwi.



Matty wszedł do *The Place*, zamawiając u barmana Roman Coke, po czym skierował się na tyły baru, gdzie siedział Enzo, starannie licząc pieniądze z tygodniowego przychodu. Dziesięć, dwadzieścia,



pięćdziesiąt, sto... stosy pogniecionej i wytartej gotówki zakrywały stół przed nim.

Krwawe pieniądze.

Matty wsunął się na miejsce naprzeciwko niego, wzdychając, gdy sączył swojego drinka. Enzo spojrzał krótko na niego, nigdy nie gubiąc rachuby, kontynuując liczenie nawet wtedy, gdy odezwał się do brata.

- Gdzie byłeś?

Matty wzruszył ramionami.

- Podrzuciłem Gennę do domu.

- Do domu?

- Tak - powiedział Matty. - Do domu.

Enzo pokręcił głową, odwracając się do kolejnego stosu by go policzyć.

- Naprawdę masz życzenie śmierci, prawda?

- Nie nazwałbym tego życzeniem - powiedział Matty. - To bardziej bezinteresowność.

- Bezinteresowność.

- Tak.

- Nienawidzę ci tego przekazywać bracie, ale nie musisz być zainteresowany śmiercią, by cię znalazła.

- Śmierć ścigała mnie, odkąd byłem młody - powiedział Matty. - Nie ma znaczenia, co robię... gdy będzie gotowa by mnie znaleźć, to znajdzie.

- Tak, no cóż, nie musisz rysować jej do siebie pieprzonej *mapy*.

Wbrew sobie, Matty zaśmiał się unosząc szklankę i biorąc kolejny łyk. Enzo kontynuował liczenie, sortując banknoty w ciszy, układając je w różne stosy, zanim powkładał je w koperty. Popchnął jedną w poprzek stołu w kierunku Matty'ego, który podniósł ją i wsunął do tylnej kieszeni.

- Wciąż jestem ci winny około tysiąka - powiedział Enzo, zbierając resztę kopert, zanim wstał. - Mam kilka osób, które wciąż muszą zapłacić. Dotrę do nich później w ciągu dnia, ale najpierw na trochę muszę udać się na północ.

Północ. Terytorium Galante.

- Dlaczego?

- *Dlaczego* nigdy nie jest dobrym pytaniem - powiedział Enzo, poklepując brata po plecach, gdy przechodził obok. - Nigdy nie dostaniesz odpowiedzi, którą chcesz usłyszeć.

- Dlaczego?

Enzo roześmiał się, zerkając na niego przez ramię.

- Zaufaj mi, nie chcesz wiedzieć.

Nie chciał. Był wystarczająco mądry, by zdawać sobie z tego sprawę. Cokolwiek robili, nie chciał niczego więcej, jak trzymać się od tego z daleka, i trzymać z dala Genę, z dala od niebezpieczeństwa.

Wzdychając, odstawił szklankę i wyciągnął telefon, spoglądając na ekran. Nie dzwoniła jeszcze do niego, więc to było obiecujące. Jeśli go nie potrzebowała, musiało być w porządku.

*Mam nadzieję, w każdym razie.*

Po skończeniu tego, co zostało z jego drinka, wstał i skierował się do drzwi. Jak tylko wyszedł, jego uwagę przyciągnął dźwięk głosu brata, kiedy mówił coś z ożywieniem do kogoś stojącego przy krawężniku. Matty zerknął zaskoczony, że Enzo nie opuścił jeszcze dzielnicy, i zamarł, gdy złapał znajome spojrzenie.

Jego ojciec.

- Matteo - powiedział Roberto, przerywając Enzu w połowie zdania, gdy skierował uwagę prosto do Matty'ego. Otoczyli ich żołnierze ojca - niektórych Matty nie znał, ale z boku dostrzegł braci Civello.

Bez słowa, Matty skinął ojcu na powitanie, nie mając mu wiele do powiedzenia. Nie wymieniali więcej niż kilka słów w ciągu miesiąca, nie - od dnia pogrzebu jego matki. Była ich połączeniem, ich ostatnią wicią prawdziwego związku, a bez niej czuli się jak nieznajomi, którym zdarzyło się dzielić nazwisko.

- Dziś rano słyszałem coś fascynującego - powiedział Roberto. - Coś o dziewczynie Galante.

- Tak? - Matty udawał ignorancję, gdy utrzymywał pusty wyraz twarzy. - Co to jest?

- Dlaczego mi dam nie powiesz, synu?

Matty pokręcił głową.

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Ach, więc *nie* widzisz się z nią?

Po tym pytaniu nastąpiła upiorna cisza, a każdy w zasięgu słuchu zesztywniał, rzucając badawcze spojrzenia na Matty'ego, czekając na jego odpowiedź. Stał tam na chodniku, patrząc prosto na ojca. Pot zrosił jego czoło przez intensywność, z jaką w niego się wpatrywał.

- I co z tego, jeśli się widuję?

Matty wyprostował ramiona, jego mięśnie napięły się, gdy przygotował się na kłótnię - przygotował się by bronić siebie przed ojcem, bronić *Genny*, ale zamiast atakować, wyraz twarzy Roberto rozświetlił się, a jego usta szarpał uśmieszek, którego nawet nie starał się powstrzymać. W ciągu kilku sekund, uśmiechnął się w pełni, a z jego ust uciekł lekki chichot.

Matty'emu zmroziło w żyłach krew. Wolałby furję. To był człowiek rozbawiony rozrywką, jakby dla niego było to niczym więcej, jak ogromny żart.

- Nie widzę, co w tym do cholery jest takie zabawne.

- Zabawne, nie - powiedział Roberto, - ale z pewnością interesujące.

Odwrócił się od Matty'ego, zwracając swoją uwagę z powrotem do Enza, kiwając mu głową na pożegnanie. Enzo odwzajemnił gest, potwierdzając ich cichą rozmowę, po czym Roberto odszedł by wsiąść do czekającego samochodu. Reszta zaczęła się rozchodzić, a Enzo czekał aż wszyscy inni znikną, zanim westchnął i się odezwał.

- Przysięgam, że nie powiedziałem. Bracia Civello słyszeli to na ulicach... Wczoraj wieczorem Galante rozpowszechnił tę informację, szukając córki. Szerzyło się w zastraszającym tempie, że była gdzieś z tobą.

- To nie ma znaczenia - powiedział Matty, przyglądając się bratu dziwnie. - Dlaczego kierujesz się na północ, En?

- Myślałem, że to omówiliśmy - powiedział Enzo.

- Zrobiliśmy to, ale zmieniłem zdanie - powiedział Matty. - Teraz chcę wiedzieć.

Enzo wyjął kluczek, wymachując nimi, aż zadzwoniły.

- Zatem dołącz i się dowiedz.

# ROZDZIAŁ 15

W powietrzu unosił się zapach sosu marinara<sup>26</sup>, wypełniając płuca Genny i sprawiając, że jej żołądek burczał za każdym razem, gdy wzięła oddech. Było późno, dobrze po dziewiątej, wszystko z obiadu zostało już uprzątnięte a personel wyszedł.

Nie zeszła na obiad, myśląc, że najlepiej będzie po prostu zostać w pokoju, a jej ojciec nie wysłał po nią Dantego. Ale po chwili pokonał ją głód. Jadła rano śniadanie z Mattym, potem po południu zanim odwiózł ją do domu zjadła z nim lunch, ale czuła się tak, jakby nie jadła od dni.

Przechodząc do cichej kuchni, otworzyła lodówkę i zajrzała do środka, przesuwając niektóre pojemniki, szukając czegokolwiek, co mieli dziś wieczorem.

- Faj, dlaczego nie ma nic do jedzenia?

- Jest mnóstwo jedzenia.

Przestraszyła się i spojrzała przez kuchnię na Dantego, stojącego w drzwiach.

- Skąd się tu wziąłeś?

- Z tego samego miejsca, co ty - powiedział. - Od mamy.

---

<sup>26</sup> Włoski sos pomidorowy

Genna przewróciła oczami. *Mądrała.*

- Gdzie są wszystkie resztki z dzisiaj?

- Ach, nie ma żadnych.

- Co? - Wpatrywała się w niego. *Nic* nie zostało? - Zjadłeś całe jedzenie?

- Nie, tata powiedział kucharzowi, żeby pozbył się wszystkiego, co zostało - odparł. - Powiedział, że gdybyś chciała, gdybyś była choć trochę głodna, sprowadziłabyś swój tyłek na dół w porze obiadowej.

- To nie fair.

- Wiesz, jaki on jest.

*Uparty jako cholera.* Genna odwróciła się do lodówki i zaczęła wyciągać inne pojemniki, zaglądając do ich środka. Znalazła prawie pusty pojemnik sałatki z kurczaka i chwyciła widelec, opierając się plecami o ladę i zaczynając ją jeść. Gdy wszystko zniknęło, wrzuciła pojemnik do zlewu i udała się z powrotem do lodówki, w poszukiwaniu więcej.

- Jest w swoim biurze?

- Tak - odpowiedział cicho Dante. - Śpi, a nawet już chrapie.

Kiedy ostatni raz spał w swoim łóżku? Prawdopodobnie lata temu, pomyślała Genna. Prawdopodobnie wtedy, kiedy ostatni raz jej matka w nim spała.

Wzdychając, Genna złapała słoik pikli i wyciągnęła jednego. Biorąc kęs, spojrzała z powrotem na brata. Wciąż stał w drzwiach, obserwując ją, i nie wykonując żadnego ruchu by podejść bliżej.

- Wiesz - powiedziała, celując w niego piklem. - Poszłam z nim wczoraj wieczorem tylko dlatego, że nie chciałam zostać ranna.

- Ochroniłbym cię.

Parsknęła, biorąc kolejny kęs, po czym zajrzała z powrotem do lodówki i rozglądając się znalazła paczkę szynki. Złapała kilka plastrów i zawinęła je wokół jej pikla, zanim wzięła kolejny kęs.

- Byłeś trochę, uch, tak jakby zajęty dostając w ciery.

Dante skrzywił się, gdy w końcu zmienił pozycję, biorąc kilka kroków w jej stronę. Nie rozbawił jej odpowiedzią, jego uwaga była skierowana na jej jedzenie.

- Co do cholery jesz?

Wzruszyła ramionami, opierając się plecami o ladę.

- Jedzenie.

Dante przygotował sobie drinka, gdy skończyła swoją przekąskę. Ostatni kęs nie ułożył się dobrze w jej żołądku. Znowu zaczęło ją mdlić i miała zawroty głowy, gdy zółć zaczęła palić jej pierś. Przełknęła z trudem, próbując to odepchnąć, ale to było zbyt wiele.

Zbyt nagle.



Zbyt mocno.

Genna dała nura do kosza, ledwie zdążając na czas, zanim straciła wszystko, co właśnie zjadła. Jej żołądek boleśnie falował, pozbywając się wszystkiego.

Dante zaklął i cofnął się od niej.

- Zadzwoń do księdza - wysapała, próbując złapać oddech. -  
Potrzebujemy egzorcyzmu.

- Wszystko z tobą w porządku? - Zapytał niepewnie.

- Tak - powiedziała, klękając przed koszem, gdy jej żołądek uspokoił się. - Po prostu nie czułam się dobrze. Myślę, że miałam wirusa, czy coś.

- Nie jesteś w ciąży, prawda?

Jego głos był zartobliwy, gdy ją trącił podając jej wodę. Parskając przyjęła szklankę i wzięła jej łyk. *W ciąży?*

- Oczywiście, że nie. Ja...

Gdy ta myśl zakorzeniła się w jej umyśle, Genna zamilkła. *Nie ma, kurwa, mowy.* Nie mogła być. Podskoczyła wpadając na Dantego i rozlewając wodę i rzuciła się przez kuchnię do kalendarza na ścianie. Zaczęła przerzucać strony do tyłu, licząc tygodnie.

*Nie. Nie. Nie. Proszę, Boże, Nie.*

Pięć tygodni od tej nocy z Mattym w jej pokoju. Czas minął w rozmyciu a życie zagłębiło się w takim chaosie, że nawet nie zauważyła, że spóźniał się jej okres.

- O Boże.

- Wyluzuj sis, po prostu żartuję - powiedział Dante, śmiejąc się.

Genna z trudem przelękając obróciła się by na niego spojrzeć, nagle czując się, jakby miała znowu rzygać. Dante wpatrywał się w nią, a jego twarz zbladła a oczy rozszerzyły się.

- Nie jesteś.

- To tylko stres - powiedziała. - Stres tak robi, prawda? Ponieważ byłam *w dużym* stresie.

- Proszę, powiedz mi Genna, że to nie jest nawet, kurwa, możliwe - powiedział Dante, podchodząc do niej. - Powiedz mi, że jesteś mądrzejsza niż to, że się zabezpieczałaś.

- Ja, uch... to nie możliwe. Po prostu nie. Nie może być. - Zamrugła szybko. - O Boże, proszę, niech tak nie będzie.

*W ciąży?*

Gdy to dotarło do świadomości, Dante wybiegł, kierując się prosto do frontowych drzwi i opuścił dom, trzaskając za sobą drzwiami. Genna usłyszała jak odpalił swój samochód i udała się do holu.

Poszła na górę do swojego pokoju, zostawiając drzwi szeroko otwarte, gdy opadła na łóżko. Była oszołomiona. To słowo ciągle odbijało jej się w głowie.

*W ciąży?*

W coś, co wydawało się mgnieniem oka, Dante wrócił, pojawiając się niespodziewanie w jej drzwiach, ściskając torbę z pobliskiej drogerii. Wepchnął ją w jej rękę.

- Zrób to.

Zajrzała do torby, widząc test ciążowy.

- Ja, uch...

- Zrób to - powiedział znowu, jego głos był twardszy. - Teraz.

Genna wstała, jej nogi trzęsły się, gdy szła do łazienki. *Nieosiągalne*, pomyślała. *Tak po prostu nie może być.*

Pięć minut później, wpatrywała się w dwie jasno różowe linie, które powiedziały jej, że tak może być... powiedziały jej, że tak było. Niepewnym krokiem wyszła z łazienki, spojrzeniem odszukując brata. Dante siedział na skraju jej łóżka i powoli wstał, przyglądając się jej ostrożnie.

Nic nie powiedziała. Bo co mogła? Słowa umknęły jej, porzucając ją gdy ich potrzebowała. Wstrząśnięta gapiła się na niego.

Twarz Dantego zbladła. Nie musiała nic mówić. Wiedział. Przeczesał dłońmi włosy, splatając palce na czubku głowy i ruszył do drzwi.

- Zgaduję, że możemy po wszystkim potrzebować tego księdza.

Jej głos drżał, gdy szepnęła.

- Gdzie idziesz?

- Zrobić to, co zawsze robię, Genna - mruknął. - Zatrzymać się o ciebie.

Noc była jasna, gdy księżyc w pełni świecił wysoko na czarnym jak smoła niebie. Zbliżała się północ, a kolejny dzień był już prawie za nimi... kolejny dzień w większości taki sam.

Matty siedział na miejscu pasażera w Mercedesie Enza. Ze skupieniem wyglądał przez okno, gdy ulice przelatywały w niewyraźnej plamie. Wrócili do Soho, przeżywszy podróż na północ.

Okazało się że chodziło o broń. Barsanti gromadzili jej wielkie zapasy w magazynie w East Harlem, który zwinęli tuż przed nosa Galantes na ich terenie. Matty stał na parkingu i obserwował, jak samochód ciężarowy świeżo nabytej broni był wyładowywany. To

zostawiło nieprzyjemny smak w jego ustach - gorycz, której nie mógł się całkowicie pozbyć. Wszystkie te pistolety, cała ta amunicja... przygotowywali się do czegoś dużego.

Do czegoś, od czego chciał być z dala.

- Jesteś spięty - powiedział Enzo, patrząc na niego. - Nie podoba mi się to.

- Myślałem, że mówiłeś, że zawsze jestem spięty.

- Jesteś, ale nie w ten sposób. Zazwyczaj jesteś jak spirala, wiesz - gotowy do skoku w każdej chwili, ale dzisiaj jesteś jak nić... tak że gdybyś naciągnął się trochę mocniej, w końcu byś pękł.

Czuł się w ten sposób. Kurwa właśnie tak się czuł. Nie był pewien ile jeszcze mógł przyjąć, a nie chciał zostać w pobliżu i się tego dowiedzieć. Wrócił tu do swojej matki, ale teraz kiedy odeszła, dlaczego jeszcze tu był?

- Jestem zmęczony czekaniem na to wymówienie... myślę, że zamiast tego mógłbym złożyć swoją rezygnację.

- Myślisz, że tata zaakceptuje twoją rezygnację?

- Tak naprawdę nie będzie miał wyboru - powiedział Matty. - Zanim zda sobie sprawę, że zrezygnowałem, będę daleko stąd.

Enzo zawahał się.

- Sam?

- Mam nadzieję, że nie - powiedział. - Mam nadzieję, że ona pojedzie ze mną.

- Też mam nadzieję, że pojedzie.

- Masz?

- Tak. - Enzo zmarszczył brwi, wpatrując się w niego. Jego głos był poważny, gdy powiedział. - Nie chcę widzieć jej zranionej. Nie mógłbym dbać mniej o dziewczynę, ale ona jest twoja... jest twoją dziewczyną... a ty jesteś moim bratem.

Nie powiedział tego wprost, ale Matty usłyszał całą prawdę w tych słowach. Gdyby zostali w pobliżu, gdyby Genna została w pobliżu, Enzo wiedział, że pewnego dnia mógłby być tym, który musiałby ją zranić.

Żaden nie powiedział nic więcej, gdy Enzo mknął po ulicach Soho. Zatrzymał samochód na parkingu w pobliżu *The Place* i wysiedli, zmierzając do wyjścia z garażu.

Skręcili za róg, kierując się do mieszkania, kiedy ktoś za nimi krzyknął.

- Barsanti!

Odwrócili się, zatrzymując się na środku chodnika. Dante Galante. Enzo natychmiast zebrał siły do walki, oba bracia oczekiwali, że Dante rzuci się na niego, ale zamiast tego pośpiesznie przeszedł prosto w kierunku Matty'ego. Krył go niski i krępy facet - ten sam, który był z nim na ulicy tego dnia w Małych Włochach.

- Co, do cholery robisz tutaj, Galante? - Wyrzucił z siebie Enzo, robiąc krok do przodu, ale Dante szybko go ominął. Matty próbował zareagować, cofnąć się, jego ręce uniosły się w defensywnie, ale Dante był tuż przed nim w ciągu kilku sekund, zamachując się.

Pięść Dantego złączyła się ze szczęką Matty'ego. Brutalne uderzenie przechyliło jego głowę na bok, ból szarpnął jego kręgosłupem, gdy ogłuszony potknął się kilka kroków. Zanim zdążył złapać równowagę Dante chwycił go za kołnierz, patrząc na niego gniewnie.

- To za moją siostrę.

Zamachnął się jeszcze raz, i raz po raz, jego pięści szaleńczo tłukły twarz Matty'ego, podbijając mu oko i łamiąc nos. Krew tryskała w dół jego twarzy, gdy potknął się do tyłu, a całe poczucie logiki rozpadło się w wybuchu oślepiającego bólu. Bez zastanowienia, oddał cios, mierząc w górną część głowy Dantego. Uderzenie to wznieciło burdę, gdy Enzo odpierał drugiego faceta, pozostawiając Matty'ego by bronił się sam.

Matty uwolnił każdą uncję gniewu, jaką potrafił wyczarować, próbując utrzymać go na dystans, ale nie miał nic w porównaniu do furii Dantego. Jego pięści były wypełnione jadem, do którego Matty nie mógł się dopasować.

Dante powalił go na ziemię, odchylając nogę do tyłu i brutalnie go kopiąc. Ból przedarł się przez bok Matty'ego, pozbawiając go oddechu. Usłyszał trzask i poczuł agonię z siłą stopy walącej w jego klatkę piersiową, znowu i znowu. Starał się osłonić, chwytając Dantego za

stopę i szarpiąc za nią, próbując rzucić go na ziemię, ale Dante jedynie kopał słabiej.

- Kurwa! - Krzyknął Matty, sekundy zanim zobaczył stopę, zmierzającą prosto na jego twarz. Próbował się poruszyć, zablokować atak, ale ledwie miał czas by mrugnąć, zanim Dante nadepnął mu na głowę. Ból eksplodował w jego czaszce, tak intensywny, tak przytłaczający, że na chwilę stracił przytomność.

Jak tylko wszystko stało się wyraźne, Dante się odsunął. Wokół nich rozbrzmiał głos Enza - gorzki i pełen złości.

- Cofnij się od mojego pieprzonego brata, zanim cię zabiję.

Matty usiadł, a jego wzrok był niewyraźny. Ciepła krew spływała po boku jego twarzy i plamiła ubrania. Przez mgłę ujrzał pistolet. Błyszczący srebrny automatyczny rewolwer Smith & Wesson w pewnej ręce jego brata, celujący prosto w Dantego.

- En - krzyknął szaleńczo Matty, łamiącym się głosem, gdy z ledwością wymusił go z gardła, ale było już za późno. *Kurewsko za późno.* W mgnieniu oka, Dante sięgnął za pasek, wyciągając swój własny pistolet i wycelował go w Enza.

Noc przedarł pojedynczy wystrzał. Brzmiał jakby obok Matty`ego nastąpiła eksplozja. Ulica wokół nich rozświetliła się na ułamek sekundy, gdy samotna kula roztrzaskała każdą nadzieję, że te dwie rodziny *kiedykolwiek* znowu zawrą pokój.



## ROZDZIAŁ 16

Nos Genny łaskotał kurz. Strych mocno pachniał naftaliną i pleśnią, a powietrze było duszne i stęchłe przez bycie zamkniętym przez wiele lat. Genna nie postawiła tu stopy od swoich piętnastych urodzin, ale w tym momencie miała nieodparte pragnienie, by udać się na górę.

To było najbliżej, jak kiedykolwiek było możliwe by ponownie zobaczyć matkę.

Genna przeszła na paluszkach wzdłuż skrzypiącej drewnianej podłogi i pociągnęła za sznurek, wiszącej nad głową żarówki. Światło otoczyło ją na kilka sekund, zanim zamigotało i zgasło z głośnym trzaskiem.

Zlekceważyła to i usiadła na brudnej podłodze, przysuwając kolana do piersi i owijając wokół nich swoje ramiona. Jej ciało praktycznie się wtedy zwinęło, znikając w ciemności, rozplywając się w powietrzu, choć ciężkość w kończynach sprawiała, że czuła się jakby była zrobiona z ołowiu. Otaczały ją rzeczy jej matki. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu, brudne koce leżały na pudłach, jej stara suknia ślubna zabarwiła się na szaro z zaniedbania.

Wydawało się, że minęły całe wieki, odkąd cokolwiek z tego ujrzało światło dzienne. Życie, za którym Genna stwierdziła że tęskniła, życie w prostocie, gdzie świat miał doskonały sens. Rzeczy były wtedy

czarne i białe. Jej rodzina była wszystkim - dobrem w jej życiu, bohaterami jej historii, podczas gdy Barsanti byli wszystkim tym, co złe.

Wzdychając, Genna rozprostowała nogi i położyła się na podłodze. Jej głowa wylądowała na stosie starych letnich sukienek jej matki, teraz zwykłych już szmat. Wpatrywała się sufit. Jej ręce przesunęły się na brzuch, gdy leżała w ciszy.

Co ma zrobić?

Co oni mają zrobić?

Jak ma mu powiedzieć?

Czy poczuje się tak samo, jak ona się czuła?

*Jak, do cholery, w ogóle się czuła?* Była w całkowitym niedowierzaniu, jej ciało pokrywało odrętwienie. Czuła się oderwana od świata, jakby wślizgnęła się w inną rzeczywistość, gdzie Galante i Barsanti mogliby jakoś być jedną rodziną.

Z pewnością to nie była żadna rzeczywistość, w jakiej kiedykolwiek wcześniej żyła.

*Przerażona, zdecydowała. Jestem cholernie przerażona.*

Leżała tam przez chwilę, zanim wyczerpana zamknęła oczy, ale sen nie nadszedł. W końcu usłyszała stukot na dole w domu, hałas, który początkowo zlekceważyła jako jedynie jej wyobraźnię, aż usłyszała trzaśnięcie drzwi i odgłos biegających stóp. Przez ciekawość i ostrożność by uniknąć złapania jej przez ojca tu na górze, Genna zeszła ze strychu.

Cicho zeszła na dół, znajdując Umberto, stojącego samotnie w holu. Minę miał ponurą był, a twarz świeżo poturbowaną. Oberwał dziś wieczorem.

*O Boże. Kolejna walka.*

Przeszła tuż obok niego bez słowa. W oszołomieniu ledwie spojrzał, gdy wpatrywał się w kierunku kuchni. Genna poszła w tę stronę, słysząc ściszone, rozpaczliwe głosy w środku. Zatrzymała się w drzwiach, widząc brata w bokserkach. Jego białe skarpety pochłapane były czerwonymi plamkami. Reszta jego ubrań leżała w stercie na podłodze, a Dante chodził wokół nich. Jego ciało drżało, gdy potrząsał rękami, jakby próbując odnaleźć w nich czucie.

- To jest popieprzone... *ja jestem popieprzony.*

- Nic ci nie będzie, synu - powiedział Primo, wyciągając czarny worek na śmieci, żeby pozbierać jego ubrania, gdy wskazał na jego stopy. - Daj mi te skarpety.

Dante ja zdarł, niemal tracąc równowagę, i wrzucił skarpety do torby, zanim wrócił do chodzenia tam i z powrotem. Przesuwał ręce po twarzy, gdy mamrotał do siebie, oszalały.

- Przysięgam, że nie zamierzałem tego zrobić. Ja tylko... wyciągnął pierwszy. Głupi pojeb wyciągnął na mnie pistolet. Co innego miałem zrobić?

Żołądek Genny opadł, a jej oczy rozszerzyły się w przerażeniu.

- Nie musisz się tłumaczyć - powiedział Primo. - To było przedwcześnie, tak, i nie powinieneś robić tego w Soho, ale nie zamierzam *martwić się* tym, że chłopiec Barsanti nie żyje.

*Nie żyje.* Genna zachłysnęła się w odpowiedzi na to słowo, zwracając na siebie ich uwagę. Wyraz twarzy Dantego drgnął, ta odrobina spokoju, jaką zmagał się by utrzymać, wymknęła się, a jego twarz wykrzywiła się prawie jakby walczył ze łzami. Genna szaleńczo potrząsała głową, te słowa waliły w jej głowie jak młot pneumatyczny.

*Chłopiec Barsanti. Nie żyje.*

- O Boże - wykrztusiła. - Co zrobiłeś?

- Idź do swojego pokoju, Genevieve - wrzasnął Primo. - Teraz!

Zignorowała go, i przeszła dalej do kuchni, skupiona na bracie.

- Dante, proszę... powiedz mi.

- Genevieve!

- Powiedz mi! - Krzyknęła rozpaczliwie. - Co zrobiłeś, Dante?

- Ruszył na mnie - powiedział Dante drżącym głosem. - Enzo wyciągnął pistolet. Nie miałem wyboru. *Musiąłem* go zastrzelić.

Przez Gennę przepłynęła tak intensywne ulga, że ugięły się pod nią kolana. Musiała uchwycić się ściany, by się uchronić przed zderzeniem z podłogą. To nie był Matty. Matty nie był martwy.

Ale ta ulga była krótkotrwała. Matty może nie był martwy, ale jego brat był, zabity rękami jej brata. Dante - bierny, opiekuńczy Dante - był mordercą. Ta wiedza dokonała trzęsienia ziemi pod jej stopami.

- Dlaczego tam byłeś? - Zapytała rozpaczliwie, próbując to zrozumieć. - Dlaczego w ogóle byłeś dziś w Soho?

Primo odezwał się ponownie, wchodząc między swoje dzieci.

- Genevieve, wiesz lepiej że powinnaś wtrącać się w biznes.

- Biznes? - Spojrzała gniewnie na ojca. - To nie jest tylko biznes, tato. To jest osobiste, i wiesz o tym! Chłopiec nie żyje, a dlaczego? Za co?

- Ponieważ jest jednym z nich - warknął Primo. - A jeśli to pójdzie zgodnie z planem oni *wszyscy* skończą w ten sposób. Nie będę zadowolony, dopóki każda kropla krwi Barsantich nie zostanie rozlana.

Jak tylko te słowa uderzyły Gennę, jej dłonie instynktownie chwyciły za brzuch. Cofnęła się, kręcąc głową, gdy łzy paliły jej oczy. Obracając się, wybiegła z pokoju, zmierzając prosto do frontowych drzwi.

Nie mogła tam być. Nie mogła być z nimi.

Podróż do Soho wydawała się tak długa, jakby zajęła godziny w tylnej części taksówki. Genna wierciła się, wielokrotnie próbując dodzwonić się do Matty'ego, ale nie dostając żadnej odpowiedzi. Taryfiarz musiał wysadzić ją przecnicę z dala od *The Place*. Dzielnica była zablokowana przez policję. Genna przebiegła obok zgromadzonych

gapiów, schylając się tuż pod żółtą taśmą, otaczającą miejsce zbrodni i ignorując protesty, gdy funkcjonariusz próbował ją zatrzymać.

- Matty? - Krzyknęła, rozglądając się rozpaczliwie i zamierając, gdy dostrzegła go, siedzącego przy krawężniku po drugiej stronie ulicy. Jego ubrania były brudne, zakrwawione i paskudne, podczas gdy zaschnięta krew oblepiała bok jego opuchniętej twarzy. Lekarz kręcił się obok niego, próbując zabandażować mu głowę. Genna ruszyła ku niemu. Gdy spojrzał w górę, jego wyraz twarzy był surowy. Odepchnął lekarza, odmawiając opatrzenia, a jego oczy spotkały jej.

- Matty - powiedziała rozpaczliwie, kucając przed nim i chwytając jego policzki, gdy badała jego posiniaczoną twarz. - O Boże, spójrz na siebie!

- Nic mi nie jest. - Jego głos był ledwie szeptem, gdy przykrył jej ręce własnymi, odsuwając je od swojej twarzy. - Co tu robisz?

- Wiem... to znaczy, *słyszałam*... - Łzy spływały jej po policzkach, pomimo tego jak mocno walczyła by je powstrzymać. - Enzo.

Matty wzdrygnął się na jego imię, jego wzrok przemknął na drugą stronę ulicy w kierunku *The Place*.

- Już go zabrali.

- Czy on naprawdę...? To znaczy, czy on...?

Nawet nie mogła wypowiedzieć tego słowa. *Nie żyje.*

- Tu nie jest dla ciebie bezpiecznie - powiedział cicho Matty, nie odpowiadając na jej pytanie, ale prawda była tam, wirując w jego przekrwionych oczach. - Musisz iść do domu.

- Nie mogę. - Pokręciła głową. - Jak nawet możesz tak mówić? Nie mogę być tam z nimi. Nie teraz. Nie *po tym*...

- Muszę sobie z tym poradzić - powiedział Matty, ocierając łzy z jej policzków. - Kiedy to się skończy, przyjdę po ciebie, i wyjdziemy. Wyjdziemy w cholerę z Nowego Jorku i nigdy nie będziemy się oglądać.

- Obiecujesz?

- Przysięgam, ale do tego czasu, dom jest najbezpieczniejszym miejscem dla ciebie. - Zanim zdążyła zaprotestować, Matty chwycił oficera, gdy ten przechodził obok. - Potrzebuję kogoś, aby odeskortował pannę Galante natychmiast do domu. Nie powinna tu być.

Oficer kiwnął głową, lustrując ją wzrokiem.

- Załatwię to.

- Dziękuję.

Matty wpatrywał się w Genę przez chwilę, zanim przyciągnął ją ku sobie i wycisnął miękki pocałunek na jej czole.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham - szepnęła. - Jest mi tak bardzo, bardzo przykro.

- Tak - wymamrotał, odwracając od niej wzrok, gdy wstała, by podążyć za oficerem do czekającego samochodu. - Mi też jest przykro.



Rezydencja Barsantich wydawała się opuszczona, powłoka z dawniej kochającego się domu, teraz okryta była cieniami i owiana chłodem. Matty zaparkował od frontu i siedział w samochodzie przez chwilę, wpatrując się w drzwi. Było cicho i ciemno, oprócz subtelного blasku światła pochodzącego z pokoju na drugim piętrze.

Gabinet jego ojca.

Policja jeszcze nie przyszła by dokonać oficjalnego powiadomienia i prawdopodobnie nie pojawi się jeszcze przez kilka następnych godzin, ale Matty nie był głupcem - wiedział, że jego ojciec już wie. Roberto prawdopodobnie wiedział w chwili, kiedy Enzo wziął swój ostatni drżący oddech.

Roberto nie poszedł jednak do szpitala i nie pokazał się na scenie. Ta subtelna poświata prześwitująca przez zasłony na górze powiedziała Matty'emu, że nie poszedł nigdzie. Siedział i czekał... i czekał... i czekał...

Ale na co?



Matty nie był pewien, czy chce wiedzieć.

Spychając lęk na bok, wysiadł z samochodu i skierował się na ganek, używając dodatkowego klucza, który dała mu jego matka by wejść do środka. Cicho, wspinał się po schodach, jego stopy brzmiały jak stal na drewnianej podłodze, a dźwięk odbijał się od białych ścian, gdy pokonał drogę prosto do gabinetu.

Drzwi były szeroko otwarte. Roberto siedział w swoim skórzanym fotelu, jego wzrok mierzył wierzch jego surowego biurka. Gdy Matty wszedł, ten nie spojrzał w górę, nie odezwał się słowem, chociaż nieznaczne opadnięcie jego ramion, gdy wypuścił głęboki oddech, powiedziało Matty'emu, iż wiedział, że tam był.

Powoli, Matty wszedł do pokoju. Jego spojrzenie przesunęło się z ojca na stół pistoletów. Przesunął palcami po długiej lufie karabinu. Metal był chłodny pod jego palcami. Każdy mięsień w jego ciele bolał - ból przeszywał jego pierś za każdym razem gdy odetchnął głęboko, ale to było nic w porównaniu z cierpieniem trawiącym go od wewnątrz.

Nic w porównaniu do świeżych, palących wspomnień.

- Zabili go. - Roberto był cichy, aczkolwiek powstrzymywane drżenie zaakcentowało jego słowa, gdy walczył by utrzymać opanowany głos. - Nie żyje.

Matty westchnął, krzywiąc się na dyskomfort w swojej pierś. Przemógł łzy, trzymając zamknięte usta, aby nieumyślnie nie uwolnić

szlochu. Zamiast tego, kiwnął głową mimo tego że jego ojciec wciąż na niego nie patrzył.

- Zabili mojego syna - powtórzył Roberto. Tym razem jego głos się załamał gdy chwycił go żal. - Zabrali go ode mnie.

Ręka Matty'ego przesunęła się po wierzchu pudełka amunicji, zanim jego koniuszki palców musnęły pofałdowany chwyt broni. Podniósł ją, chwytając mocno i wpatrywał się w ją, zaciśniętą w jego dłoni. Po chwili, wsunął ją do kieszeni i chwycił pudełko amunicji.

Bez wypowiedzania żadnego słowa, odwrócił się i wyszedł.

Matty był oszołomiony, gdy pędził przez Manhattan, lawirując ulicami. Żadne wyraźne miejsce przeznaczenia nie znajdowało się w jego umyśle. Granice były dla niego rozmyte, dzielnice już nic nie mówiące. Ostatecznie, skończył wyjeżdżając z Manhattanu, kierując się na północ, mówiąc sobie, że zamierzał tylko spojrzeć. Zamierzał tylko przyjrzeć się. Zamierzał tylko *zobaczyć*...

Zaparkował Lotusa wzdłuż ulicy, niedaleko od rezydencji Galante, patrząc na dom. Był ciemny, prawie tak ciemny, jak dom jego rodziny. W rozległej rezydencji włączonych było tylko kilka niewyraźnych świateł. Spali? Odpoczywając spokojnie w swoich łóżkach, niczym się nie martwiąc?

Jak bezduszni, jak *okrutni*, mogą być ludzie?

Wysiadł z samochodu, gdy pokonała go ciekawość i podkradł się w kierunku domu. Czuł ukłucie winy, że odesłał tu Genę, że nalegał by

poszła do domu, ale nigdzie indziej nie było dla niej bezpiecznie. Gdyby Roberto Barsanti wywąchał, że była w pobliżu, gdyby nawet pomyślał, że może być w zasięgu ręki, z pewnością porwaliby ją.

Nie było wątpliwości.

Matty obszedł zewnętrzną część domu, wśliznął się na podwórko i spojrzał w górę na pokój Genny. Światła były zgaszone, drzwi balkonowe szeroko otwarte, aby pozwolić przenikać powietrzu. Mógł wspiąć się tam, pomyślał, i wślizgnąć się do jej pokoju, spędzić z nią noc, trzymać ją w ramionach, znaleźć komfort, którego tak rozpaczliwie szukał, ale postąpienie tak oznaczało oddychanie tym samym powietrzem. To oznaczało, bycie w tym domu, z tymi ludźmi.

Wiedział, co miała na myśli o nie byciu w stanie wrócenia tutaj po wszystkim. Miał wrażenie, że samo powietrze wokół domu było zatrute.

Był zaskoczony, że nie świętowali.

Wzdychając zaczął wracać z powrotem, kierując się w stronę samochodu. Nie było tu nic dla niego dziś wieczorem, nic, co mógłby zrobić by zmienić to, co się stało. Niemal dotarł z powrotem do ulicy, gdy światło na ganku zaświeciło się i główne drzwi domu się otworzyły. Kroki Matty'ego się zatrzymały, gdy odwrócił się, obserwując, jak ktoś wychodził na zewnątrz. To nie był Galante, ale było wystarczająco blisko – chłopak z wcześniej, który był z Dantem.

Zatrzymał się tam na ganku. Drzwi za nim pozostały szeroko otwarte jakby czekał na coś... lub kogoś. Matty cofnął się kilka kroków w

cień, obserwując. Jego krew zmroziło w żyłach, gdy Dante wyszedł za mężczyznę.

Wziął prysznic i przebrał się, zacierając wszystkie dowody, że kiedykolwiek cokolwiek się zdarzyło. Mężczyźni rozmawiali cicho, gdy schodzili z ganku, idąc powoli w kierunku samochodu, zaparkowanego wzdłuż krawężnika.

Ten drugi po chwili do niego wsiadł i odjechał, podczas gdy Dante po prostu tam stał uważnie skanując okolicę. Nie zajęło mu długo, by dostrzegł Lotusa, a jego wzrok się na nim zatrzymał. Napiął się i wyprostował ramiona. Po chwili obrócił się, czujny, ale Matty był szybszy od niego.

Jego umysł spustoszał, racjonalne myślenie zniknęło, gdy skoczył na Dantego. Ten chłopak – ten *potwór* – zaatakował ich, zabijając jego brata z zimną krwią, zanim uciekł jak tchórz, pozostawiając tam Matty'ego, by ten się pozbierał. Zanim Dante zdążył zareagować, Matty uderzył go powalając na ziemię, po czym brutalnie na nim pomstował. Dante próbował go odeprzeć, udaremnić atak, ale Matty poszedł za daleko, by zostać powstrzymanym.

Dyszząc, Dante leżał na plecach na ziemi, krew wypływała z jego ust, gdy Matty stanął nad nim. Wyciągnął pistolet z kieszeni, odblokował go i wycelował prosto w głowę Dantego. Jego palec luźno dotknął spustu, drżąc z tłumionej wściekłości, gdy wpatrywał się w oczy tego, który ukradł mu brata zaledwie kilka godzin temu.

- Dlaczego? - Pytanie wyszło tak stanowcze i przepelnione jadem, że Matty ledwie rozpoznał własny głos. - Chcę wiedzieć, dlaczego.

- *'Dlaczego nigdy nie jest dobrym pytaniem'* - ostrzegł go Enzo zaledwie dzień wcześniej. - *'Nigdy nie dostaniesz odpowiedzi, którą chcesz usłyszeć'*.

- Nie dałeś mi żadnego wyboru - warknął Dante. - *Przez ciebie, moja siostra jest w zasadzie martwa.*

Zanim Matty mógł to przetworzyć, drzwi domu otworzyły się ponownie. Słyszac to, Dante usiadł, a Matty się cofnął opuszczając broń. W chwili gdy w drzwiach spostrzegł zaniepokojoną twarz Genny, wrócił mu rozum.

Oglądał dziś śmierć swojego brata.

Nie mógł przeprowadzić przez to samo Genny.

# ROZDZIAŁ 17

W końcu nadszedł ostatni tydzień pracy społecznej.

Genna pojawiała się w jadalni punktualnie, zachowując wszelkie pozory gdy gotowała i obsługiwała. Pomiędzy wydawaniem posiłków pomagała sprzątać by wyjść przez drzwi dokładnie o siódmej. Nie było już żadnego zostawania do późna, pomimo tego że mogła pozostać tyle ile chciała i zatracić się w pracy.

Ale każdego dnia, Dante parkował od frontu, czekając na nią, chociaż wszyscy wiedzieli, że miał na plecach narysowany cel. Ryzykował odsłonięcie, aby upewnić się że została dostarczona do domu cała i zdrowa - fakt, który doceniała i nienawidziła. Ich jazda była jeszcze bardziej napięta, tak bardzo, iż nie sądziła, że kiedykolwiek dostaną z powrotem to, co mieli kiedyś. Zbyt wiele się wydarzyło. To wszystko poszło za daleko, żeby było zapomniane.

Czuła, jak to na niej ciążyło, wisząc w powietrzu te trzydzieści minut przez które wspólnie byli zamknięci w jego samochodzie. Chciała coś powiedzieć, wymyślić jakiś sposób by choć trochę zmniejszyć to napięcie, żeby ułatwić oddychanie w pobliżu niego, ale nie była pewna co powiedzieć.

Jedna rzecz była jednak pewna: ogromnie pragnęła mieć ponownie swojego najlepszego przyjaciela.

Nadeszło piątkowe popołudnie i Genna skuliła się na siedzeniu pasażera, wyglądając przez okno, gdy Dante jechał na północ w kierunku East Harlem. Światło słoneczne przebijało się przez przyciemniane szyby samochodu, popołudnie było ciepłe i wietrzne. Powiedziałaaby, że to był piękny dzień, ale wciąż miała wrażenie, że było ponuro.

Dante zjechał do krawężnika w pobliżu jadłodajni i zaparkował, a ona wypuściła głębokie westchnienie.

- Ostatni dzień, co?

Była zaskoczona, że w ogóle próbował nawiązać rozmowę. Nie zadał sobie tego trudu przez cały tydzień.

- Tak.

- Muszę powiedzieć, sis, że nie sądziłem że to zrobisz - powiedział, - ale doprowadziłaś to do samego końca.

- Tak - powiedziała. - Doprowadziłam.

- Jestem z ciebie dumny.

Te słowa ją zaskoczyły. Mrugając szybko, odwróciła się do Dantego, widząc miękki uśmiech, szarpiący jego usta.

- Co?

- Jestem z ciebie dumny - powiedział ponownie, bez sarkazmu w głosie. - Tata nigdy nie powiedziałby tego, ale cóż... Jestem dumny jak

cholera. Dumny, że nie poddałaś się, że utknęłaś z tym, choćby nie wiem co.

Była zaskoczona.

- Dzięki.

- Trudno mi było zaakceptować to, że dorostaś - ciągnął. - Wiem, że nie jestem dużo starszy od ciebie, ale zawsze czułem się za ciebie odpowiedzialny. I wiem, że czasami masz mi to za złe, ale...

- Nie mam ci tego za złe - powiedziała, przerywając mu.

Zamknął na chwilę oczy, zanim kontynuował dokładnie tam, gdzie przerwał.

- Ale po prostu starałem się uważać na ciebie w jedyny sposób, w jaki potrafiłem.

- Wiem.

Unosząc brwi, spojrzał na nią z ciekawością.

- Powiedziałaś mu już?

Na to pytanie jej policzki się zarumieniły.

- Nie miałam szansy.

- Czy jesteś przynajmniej szczęśliwa?

Zaskoczyła ją szczerść tego pytania.



- Ja, uch... tak. No cóż, mam na myśli, byłam... tak szczęśliwa jak mogłabym być kiedykolwiek w tych okolicznościach, w każdym razie. To jest do bani, będąc tym, kim jesteśmy, ale...

- Ale on jest inny - powiedział cicho Dante. - To jest to, co powiedziałaś mi tamtego dnia. Powiedziałaś, że jest inny.

- Jest.

Dante przesunął dłońmi po twarzy.

- Nie mogę ci już pomagać, Genna. Nie mogę uważać na ciebie... nie tak jak zawsze robiłem to wcześniej. Jesteś z tym sama, i nie sądzę, że to może dobrze się skończyć.

- Wiem.

Uśmiech powoli wrócił na usta Dantego.

- Ale dowiodłaś mi, że myliłem się ostatnim razem kiedy w ciebie wątpiłem. Może zrobisz to jeszcze raz.

Genna odwzajemniała uśmiech.

- Może.

Sięgając ręką, Genna uścisnęła brata, czując jak jego ramiona mocno owijają się wokół niej. Gdy ją puścił odwrócił się i skoncentrował na przedniej szybie.

- Siódma?

- Siódma - potwierdziła.

Wysiadła z samochodu i skierowała się do środka centrum społeczności, na chwilę się zatrzymując by spojrzeć jak Dante włącza się w ruch i szybko odjeżdża. Westchnęła. *Ostatni dzień.*

Obiad był łatwy, z więcej niż wystarczającą ilością jedzenia by wystarczyło dla wszystkich. Dochodziła godzina siódma, kiedy po raz ostatni Genna ściągała swój fartuch i rzuciła go do kosza. Zbliżył się do niej uśmiechnięty koordynator wymachując kawałkiem papieru.

- Wiesz, co to jest?

- Co?

- Twoje papiery spełnienia obowiązku.

- Co? - Genna wzięła je, czytając przychylnie uwagi, które koordynator napisał na jej temat. - Dziękuję.

Ruszyła do drzwi, wciąż przeglądając papiery. Wychodząc na chodnik spojrzała w górę spodziewając się że zobaczy czekającego na nią Dantego, ale zamiast tego w tym miejscu była zaparkowana stara Toyota. Rozejrzała się, skanując otoczenie, myśląc, że może nie mógł dostać miejsca blisko, ale jego samochodu nigdzie nie było.

Sięgnęła do kieszeni po swój telefon, przeklinając, gdy go nie znalazła. Musiała zostawić go w samochodzie Dantego.

Lekceważąc to i powstrzymując uczucie strachu wywołane nieobecnością brata, ruszyła wzdłuż dzielnicy w kierunku stacji

kolejowej. Musiał stracić poczucie czasu, pomyślała. Nie było wiadomo, co robił.

Rozejrzała się w obie strony, upewniając się, że nic nie jechało, zanim przebiegła na drugą stronę ulicy. Weszła na chodnik, składając papiery i wsuwając je do kieszeni, gdy ktoś do niej krzyknął.

- Galante.

Krew zamarzła w żyłach Genny. Głos był nieznanym i brakowało mu ciepła. Zerkając za siebie, natychmiast dostrzegła dwie z lekka znajome twarze - faceci, którzy zwykle kręcili się koło Enza. Tweedledum i Tweedledee, nazywał ich Dante. Stali blisko, zaledwie kilka kroków od niej. Zaniepokojona, cofnęła się o krok.

- Czego chcecie?

Uśmiech, który przebiegł po twarzy jednego z nich, mówił głośniejszym niż jakiegokolwiek słowa. *Ciebie*, mówił. *Chcemy ciebie*.

Nie wahala się. Odwróciła się i pobiegła sprintem. Pobiegła tak szybko jak jej nogi mogły ponieść ją w dół przecznic. Natychmiast ruszyli w pościg, dotrzymując jej tempa. Szaleńczo, zbiegła na dół na stację kolejową, odpychając ludzi z drogi, ignorując ich okrzyki gdy próbowała poruszać się przez tłum. Ciągle zerkala za siebie, próbując złapać ich mignięcia, ale zgubiła ich gdzieś po drodze.

Z galopującym sercem, wpadła do pierwszego pociągu który nadjechał, natychmiast zajmując miejsce. Wierciła się nerwowo, odwracając się na bok by obserwować, co się dzieje na zewnątrz. Ktoś

zajął miejsce obok niej, ocierając się o nią na co krzyknęła i podskoczyła. Obróciła się i zaczęła przeproszać za swoją nagłą reakcję, ale zamarła gdy nawiązała kontakt wzrokowy z osobą siedzącą obok.

Tweedledum. Albo Tweedledee.

Nie wiedziała który to był, ale to nie miało znaczenia. Jeden z nich ją dogonił. Rozsiadł się wygodnie, gdy Genna przesunęła się z dala od niego tak daleko jak mogła. Jej wizja była mglista, gdy łzy paniki napłynęły do jej do oczu.

- Będę krzyczeć.

- Nie, nie będziesz. Poza tym, nie jestem tu, żeby cię zranić.

- Więc dlaczego tu jesteś?

- Co? - Uniósł brwi, udając niewinność. - Facet nie może jechać pociągiem?

- Wiem, że czegoś chcesz - naciskała, jej ręce drżały. - Więc powiedz mi, czego.

- Żebyś przekazała wiadomość.

- Jaką wiadomość?

Nie odpowiedział. Odprężając się na siedzeniu rozejrzał się nonszalancko. Pociąg zatrzymał się po minucie, drzwi otworzyły się i pasażerowie zaczęli grupkami wychodzić. Spokojnie, mężczyzna wstał.

- Księga wyjścia 21:24.

- Słucham?

- Księga wyjścia 21: 24 - powiedział ponownie, sięgnął do kieszeni i coś wyjął rzucając to na kolana Genny. Chwyliła przedmiot zanim uderzył o podłogę, dostrzegając że był to portfel. - Powiedz ojcu, że Bobby Barsanti przesyła pozdrowienia.

Zanim zdążyła to przetworzyć, mężczyzna zniknął, drzwi zamknęły się a pociąg ruszył dalej. Ostrożnie, Genna otworzyła skórzany portfel, wbrew logice mając nadzieję, że to nie było to, co myślała, że jest. Ale tam, wewnątrz skózanego portfela, na prawie jazdy była uśmiechnięta twarz jej brata.

Przejechała do kolejnej stacji, po czym wysiadła i przywołała taksówkę. Wysiadając przecnicę od domu pobiegła do niego sprintem. Zdyszana, wpadła przez frontowe drzwi.

- Tato! Gdzie jesteś, tato?

- Co to za krzyki? - Zawołał z gabinetu, kierując się do drzwi. Gdy na nią spojrział jego brwi się marszczyły. - Gdzie twój brat?

Natychmiast, podbiegła do niego, wciskając mu portfel Dantego do rąk. Jej usta gorączkowo się poruszały, wyrzucając z siebie słowa w próbie wyjaśnienia, co się zdarzyło. Nawet dla niej nie miało to żadnego sensu, a po jego zdezorientowanym spojrzeniu mogła powiedzieć, że on także nie miał pojęcia, co mówiła.

- Zwolnij, Genevieve, i powiedz mi, co się stało.

- Dante się dzisiaj nie pojawił - powiedziała, próbując się uspokoić.
- Pojechałam pociągiem do domu i zobaczyłam jednego z nich... jednego z nich... i oni dali mi ten portfel i kazali mi przekazać ci wiadomość.

Wyraz twarzy Primo stwardniał, gdy zrobił dokładnie to, co zrobiła Genna: otworzył portfel, aby spojrzeć na prawo jazdy.

- Jaką wiadomość?
- Uch, Księga Wyjścia... 21:24.

Oczy Genny rzuciły się do miejsca, gdzie tablica niosąca ten tekst biblijny, wisiała na ścianie. Psychicznie przeklinała siebie za to, że jako dziecko nie zwracała uwagi w szkółce niedzielnej, za to, że nigdy nie otworzyła tej krótkiej nowej biblii, którą kupiła dla niej matka zanim umarła. Chociaż została ochrzczona jak katoliczka, a jej ojciec lubił twierdzić, że byli prawą rodziną, religia nigdy nie była dużą częścią jej życia. Przykazania? Prawdopodobnie mogła je wymienić, dzięki filmowi z Charltonem Hestonem<sup>27</sup>, który jej ojciec oglądał w każdą Wielkanoc, ale poza tym?

*Nic.*

Primo stał spokojnie przez chwilę, wpatrując się w prawo jazdy Dantego.

- Czy powiedział coś jeszcze?

---

<sup>27</sup> Chodzi o film "Dziesięcioro przykazań"

- Nie. - Pokręciła głową, wahając się. - Tylko, że Bobby Barsanti przesyła pozdrowienia.

Primo kiwnął głową, nie mówiąc ani słowa, gdy odwrócił się i poszedł z powrotem prosto do gabinetu. Genna podążyła za nim, zatrzymując się w drzwiach, obserwując z niedowierzaniem, jak usiadł na kanapie.

- Więc? - Zapytała, wierząc się z niepokojem, gdy czekała na jakąś reakcję z jego strony. - Co to znaczy?

Primo bawił się portfelem, otwierając go i zamykając na okrągło, a jego wyraz twarzy był napięty.

- Księga Wyjścia 21:24.

- Tak - powiedziała. - Co to jest?

Wzdychając, zamknął portfel ostatni raz, zanim odłożył go na bok, i spotkał jej wzrok.

- Oko za oko, ząb za ząb... ręka za rękę... noga za nogę...

Ręka Genny przykryła usta, gdy konsekwencja tego dotarła do jej świadomości, zabijając całą nadzieję, pozostawiając ją jedynie z nieprzyjemnymi mdłościami.

*Syn za syna.*

# ROZDZIAŁ 18

*Spokój.*

Nie zdarzał się często, nie w takim stopniu w jakim zawisnął nad Manhattanem w ten weekend. Obie strony dobrowolnie wycofały się w niewypowiedziany rozejm, przeszły z powrotem na swoje własne terytorium. Niewidzialne ściany które dzieliły miasto, wróciły na miejsce by utrzymać rodziny z dala od siebie, ale szkody i tak już zostały wyrządzone.

Ich światy zostały złamane przez cierpienie, a chwile napiętego pokoju nie mogły tego naprawiać.

Od kilku dni nic się nie wydarzyło - żadnej przemocy, żadnych kradzieży, żadnej brutalności. Żadna krew się nie połała na zdewastowanych ulicach. Samochód Dantego został odnaleziony niedaleko domu. Drzwi kierowcy były szeroko otwarte, a klucze wciąż wisiały w stacyjce. Nie było po nim śladu, a wewnątrz było poplamione krwią. Znalaziono jej telefon - leżał na podłodze przy siedzeniu pasażera, a jego przód był popękany od widocznej szamotaniny.

Zrozpaczona Genna, nosząc żałobę zaszyła się w swoim domu, nie wychodząc nawet na zewnątrz by doświadczyć słońca. Nie chciała widzieć, że świeciło, nie chciała widzieć, że świat wciąż się obracał. Dni mijały jak niewyraźna plama godzin... minut... sekund...



Zachowywała pozory, patrząc, ale nie widząc, dotykając, ale nie czując. Była tam, ale czuła się nieobecna.

- Wszystko w porządku? - Zapytał Matty cicho przez telefon. Od dwóch tygodni - od śmierci Enza, ich komunikacja była niewiele większa niż ciąg nieodebranych połączeń i wiadomości tekstowych. Miała mu tak wiele do powiedzenia, chciała go zapytać, chciała błagać, ale ich słowa zgubiły się we mgle żalu. *Wszystko w porządku?* To było pytanie, które niejednokrotnie mu zadała, ale to było jak uderzenie w twarz, gdy zwrócił je do niej.

*Oczywiście, kurwa, że nie jest w porządku.*

- To nie wydaje się prawdziwe - szepnęła napiętym głosem. Leżała w ciemnościach w swoim łóżku, jej telefon był na poduszce obok niej, włączony na tryb głośnomówiący. Otaczał ją jego głos - tak blisko, a jednak zbyt daleko. Jeśli zamknęła oczy, to prawie... *prawie...* czuła, jakby tam był. - Skoro tego nie widziałam... to jak to może być prawdziwe?

Nie było ciała, nie było pogrzebu. Pomimo że Dante został przez rodzinę uznany za martwego, założenie nie oferowało żadnego pożegnania. Nie dawało jej to psychicznego komfortu, gdyż bez *niego* to po prostu nie było realne. W jednej minucie jest, a w następnej znika... ale gdzie?

Logicznie, wiedziała że może nigdy się tego nie dowiedzieć. Dante przestrzegł ją przed tym już wcześniej. Miała wrażenie, że minęły wieki od momentu, gdy stali w Małych Włochach i ostrzegał ją, że gdyby

Barsanti złapali któregokolwiek z nich, nie pozostałoby nic do zidentyfikowania.

- Wiesz, próbowałem pójść na pogrzeb Joey'a - powiedział Matty. - Prawie poszedłem. Ubrałem się, zszedłem na dół i powiedziałem, że na niego idę. Nie zapytałem... *oznajmiłem*. Mój ojciec zabronił mi, ale sprzeciwiłem mu się.

- Co cię zatrzymało?

- On mnie zatrzymał, oczywiście. Zamknął mnie w mojej sypialni, dopóki nie było po wszystkim. Powiedział, że to nie było bezpieczne, i miał rację - nie było. *Wciąż* nie jest. Nigdy nie będzie bezpiecznie dla mnie w tym mieście. Ale wciąż, do dzisiaj żałuję że nie poszedłem. Bez zamknięcia, ciężko zaleczyć rany.

- Czy można? - zapytała. - Czy będzie lepiej? Czy kiedykolwiek się *uleczą*?

- Nie wiem - odpowiedział. - Miałem tylko osiem lat, gdy straciłem swojego najlepszego przyjaciela, i to się jeszcze nie uleczyło.

- Tak, cóż, mam osiemnaście, a mój najlepszy przyjaciel odszedł i nie sądzę, że kiedykolwiek będę znowu w porządku.

- Będzie z tobą dobrze. - Głos Matty'ego był ledwie szeptem. - Z nami obojgiem będzie.

Genna zamknęła oczy, łzy płynęły z ich kącików i spływały po jej policzkach. Ocierając je, wypuściła drżący oddech. Czy będzie z nimi dobrze? Tak rozpaczliwie chciała w to wierzyć.

- Matty, jest coś, co muszę ci powiedzieć - powiedziała, jej głos drżał. - Coś, co powinieneś wiedzieć.

- Co to jest? - Zanim zdążyła odpowiedzieć, nastąpiły trzaski na linii, a Matty zaklął pod nosem. - Przytrzymaj tę myśl. Wrócimy do tego. Mój ojciec tu jest.

Natychmiast, telefon umilkł gdy Matty skończył rozmowę. Jej sypialnię znowu opanowała cisza. Nadal leżała, nie będąc w nastroju by się ruszyć, nie będąc w nastroju by robić *cokolwiek*. Czas mijał ponownie, w jej pokoju zapadła ciemność, zanim rozbrzmiał dźwięk dzwonka z nową wiadomością od Matty'ego.

### **Jutro.**

Jutro... *poniedziałek*. Wiedziała, że planują wtedy w końcu pochować Enza, wysłać go na spoczynek.

Odpowiedziała natychmiast.

### **O co chodzi?**

Jego odpowiedź była bezzwłoczna.

### **Jutro wyjeżdżamy.**

Genna wpatrywała się w te słowa. Obiecał jej, że odejdą i nigdy nie będą się oglądać. Że zaczną gdzieś od nowa. Matty powiedział jej, że żyje w teraźniejszości, że bierze rzeczy takimi, jakie przychodzą, ale gdzieś po drodze to się zmieniło. Przygotowywał się teraz na przyszłość.

*Ich wspólną przyszłość.*

*Jutro, pomyślała, ponownie zamykając oczy, jej ręce instynktownie przesunęły się na brzuch. Jeszcze tylko jeden dzień i wyjedziemy stąd.*

Po raz drugi tego lata, Matty znalazł się na środku cmentarza katolickiego, w niemal dokładnie tym samym miejscu – rodzinna parcela Barsantich.

Tygodnie temu była pusta, po prostu trawiasty pagórek, doskonale zadbane i czekający na dzień, gdy będzie potrzebny. Ale teraz z ziemi wystawał już kamień nagrobny, nosząc imię Savina Brazzi-Barsanti. Trawa zaledwie centymetry od niego, było świeżo poruszona, gdy żegnali już kolejną osobę.

*Enzo.* Matty czuł pustkę. Przestrzeń obok jego ojca gdzie zawsze stał jego brat była teraz tylko powietrzem, nikt nie odważył się postawić tam stopy. Wzdychając, Matty trzymał opuszczoną głowę, ręce splecione przed sobą, aż ostatnie "Amen" zostało wypowiedziane przez rozpaczający tłum.

W ciągu kilku sekund oddalił się, nie fatygując się by zostać w pobliżu na tradycyjne bzdury ze 'składaniem kondolencji rodzinie', i zbliżył się do swojego kuzyna Gavina. Nieznacznie Gavin skinął głową na powitanie, a jego głos był cichy, gdy powiedział.

- Będę się odzywał.

Matty odwzajemnił kiwnięcie zanim przeszedł przez cmentarz, z dala od tłumu, daleko w kierunku drugiej strony, gdzie nie odważył się wejść nigdy wcześniej.

Zajął mu to trochę czasu - dziesięć, może piętnaście minut - zanim dostrzegł to, czego szukał. Nagrobki były uszkodzone, będąc tu od lat... jeden spłowił bardziej niż drugi.

*Joseph Galante.*

Pod jego imieniem, poniżej zbyt krótkich dat obejmujących jego życie, wyryto słowa '*wiecznie młody*'. Został pochowany obok swojej matki, jej nagrobek był większy, aby kiedyś pomieścić Primo na tym samym marmurowym znaku. Było na nim wyryte jego imię, a dzień jego śmierci pozostawiono pustym.

Bezwzględny drań wciąż oddychał.

Dookoła nich były puste place, które jak Matty podejrzewał były zarezerwowane dla innych dzieci Galante, ale żadne nie zostanie nigdy tam pochowane. Dante, ponieważ zniknął, a Genna, ponieważ Matty zabierał ją stąd. Nie będzie jej w pobliżu by zobaczyć koniec, by zobaczyć gorzkie zakończenie długoletniej rywalizacji.

*Żadne z nich nie będzie.*

Ponieważ Matty w głębi duszy wiedział, że to nie był koniec. Stali po prostu w centrum huraganu... który jedynie na chwilę się uspokoił.

- Wkrótce.

Szorstki głos za Matty'ego sprawił, że włosy zjeżyły mu się na karku. Nie słyszał podejścia swojego ojca. Powoli obracając głowę, spojrzał na mężczyznę.

- Wkrótce?

- Niedługo ten nagrobek będzie miał randkę - powiedział Roberto, patrząc gniewnie na zniszczony marmur prezentujący imię Primo. - A potem w końcu będę usatysfakcjonowany.

- Będiesz? - Zapytał cicho Matty, odwracając się od ojca. - Czy naprawdę będziesz *usatysfakcjonowany*?

Zamiast być urażony pytaniem, Roberto roześmiał się lekko, klepiąc syna po plecach, zanim ordynarnie ścisnął jego ramię.

- Tak usatysfakcjonowany, jak człowiek taki jak ja może być.

*Nieusatysfakcjonowany w ogóle.*

Roberto puścił go i cofnął się o krok.

- Wracasz do domu?

- Nie, mam kilka spraw, którymi muszę się zająć - powiedział Matty.

- Interes rodziny? - zapytał Roberto.

- Tak - powiedział cicho Matty. - Rodziny.

Kiwając głową, Roberto odszedł, nie mówiąc już ani słowa. Matty stał tam jeszcze przez kilka minut, zanim rzucił okiem na swój zegarek. Szósta. Odbierał Gennę trochę po dziewiątej, po tym jak jej ojciec szedł spać.

To dawało mu trzy godziny.

Idąc z powrotem przez szlak nagrobków, zmierzał w kierunku swojego Lotusa zaparkowanego wzdłuż drogi, naciskając guzik kilka kroków z dala, by otworzyć drzwi i uruchomić silnik. Jak tylko siedział w środku, odjechał, rzucając tylko krótkie spojrzenie do tyłu na cmentarz.

Pojechał do *The Place*, zamawiając u barmana Roman Coke i siadając przy swoim zwykłym stoliku z czystego przyzwyczajenia. Siedział tam, wpatrując się w puste miejsce naprzeciwko siebie, gdy powoli sączył swojego drinka, próbując zebrać się na odwagę by iść na górę. Rzeczy Enza były porzucane po całym mieszkaniu, dokładnie tam, gdzie je zostawił, a Matty nie miał serca, by się z tym zmierzyć.

Kiedy jego drink był skończony, zamówił kolejny.

I kolejny.

I kolejny.

Czas się rozmył, a na zewnątrz zapadła ciemność. Jego telefon zadzwonił z wiadomością od znajomego numeru.

### **Spotkajmy się w Casato.**

Matty wstał i krocząc przez *The Place* ponownie spojrzął na zegarek. Już dochodziła ósma. Zamiast iść na górę, zamiast spakować swoje rzeczy tak jak zaplanował, po prostu odszedł. Miał wystarczająco dużo czasu by przemknąć przez Małe Włochy, zanim zabierze swoją dziewczynę i wyniesie się w cholerę z Manhattanu, w cholerę z Nowego Jorku, w cholerę z dala od Galantes, i Barsantch i tego wszystkiego.

- Nie pracujesz dzisiaj? - Zapytał barman, kiedy ten skierował się w kierunku drzwi.

- Nie - powiedział Matty. *Nie będę pracował już nigdy więcej.*

Pojechał do Małych Włoch, parkując Lotusa w miejscu tuż obok jego przeznaczenia. Idąc w kierunku Casato, trzymał ręce w kieszeniach i opuszczoną głowę. W kawiarni było cicho o tej porze, ponieważ na noc zamykali. Matty wszedł do środka, a dzwonek nad drzwiami obwieścił jego przybycie. Johnny nie pracował dzisiaj, a młoda kobieta stojąca za ladą rzuciła mu ciekawskie spojrzenie.

- Zamykamy za pięć minut.

- Wiem, tylko kogoś szukam - powiedział Matty. - Gavin Amaro?



Jak na zawołanie, drzwi do kuchni się otworzyły i wyszedł Gavin. Jego uwaga była skierowana na telefon, ponieważ wybierał numer. Podniósł go do ucha, ale zawahał się, gdy spojrzał w górę, a jego wyraz twarzy się rozświetlił. Zaczął się śmiać kończąc połączenie i wsunął telefon z powrotem do kieszeni.

- Właśnie do ciebie dzwoniłem.

- Oto jestem - powiedział Matty.

Gavin obrócił się w stronę pracującej dziewczyny.

- Możesz już iść. Skończę zamykać.

Podziękowała i popędziła przez drzwi. Jak tylko zniknęła, Gavin wyciągnął kopertę z kieszeni marynarki i cisnął ją na najbliższy stół.

- Wszystko, o co prosiłeś - dwie nowe tożsamości, całkowicie legalne, w komplecie z aktami urodzenia i prawem jazdy.

- A osoba, od której to dostałeś...?

- Żaden problem - powiedział Gavin. - Zadzwońm po przysługę poza Chicago. On nigdy nie powie ani słowa na ten temat.

- Ach. - Matty podniósł to, mocno trzymając kopertę. - Dzięki.

- Nie ma za co - powiedział Gavin, machając ręką. - Po to właśnie jest rodzina, prawda?

Matty uśmiechnął się.

- Prawda.

Nikita24

## ROZDZIAŁ 19

- Nie... zdecydowanie nie... nie ma mowy... fuj, co to do cholery jest?

Genna przeglądała ubrania w swojej szafie, przesuując wieszaki na bok. Czarny worek marynarski leżał na podłodze przy jej bosych stopach, całkowicie pusty. Powinna być spakowana, ale nie miała pojęcia, co zabrać. Pomogłoby, gdyby wiedziała, dokąd jada, ale Matty nie dał jej żadnej wskazówki.

Wzdychając, Genna kopnęła worek na bok, rzucając go w kąt. *Pieprzyć to. Kto potrzebuje rzeczy?* Wkładając buty, ruszyła z powrotem do swojej sypialni i spojrzała na zegarek.

Kilka minut po ósmej.

Przez jej żyły pędziła napędzana przez oczekiwanie adrenalina. Była niczym więcej niż splątany kłębek nerwów, tak ciasno owiniętym i poplątany, że nie mogła się uspokoić. Poddając się, wyszła z pokoju i skierowała na dół, schodząc powoli po schodach, i ruszyła w kierunku jadalni. Primo siedział na swoim zwykłym miejscu u szczytu stołu, a jedzenie przed nim było całkowicie nietknięte. Otaczały go cztery puste nakrycia. To był widok który sprawił, że Genna zatrzymała się, by to przyswoić.

- Dołączysz do mnie dzisiaj? - Zapytał beznamiętnym głosem Primo, gdy podniósł kieliszek wina i upił łyk. - Nie schodziłaś na obiad od kilku dni.

- Tak, ja, uch... pomyślałam... - Co myślała? Dręczyło ją poczucie winy skręcając żołądek i zabierając ostatni strzęp głodu, jaki w ogóle czuła. - Pomyślałam tylko, że byłoby miło zjeść razem znowu... wiesz... jak za dawnych czasów.

Niewylane łzy piekły jej oczy, gdy wyjąkała te słowa. *Uch, pieprzone hormony.* Fakt, że to może być równie dobrze ostatni raz, kiedy widziała ojca - ostatni raz siedziała przy tym stole, przy tym obiedzie, wewnątrz tego domu - powodował w jej wnętrzu gorzkie ukłucie tęsknoty.

- Siadaj - powiedział Primo, wskazując na jej krzesło, zanim zadzwonił po personel, żeby przyniósł jej obiad. Postawiono przed Genną talerz pieczeni wieprzowej, poczym pracownik zniknął z powrotem w kuchni, przygotowując się do wyjścia do domu.

Jak tylko jej talerz znalazł się przed nią, Primo wyciągnął do niej dłoń. Ostrożnie ją wzięła. Jego ręka nakryła jej, ściskając ją, po czym Primo pochylił głowę, aby zmówić modlitwę.

- Przebacz nam, Ojcze, za nasze grzechy - powiedział. - Dziękuję za wiele naszych błogosławieństw.

Genna odsunęła rękę jak tylko ją puścił i chwyciła widelec, grzebiąc w jedzeniu na swoim talerzu. Było cicho, żadne z nich nie jadło.

To było gorzko-słodkie, gdyż spojrzenie Genny ciągle przesuwało się do miejsca bezpośrednio naprzeciwko niej, do krzesła, na którym codziennie siadał Dante. Unikała tego przez cały weekend, unikała rzeczywistości, ale oto była, wpatrując się jej w twarz... namacalna prawda, oczywiste przypomnienie, że on odszedł.

Łza spłynęła po policzku Genny, ponieważ nie była zdolna by ją powstrzymać. Próbowала ją otrzeć, by ukryć dowody jej udręki zanim ojciec zobaczy, ale nic nie uszło jego uwadze. Nawet nie patrząc na nią, wypuścił głębokie westchnienie.

- Twój brat cię kochał.

- Wiem - szepnęła.

- Bez niego nie będzie tak samo.

- Nie będzie - zgodziła się.

Nic nie będzie już nigdy takie same.

Po tym, obiad minął w ciszy. Wydawało się, że żadne z nich nie ma już nic więcej do powiedzenia. Spojrzenie Genna ciągle przeskakiwało w kierunku zegara, odliczając minuty, gdy powoli zbliżała się dziewiąta. Cisza była tak gęsta, przenikając każdy zakątek jadalni, że Genna przestraszyła się, gdy zadzwonił telefon. Opuszczając widelec, chwyciła się za pierś, gdy Primo podniósł słuchawkę telefonu z linią alarmową, warcząc słowo "mów".

Mijały napięte sekundy.

- Jest tam? - Zapytał Primo, jego głos był pozbawiony wszelkich sentymentów. - Zrób to teraz.

Rozłączył się, ponownie zerkając na Gennę, gdy ocierała kolejną krnąbrną łzę.

- Nie martw się - powiedział. - Nie unikną za to kary.

Genna spojrzała na ojca podejrzliwie.

- Słucham?

- Dostaną to, na co zasługują.

- Już dostali. - Pokręciła głową z irytacją. Czy był tak zaślepiony nienawiścią, że nie mógł dostrzec faktu, iż *obie* rodziny już zapłaciły krwią? Młodą krwią - *niewinną* krwią - która była podstępnie wciągnięta do rywalizacji. - Stracili syna.

- Ja straciłem *dwóch*.

Te słowa uderzyły Gennę, jak wiadro lodowatej wody wylane na jej głowę. Niezdolna by się powstrzymać, gwałtownie zadrżała.

Telefon zadzwonił ponownie. Primo pochwycił go by odebrać, ignorując zmartwione spojrzenie, które rzuciła mu córka.

- Mów.

Więcej lodowatej ciszy.

- Czy to jest ustawione? - Zapytał Primo. - Dobrze.

- Czy *co* jest ustawione? - Powtórzyła pytanie Genna, kiedy się rozłączył. - Co planujesz?

Primo spojrział na nią. Tam, w ciemnym brązie jego spojrzenia, Genna zobaczyła nienawiść. Dostrzegła gorycz, gniew, i potrzebę zemsty. Ale nigdzie, w spojrzeniu jakim jej oferował, nie dostrzegła żadnego współczucia. Żadnego zrozumienia. Żadnego względu na fakt, że była zakochana w jednym z nich, żadnego względu na to, przez co mogą przechodzić.

Barsanti nazywali jej ojca bezdusznym. Po raz pierwszy w życiu, Genna zobaczyła to na własne oczy.

- Co zrobiłeś? - Jej głos był drżącym, przerażonym szeptem. - Powiedz mi.

- Oko za oko - odpowiedział. - Życie za życie.

- Syn za syna - szepnęła.

- Samochód za samochód. - Primo wypuścił krótki śmiech, skupiając uwagę na lampce wina. - Niebo w Małych Włochach rozświetli się po raz kolejny.

Te słowa sprawiły, że żołądek Genny opadł i nie mogła złapać oddechu.

*Lotus.*

Odsuwając krzesło, Genna wstała bez słowa. Napędzało ją przerażenie, popychając ją w kierunku drzwi, gdy zignorowała

wołającego za nią ojca. Chwyciła kluczyki z kółka przy drzwiach, zanim wyskoczyła na ganek, rozglądając się w szale, debatując co robić, gdy wyciągnęła swój telefon. Wybrała numer Matty'ego, i ruszyła przez podwórko prosto w kierunku miejsca, gdzie przez ostatnie dwa miesiące był zaparkowany jej samochód.

Telefon dzwonił... i dzwonił... i dzwonił.

Żadnej odpowiedzi.

Spanikowana, wskoczyła do samochodu i szybko odjechała z domu, na oślep lawirując przez ruch, gdy skierowała się na Manhattan i w kierunku Małych Włoch. Wybierała numer Matty'ego na okrągło i rozłączała się jak tylko dotarła do jego poczty głosowej, po czym wybierała go ponownie. Odmówiła myślenia, że było za późno... że była za późno. Tak nie mogło być.

Tak, kurwa, nie mogło być.

Pędziła ulicami, wyprzedzając samochody niezgodnie z prawem, nie dbając o to, kogo spychała z drogi. Z niepokojem, przejechała prosto na czerwonym świetle, uderzając w gaz w próbie przejechania bez szwanku, ale rozproszył ją blisko rozbrzmiewający klakson. Przerażona zerknęła do tyłu i zobaczyła samochód, ledwie mijający jej tył.

Genna odetchnęła z ulgą, ale to było krótkotrwałe. W chwili, gdy się odwróciła, zobaczyła tuż przed sobą blask tylnych świateł. Klnąc, gwałtownie nacisnęła na hamulce, ale nie była wystarczająco szybka.



Telefon wypadł jej z ręki, uderzając w podłogę samochodu, gdy przygotowała się na uderzenie.

Jej ciało szarpnęło, i skrzywiła się, uderzając w kierownicę, gdy wpadła w poślizg tuż za samochodem, niemal się z nim zderzając na skrzyżowaniu. Z sercem walącym w piersi, otworzyła drzwi, żeby się wydostać. Przez chwilę przetoczyły się przez nią zawroty głowy. Kierowca drugiego samochodu zaczął wysiadać, ale Genny już nie było.

Biegła.

Biegła, aż jej nogi paliły i miała wrażenie, jakby jej pierś miała wybuchnąć. Biegła szybciej niż biegła kiedykolwiek wcześniej, wzdłuż ulic, które trochę знаła. Obok sklepu muzycznego i starego kina, włoskich flag powiewających na nocnym wietrze nad jej głową.

Biegła, i biegła, i biegła.

Ale nie biegła wystarczająco szybko.

W chwili, gdy wyszła na prostą z Mulberry Street, błysk błyszczącej czerwieni przykuł jej uwagę. Lotus był zaparkowany tuż przed jej ulubioną małą kawiarnią. Oddech Genny uwiązł w gardle gdy jej stopy zrobiły kilka pośpiesznych kroków w tamtym kierunku, zanim została brutalnie powalona do tyłu przez wybuch.

**BUM**

Poczuła to, zanim to ujrzała, przebiegło przez nią drganie zanim głośny huk przedarł się przez okolicę. Powietrze uciekło z jej płuc, gdy

się potknęła. Ognista kula wystrzeliła prosto w górę. Samochód wyleciał w powietrze, znikając w masie dymu i płomieni, metal latał, gdy rozproszyły się odłamki, roztrzaskując okna w pobliżu.

Gorąco było tak intensywne, że Genna czuła na skórze, jakby płonęło pół dzielnicy. Wdychając ostro, nieznośnie, wydała z siebie krzyk agonii - dźwięk rozbrzmiewający w głębi jej duszy, niezdolny być zawartym w jej ciele. Krzyczała jego imię, jej głos łamał się boleśnie, gdy eksplozja pochłaniała samochód i zapalała inne, otaczające go.

Ulica wybuchła w chaosie, świat wokół niej przyspieszył, podczas gdy ją ogarnęło zwolnione tempo. Płacząc, ze łzami pokrywającymi twarz, opadła na kolana na chodniku i chwyciła się za włosy. Jej oczy przykleiły się do płonącego piekła, tam gdzie kiedyś był samochód Matty'ego. Ludzie biegali obok niej, wpadali na nią, przechodzili wokół niej, jakby jej tam nawet nie było. Ale Genna nie mogła się ruszyć. Nie mogła mówić. Nie mogła oddychać.

Wszystko, co mogła robić, to patrzeć.

Nagle, niespodziewanie, gdy tłum otoczył całą scenę, Genna została chwycona od tyłu. Wokół jej talii owinęły się ramiona z gwałtownym szarpnięciem stawiając ją na nogi. Zaskoczona, łamiącym się głosem wrzeszczała i próbowała je odeprzeć, ale ich chwyt był mocny.

Jej kark połaskotał oddech gdy usłyszała szeptane do niej słowa.

- Uspokój się, księżniczko.

Usłyszenie tego głosu wykradło ostatni skrawek jej siły. Jej ciało zwiotczało, a głowa opadła, gdy mocno ścisnęła rękoma ramiona owinięte wokół niej. Jej knykcie zbieleły z napięcia, uderzając się odznaczały na tle ciemnego atramentowego zabarwienia jego przedramion.

- Matty.

Pociągnął ją wzdłuż ulicy, z dala od szaleństwa, prosto do kawiarni. Okna były roztrzaskane, restauracja opuszczona, z wyjątkiem ich dwójki. Jak tylko znaleźli się w środku, puścił ją. Genna obróciła się, mrugając szybko, gdy przyswoiła widok jego twarzy, naznaczonej jedynie przez pozostałości minionych kłopotów. Pośpiesznie, jak oszalała, chwyciła go, dotykając jego piersi, oceniając, upewniając się że nie był ranny. - Ty... jesteś tu... nic ci nie jest! Jak? Widziałam to... Lotus... dopiero to widziałam... - Szaleńczo kręciła głową, tak szaleńczo, że jej wzrok stał się niewyraźny. - *Widziałam to!*

- Genna. - Jego głos był silny, gdy stanowczo chwycił dłońmi jej policzki, trzymając ją w miejscu i zmuszając by patrzyła prosto na niego.  
- Uspokój się.

Wpatrywała się w niego, jej myśli pędziły gorączkowo.

- Ale... jak?

- Zdalne uruchamianie - powiedział, unosząc brwi. - Pamiętasz?

*Zdalne uruchamianie.* Czepiała się go o to, jak niepotrzebne było posiadanie przycisku przy kluczach, aby uruchomić samochód z daleka. *Pretensjonalny łajdak i jego szpanerskie gadżety.*

- Pieprzone dzięki, że jesteś tak cholernie leniwy.

Zanim zdążył odpowiedzieć, rzuciła się w jego kierunku owijając ramiona wokół niego. Objął ją, trzymając mocno i głaszcząc jej włosy.

- Mój najlepszy przyjaciel umarł, przekręcając kluczyk w stacyjce. Staram się robić to jak najmniej.

Łzy spływały po policzkach Genny, gdy ją trzymał.

- Nic ci nie jest.

- No cóż... żyję.

Wypuściła drżący oddech.

- To wystarczy.

Adrenalina wewnątrz niej, ochraniająca ją przed bólem, utrzymująca ją w szoku, powoli zaczęła słabnąć. Każdy mięsień w jej ciele był napięty, naprężony, a jej żołądek zaczęły targać skurcze.

- Musimy się stąd wydostać - powiedział cicho Matty, puszczając ją. - Najpierw musimy znaleźć samochód i udać się do Jersey... potem ruszymy dalej.

Genna zrobiła krok do tyłu, krzywiąc się, gdy jej żołądek się zacisnął. Jej alarm wzrósł ponownie.

- Czekaj, muszę ci coś powiedzieć.

- Czy to nie może poczekać? - Zapytał.

Pokręciła głową.

- Nie sądzę. Powinieneś wiedzieć. Zanim to zrobimy... powinieneś wiedzieć.

- Co to jest?

- Jestem, uch... - Zrobiła gwałtowny wdech, a jej oczy były szeroko otwarte. - Jestem w ciąży.

Nie była pewna, jak zareaguje, zwłaszcza teraz - szczególnie *po tym* - ale z pewnością nie spodziewała się tak przejmującej ciszy. Stał tam, zaledwie kilka kroków od niej, z pustym wyrazem twarzy i nie powiedział ani jednego słowa w odpowiedzi.

Przyglądała się mu ostrożnie.

- Matty?

Wciąż nic nie powiedział.

- O Boże - jęknęła. - Złamałam cię? Matty, kurwa mać, mów do mnie, proszę.

- Jesteś w ciąży.

- Tak.

- Czy jesteś...? To znaczy, wiesz... - Machnął w kierunku jej brzucha. - Czy to jest...?

- Czy jest... *twoje*? To jest to, o co mnie pytasz?

- Nie. - Wypuścił głębokie westchnienie. - Pytam, czy wszystko z tobą w porządku.

- Och. - Złapała się za brzuch. - *Myślę*, że tak.

- Zatem dobrze - powiedział, kiwając głową. - Zmiana planów. Najpierw, znajdziemy samochód, następnie znajdziemy lekarza... *potem* ruszymy w drogę i nigdy nie będziemy się oglądać.

# EPILOG

To jest miejsce, gdzie kończy się historia, z powrotem tam, gdzie się zaczęła - pozostając w chmurze gęstego czarnego dymu, grubego z ciężaru nieszczęścia.

Roberto Barsanti nigdy nie wierzył, że jest winny czemukolwiek, co się wydarzyło. Chronił tylko swoją rodzinę, mszcząc się za atak, który został popełniony przeciwko nim w ósme urodziny jego najstarszego syna. Kilka razy czuł wstyd za pewne niefortunne okoliczności, chociaż nigdy na tyle silny, aby powstrzymać jego dążenie do odwetu. Jego gniew był zbyt głęboki, zdrada zbyt poważna, aby po prostu się wycofał i zapomniał o wszystkim.

Ale stojąc na rogu w Małych Włochach, w tą letnią noc, patrząc przez mgliste powietrze na zniekształconą ramę samochodu Matteo, w końcu poczuł to, co omijało go przez cały czas.

*Wyrzuty sumienia.*

Eksplozja była odczuwalna w promieniu mili, w postaci małego trzęsienia ziemi, drgań pod ich stopami. Roberto byłby zszokowany, gdyby to nie zostało zarejestrowane w skali Richtera, ze sposobem, w jaki to wydawało się wstrząsnąć jego wszechświatem, potrząsając ostatnim kawałkiem jego stabilnej podstawy.

Nic mu nie zostało. *Nic*. W ciągu tych lat mówił sobie że to dla jego rodziny, dla Barsantich, ale co zostało z nich w tej chwili?

Nie został już nikt oprócz *niego*.

Kiedy tam stał, nie miał możliwości żeby się dowiedzieć, czy Matteo był w samochodzie, gdy ten eksplodował. Jego fragmenty były rozrzucone po okolicy. Elegancki samochód sportowy przypominał aluminiową puszkę, którą ktoś niedbale zgniótł. Nawet jeśli był w środku, mogą nigdy się tego nie dowiedzieć. Ale w tym momencie, wszystko o czym mógł myśleć było to, że Bóg kazał go za jego grzechy, ukradł mu syna w zamian za tego, którego on zabrał w ten sam sposób tak wiele lat temu.

Syn za syna, rzeczywiście.

Roberto nigdy nie wierzył w karmę. To dlatego zawsze był tak szybki w działaniu, tak szybki w szukaniu zemsty. Nie mógł polegać na wszechświecie, jeśli chodziło o karę. Musiał iść tam i uzyskać ją sam. Ale wierzył teraz.

Wierzył, i *rozpaczał*.

Gdy Roberto obserwował wszystko, co zostało z jego płonącego świata, samotny głos przedarł się przez mgłę, przepelniony od tego samego bólu serca, który czuł jak ściska jego pierś. Spustoszony dźwięk odciągnął jego spojrzenie od piekła, gdy znajomy mężczyzna przebiegł tuż obok niego, nieświadomy jego obecności.

*Primo Galante*.



- Genevieve! - Krzyknął, szaleńczo przepychając się przez tłum. -  
Gdzie jesteś? O Boże! *Genevieve!*

Jego głos załamał się kiedy po raz ostatni krzyknął jej imię. Roberto obserwował, jak funkcjonariusze próbowali powstrzymać mężczyznę, obezwładniając Primo, zanim ten mógł przebić się przez barierę otaczającą miejsce wybuchu. Odepchnął ich, trzęsąc się, gdy jak oszalały rozejrzał się, wciąż krzyżąc jej imię - szukając jej.

Z miejsca gdzie stali kilka metrów z dala od siebie na chodniku, ich spojrzenia się spotkały. Widywali się na przestrzeni lat, siedzieli w tym samym pokoju kilka razy, gdy zajmowali się interesami z pięcioma rodzinami, ale to był pierwszy raz, kiedy faktycznie spojrzał w oczy staremu przyjacielowi, odkąd ich dzieci sięgały kolan i wciąż były zbyt niewinne na to wszystko.

Ich dzieci. Gdy patrzyli na siebie w ciszy, Roberto zobaczył ten sam strach który czuł, odbijający się w oczach Primo.

Niezdolny sobie z tym poradzić, Roberto przeniósł spojrzenie za swojego starego znajomego stojącego w dół owładniętej chaosem przecznicy. Gavin Amaro, jedyny syn rodziny mafijnej Amaro, stał przed kawiarnią swojej rodziny z zaszokowanym wyrazem twarzy. Gavin ostrożnie obserwował mężczyznę, gdy z ust Roberta wyszło samotne wyszeptane pytanie.

- Mój syn.

Powoli i z wahaniem, Gavin kiwnął raz głową, po czym spuścił wzrok przemykając spojrzeniem w kierunku płomieni. Nie słyszał go, ale wiedział, i to było całe potwierdzenie, którego Roberto potrzebował. Odwrócił się do zdewastowanego samochodu. Gorąco z szalejącego pożaru docierało do niego nawet z oddali, sprawiając, że miał wrażenie, jakby jego skóra topniała. Okryło go odrętwienie, a szok usunął każdy skrawek gniewu. Ponownie poczuł dziwne połączenie z Primo Galante, mężczyzną, którego kiedyś uważał za swojego najlepszego przyjaciela, a następnie śmiertelnego wroga. Nigdy by mu nie wybaczył, tak jak teraz nigdy nie wybaczy sobie, ale to był koniec, jeśli o niego chodziło. Musiał być. Śmierć była zbyt dobra dla Primo, tak jak wiedział, że jeszcze nie przyjdzie po niego.

Musieli żyć ze swoimi wyborami.

Ktoś podszedł do Roberto. Spojrzał w bok, widząc jednego z braci Civello. Na jego dziecięcej twarzy widoczny był chory szok, gdy oglądał chaos wokół Małych Włoch. Zatrzymał się po chwili spotykając oczy Roberto.

- Czy to...? Czy to był...?

Roberto nie odpowiedział od razu, odwracając spojrzenie z powrotem do płonącego pojazdu, gdy straż pożarna próbowała zwalczyć intensywne płomienie. Jakimś cudem to było okrutniejsze, niż naprawdę *widzieć*, że twoje dziecko nie żyje. A wszystkie dzieci Primo zostały zabrane w ten sposób.

- Musimy porozmawiać o Danem - powiedział Roberto, a jego spojrzenie jeszcze raz odszukało jego dawnego przyjaciela, gdy mężczyzna walczył, wciąż krzycząc za jego Genevieve.

Czy była z Matteo?

Czy mężczyzna zabił swoją własną córkę?

- Co z nim? - Zapytał chłopiec Civello.

Roberto zamknął oczy, jego pierś była ciężka od żalu budującego się w jego wnętrzu.

- Rozważam dostarczenie go z powrotem do jego ojca.

Nastąpiła chwila dziwnej ciszy, gdy mrozące krew w żyłach krzyki rozpaczycy ucichły. Ponownie otwierając oczy, Roberto obserwował, jak Primo opadł na kolana. Jego twarz była pustą maską, gdy zdawało się, że zapanował szok.

- Cokolwiek chcesz, szefie. Chcesz dostarczyć go z powrotem, to go dostarczymy. - Chłopak zawahał się, zanim dodał. - Chociaż mam jedno pytanie.

Roberto odwrócił się od ognia, z dala od szaleństwa, i spojrzał na niego.

- Co?

- Czy najpierw powinniśmy go zabić? <sup>28</sup>

Nikita24

---

<sup>28</sup> Zbieram szczękę z podłogi... - Kaś